

ŚCIEŻKI WYOBRAŹNI

# Inkszy welt



# INKSZY WELT

*Antologia  
Sekcji Literackiej  
Śląskiego Klubu Fantastyki*



Śląski Klub Fantastyki  
Katowice 2020

*Inkszy welt* – Antologia Sekcji Literackiej Śląskiego Klubu Fantastyki  
© 2020 Śląski Klub Fantastyki

Projekt okładki: Alicja Tempłowicz

Redakcja: Anna Askaldowicz, Anna Hrycyszyn, Anna Kańtoch

Korekta: Krzysztof Wójcikiewicz

Skład i łamanie: Gabriela Palicka

Wydawca:

Śląski Klub Fantastyki

ul. A. Górnika 5

40-133 Katowice (Koszutka)

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej książki nie może być powielana ani rozpowszechniana w jakiejkolwiek formie i w jakikolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny), włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów bez pisemnej zgody wydawcy.

## ***SPIS TREŚCI***

- 5** Marta Potocka  
*Wstęp*
- 7** Michał Niedźwiedzki  
*Zajścia w kopalni „Wyzwolenie”*
- 39** Katarzyna Rupiewicz  
*Córka utopca*
- 53** Agnieszka Żak  
*Przechył*
- 117** Anna Askaldowicz  
*Pamięć wody*
- 179** Michał Cholewa  
*Casus belli*
- 243** Marta Magdalena Lasik  
*Głos*





Marta Potocka

## WSTĘP

Kiedy po raz pierwszy pojawiłam się w Śląskim Klubie Fantastyki, byłam nastolatką i nigdy wcześniej nie miałam styczności z ludźmi z fandomu. Pamiętam, że zafascynowała mnie „inność” poruszanych w rozmowach tematów. Dyskutowaliśmy na poważnie o życiu poza Ziemią i o tym, czy gdyby ośmiornice chodziły do fryzjera, można by mówić o zrobieniu z macek fryzury. Uważałam się wtedy za osobę nieźle odczytaną, a w klubie trafiłam na ludzi polecających mi książki, o których nigdy wcześniej nie słyszałam. Osoby dwa razy ode mnie starsze rozmawiały ze mną jak równy z równym – obchodziło ich to, co mówię, a nie ile mam lat. Dla świeżo upieczonej maturzystki, która interesowała się fantastyką od dziecka, ale nigdy nie poznała środowiska jej fanów, był to zupełnie inny, lepszy świat.

Okazało się też, że sam Śląsk ma w sobie coś innego i fantastycznego. Ceglane budownictwo, niezrozumiałe lub śmiesznie brzmiące słowa, słyszane mimochodem na ulicy, przechodnie czasem jeszcze dziwniejsi niż w artystycznym Krakowie, z którego przyjechałam. Subtelna, ale wyraźnie wyczuwalna aura fascynującej mnie odmienności.

Po latach, już jako dorosła osoba, wróciłam do Klubu i wpadłam w objęcia sekty – przepraszam, sekcji – literackiej. Z radością odkryłam, że ten ulotny klimat inności unosi się w Klubie nadal, że nie był tylko zniekształconym przez upływ czasu wspomnieniem nastolatki. Razem stworzyliśmy trzy tomy opowiadań i dziś oddajemy na Wasze ręce czwarty. Inny.

W poprzednich antologiach eksplorowaliśmy koncepcje *Zabawy w boga* i *Rozstajów*, a także tworzyliśmy opowieści wokół rekwizytów w *Skafandrze i meloniku*. Tym razem zabierzemy Was na wyprawę w nowe miejsce. Tym miejscem będzie widziany oczami naszych autorów Śląsk przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Śląsk podziemi, familoków, blokowisk i wieżowców. Śląsk tajemniczy, groźny i fascynujący. Chodźcie z nami, a pokażemy Wam prawdziwie Inny Świat.



Michał Niedźwiedzki

**ZAJŚCIA W KOPALNI „WYZWOLENIE”**



Światło wartowniczego reflektora przecinało powietrze miarowo niczym bicz, smagnięciami chłodnego światła wyrwijając z mroku bolesć podwórka. Narożnik ceglanych chlewików uszczerbiły odłamki szrapnela. Krater po wybuchu zarastał trawą niechętnie, podobnie jak zgliszcza szopki i króliczoka. Worki z piaskiem ciągnęły się tam, gdzie wcześniej dzieci skakały przez płot kraść owoce. Bezlistny obecnie sad zdziczał tak, że niewiele już się różnił od lasu Żabich Dołów, którego ciemna ściana czerniała paręset metrów dalej.

– I jak ci się podoba Śląsk, twych przodków łono ojczyste? Ciekaw jestem twoich pierwszych wrażeń.

Adolf Musioł westchnął na to pytanie, aż strumień pary zmatowił szybę oficerskiej kwatery, urządzonej na pięttrze przykopalnianego familoła. Podporucznik przekroczył granicę marionetkowej Republiki Górnośląskiej pierwszym rannym pociągami i to, co od tego czasu zobaczył, zdecydowanie mu się nie podobało. Wiózł rozkazy do dowództwa pułku, a później zameldował się do służby w jednej z jego kompanii, zdawał sobie więc dobrze sprawę, że jedzie do kraju przeciętego linią frontu. Jednak co innego wiedzieć, a co innego widzieć. Adolf zobaczył zaś na przykład jedno z utworzonych na mocy rozjemu przejść w kordonie, oblegane od wschodniej strony przez tłumy zmierzające do pracy w przedsiębiorstwach znajdujących się po stronie zachodniej. Wiynkszy gelt, wruszali ramionami zapytani ludzie, a sprawdzający ich dokumenty żołnierze bez skrępowania opowiadali sobie dowcip: „Kurier Katowicki« ôtrombiōł srogo wiktoryjo wojsk ślōnskich – we Piaśnikach zdōbyto pjyntro kamiynicy, z czego uczni-mano czy izby i haziel”.

– Mam być szczerzy? – Adolf odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Zawsze. Wiesz o tym.

– Jest źle. Nie umiem tego do końca wyrazić, ale jest gorzej niż tam, gdzie byliśmy dotąd.

– Przesadzasz. Wojna jak wojna.

– Nie, naprawdę. Na początku pewnie tak było, w czasie powstań, ale teraz... – Musioł nie odwrócił się nadal. – Patrzyłeś przez okno?

Przecież to jakby transzeje znad Sommy puścić środkiem podwórek i kazać sąsiadom z jednej i z drugiej strony bić się ze sobą.

– Albo to we Lwowie było inaczej? Mało Polaków walczyło w szeregach bolszewii?

Musiół pokręcił głową. Nie, to nie to samo, pomyślał, choć może tak mi się tylko wydaje, bo stąd są moi rodzice, a sam szczęście lata spędziłem ledwie za miedzą, też w cieniu hut oraz kopalni... Albo może po prostu wtedy byłem młodszy i tego nie widziałem.

– Poza tym – usłyszał po chwili w odpowiedzi na swoje milczenie – jebał pies, że przez podwórka. Martw się bardziej tym, że front przecina chodniki.

Na to z kolei Adolf przytaknął. Gdy reflektor odwracał się od okna, za lasem można było dostrzec ruchomą poświatę – takie samo światło garnizonu szybów po niemieckiej stronie. Przed zawieszeniem broni walki toczyły się nie tyle o każdą kopalnię, co o każdy wyciąg i sztolnię. Wyznaczona na powierzchni linia demarkacyjna przecięła zatem także górnicze korytarze, zejścia do nich zostawiając po obu stronach. Nim zaś to nastąpiło, i one spływały krwią. Oddział, do którego przydzielono Musioła, wślawił się w podziemnych walkach. Być może dlatego teraz obsadzono nim graniczny zakład.

Za plecami podporucznika zaskrzypiało łóżko, a później zgrzytnął przykręcany knot lampy naftowej. Ściemniało, tak że na szybie odmalowało się odbicie zatroskanego Adolfa, za nim zaś, rzekłbyś, jego sobowtóra, ale z uśmiechem i nagim torsem. Sobowtór zbliżył się, objął od tyłu Musioła i pocałował go w szyję.

– Chodniki też jebał pies – szepnął. – Najważniejsze, że w końcu jesteś.

## II

Beztraska nie wytrzymała do świtu. Kiedy Musiół zapukał do opuszczonej ukradkiem parę godzin wcześniej kwatery, spodziewał się, że dowódca kompanii otworzy mu gotowy do służby. Zamiast tego podporucznik usłyszał tylko nieartykułowany jęk, a gdy wszedł do środka, ujrzał porucznika Bronisława Kirkora leżącego w łóżku z twarzą nakrytą poduszką i rozrzuconymi kończynami.

– To ja, Adolf. Niech to szlag... Migrena?

Bronek zsunął poduszkę z twarzy powoli, jakby ważyła tonę, a następnie mruknął potakująco. Z rysów twarzy uderzająco podobnej do własnej Adolf wyczytał cierpienie tak wielkie, że niemal sam je poczuł.

– Niech to szlag – powtórzył Musioł. – Idę do lazaretu, poczekaj.

– Wysłałem już ordynansa... Ale to i tak nic nie da... Musi minąć... I musisz mnie zastąpić w dowodzeniu...

Trzecie przekleństwo podporucznik powtórzył już w myślach. Faktycznie musiał, w końcu przybył właśnie objąć stanowisko zastępcy dowódcy kompanii. Jednakże nie zdążono tego nawet ogłosić oddziałowi, nie mówiąc już o tym, że Adolf nie znał własnych podwładnych ani miejsca, które miał ochraniać. Bardzo specyficznego miejsca.

– W porządku. – Skinął głową. – W takim razie pójdę ogłosić apel.

– Nie trzeba... Zrobimy to później... Za parę godzin... Kurwa...! Wydobrzeję... Teraz idź tylko do szefa kompanii. On... przydzieli kogoś, żeby cię oprowadził po obiekcie.

– Tak jest.

Właściwie porucznik wydał zupełnie naturalny w zaistniałej sytuacji rozkaz, ale Musioł wyczuł w komendzie także chęć zaopiekowania się towarzyszem i ogarnęła go tkliwość. Kirkor prezentował typ ułana z piosenek czy opowieści podlotków – z wyższych sfer, przystojny, silny i butny, chyba przypadkiem tylko los wtłoczył go mundur piechociarza. Ten awers jego osobowości przyciągnął Adolfa – do dzisiaj robiło mu się gorąco na wspomnienie tego, jak na koniec obozowej pijatyki, podczas której się poznali, Bronek z błyskiem oku spytał, czy wobec ich bliźniaczego podobieństwa, gdyby popełnili razem nieprzyzwoitość, byłaby to pederastia czy ipsacja? – lecz również urzekał go pełen troski oraz uczucia rewers, objawiający się z wolna, a dziwnie do awersu pasujący.

Podporucznik strzelił więc obcasami i zasalutował, ale na twarzy odmalował mu się ciepły uśmiech. Wówczas porucznik nagle otworzył zaciśnięte w bóleści oczy. Ich spojrzenie momentalnie przegnało uśmiech.

– Adolfie... Uważaj na siebie... Bardzo...

– Spokojnie. – Musiał wyjrzał na korytarz, czy aby nikt nie widzi, po czym podszedł do porucznika i chwycił go za dłoń. – Mamy zawieszenie broni, nic przecież nie może zajść.

– Rozejm... się kończy...

– Wiem. Ale dopiero za ponad tydzień. A ma być przedłużony.

– Nie. – Broniek jeszcze ściszył głos. – Rozmowy to farsa... Niemcy nie planują wcale dalszego rozejmu... Będzie uderzenie uprzedzające...

– To pewne? Skąd wiesz?

– Tak. Kanałami rodzinnymi...

„Niech to szlag” znów bezwiednie rozbrzmiało pod czaszką Adolfa, a plecy przeszedł mu dreszcz.

– Ale – szepnął, kucając przy łóżku przełożonego – przecież to niemożliwe, żeby Korfanty szykował atak na dziś albo jutro, prawda? Musielibyśmy już o tym wiedzieć?

– Nie dziś ani jutro... Ale jeżeli Niemcy się zwiedzieli...

Musił ścisnąć mocniej dłoń porucznika, po czym wstał, nie chcąc, by ten wyczuł jego niepokój.

– Nic dzisiaj nie zajdzie, bo przecież już zawsze będziemy szli do boju razem. Pamiętasz? – szepnął Bronkowi, a przełożonemu raz jeszcze strzelił obcasami.

### III

Schodami o ażurowych podstopnicach Adolf zszedł na parter familoka, gdzie z dwóch połączonych mieszkań utworzono kasyno oficerskie. Przedstawił się tam kilku zgromadzonym na śniadaniu członkom kadry, poinformował o stanie dowódcy i zapowiedział, że właściwy apel nastąpi, gdy ten wydobrzeje. Później podano mu kawę zbożową i komiśniak z margaryną. Zdziwił się cokolwiek na ten widok. Na oficerskich stołach takich śniadań w Wojsku Polskim nie widział, odkąd wyparto Tuchaczewskiego za Niemen. Ponieważ zaś śląskie oddziały otrzymywały fundusze zza Brynicy, mógł podejrzewać, że wielu cywili zaczyna dzień od jeszcze lichszego posiłku.

Szefa kompanii znalazł w budynku biur kopalni, gdzie mieścił się sztab garnizonu. Odpowiedzialny za sprawy administracyjne podoficer postanowił osobiście oprowadzić nowego zastępcę dowódcy



po obiekcie. Było zaś co oglądać. Nim nad wieżą wyciągu załopotala żółto-błękitna flaga, kopalnia „Wyzwolenie” stanowiła główną część należącej do koncernu Ballestrema prężnej „Königsgrube”. Główny zespół gmachów prócz obszernego nadszybia obejmował potężną halę sortowni, kotłownię z wysokim kominem, sprężarkownię i elektrownię wyposażoną w dwa drewniane, buchające parą stożki chłodni. Każdy z tych obiektów umocniono i obsadzono przynajmniej drużyną strzelców. Do tego dochodziła masa warsztatów, magazynów, biura, remiza strażacka i plac składowy. Zabudowania wzniesiono z czerwonej cegły w stylu niemieckiego neogotyku, zza stalowych belek wyzierały zatem wieżyczki i krenelaże, rurociągi sąsiadowały z ostrołukowymi oknami, a wzdłuż płataniny przewodów biegły rozetowe fryzy. Całość otaczał mur, teraz najeżony drutem kolczastym i opatrzone wieżami obserwacyjnymi, tak że kopalnia przypominała osobliwe zamczysko, spowity parą i dymami, przybrudzony węglowym pyłem Malbork przemysłowej ery.

Ale dopiero pod ziemią czekał na Adolfa inny świat.

– Był pan już kiedyś na dole, panie... poruczniku? – spytał szef kompanii, szczupły blondyn w okularach na dużym nosie, gdy wchodzili do piętrowej klatki windy; zawahał się, wymieniając stopień, bo nowy oficer nie zdążył jeszcze naszyć dystynkcji.

Ten pokręcił głową. Jego ojciec pracował w kopalni, zatem Adolf wiedział mniej więcej, czego się spodziewać. Mimo to, gdy rozbrzmiał dzwonek i zapadli w trzewia ziemi, na poły bezwiednie wyjął z kieszeni kurtki zdjęcie Bronka, które towarzyszyło mu na froncie, odkąd się poznali. Zwróciło to uwagę szefa kompanii. Musiał pospiesznie wydobyl więc także inne papiery i udał, że je porządkuje.

Na dole oględziny zaczęli od podszybia pierwszego z czterech poziomów. Był to kompleks dość wysoko sklepionych, wymurowanych bieloną cegłą pomieszczeń: warsztatów, magazynów, siłowni, sal dla zmian oczekujących powrotu na powierzchnię. Adolfa zaskoczyła panująca na dole cisza – przechodzący tu i ówdzie górnicy nie odzywali się bez powodu, a odgłosy pracy na przodkach ginęły w kilometrach korytarzy. Ruszyli w tamtą stronę lokomotywą na sprężone powietrze, zbudowaną z czterech długich, lśniących, przypominających

kształtem pociski zbiorników, za którymi znajdowało się siedzenie maszynisty, a dalej wagoniki. Swoim niezwykłym wyglądem nie pasowała do ciasnoty korytarza, umocnionego drewnem i oświetlonego przy pomocy instalacji, której kable wisały wprost na porcelanowych bezpiecznikach. Po jakimś czasie wysiedli i szef kompanii zaprowadził Musioła wąskim, niskim korytarzem do filaru wydobywczego, który dla odmiany był wysoki niczym paropiętrowy budynek. Półnadzy, czarni od pyłu górnicy w świetle ręcznych lamp rozbijali tu kilofami bryły, oderwane wcześniej od ścian wybuchami miedziankitu. Następnie wrzucali węgiel do trzęsącej się rynny przenośnika, która transportowała urobek do głównego chodnika, gdzie ładowano go do wagoników.

Szef kompanii opowiadał obszernie o technikaliach związanych z kolejnymi miejscami. Okazało się, że przed drugim powstaniem sam był górnikiem. Jednak Adolf szybko zorientował się, że słucha jednym uchem. Siłą rzeczy zwrócił raczej uwagę ku swoim podkomendnym, którymi obsadzono także podziemne części transgranicznej kopalni. Na pierwszy rzut oka trudno było ich odróżnić od czarnych od węgla górników. Mieli porozpinane mundury bądź wręcz chodzili w samych spodniach i koszulach. Rozmaitość uzbrojenia przypominała, że wojska Republiki jeszcze niedawno były powstańcami. Musiał wiedział zresztą, iż w walkach, jakie prowadził pułk w kopalniach, fabrykach i opłotkach przemysłowych osiedli, przepisowe karabiny nie były najlepszą bronią. Dobitnie przypominał o tym osobiwy oręż kołyszący się u pasów żołnierzy: toporki, skrócone szable, maczety wyklepane z resorów samochodowych, nade wszystko zaś bijoki, czyli pałki nabijane gwoździami bądź owijane drutem kolczastym. Ale od prezencji żołnierzy podporucznikowi bardziej nie podobało się, jak niedbale salutują na widok idącego przodem szefa kompanii. Dodatkowo zastanawiały go spojrzenia, jakie posyłał jemu samemu – zwłaszcza gdy uświadomił sobie, że w ciemności i przy braku dystynkcji większość zapewne bierze go po prostu za Bronka.

W końcu, zjechawszy na jeszcze niższy poziom – tutaj wagoniki ciągnęły już konie – dotarli do najważniejszego punktu całych oględzin. Podziemną granicę stanowiła solidna krata, z obu stron poprzedzona

stupięcdziesięciometrowym odcinkiem pustego, ciemnego korytarza. Tylko przy niej samej błyszczały lampy, dalej zaś oświetlenie pozycji niemieckich. Nie sposób było dojrzeć, jak wyglądają, lecz ślaskie umocniono wymurowanym z cegły schronem o wąskich otworach strzelniczych. Gdy Adolf z karbidówką w ręce zbliżył się do niego, dostrzegł ślady po kulach i przeszedł go dreszcz. Przewinął się dotąd przez fronty trzech wojen, ale myśl o starciu w tym wąskim, mrocznym korytarzu, nakrytym setkami tysięcy ton groźących zawałem skał, zdawała mu się szczególnie upiorna.

Potem zaś przysłała fala wstydu. Dlaczego cały czas czuł ów niepokój, drażący trzewia niczym robactwo toczy truchło padłego konia? Trudno było to wytłumaczyć samym przebywaniem w podziemnych chodnikach, bo nigdy wcześniej nie zdradzał oznak klaustrofobii. Ale w związku z tym, co tu widział i co Broniek wyjawiał na odchodnym, odpowiedź nasuwała się sama. Wyglądało na to, że Adolfa po raz pierwszy obleciał strach przed nadchodzącą wojną. A przecież zgłosił się na ochotnika do walki w kolejnej – prawda, w ślad za swoim towarzyszem, ale wciąż... Choć właśnie, czy może nie obawiał się po prostu tej ewentualności, której sam zaprzeczył? Tego że wszystko zacznie się dzisiaj i już nigdy nie wróci do porucznika, choć zdążyli spędzić razem ledwie kilka godzin?

Musiał potrząsnąć głową. Dla uspokojenia wziął głęboki wdech przepełnionego wilgocią oraz zapachem sadzy powietrza. Rzeczywiście, nic się dzisiaj nie mogło stać, a wojna była tylko kolejną wojną. Przeżyli z Bronkiem i gorsze. Tymczasem musiał dokończyć inspekcję, a zostały jeszcze dwa poziomy, z czego trzeci również łączył się z chodnikami, do których zjeżdżało się także od nieprzyjacielskiej strony.

Ruszyli więc piechotą w stronę szybu. Głównym chodnikiem dzieliło ich od niego blisko półtora kilometra drogi, monotonnej tym bardziej, że szef kompanii niczym stary belfer przypominał co rusz, by patrzeć pod nogi. W pewnym momencie Adolf odniósł wrażenie, że nienawykłe do półmroku oczy zaczynają płatać mu figle. Jednakże młody górnik z dłutem pneumatycznym na ramieniu, wychodzący z wylotu korytarza prowadzącego do pokładów wydobywczych, również wskazał na miejsce pod ścianą.

– Panie majster! – zawołał. – Dziwiejcie się, szczury pitajōm ze niemieckij tajli! Gaz?

Idący przed nim starsi górnicy stanęli. Popatrzeni po sobie, po czym zerknęli na niesione w dłoniach lampy.

– Karbidki polom jako piec. Abo fandzolisz, abo prawie po jakim wyszczale pitajōm.

Adolf wiedział o kopalniach tyle, ile usłyszał od przedwcześnie zmarłego ojca, bo potem przenieśli się z matką i rodzeństwem w głąb Kongresówki. Wszelako dobrze zapamiętał, że uciekające szczury nie zwiastują niczego dobrego. I choć zapewne spokój starszych górników był uzasadniony, to drobne wydarzenie przeważało szalę. Kiedy znów stanęli przed wyciągiem, Musioł przerwał szefowi kompanii opowiadającemu o kolejnych poziomach i powiedział, że mają wracać na górę.

Wraz z dźwiękiem dzwonka, a potem pracujących cięgien opuszczonej windy, podporucznika ogarnął spokój. Co prawda szef kompanii dostrzegł już wcześniej jego dziwne zachowanie, a teraz pewnie wziął nowego oficera za tchórza, ale Musioł nie dbał o to. Liczył się tylko fakt, że już za chwilę ruszy do góry, tam ujrzy znajomą, bliźniaczą twarz i da sobie radę ze wszystkim, choćby i cała Rzesza miała na nich runąć przed capstrzykiem.

Gdy winda zjechała, szef kompanii wszedł pierwszy do obdrapannej klatki, a z tyłu rozległo się zabarwione ciężkim śląskim akcentem wołanie:

– Panie poruczniku! Poczekajcie!

– Tak? – Musioł cofnął się, widząc podkomendnego nadbiegającego przed dwójką innych.

Nim spokój zdążył na dobre opuścić podporucznika, cios kolbą pozbawił go przytomności.

#### IV

Kiedy zdjęto mu z głowy brudny worek, spostrzegł, że siedzi w wyeksploatowanym filarze wydobywczym, częściowo wypełnionym już skałą płonną. Za oświetlenie służyły ręczne lampy stojące u wejścia.

Nadgarstki miał związane z tyłu kablem w papierowej okładzinie. Podobnie skrepowano ośmiu innych, przyglądających mu się z posępną ciekawością jeńców. Połowę stanowili żołnierze, połowę najwyraźniej górnicy. Na straży zaś stała trójka – biorąc pod uwagę sytuację, raczej byłych – podkomendnych Musioła.

– Spokojnie, ponie poruczniku – uśmiechnął się ten, który zdjął worek. – Gibko vos kajś indzij domy, cobyście sie nie kisili tu ze zwykłymi wojokami i grubiorzami.

– Co... – jęknął Adolf niewyraźnie, bo szczęka wybuchnęła mu bólem jak granat. – Co wy wyprawiacie? To bunt? Czy dywersja? Przeszłście na stronę nieprzyjaciela?

– Niy... Ale to już wom wszisko wyklaruje nosz dowódca. Zarozki po vos pewnie pośle, ino jeszcze pora innych sprow załatwi. Mieli my niyskorzyj zacōnać, ale kejżeście sami źlyźli i niy cza było po vos ni-kaj is, to i już дано sygnoł.

Musioł zmrużył oczy i pokręcił obolałą głową. Rozumiał po śląsku, ale mimo to nie miał pojęcia, o co chodzi żołnierzowi. Dlaczego niby buntownicy chcieli po niego iść...? Nagle przeszedł go dreszcz. Zorientował się, że najwidoczniej znów został wzięty za Bronka. Ale czemu chcieli uprowadzić jego? I co się stanie, gdy pomyłka wyjdzie na jaw?

Nie wiedział, ale póki co postanowił na wszelki wypadek milczeć. Bezwiednie zaczął też rozglądać się za jakąś drogą ratunku. Z tyłu pomieszczenie ginęło w mroku, ale Adolf nie wątpił, że kończyło się ślepo. Trójka z karabinkami w rękach i bijokami u pasów pilnowała wejścia do korytarza, który biegł zapewne w stronę głównego chodnika. Oprócz tego pomieszczenie wypełniała tylko warstwa pokruszonej, wilgotnej skały. Gdzieniegdzie wystawały z niej różne kopalniane śmieci, których nie opłacało się wyciągać, więc rzucano je na zawał – fragment ściany wagonika, starego ostemplowania, żeleźce złamałego szpadla...

Wzrok Adolfa zatrzymał się na narzędziu. Wystawało kilka metrów dalej spomiędzy fragmentów skały, skryte nieco za niewielkim kopczykiem, tak że najpewniej nie widzieli go pilnujący żołnierze. Gdyby podporucznikowi udało się tam sięść, być może zdołałby niepostrzeżenie

przeciąć pętający nadgarstki kabel o rant blachy. Ale co potem? Bić się z trzema uzbrojonymi żołnierzami? Niechby z pomocą reszty jeńców jakimś cudem dał radę, co powinien zrobić dalej? Nie wiedział nawet dobrze, gdzie się znajduje.

– Skurwysyny! – warknął tymczasem jeden ze związanych, sądząc po pagonach kapral, a po wymowie kresowiak. – Taka to wasza wdzięczność za pomoc, co z całej Polski idzie? Gdybym was wcześniej znał, psiejuchy, w życiu bym się tu na ochotnika nie zgłosił!

– Jak by my wiedzieli, co to bydzie, to by my nikaj żodnego powstania niy robili – odpowiedział inny z pilnujących.

– Tyle wam wolność miła? Już żeście do Szwabów zatęsknili? – warczał coraz głośniejszy kresowiak.

– Fest wolność, jak czii czworcie Górnego Ślōnska dalij jes u Niymców, a Korfanty i inni jednako ino za Warszawōm powtarzajōm: bić sie i bić pjōntyj rok, choć zarozki to ino kit ze ôkjyn bydzie do żarcia! To już richtig lejij było brać, co kōmisorze dowali, abo i dalij u Prusoka siedzieć! Pjōnty rok ôd pjyrzygo powstania... A niyskorzij śtyry lata wielko wojna! Rozumjysz to, pierōński gorolu? Za Brynicom już ôd dwudźystygo roku cicho, a u nos nojwyżyj chwila rozyjmu, choć i to ino paczeć, jak zarozki pjerōn trefi!

Musioł, słuchający pilnie wymiany zdań, odetchnął nieco. Zaczynał chyba rozumieć, co zaszło. Wybuch pilnującego żołnierza przypomniał mu jego własne odczucia z przyjazdu do Republiki oraz emocje towarzyszące jej powstaniu. Mało kto w Polsce spodziewał się, że plebiscyt przyniesie niekorzystny dla Polski wynik, a Komisja Międzysojusznicza nie dojdzie do porozumienia i sformułuje dwa wykluczające się projekty podziału. Zgodnie z planem angielsko-włoskim Rzeczypospolitej miały przypaść tylko rolnicze tereny wokół Rybnika i Pszczyny. Wybuchło więc kolejne, trzecie powstanie, silnie inspirowane przez polski rząd, okrzepły po odparciu bolszewickiej nawały. Tak jak i poprzednie, także to miało przede wszystkim zmusić mocarstwa Ententy do przyjęcia korzystniejszych ustaleń, najlepiej zaś propozycji francuskiej części Komisji, oddającej Polakom wszystkie wschodnie powiaty z całym okręgiem przemysłowym. Wysadzono zatem mosty na Odrze i opanowano większą część obszaru plebiscytowego. Zatrzymano

kontrofensywę i obleżono miasta okręgu przemysłowego, zajęte bądź to przez Niemców, bądź oddziały sojusznicze, i zawarto rozejm. Wydawało się, że Rada Ambasadorów w takim układzie będzie musiała przyjąć co najmniej jakiś pośredni wariant – ale tak się nie stało.

W paryskich kuluarach Francuzi zostali przelicytowani i przyjęto propozycję pozostałych mocarstw. W ten sposób walki rozgorzały na nowo, lecz teraz Niemcy, oficjalni panowie większości Śląska, mogli rzucić do boju już nie tylko siły samoobrony, ale i regularnej armii. Polacy nie mogli uczynić tego samego, gdyż oznaczałoby to otwartą wojnę z zachodnim sąsiadem. Sięgnięto więc po rozwiązanie sprawdzone podczas sporu z Litwinami o Wilno i powołano marionetkowe państwo. Nikt wówczas nie podejrzewał, że front ciężkich walk na ponad rok utknie w przemysłowym sercu regionu, dzieląc krewnych i sąsiadów, zabijając tysiące z nich, a żywych zmuszając do bytowania pośród biedy oraz zniszczeń nieznanych dotąd w tej zasobnej dzielnicy.

Wyglądało zatem, że cierpliwość chociaż części z nich dobiegła końca.

– Myślicie, że wpłyniecie na to, żeby przedłużono zawieszenie broni? – spytał Musioł, starając się mówić niższym, podobnym do Bronkowego głosem. – Spóźniliście się. I – nagle przez głowę podporucznika jak łuk elektryczny przeszła myśl – wybraliście bardzo zły dzień. Rozejm nie będzie przedłużony, dlatego w Warszawie postanowiono przygotować uderzenie wyprzedzające. Ale Niemcy się o tym dowiedzieli, więc sami mieli uderzyć lada chwila. Gdy usłyszą o buncie w naszych szeregach, runą na nas. Dużo jeszcze oddziałów wyprawia coś takiego, jak wasz? Jak tylko telegrafy pójdą, cały front na nowo stanie w ogniu!

Twarze strażników stężały. Wymienili kilka spojrzeń. Również wśród uwięzionych słowa Adolfa wywołały poruszenie.

– Niy mo wom gańba, oficyrowi tak cygonić? – spytał w końcu jeden z pilnujących, nerwowo poprawiając chwyt karabinka.

– Nie kłamie. Wiecie przecież – ściśnięty tłokami strachu umysł pracował na najwyższych obrotach; teraz Adolfa olśniło, dlaczego zapewne buntownicy chcieli porwać Bronka – że mam lepsze wiadomości od innych.

– Ja? To czemu niby dzisiaj taki pokój na grubie i w kompanji? I przez ôstatnie tydzie? – spytał drugi żołnierz, bo odpowiedź podporucznika najwyraźniej przemówiła do wyobraźni pierwszego.

– Myślisz, że skąd mój dzisiejszy obchód po kopalni? Poza tym to oczywiste, że nie możemy robić szczególnego rabanu, żeby nie dać Niemcom pretekstu, że to my zrywamy rozjem.

Na te słowa także drugi żołnierz zmarszczył brwi i cofnął się nieco. Musiał stwierdzić więc, że to jego szansa.

– Rozwiążcie mnie, do cholery, i prowadźcie do tego waszego dowódcy. Lepiej, żeby usłyszał to, co wam powiedziałem, nim narobi prawdziwego bajzlu.

Dwaj rozmowniejsi żołnierze spojrzeli po sobie z wahaniem. Namowy podporucznika poparli pozostali uwięzieni, na zmianę prosząc oraz lżąc strażników. Musiał przyglądał się pilnującym, starając się przybrać Bronkowe spojrzenie, któremu nawet wyżsi szarżę nie umieli się przeciwstawić. I zdało się, że młodzi, zapewne wystraszeni własnym udziałem w rebelii żołnierze z robotniczych rodzin poddadzą się temu nagłemu naciskowi.

– No, dalej! – warknął podporucznik, czując przyptyw nadziei.

Wtem filar wypełnił niespodziewany dźwięk i cała atmosfera natychmiast zniknęła. Dźwiękiem tym był rechot trzeciego z pilnujących, najstarszego z nich. Żołnierz zaśmiewał się, jakby usłyszał doskonały żart, aż opięty zieloną kurtką, zachowany mimo paskudnej diety brzuch trząsał mu się jak galareta.

– No, mjeli Niemce recht, że co jak co, ale w godce Poloki-szlachcice dobrzi! – rzekł, opanowując wesołość, po czym zwrócił się do swoich towarzyszy: – A wyście sōm, synki, gupje jako to frela, co pjrszy roztańcowość polozła! Niy pamjyntocie już, co po drugij stronie?

Następnie stanął nad siedzącym, skrępowanym Musiołem i popatrzył mu w oczy.

– Na, panie lyjtnant, zarozki wszisko dowódcy bydziecie godać. Nale najprzōd sie zawrzijcie! – Żołnierz rąbnał Adolfa kolbą karabinka w przepoń.

Podporucznik opadł na plecy, nie umiejąc złapać tchu. Dopiero gdy w końcu mu się to udało, poczuł że rozciął sobie głowę o skałę.



Obdarzył w myślach korpulentnego żołnierza wiązką przekleństw. Wyglądało jednak na to, że Ślązak miał rację i Musioł jest zdany na łaskę tajemniczego przywódcy buntowników. Co gorsza, Adolf przestał być pewny, czy rzeczywiście zależy im na zachowaniu jego – czy raczej Bronka – głowy, skoro już drugi raz zwykły strzelec tłukł go niczym bryłę urobku.

Tak więc kiedy podporucznik się wykaszał, pomieszczenie wypełniła cisza, a on sam siadł ze spuszczoną głową i nie próbował już niczego. Zaczął obawiać się, co będzie, gdy buntownicy spostrzegą, że nie jest wcale porucznikiem Kirkorem. Na wspomnienie dowódcy zalewało Musioła poczucie bardzo smutnej ironii własnego położenia. Przyjechał na Śląsk za swoją bratnią duszą, a zdążył spędzić z nią ledwie noc, jak zwykle przedwcześnie przerwana, nim wpadł... No właśnie, sam jeszcze do końca nie wiedział, w co.

Nie wiedział też, ile czasu minęło, aż nagle coś jakby zatrzęsło skałą dokoła, po czym doszedł ich uszu szereg huków. Po nich zaś rozbrzmiały kolejne, cichsze i suchsze, od których nic nie drżało.

– Wyszadzili coś – rzucił któryś z uwięzionych.

– I strzelają się z kimś, kurwie syny! Odsiecz? – krzyknął kapral kresowiak.

Musioł, przełknąwszy ślinę, pokręcił głową.

– Mówiłem wam, Niemcy atakują! Pewnie wysadzili kratę i idą tu! – Gramolił się na nogi, co nie było łatwe ze spętanymi z tyłu rękoma. – Wypuście nas, do cholery! Trzeba się bronić! Albo chociaż uciekać...!

Reszta jeńców także zaczęła wstawać. Pilnujący pobledli i przyglądali się temu, nie wiedząc, co robić. Ale znów trzeźwość umysłu najszybciej wróciła do najtęższego żołnierza.

– Achim, leć no wejrzyj, co sie tam wyrobio! – Skinął na jednego z towarzyszy, po czym zagroził drogę nadbiegającemu Musiołowi. – A ty siedź na rzeci!

Strażnik pchnął go z impetem trzymanym przed sobą karabinkiem, po czym ruszył uspokajać resztę. Wilgotna ciemność niosła dalej odgłosy wystrzałów. Podporucznik upadł, kalecząc się znów o skały, ale mimo to serce podskoczyło mu z podniecenia. Podbiegł do tęgiego strzelca z nieprzypadkowej strony. Miał nadzieję, że ten odepchnie

go w konkretne miejsce – i tak się stało. W nagłym chaosie niezauważony Adolf przysunął się do wystającego spod skały płonnej ostrza szpadla. Usadawił się przy nim i zaczął trzeć pętającym nadgarstki kablem o ostrą blachę. Dzięki Bogu szybko poczuł, jak miedziany kabel ustępuje.

Gdy pęta rozpadły się, serce zaczęło walić mu jak młot pneumatyczny. Wyszarpnął spod skały niespełna metrowy ułamek szpadla i skoczył z nim na tęgiego strażnika. Ten pochylał się nad jednym z więźniów.

– Pjerōński...!

Żołnierz zdążył krzyknąć, ale nie unieść broń. Żeleźce świsnęło w powietrzu. Krew, która trysnęła z głowy upadającego strzelca, w ciemności miała kolor węgla.

Podporucznik nie przyglądał się temu, bo usłyszał za sobą krzyk drugiego strażnika. Puścił szpadel, uniósł za to karabin powalonego. Obracając się, niemal na oślep pociągnął za spust raz, drugi, trzeci. Choć dwa strzały chybiły, trzeci doszedł do celu. Żołnierz z dziurą w piersi runął na podłoże, uniesiona do strzału broń wypadła mu z rąk.

Na widok dwóch bezwładnych ciał gęsta gula zatkała gardło Adolfa. Przymknąwszy oczy, zrobił dwa głębokie wdechy. To wszystko nie powinno być tak się potoczyć... Ale nie miał teraz wyjścia.

– Szybko! – Wyrwał bagnet zza pasa leżącego u jego stóp strażnika i zaczął przecinać pęta reszty uwięzionych.

Ci skoczyli do ciał, potykając się na zdrętwiałych nogach. Kapral kresowiak złapał karabin postrzelonego chłopaka, pozostali uzbroili się w bijoki, bagnety, porzucony fragment szpadla, któryś górnik znalazł kawałek ułamanego styliska. Osobliwy oddział utkwiał spojrzenia w podporuczniku.

– Ktoś wie, gdzie u diabła jesteście? – spytał Adolf, zabierając ładownicę powalonego żołnierza i uzupełniając naboje w komorze.

– Na drugim poziomie, w starym filorze – odpowiedział jeden z górników.

– Daleko stąd do głównego chodnika? I do granicy?

– Niy, bydzie ze pindziesiōnt metrów do bany, a potem ze dwjesta do gitry.

– Dobrze. Pójdę przodem. Kapralu, wy za mną. Dalej, niech który weźmie lampy.

Adolf przeżegnał się jeszcze, po czym oparł kolbę broni o ramię i ruszył w zatęchły mrok niskiego korytarza. Rozbrzmiewał on nadal echem strzelaniny. Być może szli właśnie władować się w sam jej środek, skoro wylot chodnika umiejscowiono niedaleko granicy. Nie wydawało się to najbezpieczniejszym wyborem, ale zostając w filarze, nie mogli liczyć, że obronią się przed zwycięzcami, kimkolwiek byliby.

Po chwili obawy Musioła potwierdziły się. Paręnaście kroków przed nimi jaśniał elektrycznym blaskiem główny chodnik. Wypełniały go tupot stóp i krzyki – w tym niemieckie.

– Szlag! – Nagle podporucznik skulił się i gestem kazał zrobić to samo reszcie.

Obok wylotu w lewą stronę przebiegło kilku żołnierzy. Pędzili jak wyścigowe automobile, lecz Musioł widział doskonale szare mundury i stahlhelmy. Niemcy. Odczekał chwilę. Gdy za nimi nie pojawili się kolejni, dał swojemu oddziałowi znak. U wylotu wejścia do głównego chodnika zatrzymał się jeszcze na moment, by upewnić się, czy po prawej w najbliższej odległości nie ma wroga. Nawet jeśli miał zostawić nieprzyjaciela za plecami gdzieś dalej, było to lepsze wyjście niż dać się mu minąć, a później pojmać. Choć ryzykował wejście na linię strzału, ze zbuntowanymi żołnierzami mógł się jeszcze dogadać... A przynajmniej taką miał nadzieję.

– Za mną! – krzyknął więc i skoczył w lewo.

Szum krwi wypełnił mu uszy. Czas jakby zwolnił. Musioł przeładował karabinek, wymierzył i pobiegł pochylony. Za ciemnym punktem muszki dostrzegł grupę krzyczących nieprzyjaciół. Dalej – skrytych częściowo za obróconymi wagonikami Ślązaków. Jak krótkie spięcie przez głowę przemknęło mu pytanie: dlaczego Niemcy wciąż biegają, zamiast strzelać?

Naraz stanął.

Coś było nie tak. Niemcy nie mieli broni. Ich krzyki nie były bojowe. Przeciwnie, zaczęły padać na kolana i wyciągać do góry ręce w geście kapitulacji.

Wtem za plecami Adolfa huknął wystrzał. Podporucznik odruchowo runął na ziemię, a potem odwrócił się i powoli uniósł wzrok.

Inni z jego oddziału też przypadli do podłoża. Dalej spostrzegł leżące wzdłuż torów trupy. To byli Niemcy, ale polegli nie od strzałów z przodu, od śląskiej strony, lecz w plecy. W głębi chodnika zaś dostrzegł nadchodzący spokojnie ławą oddział... także Niemców.

Wtedy zrozumiał, co miał na myśli krępy strażnik, mówiąc o drugiej stronie.

– Niech to wszystko trafi chuj – syknął, odkładając broń.

## V

– Co, nie spodziewaliście się, poruczniku, że w niemieckim garnizōnie tyż bydzie bunt?

Musioł znajdował się w dawnej stajni, ulokowanej na podszybiu pierwszego poziomu. W przypominającym tunel pomieszczeniu, noszącym ślady po końskich boksach, urządzono najwyraźniej sztab. Zajął więc miejsce przy zawalonym papierami stole, z rękami związanymi tym razem solidną stalową liną, zaś po drugiej stronie blatu siedział rozparty na krześle i uśmiechnięty paskudnie dowódca buntowników. Miał mundur śląskiego chorążego i nie przedstawił się, bo brał Adolfa za Bronka, który przecież musiał znać swoich podkomendnych. Omyłka przysła tym łatwiej, że twarz podporucznika nadal puchła. Żołnierze, którzy go schwytali, zareagowali bowiem dość żywiołowo, zorientowawszy się, co zaszło z ich towarzyszami w filarze.

– Niy, ponie poruczniku – ciągnął chorąży – my tak nie chcieli, coby wbić Republice nōż we plecy ani coby Niyemcy wygrali wojna. Niy. My ino chcymy ta wojna skōńczyć.

Musioł nie obawiał się, że głos go zdemaskuje, bo przy drugim pojmaniu znów oberwał w szczękę, a od pierwszego nie dostał nic do picia.

– Niby jak? – wycharczał więc bełkotliwie. – Sądzicie, że polityków z Warszawy i Berlina powstrzyma bunt w jakiejś kopalni, której na oczy nie widzieli?

Chorąży roześmiał się.

– Jes nos duzo, poruczniku, i to po ôbu strōnach. Kejbyście tu zy mnōm niy siedzieli, to byście wiedzieli, że nie ino w naszym garnizōnie

zrobiło się dzisiaj gorko. Choć prawda to, że to on będzie najważniejszy. Bo widzicie, jes dwudziesty wiek i żodyn pon z Warszawy czy Berlina nie musiał nigdy som widzieć noszyj gruby. Rozejm mjoł się zarozki kōńczyć. Wyksoż korespondyntów wojynnych już zjechała na Ślōnsk. Popołudniowe wydania najważniejszych gazet we Europie i Ameryce bydom pisały ô tym, co si dzieje z miyszkańcami rozszarpywanymy zymy, co rodzi wōngiel, o kery powadzili sie Hunowie i takie ledwo powstałe, ale już fes zachłanne państwo.

– Pod warunkiem, że do popołudnia coś po was zostanie. Nie szkoda wam tych ludzi, którzy zginą? Odesłaliście chociaż górników?

– Spokojnie. Niy tak leko przeca zjechać na dół, a już z noszyj gruby nikt nos niy wykurzi. A i zapasów mamy doś. No i ci, co niy brali udziału we spisku abo niy chcieli brać, to już wyjechali na wjyrch. Poginyli ino Niymscy, co się stawiali, i ze dwóch dobrych synków, coś ich ty sōm zakatrupiōł. Godom ci, kejbych ino móg, to bych ci za nich ôdpłaciōł... No ale mamy jeszcze ze dwa mocne argumynty, po jednym dla Warszawy i Berlina. Wyście sami tu zleźli, a ôd Niymcōw to my chycili modego princa Eulenburga. No to co? Chcecie co napisać ukowi, poruczniku?

A zatem Adolf słusznie się domyślał. Buntownicy chcieli wziąć Bronka na zakładnika, bo był siostrzeńcem braci Władysława i Stanisława Grabskich, z których pierwszy był polskim premierem, a drugi ministrem. Musiołowi stanęło przed oczami wspomnienie krwi tryskającej z czaszki tęgiego żołnierza i płynącej z piersi jego towarzysza. Co zrobi chorąży, gdy zorientuje się, że o jego więźnia w rzeczywistości nikt się nie upomni? Podporucznik nie wiedział, ale w osobliwy sposób zrobiło mu się jednocześnie ciepło oraz chłодно. Spuścił głowę i nie odpowiedział nic.

– Wasza wola – mruknął chorąży, po czym zawołał dwójkę szeregowców i kazał im zabrać Adolfa.

Ten odetchnął. Wyglądało na to, że jest bezpieczny przynajmniej na chwilę. Podejrzewał, że buntownicy wyślą na powierzchnię jakichś parlamentarzysty, a wówczas ci natkną się na Bronka. Z drugiej strony istniała szansa, że ktoś wyższy rangą objął już dowodzenie i usłyszawszy od buntowników, że pojмали porucznika Kirkora, przytomnie

nie wyprowadzi ich z błędu... Myśl ta sprawiła, iż zabierany z pomieszczenia Adolf poczuł, jakby ktoś odjął mu z piersi część cięźaru.

Wtedy zajęty już papierami chorąży rzucił:

– Aha, ino poszupcie mu jeszcze w kabzach.

## VI

Kiedy żołnierze wyciągnęli książeczkę wojskową Adolfa, całe jego poczucie ulgi i wcześniejszej śmiałości momentalnie zniknęło. Chorąży kazał żołnierzom wyjść, a swojemu jeńcowi wytłumaczyć kim, u diabła, jest. Gdy ten opowiadał, dowódca buntowników stopniowo purpurowiał z frustracji i wściekłości. W końcu bez słowa porwał kartkę, kałamarnicę i stalówkę z obsadką, po czym zaczął coś pisać.

– Co to jest? – spytał po chwili Musioł, nie wytrzymując.

– Rozkaz twojego rozstrzelania – padła krótka odpowiedź.

Wtem jednak zza drzwi doszły jakieś krzyki i stukot kroków. Chorąży wstał i wyszedł. Niebawem zamiast niego do Adolfa wróciła dwójka żołnierzy i zaprowadziła go do małego pomieszczenia. Była to komórka, którą ogołoco no ze wszystkiego prócz wiszącej u powały gołej żarówki, w zamian wyposażając pomieszczenie w koc, siennik, wiadro i kubek z wodą. Adolf wypił łapczywie jego zawartość, po czym usiadł w rogu prowizorycznej celi.

Ogarnęła go dziwna mieszanka uczuć. Był w niej lęk przed śmiercią, ale gdzieś na uboczu. Dominowało co innego. Adolf od osiemnastego roku życia był żołnierzem. Przez sześć ostatnich lat kładł się i wstawał, licząc się z tym, że każdego dnia oraz każdej nocy może zostać zabity, raniony lub wzięty do niewoli. Miał to w głowie także ruszając na Śląsk, toteż nie był wcale do tego tak chętny jak Broniek, którego przydzielono wcześniej. Kirkor mówił, że na froncie będą mieli więcej okazji do spędzania razem czasu. To była główna motywacja podporucznika. Biorąc pod uwagę, co właśnie zaszło, brzmiało to bardzo szyderczo. Dodatkowo wszystkie zdarzenia nie miałyby miejsca bez dziwnego fizycznego podobieństwa obu mężczyzn.

Tak więc Adolf miał przede wszystkim dojmujące wrażenie nierealności, całkiem jakby istniał jeszcze jakiś trzeci sobowtór, porucznik-podporucznik, który teraz siedział w celi, zaś Musioł jedynie ogładał

go z boku. Zagłębiał się w to uczucie przez następne kwadransy i godziny zamknięcia w podziemnej celi. W pewnym momencie zaczął wręczyć czuć, że wobec tego wszystkiego nic mu w istocie nie może grozić, a nawet że rozumie buntowników. Skoro ta wojna nie była potrzebna ani jemu, ani im, po co było ją prowadzić?

Tylko żal i tęsknota raz po raz znajdowały sposób, by niczym bagnet przebić się przez zasłonę niedowierzania. Broniek był teraz kilkadziesiąt metrów wyżej, zapewne zaangażowany w akcję zabezpieczenia kopalni i rokowania. Nie wiadomo, czy miał jakieś informacje o Adolfie, ale musiał mieć świadomość, że ten nie wrócił na powierzchnię. Szkoda, że nie spędzili ze sobą chociaż trochę czasu więcej...

Kiedy więc w końcu szczęknęły zasuwy, spojrzął na drzwi raczej ze smutkiem niż z przerażeniem. O dziwo jednak nie stanęli w nich żołnierze, a sam chorąży. Przymknął stalowe skrzydło i oparł się o framugę.

– Zmiarkowōł żech, że przeca nawet niy wiesz, jako jo sie nazywom. Jo jes Gerard Szwarz, chorōnży.

Musioł uniół głowę. Coś mu to mówiło. Po chwili skojarzył.

– Ten Gerard Szwarz? – spytał.

– Ja, tyn sōm.

Po bitwie o Górę Świętej Anny nazwisko to nie schodziło ze stron polskich gazet. Kiedy dowodzący obroną pobliskiej stacji kolejowej oficer dostał załamania nerwowego, kapral Gerard Szwarz wygłosił płomienną mowę o konieczności walki. Następnie stanął na czele oddziału, broniąc się ponad dobę do przyścia odsieczy i odnosząc przy tym kilkanaście ran. Spłynęły później na niego awans, medale, gratulacje polityków oraz dary warszawskich czy lwowskich dam. Adolf, choć przede wszystkim czekał na komendę, by ruszyć na egzekucję, nie powstrzymał uniesienia brwi.

– Ōd bohatera do zdrajcy, co? – uśmiechnął się szyderczo chorąży.

– Wy to powiedzieliście...

– Godom ino, co terozki pewnikyjm o mje piszōm dziynnikorze z co lepszōm pamięciōm.

– A to prawda, co pisali wtedy?

– Mniyj wiyncyj. Ale jo chcioł sie wtedy bić i żech namōwiōł innych. Naprowda żech wierzōł w Polska i powstanie.

– Ale już wam przeszło.

Szwarc wzruszył ramionami.

– Niyemce gonili nas za naszo godka, mili nos we wszyskim za gorzich, wyzyskiwali na grubach i we hutach. No dyć my chcieli czego innego. Ale terozki... Momy nasze szkoły i urzyndy, ale siedzōm po nich rehtory i urzyndnicy ze Galicji abo Kongresōwki. Jak się kery bajtel ôdezwie tak, jako w chałpie godo, to dostaje czcinōm bez plecy. W robocie tyż nie lepij, gorzyj chyba ino, bo biyda coroz to srogszo. Zresztōm... wiysz, jako bōła jedno z piyrszych decyzji rzōndu Korfantego? Że niymickie gruby idōm pod zarzōnd koncyrnu ze głównym udziałym francuskiego kapitału. Tak to z przijaźni pomagały Polokom Francuzy we Komisji Międzysojusznicyj i na wojnie z bolszewikami. Tela ci ino powjym – ta wojna cza skōńczyć.

To rzekłszy, chorąży wyszedł i zasuwy szczęknęły znów, zostawiając Adolfa w niepewności co do jego dalszego losu. Czy nie miał zostać rozstrzelany? Zastanawiał się też, gdzie poszedł dowódca buntowników i jak idzie ich plan. Obawiał się zwrócić na siebie uwagę, ale kiedy po pewnym czasie z korytarza dobiegły odgłosy rozgardiaszu, zaczął rozważać, czy nie podejść do drzwi i nie krzyknąć, by powiedziano mu cokolwiek.

Drzwi jednak niedługo później otworzyły się same. Do środka wszedł znowu Gerard Szwarc i nim pađło pytanie Musioła, rzekł:

– Parlamyntariusze wrócili z wjyrchu. Niyemcy i korfanciorze zebra-li sie do kupy, tak jak my chcieli, i radzōm nad naszymi propozycjami.

– Czego właściwie chcecie?

– Przedłużynia rozejmu i zwołania ôbrad pokojōwych ze udziałym Polski i Ententy – wyjaśnił, po czym niespodziewanie wyciągnął z kieszeni plik papierów, który wcześniej znajdował się w kurtce mundurowej podporucznika.

– Musioł... – Otworzył książeczkę wojskową. – Ślōnzok? Chociaż, czekej no, urodzōny we powiecie byndzińskim. No paccie...

– Moi rodzice pochodzili ze Śląska. Ojciec był sztygarem, ściągnęli go do kopalni w Zagłębiu. Ale umarł, gdy byłem dzieckiem, a potem matka wyszła za kolejarza z Piotrkowa.

– Mój fater tyż robiōł na grubie. Straciōł rynka, bez toniy chciōł,



co bych jo tyż poszoł tam na dół – mruknął Szwarc i zaśmiał się krótko, po czym zaczął wertować plik dalej. – A to? Swoje zdjyncie nosisz?

Serce Musioła zabiło szybciej, gdy zobaczył fotografię Bronka w dłoniach chorążego. Ten obrócił wymięty już dość kartonik i przeczytał znajdującą się u dołu dedykację.

– „Dla Adolfa. B.”. Ach, to Kirkor...

– Przyjaźnimy się.

Podporucznika ogarnęła piekąca w twarz, zginającą kark mieszanaka wstydu i poczucia zagrożenia, która towarzyszyła mu od czasów gimnazjalnych. Jednocześnie zapragnął spojrzeć znów na fotografię tak bardzo, że niemal skoczył ją wyrwać Szwarzowi. Ten jednak nie wyglądał, jakby się czegokolwiek domyślił. Ostatecznie żołnierze często nosili ze sobą zdjęcia i nie były to tylko wizerunki ich narzeczonych czy matek. Wtedy do głowy Musioła zawitał nagły pomysł. Skoro buntownicy tak liczyli na siłę koligacji rodzinnych Bronka, może gdyby wyjawiał, co naprawdę go z nim łączy, uniknąłby rozstrzelania? Może nawet zostałby wypuszczony, jeśli zdołałby przekonać Szwarca, że wpłynie jakoś na Kirkora?

Ale szybko porzucił tę myśl. Chorąży pewnie by nie uwierzył w rewelację, uznając ją prędeż za wyjątkowo głupią i desperacką próbę ratowania własnej skóry. Przede wszystkim zaś podporucznik obawiał się najgorszego, co mógłby kiedykolwiek zrobić Bronkowi – tego, że na jaw wyjdą jego upodobania.

Szwarc przejrzał dalsze, nieistotne papiery, po czym wyszedł z nimi bez słowa, znów nie pisnąwszy nic o egzekucji.

Mijały kolejne kwadranse. Podporucznikowi zabrano także zegarek, więc stracił szybko poczucie czasu. Mógł zgadywać godzinę jedynie na podstawie wsuwanych do środka posiłków, ale i one zdawały się nieregularne. Oprócz nich w celi pojawiał się także Szwarc, zwłaszcza po kolejnych wybuchach rozgardiaszu na korytarzu. Z każdą wizytą miał coraz bledszą twarz, mocniej zaciśnięte usta, ciemniej podkrążone oczy. Pytał znów o życie Adolfa („Nie, nie mam narzeczonej ani dziewczyny...”), opowiadał o swoim (broniąc stacji, czuł się jak Kmicic w „Potopie”, którego egzemplarz młody Gerard dostał od proboszcza swojej parafii), a przy tym wspominał, że negocjacje

się przeciągają, zaś tymczasem bunt w niektórych oddziałach został już zlikwidowany. Podporucznik dziwił się tym odwiedzinom, ale po jakimś czasie zaczął rozumieć, dlaczego chorąży przychodzi. Jeniec był najprawdopodobniej jedyną osobą, za którą Szwarz nie czuł się odpowiedzialny jako dowódca oraz zapewne inicjator spisku. Kiedy Musioł to zrozumiał – i wraz z błędną groźbą egzekucji, o której milczeli obaj na mocy niewypowiedzianego paktu – złapał się na tym, że zaczął być coraz bardziej przekonany o racjach buntowników i kibicował im.

Następnie jednak dostał dwie pajdy komiśniaku i wodę, potem jeszcze kartoflanek z połową butelki piwa, a chorąży się nie pojawiał. Dopiero jakiś czas później, kiedy na korytarzu wybuchła kolejna głośna awantura, drzwi otworzyły się i Szwarz wszedł, tym razem zamykając je całkiem. Wbrew nazwisku wyglądał blado niczym własna fotografia w wieczornym kurierze. Spojrzał na Adolfa, po czym rzekł po prostu:

– Mosz jakesik ôstatnie życzynie?

Podporucznik zeszytniał. Wróciło poczucie nierealności. Myślał przez moment, że to żart, ale w minie ani postawie dowódcy buntowników nie było nic z wesołości. Zaczął oddychać ciężko i zachciało mu się płakać. Zacisnął więc powieki.

– Daj mi chwilę pomyśleć – szepnął.

– Dobrze. – Szwarz, skinąwszy głową, złapał za klamkę.

Jednakże nim wyszedł, zawahał się, po czym cofnął dłoń i podszedł do jeńca.

– Przepaszom vos – mruknął. – Nosz garnizon jes już ôstatnim oddziałym z ôbu strôn, we kerym „żołnierze nie wrócili z powrotem do wierności”, jako to nazywają, a Niymcy i korfanciorze po prowadzie sie dogodali... ino niy tak, jak mieli. Moich ludzi to już krew zalywo... Na wjyrchu ftoś już widzioł Wawelberga ze jego bojowcami.

Musioł zacisnął wargi. Sam poczuł dziwne ukłucie na wieść o tym, co do czego zapanowała zgoda między obiema stronami wojny. Rozumiał więc nastroje buntowników, zwłaszcza że sporo słyszał o oddziałach dywersyjnych majora Puszczyńskiego-Wawelberga. Już podczas trzeciego powstania dokonywały rzeczy, których nie potrafili nawet zaprawieni w specjalnych zadaniach

podczas wielkiej wojny niemieccy szturmowcy. Nieszczególnie mu to jednak ulżyło w drodze na tamten świat.

– Przyślij ludzi za pięć minut – powiedział więc tylko, odchrząkując.

– Dobrze. – Chorąży opuścił celę.

Przed oczami Musioła stanęła jego matka, rodzeństwo rodzone i przyrodnie, nieżyjący ojciec – taki, jak najpewniej chciałby być zapamiętany, czyli roześmiany w otoczeniu ulubionych gołębi... Przez następne minuty w głowie Adolfa wirował kalejdoskop myśli. Jednak gdy w drzwiach stanęła para żołnierzy, podporucznik wiedział już, jakie będzie jego ostatnie życzenie.

## VII

Myślał, że pozwolą mu je wykonać w celi, ale zamiast tego po chwili został zaprowadzony do byłej stajni, gdzie za stołem siedział samotnie Szwarz. Przed nim leżała fotografia z dedykacją Bronka. Musioł poprosił o nią oraz o to, by pozwolono mu napisać list do porucznika. Przez moment co prawda hamowała go przed tym pomysłem obawa o demaskację upodobań siostrzeńca premiera, ale obawa ta stała się nagle bardzo błada. Skoro Adolf miał zaraz zginąć, skoro trafił na Śląsk i do niewoli właśnie za sprawą Bronka, należała mu się chociaż ta krótka chwila bez wstydu za samego siebie.

– A papier i kałamarz? – spytał więc, obawiając się już jedynie tego, że usłyszy, iż to zbyttnia zwłoka.

– Terazki rozumja, czemu nosisz to zdjyncie... Dobrze rozumja? – W odpowiedzi Szwarz spojrział mu głęboko w oczy.

Mimo wszystkiego, o czym przed chwilą myślał, Musioł poczuł przechodzący po plecach dreszcz, a w brzuchu płomień paniki, całym jakby to, co się właśnie stało, było stokroć gorsze od tego, co się miało stać. Przełknął jednak ślinę i uspokoił się.

– Ja, gynał – odpowiedział słowami, jakie często słyszał od ojca. – I co teraz? Brzydysz się?

Chorąży wzruszył ramionami, a potem oparł się o stół, kładąc podbródek na dłoni. Milczał tak chwilę. W końcu przesunął delikatnie palcem zdjęcie w stronę jeńca.

– Czimej. Jedziesz na wyjrch.

- Co? – Adolf rozwarł szeroko oczy.
- To, co żeś usłyszoł. Zbiyrej sie, wyjeżdżosz.
- Poddajecie się?
- Niy.

Podporucznik zeszywniał. W pierwszej chwili miał ochotę złapać fotografię i wybiec, byle dowódca buntowników nie zdążył zmienić zdania. Zaryzykował jednak i przyjrzał mu się. Z bliska twarz chorążego przypominała już całkiem oblicze upiora, woskowego beboka nieznającego niczego prócz zaduchu podziemi. Musiał kompletnie nie potrafił z niej wyczytać, dlaczego odzyskiwał wolność. Być może była to kwestia wyrzutów sumienia, być może Szwarz liczył na to, że dobrze potraktowany jeńiec wpłynie jakoś na wpływowego oficera na górze. A być może po prostu Adolf oglądał człowieka pogrążającego się w załamaniu nerwowym.

Nie dociekał tego jednak. Wstając i zabierając zdjęcie Bronka, spytał tylko:

– Co jeśli będą was szturmować? Albo wezmą głodem, a o pokoju nie będzie mowy?

Szwarc wziął głęboki wdech.

– Niy myśla jeszcze ôo tym. Ale... – Po chwili wahania sięgnął do szafki obok po gruby rulon.

Rozwinął go i przed podporucznikiem ukazała się istna pajęcza płatanina opatrzonych pochyłymi adnotacjami oraz cyferkami linii. To były plany kopalni, na które ktoś kopiowym ołówkiem naniósł w szeregu miejsc czerwone okręgi.

– Jak ludzie stōnd sie nikaj nie liczōm... Jak i jednym, i drugim idzie ino o wōngiel... To przynajmniej ze tyj gruby już nic nie wyfedrujōm. I może jak ôo niyj usłyszysz świat, to wtedy w kōńcu bydzie pokój.

## VIII

Gdy wyszedł z windy, przywitał go widok luf uniesionych karabinów. Przemknęło mu przez myśl, jaką ironią byłoby, gdyby zginął teraz zastrzelony przez któregoś z szeregu śląskich żołnierzy. Zza ich pleców wybiegł jednak zaraz Bronek. Adolfowi krew zakrążyła szybciej w żyłach. Z całych sił zapragnął go pocałować przed tymi

dziesiątkami ludzi i przez moment czuł nawet, że mógłby to zrobić. Lecz porucznik, zdławiwszy szybko uśmiech oraz blask w oczach, wyciągnął tylko dłoń, jak przystało na dobrego przełożonego, po czym pozwolił sobie jedynie na krótki moment w ramionach towarzysza. Zaraz zresztą okazało się, że w nadszybiu czekają również inni, wyżsi rangą oficerowie, zaś na miejscu jest nawet generał Mielżyński, naczelny dowódca śląskich wojsk, rzeczywiście w towarzystwie niemieckiej delegacji. Do niego też poprowadzono Adolfa po krótkim badaniu lekarskim.

Dowództwo rozlokowało się w bezpiecznej odległości od budynków kopalni, w najbardziej oddalonym od nich familoku przerobionego na koszary osiedla. Musiał zasiadł za konferencyjnym stołem, otoczony przez mężczyzn w błyszczących od srebrnych wypustek mundurach. Zza ściany dochodziły głosy telefonistek i pracującej radiostacji. Zaczęto przepytywać podporucznika na temat wszystkiego, co widział na dole. Choć nie było tego wiele, przesłuchanie dłużyło mu się strasznie. Odpowiadał spokojnie, jakby znów chodziło o kogoś innego, bo też dopiero teraz zaczęło docierać do niego całe zmęczenie. Być może dlatego pominął początkowo informację, którą uzyskał przed samym wypuszczeniem. Później zaś, mimo że dopytywano go parokrotnie, czy chce coś dodać, jakoś nie przeszła mu ona przez gardło.

Następnie odesłano go do kwatery, gdzie czekała na niego istna uczta w postaci krupnioka z kapustą, piwa i ćwiartki wódki. Jedzenie ledwie ruszył, za to zawartość niebieskawej butelki opróżnił bardzo szybko i usiadł na łóżku. Kiedy ściągał spodnie, by położyć się spać, ktoś bez pukania otworzył drzwi izby. Do środka jak huragan wpadł Broniek, podbiegł do podporucznika i objął go, przyciskając jego głowę do twardego niczym pancierz brzucha.

– Tak się o ciebie bałem... – wyszeptał. – Przepraszam cię.

– Przepraszasz? Za co? – zdziwił się Adolf, gdy porucznik puścił go i usiadł obok na łóżku.

– Że cię tam wysłałem. I że siedziałeś tam, bo wzięli cię za mnie.

– To nic, nie wiedziałeś przecież. Chryste, sam teraz nie umiem uwierzyć, że to wszystko się wydarzyło. A ten cały ksiączę Eulenburg, wrócił?

– Nie... I wygląda na to, że nie wróci. Buntownicy się przeliczyli.  
– To znaczycy? – Musioł pokręcił głową, nie rozumiejąc.  
– Rzesza jest teraz republiką. Nie zależy im aż tak na jednym arystokracie. Bo widzisz... Cóż, nie powinienem ci tego mówić, to ścisła tajemnica, ale... Uzgodniono całą rzecz z Niemcami, jest zgoda Warszawy i Berlina. Transport chloru przejechał już Brynicę.

Adolf odsunął się. Miał nadzieję, że coś źle usłyszał.

– Chlor? – Uniósł brwi.

– Tak, gaz. Ten, którego Niemcy użyli przeciwko carskim pod Bolimowem. Całe powietrze do kopalni trafia w końcu z powierzchni. Aż dziwne, że ci na dole o tym nie pomyśleli.

– Chcecie ich wytruć gazem? – Musioł poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. – Jezu... A traktaty?

Bronek wstał i wzruszył ramionami.

– Niemcy ze swojej strony też użyją gazu, więc nie będą nam nic zarzucali. Poza tym plan jest taki, żeby odesłać niedługo parlamentariuszy buntowników na dół i przez jakiś czas nikogo nie wypuszczać, a potem ogłosić, że zatruli się metanem.

– Metanem?! Przecież tam są też górnicy, ludzie o tym wiedzą! Chłopy, co większość życia spędzili na dole, mieliby akurat teraz zatruci się metanem? No i jak już, to on prędzej wybucha niż po prostu zaruwa!

– Masz rację, nie jest to rozwiązanie doskonałe. Ale nawet gdyby znaleźć sposób na dostanie się do tak głębokiej kopalni, gdy dojdzie do walk, zginie masa ludzi. Nie można też ciągnąć tego Bóg wie ile. Już i tak zbyt o nas głośno. Przypominam ci, że Polska to młody kraj. Nie ma szczególnie dobrej prasy. Zwłaszcza że to my nie uszanowaliśmy decyzji wersalskich potęg... Bo przecież nikt nie wierzy w spontaniczne powstanie Republiki Korfantego.

– Ale przecież tam są też buntownicy z niemieckich szeregów! Kopalnia jest w połowie niemiecka!

– I Niemcom też wcale nie zależy na tym, żeby wojna się teraz skończyła. My potrzebujemy Śląska, bo tu jest więcej przemysłu niż w całej Polsce. Poza tym za dużo pieniędzy poszło już w Republikę i za dużo interesów w niej powstało, nie tylko polskich. Z kolei Niemcy potrzebują

Śląska, żeby kompletnie nie stracić twarzy przed swoimi obywatelami. Przegrali z Francją i Anglią, już to ich upokorzyło... A jeśli wbrew decyzji zwycięzców przegrają jeszcze z jakimiś Polaczkami? Nie, co do tego jesteśmy z nimi zgodni. Wojna musi przynieść zwycięstwo.

Adolf zerwał się. Zrobił kółko po izbie. Zrozumiał nagle, że być może jeszcze niedawno mieszkała w niej rodzina górnika, który teraz był z innymi zbuntowanymi Ślązakami na dole, nie wiedząc, jak przyjdzie mu skończyć.

– Nie... – Podporucznik kręcił głową. – Nie możecie tego zrobić... Ilu tam właściwie jest teraz ludzi?!

– Dwustu, może pod trzysta. Ale byłeś przecież nad Wisłą, nad Niemnem i w Galicji. Wtedy tylu ginęło wokół ciebie każdej godziny.

– Boże... Tam są też cywile! Krewni pewnie połowy Królewskiej Huty i okolicy! Ludzie wam tego nie zapomną!

– Cywile, którzy wzięli udział w zbrojnym buncie i przetrzymywaniu zakładników. – Bronek westchnął ciężko, ale raczej z powodu niespodziewanego uporu towarzysza niż z powodu losu ludzi zamkniętych na dole, bo dodał zaraz: – Siedziałeś tam prawie dwie doby. Jesteś wyczerpany. Połóż się, proszę.

Adolf usiadł na łóżku i zacisnął pięści. Porucznik patrzył na niego chwilę, po czym położył mu dłoń na ramieniu.

– Prześpij się, naprawdę... A jak to się skończy – dodał szeptem – to na pewno nie odmówią nam przeniesienia do Polski. Myślałem o tym sporo, jak byłeś tam na dole, i wymyśliłem co nieco... W końcu będziemy żyli szczęśliwie, zobaczysz.

## IX

Musił faktycznie się położyć, czy raczej z bezsilności opadł na łóżko. Serce biło, jakby miał zaraz dostać ataku, a przed oczami stawały mu na zmianę ostatnia rozmowa ze Szwarzem oraz słowa Bronka wypowiedziane w kwaterze. To niemożliwe, powtarzał cały czas w duchu.

Wiedział jednak, że to prawda.

Plan, co zrobić, bardzo szybko zaciążył mu w głowie. Adolf wiedział, jakie będą konsekwencje zrealizowania go. Na myśl o nich pociemniało mu w oczach. Oddział, kraj, Bronek... życie.

Lecz mimo to – może z powodu wódki, może dlatego, że stąd byli jego rodzice, a sam szczenięce lata spędził ledwie za miedzą, i może trochę z uwagi na Szwarca – wahał się zaskakująco krótko. Choć przede wszystkim chyba po prostu czuł, że coś należy zrobić, a jeśli tak, to musi się spieszyć.

Wstał więc, podszedł do wciśniętego pod okno małego biurka i wyciągnął z szuflady ołówek kopiowy. Położył na blacie zdjęcie Bronka. Przekreślił dedykację u dołu, po czym u góry napisał krótką wiadomość. Następnie włożył fotografię w papier, zaś na siebie czysty mundur i ruszył w stronę nadszybia.

Obsadzali je ci sami żołnierze, co wtedy, kiedy wyjechał na górę, więc nikt nie śmiał go zatrzymywać. Jedyna naprawdę trudna część planu zaczęła się potem, wraz z przyjściem parlamentariuszy buntowników wracających ze sztabu, gdyż towarzyszyło im kilku śląskich i niemieckich oficerów. Gdy jednak rozbrzmiał dzwonek wyścigu, ci ostatni stanęli za szeregiem żołnierzy przygotowujących broń do strzału. A kiedy dzwonek zabrzmiał znów, Adolf podszedł do grupki żołnierzy przy windzie i wręczył jednemu z ludzi Szwarca owinięte w papier zdjęcie. Nikt z wyznaczonych do obsługi szeregowców nie zareagował, a cywil z dołu zachował na tyle przytomności umysłu, by o nic nie spytać.

Zdążył wrócić do kwatery, zdjęć mundur i wsunąć się do pościeli. Nie robił tego z lekkością w duszy, lecz mimo to zdołał osunąć się powoli w sen.

Nie dane mu było jednak spocząć na długo.

– Widziano cię przy windzie. – Do izby z hukiem znów wpadł Bronek; Musioł przetarł oczy i usiadł na łóżku. – Dałeś coś parlamentariuszom, tak? Co to było, do cholery?

Adolf ciężko westchnął. Nie był pewien, co rzec. Kiedy jednak w końcu otworzył usta, odpowiedź przyszyła z głębi ziemi.





**Michał Niedźwiedzki** – Ślązak, prawnik, a przede wszystkim miłośnik dawnych dziejów. Zawsze marzył o podróży w przeszłość. Smutny fakt, że to niemożliwe, rekompensuje sobie tworzeniem własnych małych historii z tą wielką w tle. Fantastykę lubi przede wszystkim za to, że potrafi doskonale rzucić światło na ludzkie dylematy.



Katarzyna Rupiewicz

*CÓRKA UTOPCA*



Nazywali ją córką utopca, chociaż wszyscy wiedzieli, że nią nie była.

Tak naprawdę jej ojciec przyjechał z Niemiec na początku dwudziestego wieku. Nie musiał emigrować za chlebem, ale mógł, a w śląskich kopalniach dobrze płacili.

Z wczesnego dzieciństwa córka utopca zachowała tylko pojedyncze obrazy, oddzielone od siebie pasmami rozmytego tła, jak rozwieszona na sznurku pranie: wielkie bochny chleba wyciągane z pieca, pijany ojciec wracający z szychty, kufel z rzezanego szkła na świętej Barbary, kąpiel w Stawie Małgorzaty, o której dorośli nie mogli się dowiedzieć, bo tam żyły utopce.

Dziewczyna nie pamiętała twarzy matki, tylko jej włosy jasne jak len i dłonie niemal równie silne, co u mężczyzny. Kiedyś miała też brata, ale tego była pewna jedynie dzięki opowieściom rodziców, bo chłopiec zmarł tak wcześnie, że wydawał się snem, który z jakiegoś powodu nie uleciał o świcie.

\*\*\*

Gdy wybuchła II wojna światowa, ojca wcielili do wojska i zginął na froncie. Lubiła tak o nim myśleć, chociaż naprawdę nie miała pojęcia, co się z nim stało. Mógł równie dobrze trafić do łagru, zdezerterować albo przetrwać wojenną zawieruchę i wrócić z niedobitkami wojska do Rzeszy, zapominając o porzuconej rodzinie.

Miła pani w domu dziecka poradziła jednak, by mówiła, że zginął, bo wtedy jej teczka trafi do dobrej przegródki. Córka utopca powtarzała więc, jak jej kazano, i nikt nigdy nie spytał, skąd to wiedziała.

Matka przeżyła wojnę, ale została zamordowana krótko po wkroczeniu Armii Czerwonej do Katowic. Miła pani z domu dziecka poleciła mówić „umarła”, ale córka utopca nie chciała słuchać. Widziała przecież, co się wydarzyło, nim cuchnący gorzałą żołnierz o nieogolonej twarzy podpalił ich mieszkanie.

Ilekcóż ktoś pytał, mówiła więc, że matka została zamordowana, a wtedy dorośli milkli i rozglądali się przestraszeni. Rozmowa urywała się nagle, kolejnych pytań już nie było.

Ją wojna oszczędziła tylko dlatego, że była dzieckiem, gdy to wszystko się zaczęło, a później skończyło. W czterdziestym piątym miała

dziewięć lat. Za mało, by spodobać się ruskim żołnierzom, i za mało, by nie spodobać się polskim urzędnikom, którzy mogli odesłać sierotę do Niemiec.

Dzieci z podwórka nauczyły ją mówić po śląsku, więc poszła do polskiej szkoły, gdzie rodowici Polacy też umieli ino godać. Nauczyciele widzieli w niej jednak obcego. Nawet jeśli jej i innym sierotom spolszczono nazwiska, rozpoznawali je. Może po niebieskich oczach i jasnych jak len włosach, może po twardym akcencie lub słowach, które po śląsku brzmiałyby inaczej niż po niemiecku.

Tak łatwo było się zdradzić, zwłaszcza przy prostych rzeczach. O ile historii, matematyki czy biologii zawsze uczono ją po polsku, to potrawy, przedmioty, dziecięce piosenki poznała w domu, gdzie matka mówiła w swoim ojczystym języku.

Pewnie wtedy zaczęła pilnować każdego słowa. Chociaż później przeżyła jeszcze sześćdziesiąt lat, a czasy się zmieniły i nikt już nie patrzył krzywo ani na śląski, ani na niemiecki – córka utopca niewiele mówiła.

\*\*\*

Utopca poznała w szkole przy ulicy Mickiewicza. Uczył tam historii, zarażając swych uczniów znudzeniem i brakiem zapału. Na początku nie rozumiała, dlaczego mówił cichym, monotonnym tonem i nie zwracał uwagi chłopcom, gdy zaczynali rozrabiać na lekcji. Później dowiedziała się, że musiał uczyć historii, która wcale nie była prawdziwa, tak samo jak ona musiała powtarzać, że ojciec zginął na froncie, najlepiej nie dodając, na którym.

Utopiec już wtedy miał przeszło czterysta lat. Bardzo wcześnie dostrzegł w niej magię. Wyczuwał tę iskrę ni to bożą, ni diabelską, mijając ludzi na ulicy, a co dopiero siadając w niewielkiej klasie naprzeciw dotkniętej darem dziewczynki.

Na początku uczył ją zaklęć tylko czasem, po lekcjach. Nie przepadał za dziećmi, choć ona wyjątkowo go nie drażniła. Cicha, nad wiek dorosła, zdawała się wolna od wszystkich słabości młodzieńczych lat. Nigdy się do tego nie przyznał, ale możliwe, że właśnie dlatego

wybrał ją spośród wszystkich magicznie uzdolnionych uczniów, jacy przewinęli się przez jego klasę.

Zamieszkała z nim, gdy miała czternaście lat, a on wyglądał na ponad czterdzieści. Plotkowano, ale nikt nie interweniował. O niemiec-  
ką sierotę i samotnego nauczyciela ludzie się nie troszczyli, a wśród odmieńców widywano gorsze rzeczy.

Wtedy nazwano ją córką utopca, bo chociaż wszyscy znali prawdę, mogli przynajmniej udawać, że nic się nie stało. Mężczyzna śmiał się z tego przydomku i nieraz z dumą mówił o niej „moja piękna córka”.

Nie skrzywdził jej. Mimo że w czasach młodości szczylił się opinią nie lada sukinsyna, przy niej nie potrafił nawet wyrzucić za drzwi bezdomnego kotka, którego znalazła w piwnicy ich familoka i uparła się przygarnąć.

Miała już blisko dziewiętnaście lat, gdy przysłała do niego sama. Może uważała, że jest mu to winna, może kochała go miłością, jaką młode dziewczęta darzą pierwszych nauczycieli, albo żądza paliła ją od środka, a on był najbliżej. Nigdy mu tego nie powiedziała, bo w ogóle niewiele mówiła.

Oboje nie byli romantycznymi duszami spragnionymi dozgonnych deklaracji i płomiennych wyznań. Nikt więc, włącznie z nimi samymi, nie był pewien, co tak naprawdę czuli do siebie. Jakimś cudem udało im się jednak stworzyć dom – cichy i spokojny – gdzie zawsze znajdowali oparcie. Może dlatego wszystkim wydawało się, że byli rodziną, że tylko więzy krwi dawały takie łagodne ciepło i stabilizację.

Na początku lat sześćdziesiątych córka utopca zdecydowała się na przemianę. W wielkim świecie już się tego nie robiło. Powoli rosły wpływy organizacji magicznych i nowej magii, ale na Śląsk moda jeszcze nie dotarła. Tutaj, jeśli ktoś urodził się magiem i w porę został wyszkolony, to zostawał utopcem, heksą, bebokiem, czornym, fajermonem albo skarbnikiem.

Wielu dziwiło się oczywiście, że postanowiła być utopcem. Kobiety rzadko decydowały się na ten rodzaj odmienności i starsze koleżanki przekonywały ją życzliwie, by została raczej heksą, zmorą lub chociaż klękanicą.

Odpowiadała wtedy półzartem, że córka utopca mogła wybrać

tylko jedną drogę, a utopiec kiwał głową, dumny jak prawdziwy ojciec. Oczywiście nigdy by się na to nie zgodził, gdyby jej przemiana miała wyglądać tak, jak jego własna. Wiedział jednak, że proces znacznie się zmienił w ciągu tych czterystu lat. Dziewczyna nie będzie musiała ukrywać pod farbą zielonych włosów, a jej jasna skóra nie przybierze zielonkawego koloru. Pozostanie tak samo piękna, już na zawsze.

Ach cóż to była za uroczystość! Wszyscy odmienicy ze starego pokolenia czuli pewnie w kościach, że to jedna z ostatnich przemian, jaką będą mogli na Śląsku świętować. Dlatego stawili się licznie, z samym Matuszem, największym spośród skarbników, na czele.

Utopiec nie zgodził się na żaden porośnięty rzęsą staw i wybrał kąpielisko Rybka przy ulicy Lompy. Odmienicy podśmiewali się z tego miejsca, wyobrażając sobie utopca schodzącego z podopieczną do wody po schodkach z dziecinną figurką rybki w tle. Nie zważał na docinki. Najpierw mówił, że to bardziej nowoczesne niż łożenie po zaroślach, a potem już tylko zbywał kolejne żarty milczeniem.

Przemianę wyznaczili na dzień pełni, z bezchmurnym niebem i księżycem świecącym jasno jak lampa. Nie miało to dla magii najmniejszego znaczenia, ale dawniej tego nie wiedzieli, a przyjęło się już, że kultywowali stare tradycje. Co innego im pozostało, skoro nowe jak dotąd się nie narodziły?

Córka utopca przyszła w prostej białej sukni i koronkowym welonie, który jakimś cudem zdobył dla niej. Sam utopiec stawiał się w czerwonej kurcie, bez żadnych pomad, specyfików i iluzji maskujących prawdziwy wygląd. Nawet jego podopieczna widziała go wtedy po raz pierwszy w pełnej krasie, z zielonkawą skórą i ciemnozielonymi włosami.

Dziewczyna wszystkim przyglądała się ciekawie. Przybyły nie-spotykane na co dzień w Katowicach południce i fajermony, a nawet koboldy, źle postrzegane przez miejscowych ze względu na niemieckie pochodzenie.

Nim się zdążyła napatrzeć, utopiec ujął ją pod rękę i poprowadził w głąb wody, jasnej i przejrzystej jak ona sama. Zanurzyli się razem, a kiedy zabrakło jej tchu i spróbowała wrócić na powierzchnię, przytrzymał ją, mocno tuląc do siebie, nie jak kochankę, a jak dziecko.



Szarpała się w jego ramionach, lecz była znacznie słabsza. W końcu znieruchomiła.

Utopiec obejmował ją jeszcze długo, gładząc jasne jak len włosy i szepcząc nieprzerwanie zaklęcia, które płynęły do nieba małymi banieczkami powietrza i pękały tak cicho, że odmieńcy zgromadzeni na brzegu nie mogli ich usłyszeć.

Potem magia rozbłysła mocno i przez chwilę zdawało się, że księżyc był dalekim odbiciem kąpieliska na ciemnym niebie. Odmieńcy przysłonili oczy. Większość nie widziała, kiedy utopiec i jego córka wyłonili się z tej jasności. Ona piękniejsza, on młodszy, niż byli jeszcze przed chwilą, przed ostatnim uderzeniem jej ludzkiego serca.

Nikt nie żartował już ani z miejsca, ani z wyboru dziewczyny. Świątowali i bawili się do białego rana, a gdyby jakiś człowiek nieopatrznie zabłądził w te okolice, nie wróciłby do bliskich. Znalezione by go z szeroko otwartymi oczami i dłonią przyciśniętą do piersi. I tylko starzy Ślązacy mogliby podejrzewać, co tak naprawdę się wydarzyło.

Tej nocy jednak w Katowicach nikt nie zginął i choć żaden ze szpitali nie zwrócił na to uwagi, nikt też się nie urodził. Przed wschodem słońca wszyscy odmieńcy wrócili do swoich bezpiecznych postaci i rozjechali się do domów rowerami, tramwajami, pociągami.

Ponieważ po przemianie córki utopiec odmłodził, oboje musieli wynieść się z familoka, tak by sąsiedzi niczego nie zauważyli. Boruta załatwił parze mieszkanie w drapaczu chmur w Katowicach. Od początku wydawało im się za duże i za drogie jak na nich dwoje.

Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych nie wiodło im się jednak źle. Utopiec poszedł do pracy w hucie. Trochę lepiej zapłaciliby mu w kopalni, ale nie czuł się dobrze pod ziemią, a i ze skarbnikami miał stary zatarg, który nie przerodził się wprawdzie w otwartą wrogość, ale pozostał między nimi pod postacią tłuścionej niechęci.

Córka siedziała w tym czasie w domu, stała w długich kolejkach po zakupy, gotowała proste obiady, uczyła się zaklęć, które jej pokazywał, jeśli wrócił akurat trzeźwy i mniej zmęczony. Nie poskarżyła się ani razu, ale szarzała, a utopiec z początku tego nie zauważył. Brał dodatkowe zmiany w weekendy, bo dobrze za nie płacili, i dopiero gdy

pewnego dnia obudził się wcześniej niż ona, spostrzegł jej szarą dłoń na tle śnieżnobiałej, wykrochmalonej pościeli.

Od tej pory nie dawał się już namówić na kielicha z kolegami, a w sobotę zostawał w domu. Hutnicy śmiali się, że pewnie żona go zdradza, skoro tak nagle zaczął jej pilnować. Tym bardziej że odkąd ją zobaczyli, nie mogli się nadziwić, że taka piękna dziewczyna wybrała krępego mężczyznę z wyłupiastymi oczami. Utopiec był za stary, by się tymi żartami przejmować.

Przynosił jej kwiaty, zabierał na spacer wzdłuż brzegów Rawy, a w wolne dni na Sztauwajery w Katowicach. Początkowo przyjmowała to bez emocji, z czasem jednak zaczęła się uśmiechać. Jej skóra przestała ciemnieć, lecz nie odzyskała dawnego blasku. Utopiec bał się wtedy, że ta szarość przyłgnęła do niej na zawsze.

W latach dziewięćdziesiątych wiodło im się coraz gorzej. Utopiec zmienił zakład, bo inaczej koledzy zorientowaliby się, że zęb czasu omija go zbyt starannie. Teraz dojeżdżał do odległej Huty Katowice i większość dnia spędzał w autobusach. Nie zarabiał już tak dobrze. Córka utopca musiała iść do pracy. Nie była szczególnie zdolna i nie miała skończonych szkół, ale bez trudu znajdowała zatrudnienie w nielicznych w tamtym czasie kawiarniach. Wedle nowego kanonu uważano ją za jeszcze piękniejszą niż dawniej, a choć nie mówiła za wiele, potrafiła rozmawiać z klientami po polsku, śląsku i niemiecku, co już wtedy było rzadkością.

Prawie się nie widywali. Zrezygnowali z wielkiego mieszkania na rzecz ciasnej kawalerki na Tysiącleciu, a córka utopca zaniedbała lekcje zaklęć i czasem gdy odgrzewała wieczorem obiad, wydawało mu się, że zamieszkała z kobietą zupełnie pozbawioną daru magii. Wtedy jednak nie mieli czasu na to, by się zastanawiać, czy są szczęśliwi.

W Katowicach lata dziewięćdziesiąte rozgościły się na dłużej niż w innych dużych miastach. Mimo że świat formalnie wszedł już w nowe tysiąclecie, zmiany na Śląsku nie zachodziły, jakby ktoś zatrzymał czas i zapomniał o beztrasko rzuconym zaklęciu.

Dopiero kilka lat później coś się ruszyło. W centrum zaczęły wyrastać knajpki na modłę zachodnią, dyskoteki, a nawet palmy. Córka utopca odkryła wtedy sobotnie potańcówki. Zabrała go na jedną z nich,

bo nie mógł się nadziwić tej nowej pasji. Kiedy chodzili na odpusty – w czasach, gdy na odpustach grali jeszcze do tańca – za nic nie dawała się zaprosić do wspólnych piasów.

Poszedł z nią więc do Spiza i zrozumiał: w tym tańcu nie było radości ani kolorowych spódnic, tylko ponura determinacja albo bezmyślny trans. Córka utopca stała w tłumie półprzytomnych ludzi. Gdyby ktoś przyjrzał się dokładnie kolejnym klatkom stroboskopowych ujęć, wiedziałby, że prawie się nie poruszała i zwykle nie uśmiechała ani razu przez całą wieczór.

Nikt jednak nie przyglądał się dostatecznie długo, by to spostrzec. Co jakiś czas męskie dłonie wsuwały się niepewnie na jej biodra, a gdy nie protestowała, zaczynały błędzić coraz śmieiej po ciele. Pozwalała na to młodym mężczyznom, czasem niemal chłopcom, bo tylko gdy podeszli dostatecznie blisko, mogła chłonać z nich życiową energię.

Inni odmienicy żartowali potem z utopca na mieście, ale nie był zazdrosny. Po latach ukrywania się i udawania zwyczajnego człowieka czuł dumę, patrząc, jak jego podopieczna mami ludzi, jak niewoli ich zmysły i kradnie sny.

On sam nie odnajdywał się w nowych dyskotekach. Zupełnie jakby odrobinę obawiał się tych młodych o błędnym spojrzeniu i ruchach skrępowanych zbyt opiętymi ubraniami. Wolał zostawać wieczorami w cichym mieszkaniu.

Nie kłócili się z tego powodu. Utopiec nie robił jej wymówek o to, kiedy wracała i z kim była. Ona wiedziała, że zawsze znajdzie w domu bezpieczną przystań, gdzie może się schronić na kolejny tydzień tak zwanego życia.

W ciągu następnych kilku lat córka utopca zaczęła jaśnieć. Z początku znowu przeoczył postępującą zmianę. Nie sprawdzał przecież codziennie, czy jej szara dłoń odcina się od białej poduszki, tym bardziej że i pościel nie była już taka jak dawniej. Jednak któregoś dnia miał wolne i mógł obserwować kobietę, gdy w pośpiechu szykowała się do pracy, biegając w bieliźnie między kuchnią a łazienką. Wtedy zobaczył wyraźnie, że blask zbierał się we wszystkich załamaniach jej skóry. Nie dotarł tylko do oczu, ale może to dlatego, że czas nigdy nie utkał wokół nich sieci drobnych zmarszczek.

Utopiec nic nie powiedział. Dopiero kiedy córka wyszła na tramwaj, rozplakał się ze szczęścia. Stracił już nadzieję, że całun szarości, który tak mocno otulił jej ciało, kiedyś opadnie. Tego wieczoru przyniósł kwiaty. Nie bukiet kupiony na rynku, jak dawniej mu się zdarzało, tylko lilie wyłowione na terenie parku w Chorzowie, wciąż jeszcze ociekające wodą i pachnące mułem.

Potem przez wiele godzin na przemian tulił ją do siebie i całował każdy skrawek jaśniejącego ciała, jakby chciał jej ofiarować całą tę czułość, której nie mogła zaznać w pośpiesznych stosunkach z ludzimi chłopcami. Gdy już zaczęli rozmawiać, wyznała, że nie było ich zbyt wielu. Nie podobała jej się ich pewność siebie i nieuzasadnione poczucie siły. Pozwalała im na dotyk, pozbawione uczucia pocałunki, nieprzyzwoitą bliskość dyskotekowego tańca, ale nic ponadto.

Tyle w zupełności wystarczyło, by pożywić się ich energią. Tylko nieliczni, od których biła prawdziwa jasność, mogli liczyć na więcej. Tacy jednak nie szukali przygodnego stosunku. Częściej byli trzeźwi i lekko zagubieni w sztucznej grze, jaka się wokół nich toczyła. Przyciągali ją swoim wewnętrznym blaskiem, ale córka utopca nie potrafiła ich uwodzić. Gdzieś w głębi zielonego serca wciąż była nieśmiałą dziewczyną sprzed sześćdziesięciu lat.

\*\*\*

O tym, co wydarzyło się w ostatnią sobotę wakacji, w ogóle mu nie powiedziała. Dowiedział się o wszystkim od beboka, który był wyjątkowo cięty na zaangażowanych w sprawę magów. Ponieważ Katowice doganiały wielki świat dopiero od niedawna, utopiec dotychczas nie zauważał ich obecności w rodzinnym mieście.

Magowie nie przechodzili przemian, kształcili się na uniwersytetach, pracowali w biurach i mówili po cichu, że odmieńcy są urokiem dawnych czasów... złym urokiem, z którym Śląsk nie powinien wkraczać w nowe tysiąclecie.

Nie mogli prześladować utopców, beboków ani całego kolorytu lokalnych indywidualistów. Świat magii i świat zwyczajnych ludzi współdzieliły pojęcia tolerancji, poprawności politycznej, a nawet zwracania

się w stronę korzeni. Tyle tylko, że dla nowego pokolenia tradycja miała być wspomnieniem, które można opowiadać wieczorami przy kieliszku wina, ale o świcie należy je zostawić za sobą. Odmieńcy natomiast cali byli przeszłością i dawno zapomnianymi legendami.

Poprawność nie przeszkadzała magom stworzyć prawa w taki sposób, aby jednym łatwiej było go przestrzegać niż drugim. Zakazali wszelkich działań, których konsekwencją mogłoby być skrzywdzenie człowieka, w tym psot, wodzenia na manowce, fałszywych cyrografów i przede wszystkim zabierania energii życiowej.

Nowi magowie dłonie mieli czyste – nieskalane wojennym pyłem, kurzem historii ani łagodną lepkością potu na skórze. Wolni od zapomnianych emocji i niemodnych już grzechów, mogli przestrzegać własnych praw. W przeciwieństwie do odmieńców. Miała się przyczynić do śmierci niespełna trzydziestoletniego mężczyzny, którego energię pochłonęła kilka tygodni wcześniej. Nie zabrała mu więcej niż pozostałym, ale nie wiedziała o ciężkiej chorobie ukrytej tak głęboko w jego krwi, że on sam jeszcze nie miał o niej pojęcia.

Córka utopca wyrwała się, przepłynęła przez tłum pulsujący na parkiecie jak przez wodę i zgłosiła próbę gwałtu ochroniarzom. Musieli ją znać i lubić, bo obili tym magom mordy, jakby im który chciał siostrę skrzywdzić.

Nie powiedziała utopcowi o tym, co się stało, jakby rzeczywiście wierzyła, że jakaś magia pozwoli wymazać te wydarzenia przed kolejną sobotą. Pierwszy raz się wtedy pokłócili. Nalegał, żeby zadzwoniła do pracy, że jest chora, i została w domu, żeby przestała chodzić po dyskotekach, a jeśli będzie trzeba, żeby wyjechała z nim daleko stąd. Zawsze chcieli przecież zobaczyć Mazury albo morze. Mógł ją tam zabrać, mógł ją zabrać, gdziekolwiek by zapragnęła.

Milczała, choć krzyczał, zaklinał, a potem prosił. Obiecała tylko nie iść na tańce.

W kolejną sobotę utopiec czuwał przy córce jak przy chorym dziecku. Gotów był czytać jej książki, pokazywać magiczne sztuczki, a nawet oglądać niezrozumiałe dla niego seriale na małym ekranie komórki.

Tak samo było dwa tygodnie później i trzy, mimo że złościła się, gdy nie odstępował jej na krok. Im bardziej się starał, tym ona mniej

była zadowolona, im rzadziej zostawiał ją samą, tym częściej odwracała wzrok. Utopiec nie był głupi. Wiedział, że jeśli jego córka odejdzie, nie ochroni jej na siłę i bał się tego dnia coraz bardziej z każdym grymasem malującym się na jej spokojnej dotychczas twarzy.

\*\*\*

W rocznicę przemiany dziewczyna przyniosła gorzałkę od utopków z Rudy. Utopiec i córka pierwszy raz od dawna ubrali się odświętnie tylko po to, by usiąść razem przy kuchennym stoliku. Polewali sobie nawzajem i śmiali się do opróżnionych kieliszków. A właściwie tylko on się śmiał, bo ona jedynie rozciągała usta w odpowiednim momencie, odsłaniając zęby jasne jak perełki.

Utopiec czuł, że zaraz pęknie mu zielone serce, ale udawał, że to wcale nie jest pożegnanie, chociaż domyślał się, dlaczego córka trzymała jego dużą dłoń obiema smukłymi rączkami i całowała jej wierzch. Nic nie powiedziała, więc tylko wyobraził sobie, że wspominała wszystkie dobre chwile, jakie zawisły między nimi na kształt starego sznura koralu, który nie rozsypał się, mimo że został zerwany.

Upił się tak bardzo, że nie pamiętał, jak trafił do łóżka, i niczego w życiu nie żałował równie mocno, co tych kilku ostatnich wspomnień, którym pozwolił utonąć niczym muszkom owocówkom na dnie pustej butelki.

Rano już jej nie było. Miał nadzieję, że uciekła, porzuciła wraz z nim całe dawne życie, nawet jeśli znalazła sobie wodnika, krakena, lewiatana czy innego wodnego odmieńca. Miał nadzieję, że nie została na Śląsku.

\*\*\*

Nie czekał długo na wiadomość o jej śmierci. Chciał zabrać ciało i zatopić je w stawie, ale ci nowi magowie się nie zgodzili. Mówili, że to już nie te czasy, że ludzie szybko by ją znaleźli, a sekcja odkryłaby i zielone serce, i skrzela – skrywane pod chińskimi koszulkami – które utopiec zawsze omijał ostrożnie ustami, jakby były bliźną, o której się nie rozmawia.

Zastanawiał się, jak wyglądałoby jej życie, gdyby nigdy nie pokazał jasnowłosej dziewczynce pierwszych zakłęb. Był pewien, że nie zostałaby magiem na nową modę. W tamtych czasach na Śląsku nikt jeszcze nie zajmował się wyszukiwaniem uzdolnionych dzieci.

Może wyszłaby za mąż w białej sukni podobnej do tej, jaką miała na sobie w dniu przemiany. Może urodziłaby dwóch chłopców, których wołałaby głośnym krzykiem na podwórku. Może miałaby też córeczkę, żeby pomagała jej w domu i w niedziele nosiła na stół talerze z rosołem. Jej mąż żyłby w zgodzie ze skarbnikiem i dożył górniczej emerytury, a później zmarł na serce. Teraz siedziałaby w pustym mieszkaniu familoka, wsparta na ułożonych na parapecie poduszkach. Pewnie nie mogłaby się już doczekać, aż dzieci znajdą czas, by przyjechać na obiad, a ona opowie im o nowym samochodzie sąsiadów i wyjątkowo dobrym makaronie, jaki udało się znaleźć w Biedronce.

Czy wiodąc takie życie, byłaby szczęśliwa? Nigdy mu tego nie powiedziała, bo córka utopca niewiele mówiła.

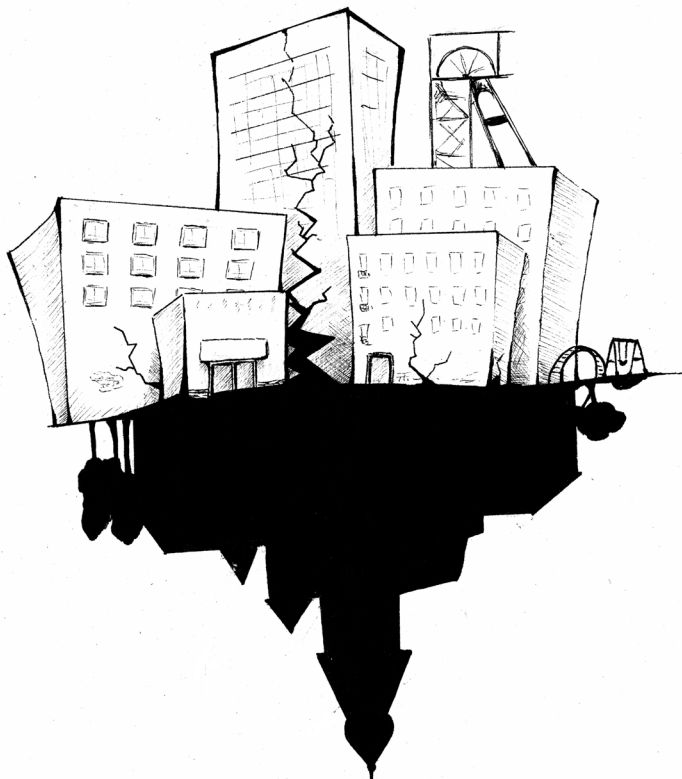
**Katarzyna Rupiewicz** – Socjolog komunikacji społecznej i nauczyciel języka francuskiego z wykształcenia. Informatyk z zawodu. Pasjonat z charakteru. Debiutowała wierszem w dwutygodniku „Wojska Lądowe”, opowiadaniem w antologii *Światy równoległe*, a następnie powieścią pod tytułem *Redlum* w wydawnictwie Genius Creations. Píše od zawsze i od zawsze fantastykę. Do sekcji literackiej SKF należy już od ponad sześciu lat.





Agnieszka Żak

*PRZECHYŁ*



Łatwo nie było, ale dzięki zamieszaniu udało się dostać na dach bloku. Dzieciaki przywarły do krawędzi, licząc, że z tej wysokości będą miały idealny widok na szkołę. Zobaczyły kręcących się wokół budynków robotników, a także mieszkańców wspomnianego bloku i innych gapiów na chodnikach dokoła. Ktoś krzyknął, żeby nie blokować ulicy.

Od dłuższego czasu powtarzano, że prace idą zbyt wolno, koszty rosną, a dzieci czekają na możliwość powrotu do nauki, kiedy więc po przedłużających się przygotowaniach w końcu nadszedł dzień rektyfikacji budynku szkoły, wzbudziło to zrozumiałe podniecenie. Wszystko było gotowe: okna i drzwi zabezpieczone albo wymontowane, schody porozbierane, a gaz, woda i prąd wyłączone. Za parę minut miało się rozpocząć widowisko.

– Baśka, weź się przesuń! – Janek, zwany z dosyć oczywistych powodów Rudym, zaczął napierać na koleżankę, próbując zająć najlepszą pozycję obserwacyjną.

– Przecież jest miejsce!

– Ale drzewa mi zaślaniają.

Dziewczyna wcisnęła Rudemu łokieć w żebra, zmuszając go do wycofania się.

– Po co w ogóle za nami przylazłaś? – W obronie kolegi stanął Kuba.

– Za wami? – oburzyła się. – To ja wam pokazałam, jak tu wejść.

– Ej, cicho! Coś się dzieje!

Cała trójka zamarła. Mężczyźni w dole wyraźnie szykowali się do odpalenia maszyn.

– Słyszycie to? – zapytał z podnieceniem Rudy.

Baśka zamarła bez ruchu, przestała nawet oddychać. Czekwała, aż wydarzy się coś niezwykłego, kolejne sekundy miały jednak spokojnie i w końcu musiała zaczerpnąć tchu, bo robiła się już czerwona na twarzy.

– I co? Prostują go czy nie?

– No chyba już pracują – odpowiedział niepewnie Rudy.

– Gdzie? Nie widzę, żeby ciągnęli albo pchali...

– Co ty za głupoty gadasz? – Kuba skrzywił się z niesmakiem. – Przecież to się z komputera steruje.

– W fosie ustawili ze sto siłowników hydraulicznych i one podniosą

budę do góry. Znaczy, tylko z jednej strony, tak żeby się wyrównała – wyjaśnił Rudy.

Baśka prychnęła z niezadowoleniem. Gdyby jej to ktoś wcześniej wytłumaczył, spróbowałaby się zakraść do piwnicy. Stamtąd mieliby pewnie lepszy widok niż z góry. Wychyliła się mocniej, próbując zobaczyć z daleka, co się dzieje wewnątrz fosy. Tak nazywali rozkopany teren wzdłuż ścian szkoły – robotnicy musieli odkopać fundamenty, by móc wygodnie pracować.

– Znajda, ty to głupia jesteś. Głupia i brudas, bo cię na hałdzie węgla znaleźli! – zaśmiał się złośliwie Kuba.

Baśka odpowiedziała równie obraźliwie, szybko jednak typowe dla tej dwójki potyczki słowne przeszły w rękoczynny.

– Kto się czubi, ten się lubi! – przypomniał Rudy, co spowodowało natychmiastowe protesty, ale nie przerwało walki. – Ej, patrzcie! Pękają!

Dopiero teraz Baśka zamarła z ręką uniesioną do ciosu, a Kuba puścił jej warkocz. Doskoczyli do krawędzi, chcąc zobaczyć, co się dzieje. Siłowniki przełamały w końcu opór betonu i w fundamentach najpierw pojawiła się cienka rysa, następnie zaś pękły kompletnie. Lewary pracowały powoli, ale nieubłaganie, unosząc zapadnięty bok szkoły coraz wyżej i wyżej nad ziemię. Gdy szpara rozszerzyła się na kilkanaście centymetrów, prace wstrzymano, a chmara robotników ruszyła wciśkać w nią drewniane kliny i szykować siłowniki do drugiej rundy.

– Zrobili dziurę...

– No! – Rudy był wyraźnie zachwycony całym procesem. – A potem zaleją ją betonem i w ten sposób dobudują nowy fundament, wyższy od tego poprzedniego.

Baśka w zamyśleniu obserwowała oderwaną od ziemi szkołę, wiszącą na siłownikach. Czyli dzięki temu długopis przestanie się staczać z biurka, piłka zawsze lecieć w jeden kąt sali, a drzwi zaczną się domykać... Wydało jej się to trochę dziwne, bo przyzwyczała się już do wszechobecnych skutków przechyłu.

Nagle poczuła mrowienie na twarzy. Zaczęła drapać się z irytacją po prawym policzku, nie była jednak zaniepokojona – znała dobrze to uczucie. Oznaczało, że wpatruje się w nią duch czy też inna zjawa. Rozejrzała się po dachu, nikogo jednak nie wypatrzyła. Powiodła

następnie wzrokiem po budynku szkoły, sprawdzając wszystkie okna. Zlustrowała ulicę pod blokiem i tu go w końcu wypatrzyła. Ubrany na czarno mężczyzna z rozczochranymi ciemnymi włosami stał z głową odwróconą w inną stronę, była jednak przekonana, że to właśnie on na nią patrzył. Spowity w czerni, wyglądał jak przerośnięty ponury kruk.

Duch-kruk nagle odwrócił głowę w jej stronę. Każdy normalny człowiek pewnie dostałby zawału z przerażenia, ale Baśka знаła dobrze wszystkie tego typu sztuczki. Zamiast uciec czy zacząć krzyczeć, uśmiechnęła się, odstawiając niekompletne użębie, i pomachała mu. Czasem duchy potrzebowały, by okazać im odrobinę sympatii. Duch-kruk nie odwzajemnił gestu. Po prostu odszedł w swoją stronę. Tak też się zdarzało. Baśka nie oceniała – jak będzie czegoś potrzebował, to znowu ją znajdzie.

– Ile już tu siedzimy? Głodny jestem – zaczął marudzić Kuba.

– Czekaj, jeszcze co najmniej dwa razy będą siłowniki włączać – zapewnił Rudy.

– Ale to nudne strasznie! Myślałem, że będzie ciekawsze. Ej, Znajda, co tak cicho siedzisz? – zawołał do Baśki zniecierpliwionym przez nią przezwiskiem. – Pewnie ci smutno, że budę do góry podnoszą. Ty byś się wołała pod ziemią uczyć.

– Zamknij się!

Poczuli nagły wstrząs. Odruchowo przypadli do powierzchni dachu, by z niego nie spaść, ale też żeby nikt ich przypadkiem nie zobaczył. Oczekali chwilę w napięciu, ale budynek już więcej nie drgnął. Być może prace w sąsiadującej z nim szkole wpłynęły też na jego fundamenty. Kuba zarządził odwrót – lepiej będzie zniknąć, nim budowlancy ich tu znajdą. Jeszcze będą mieć z tego powodu jakieś kłopoty.

Zbiegli szybko na dół. Tu i tam otwierały się drzwi; zaniepokojeni mieszkańcy dopytywali się nawzajem: „Czy wy też to czuliście?”. Niektórzy zerkali podejrzliwie na nieznanne dzieciaki, Baśka przyspieszyła więc, przeskakując po trzy stopnie naraz. Trzymała się barierki, dzięki czemu parę razy uniknęła wybicia sobie zębów.

Przyjaciele z ulgą wypadli na zewnątrz. Przebiegli na drugą stronę ulicy, zmuszając przejeżdżającego kierowcę do hamowania. Rozległ

się klakson, ale niewiele sobie z tego robili. Skręcili za róg i tu w końcu przystanęli odpocząć.

– A co wy tu robicie?

Baśka uśmiechnęła się promiennie, rozpoznając głos swojego taty. W jego towarzystwie poczuła się od razu bezpiecznie.

– Chcieliśmy zobaczyć, jak prostują szkołę.

– I dlatego biegacie po ulicy? Prawie wpadłaś pod samochód.

Zrobiła przepaszającą minę i spuściła wzrok. Ojciec pogłaskał ją po włosach. Pomyślał, że powinien bardziej zrugać córkę, ale jej skrucha zawsze sprawiała, że serce topniało mu jak wosk. Wziął ją za rękę i poprowadził do ogrodzenia, którym otoczono plac robót.

– Wskakuj na barana, będziesz lepiej widzieć. Wybaczcie, chłopcy – zwrócił się do Rudego i Kuby – wszyscy mi się nie zmieściecie.

Dziewczyna była już na to trochę za duża i za ciężka, a i umęczony latami pracy w kopalni kręgosłup Grzegorza zaprotestował przeciwko takiemu obciążeniu, ale mężczyzna nie potrafił sobie darować tej małej przyjemności. Zresztą na emeryturze nie nadwyręzał już tak zdrowia, raz na jakiś czas mógł więc sobie pozwolić na odrobinę wysiłku. Lubił, gdy córka drobnymi, dziecięcymi rączkami klepała go po uszach i łysiejącej głowie. Teraz oczywiście dłonie miała większe, dziewczęce.

– Tato, a wiesz, że oni tymi lewarami sterują z komputera? – tłumaczyła z zapałem, szczęśliwa, że zamieniła towarzystwo głupich chłopaków na ojca.

Popatrzyła na kolegów w dole i pokazała im język, a oni naburmuszyli się, zazdrośni. Wszyscy wiedzieli, że Baśka ma najfajniejszego tatę, więc pewnie później zabierze ją na lody. Rudy zaczął kombinować, na które drzewo będzie najłatwiej wejść, żeby mieć lepszy punkt widokowy niż dziewczyna.

Baśka zaczęła rozglądać się z zaciekawieniem dokoła. Zobaczyła kobietę pokazującą na nią palcem i brzydko się krzywiącą.

– O, patrz, facet z cygańskim dzieckiem.

– Pieniądze będą wyciągać? Ale on normalny... Może ma dziecko z Murzynką, dlatego takie ciemne?

– Myślisz? A niby wygląda na porządneho...

Baśka usłyszała te wypowiedziane konspiracyjnym szeptem komentarze i znów poczuła się inna, niepasująca. Grzegorz wyczuł, jak się spięła, zrobił więc szybki obrót, od którego oboje omal się nie wyrócili. Baśka krzyknęła jednocześnie z przerażeniem i rozbawieniem; on spała ciężko, ale wesoło. Plotkujące kobiety oddaliły się.

Nim zmęczony Grzegorz postawił Baškę na ziemi, wypatrzyła jeszcze ducha-kruka – tym razem jego uwaga była skupiona na tacie, a twarz miał brzydko zaciętą, ale też zmartwioną. Gdy jednak stanęła już na chodniku, straciła zjawę z oczu.

\*\*\*

Wysłużona renówka podjechała pod niewielki, pomalowany na beżowo domek. Ręczny zazgrzytał ostrzegawczo w trakcie zaciągania, ale nie warto było ryzykować w mieście pełnym pochyłych ulic. Z samochodu wysiadł umęczony podróżą kierowca. Przeciągnął się, próbując choć trochę rozprostować kości długich kończyn. Stawy strzykały jeden po drugim – kabina w aucie była trochę za ciasna dla tak wysokiego mężczyzny.

Zanim zapukał do drzwi, przejrzał kolekcję wisiorów dyndającą u szyi. Pentagram wisiał obok krucyfiks, egipskie oko Horusa obok symboli nordyckich – prawdziwy miszmasz wszelkiego typu amuletów i talizmanów. Zdecydował jednak, że w tej okolicy najrozsądniej będzie zostawić na wierzchu zwykły krzyżyk, resztę zaś schować pod koszulkę.

– Zbyszek! – Otworzyła mu kobieta koło pięćdziesiątki i obcałowała po policzkach.

– Dzień dobry, pani Lewandowska.

– A gdzie tak oficjalnie, Halina. – Zganiła go machnięciem ręki. – Wchodź, spocznij sobie, zrobię herbaty.

Zbyszek stanął w drzwiach kuchni, niechętny, by znów siadać. Halina przez chwilę naciskała, zaraz jednak szybko przeskoczyła do następnego tematu.

– Twoje zakłęcie działa jak marzenie – powiedziała, stawiając na stole herbatę i talerz z przekąskami. – Co się przechyliło, to już tak zostało, ale przynajmniej gorzej nie jest. Za to u sąsiada jakieś pęknięcia

wyszły. Próbowałam go dopytać, bo pomyślałam sobie, że ci to się może przydać, ale zły był, gadać nie chciał. Wiesz, to są starsi ludzie, oboje nauczyciele, to ile oni emerytury mogą mieć? Nie mają za co remontować...

– Który sąsiad?

– A ten po lewej.

Zbyszek odsunął naczynia, by zrobić miejsce na wyciągniętą z plecaka mapę Bytomia. Odnalazł dom, o którym mówiła Lewandowska, i mina mu zrzedła.

Wyskoczył na ulicę. Kobieta myślała, że będzie chciał porozmawiać z sąsiadem, ale tylko gapił się chwilę wzdłuż chodnika, a potem skrzywił się i zawrócił do domu. Nie wiedziała, że Zbyszek posiadał zdolność, która – o ile wystarczająco się skupił – pozwalała mu zobaczyć budynek w zupełnie innym wymiarze. Wyciągnął z plecaka mazaki i postawił na mapie kolejny czerwony krzyżyk. Halina odnotowała, że jej dom dla odmiany zakreślony był niebieskim kółkiem. Niewiele jednak rozumiała z płątaniny kolorowych symboli, stref i strzałek.

– A może im też byś zrobił takie zakłęcie, co?

Zbyszek odburknął coś ponuro, wpatrując się w mapę.

– Nie, masz rację. Nie każdy wierzy w takie rzeczy. Co zrobisz na sceptyka, prawda? Poza tym musiałbyś te znaki w każdym budynku w mieście wyrysować... Może idź do urzędu, poproś o dofinansowanie na innowacyjny projekt ratowania zapadających się dzielnic. – Zaśmiała się z własnego dowcipu. – O, na przykład parę miesięcy temu, wyobraź sobie, prostowali szkołę. A to się przecież znowu przechyli...

– Pójdę zobaczyć pieczęć – uciął, zirytowany paplaniną Lewandowskiej. Nie przyszedł do jej domu na pogaduszki.

– Oczywiście. W razie czego wszystko mam przygotowane – kredę, farby, świece.

Skinął głową, choć nie potrzebował tych przyborów. Zszedł do piwnicy, gdzie nisko przy ziemi wymalował rok temu pieczęć. Jej celem wcale nie była ochrona domu Lewandowskich. Poza nią istniało jeszcze dwanaście innych, tworzących krąg, wewnątrz którego Zbyszek miał nadzieję zneutralizować siłę, która powodowała przechył w różnych częściach miasta. Nie ten naturalny, wywołany przez kopalnię, lecz



o nadprzyrodzonym podłożu. Do tej pory nie udało mu się rozpoznać wyraźnego wzoru, według jakiego atakowane były budynki, dlatego zdecydował się na tak szeroko działające zabezpieczenie.

Pieczeń wyglądała na nienaruszoną – żadnych pęknięć czy ubytków. Powinna więc działać, ale przechył kolejnego domu – przede wszystkim zaś towarzysząca mu energia, widoczny dla wprawnego oka łowcy cień – wskazywał, że tak nie było. Mogło to oznaczać jedną z dwóch rzeczy: albo siła, z którą Zbyszek próbował walczyć, okazała się dużo potężniejsza, niż przewidywał, albo łowca beznadziejnie poradził sobie z utworzeniem bariery ochronnej.

Westchnął z irytacją. Popatrzył na pieczeń. Wymieszał kilka tradycji i porządków magicznych, sięgając po każdy znany mu symbol ochronny, odpędzający i zamykający, jaki przyszedł mu do głowy. Miał nadzieję, że będą wzmacniać siebie nawzajem, nie negować, ale pewności nie miał. Szczerze mówiąc, ani się na tym nie znał, ani nie był zbyt zadowolony, że musi sięgać po magię. Był od tego, żeby magię niszczyć, najczęściej przy użyciu brutalnej, ale sprawdzonej siły fizycznej. Fakt, iż czasem musiał zwalczać ogień ogniem, zawsze budził w nim lekkie obrzydzenie.

Najprawdopodobniej odwalił fuszerkę i krąg po prostu nie zadziałał. Pozostało sprawdzić na mapie, czy kolejny przechylony budynek pomoże mu znaleźć sensowny wzór... Chociaż nie miało to już takiego znaczenia. Był prawie pewien, że odkrył źródło – natknął się na nie trzy miesiące temu, trochę przypadkowo. Mógł już wtedy interweniować, ale stwierdził, że przeprowadzi najpierw porządne śledztwo. Liczył, że rozmowy z górnikami pomogą mu zdobyć niezbędne informacje, ale większość milczała jak zakłęta. Tylko jeden zgodził się pokrótce opowiedzieć starą historię o kopalni. Nie widział jednak zdarzenia na własne oczy, powtarzał wyłącznie zasłyszane plotki. Ci zaś, którzy widzieli, zapewne bali się, że Zbyszek im nie uwierzy. Albo obiecali, że dochowają tajemnicy, a dla tych ludzi to była kwestia honoru.

Niechętny do konfrontacji z Grzegorzem na podstawie wiedzy z drugiej, a nawet trzeciej ręki, łowca zaczął zwlekać z działaniem: szukał nie tylko potwierdzeń swoich podejrzeń, ale też innych tropów czy możliwych wyjaśnień, wysłuchiwał pogłosek, jeszcze raz odwiedzał

miejsca dotknięte przechyłem. Gorzej nawet – opuścił Bytom, by pozamykać parę śledztw w innych miastach. Słowem, starał się robić wszystko, tylko nie to, co należało. Skoro jednak sytuacja się pogarszała i kolejny dom zaczął się przechylać, musiał w końcu wypełnić swój obowiązek. A to oznaczało wizytę u kuzynostwa.

\*\*\*

Baśka usłyszała przez okno krzyki. Od razu domyśliła się, co oznaczają, i chciała niepostrzeżenie wymknąć się z domu, ale matka już ją zobaczyła i wcisnęła w dłoń drobną rączkę kuzynki, Jagody.

– Popilnuj dziecka – nakazała Maria.

– Ale...

– No! Już, idźcie.

Naburmuszona Baśka zostawiła Jagodę na podwórku z innymi dziećmi, a sama pobiegła na drugą stronę ulicy. Po drodze minęła dwie wystraszone kobiety, dyskutujące nad czymś z żywieniem i co chwila zerkające za siebie. Baśka bez lęku skręciła w zacięzioną bramę, którą niedawno minęły.

– Czemu wystraszyłeś te panie? – zapytała; pozornie nie było tu nikogo, kto mógłby odpowiedzieć, poczuła jednak znajome mrowienie.

– Bo się bały – odparł z ukrycia duch.

– Bały się, bo je straszyles!

– Nieprawda. Gdyby się nie bały, nie miałbym po co ich straszyć, bo nie byłoby w tym żadnej zabawy. Na przykład ty się mnie zupełnie nie boisz, więc straszenie cię nie miałyby sensu. – Duch wylał się ze szpar między cegłami. Wielkie czarne łapy stanęły na ziemi, a kark ugiął się w łuku bramy. W czerni zabłyśły oczy, kolce zazgrzytały o cegły, a groźny uśmiech odsłonił szereg ostrych, szpiczastych zębów.

Baśka podparła się tylko buńczucznie pod boki, bo rzeczywiście była na tyle przyzwyczajona do jego min, że nie robiły na niej wrażenia.

– Co tu robisz w środku dnia, Czarnoduchu? Myślałam, że straszysz tylko po nocach.

– Racja, po nocach lepiej. Można kogoś ulicą pogonić, a jak świeci słońce, to nie bardzo... Ale muszę mieć na ciebie oko, bo tu się będą wkrótce ciekawe rzeczy działy.

– Tak? Jakie?

Choć wydawało się to niemożliwe, uśmiech Czarnoducha rozszerzył się jeszcze bardziej, ukazując kolejne i kolejne rzędy zębów.

– Straszne i groźne – odparł zagadkowo. – Chyba że już teraz pójdziesz ze mną. Chodź ze mną, a nie będziesz musiała się niczym martwić.

Baśka tylko prychnęła. Czarnoduch kusił ją wielokrotnie, ale zawsze tak zdawkowo, że nigdy nie rozumiała, o co mu chodziło. Podejrzewała, że to postępek, by w końcu porządnie ją wystraszyć, bo szczyliła się tym, że się go nie bała. Nie wiedziała też, jak niby miałyby gdziekolwiek za nim pójść, skoro nie umiała jak on zamienić się w dym i wcisnąć w dowolną szparę. Nie podejrzewała go o złe zamiary, ale Czarnoduch był też – trochę ironicznie – lekkoduchem, więc prawdopodobnie po prostu tego nie przemyślał.

Zniechęcony brakiem odpowiedzi duch wsiąkł z powrotem w ścianę. Baśka wbrew pozorom lubiła go – bawiły ją głupie dowcipy i ganiecie po nocy pijanych chłopaczków. Nawet jej braci kiedyś pogonił.

– Baśka, chodź szybko! – usłyszała wołanie swojej najlepszej przyjaciółki, Julki. Wybiegła z bramy.

W gorze ulicy woda wytrysnęła spod spękanego asfaltu, żłobiąc coraz to większą szczelinę w zniszczonej nawierzchni. Strzeliła w górę, tworząc zaledwie półmetrowy, wciąż jednak robiący wrażenie gejzer. Droga szybko zamieniła się w rwący strumień, zabrudzony ziemią i piachem porywanym przez nurt z zaniedbanego trawnika. Spływał ku skrzyżowaniu, gdzie z kolei utworzył okazałe jezioro.

Baśka i pozostałe dzieciaki zleciały się na miejsce awarii, nim którykolwiek z dorosłych zdążył wyjrzeć przez okno czy odkręcić kran, by usłyszeć tylko gniewne bulgotanie pustych rur.

– Skaczemy na drugą stronę, kto wpadnie, ten przegrywa – zarządził szybko Kuba.

– Ja skacę przez tamto.

Spojrzenie dzieciaków powędrowało za palcem Baśki wskazującym gejzer.

– Dobra, ale ja pierw...

Kuba nie zdążył skończyć zdania, gdy Baśka minęła go biegiem.

Wbiegła w wodę i przez chwilę czuła, jak buty grzęzną jej w błocie, a następnie całkiem przemakają. Nie zatrzymało jej to – odbiła się pewnie. Woda prysnęła jej prosto w twarz, na chwilę oślepiając. Zachwiała się, ale nie straciła równowagi i szczęśliwie wylądowała po drugiej stronie.

Orzeźwiona przez chłodną wodę i podekscytowana, zarumieniła się na twarzy. Czarne włosy przylepiły się do śniadych policzków, warkocz rozplątał się częściowo. Niedbale odgarnęła kosmyki ręką. Czarne jak dwa węgielki oczy błyszczały z zadowoleniem.

– Nie popisuj się, Znajda – warknął Kuba, wyraźnie obrażony, że odebrano mu pierwszeństwo.

Przezwisko wyjątkowo nie zdenerwowało Baški – bawiła się zbyt dobrze, nawet kibicowała Kubie, gdy się rozpędzał. Nachyliła się do Julki i szepnęła:

– Mam całe mokre majtki!

Obie zaczęły chichotać, a gdy Kuba wynurzył się po drugiej stronie gejzeru z gatkami tak nasiąkniętymi, że aż zaczęły mu się zsuwać z zadka, wybuchnęły wesołym śmiechem.

– Ja też chcę! – zapiszczała Jagoda. – Skocz ze mną.

Dziewczyna spojrzała niechętnie na młodszą kuzynkę. Nie lubiła się nią zajmować, a już w szczególności wciągać we wspólne zabawy. Jagoda była za mała na chodzenie po ruinach i drzewach, nudziła się i narzekała, że nogi bolą. I chłopcy śmiali się z Baški, że powinny się zajmować dziewczynskimi sprawami, a nie z nimi łączyć i przeszkadzać.

– Jesteś za mała.

Buzia Jagody wygięła się niebezpiecznie w podkówkę, a oczy zaszkliły. Baška, nauczona doświadczeniem, pozostawała niewzruszona na szantaż.

– Matko Boska, co tu się dzieje! – dobiegł ich wzburzony kobiecy głos. – Potop! Basia, Jagódka! Do domu!

– Lepiej idź, Znajda, w tej wodzie i tak się nie domyjesz! – rzucił złośliwie Kuba.

Dziewczynka już chciała się odgryźć, gdy poczuła dotyk czyjejś dłoni.

– A ze mną skoczysz? – spytała Julka.

Baśka rozpromieniła się natychmiast. Starsza o rok Julka była najfajniejszą dziewczyną, jaką знаła. Łapiąc ciepłą dłoń przyjaciółki, poczuła, jak bardzo zmarzły jej własne mokre palce. Uśmiechnięte dziewczęta zaczęły się rozpędzać. Nie zauważyły Jagody, uczeplonej skraju bluzki kuzynki. Skoczyły pewnie i daleko. Jagoda jednak, zaskoczona silnym uderzeniem wody, puściła materiał. Wylądowała w samym środku gejzeru, potykając się o spękany asfalt i ślizgając po błocie. Upadła, lądując boleśnie na popękanej, tnącej skórę nawierzchni.

Powietrze przeciął żałosny płacz. Baśka obejrzała się zdezorientowana za siebie, Julka pisnęła krótko, wystraszona, chłopcy zaś zaczęli się śmiać.

– Jagoda?! – zawołała zaniepokojona Maria, rozpoznając płacz dziecka.

Baśka postawiła kuzynkę na poobijane nogi.

– Przestań się drzeć, bo obie dostaniemy karę! – syknęła, ale Jagoda zupełnie się tym nie przejęła.

Rozeźlona dziewczyna złapała kuzynkę za rękę i pociągnęła do domu. Wiedziała, że czeka ją awantura. Tak – ją, nie Jagodę. Co za niesprawiedliwość. Rozpromieniła się jednak, widząc, że pod drzwiami na ich klatkę czekał tata. Zwykle stawał po jej stronie albo chociaż pocieszał, gdy już mama skończyła krzyczeć. Zdziwiło ją jednak, że obok taty stoi znajomy duch-kruk. Nie widziała go od dłuższego czasu – bodajże od dnia, gdy z chłopakami oglądali prostowanie szkoły. Że też wybrał sobie akurat ten moment, by się ukazać... Choć zdecydowanie wolałaby porozmawiać z nim, niż słuchać wrzasków matki. Duch popatrzył na nią groźnie, a następnie powiedział coś do taty. Ten – ku wielkiemu zdziwieniu Baśki – odpowiedział.

Dziewczyna natychmiast zapomniała o kuzynce i ruszyła biegiem do ojca.

– Tato! Też umiesz rozmawiać z duchami?

– Duchami? – powtórzył skonsternowany.

– Z nim!

– A! To jest twój kuzyn, Zbyszek. Duchy to przecież na biało, nie na czarno...

Zmrużyła oczy, przyglądając się z rozczarowaniem obcemu

mężczyźnie. Może i był żywy, ale na pewno nie normalny, inaczej by się nie pomyliła.

– Kolejny kuzyn? Ja się nim nie będę zajmować! – oświadczyła groźnym tonem, zakładając ręce na piersi. Grzegorz wesoło się na to zaśmiał.

– Chodź, Jagódka, przebierzemy się. – Złapał młodszą dziewczynkę za rękę i wprowadził do budynku.

– Jak nie duchem, to kim jesteś? – zapytała Baśka nieznanomego.

– A ty? Kim jesteś, że gadasz z duchami?

Zaskoczył ją tym pytaniem. Zdarzyło jej się kilka razy wspomnieć, że rozmawia z różnymi istotami, ale w odpowiedzi słyszała, żeby nie gadała głupot, że ma bujną wyobraźnię albo że jest głupia i nienormalna, bo duchów nie ma. Tylko tata jej nie wyśmiewał, a jedynie potakiwał z rozbawieniem. Dlatego nauczyła się tematu nie poruszać. Tym razem jednak myślała, że dzieli dar z tatą, może go po nim odziedziczyła, a on z jakiegoś powodu czekał, aż sama odkryje prawdę... Podobałoby by się jej, gdyby tak było. Rzeczywistość okazała się jak zawsze rozczarowująca.

\*\*\*

– Zbyszek! Ostatni raz, jak cię widziałam, to o! – Maria wyprostowała dłoń na wysokości uda. – Taki ledwo byłeś. Jaki wielki wyrosłeś!

Kobieta nie miała najmniejszego problemu z prawie jednoczesnym obcałowaniem Zbyszka, daniem Baśce siarczystego klapsa oraz uspokojeniem i przebraniem Jagódki, a także zaklejeniem skaleczenia na kolanie. Towarzystwo ledwo zasiadło do stołu, a Maria już rozstawiała talerze. Jednocześnie jakby znikąd zjawiała się reszta rodziny – miłkiwy nastolatek Piotr oraz dwóch już praktycznie dorosłych chłopaków, Łukasz i Karol, którzy całymi dniami zajmowali się swoimi sprawami, do domu zaś wpadali tylko jeść i spać, a to też nie zawsze. Nic zresztą dziwnego, bo jedną sypialnię zajmowali rodzice, drugą dwójka młodszych dzieci, a dla nich zostawała tylko rozkładana kanapa w salonie na spótkę. W domu potrafiło szybko zrobić się naprawdę ciasno. Zbyszek uderzył oparciem krzesła o regał, starając się zrobić przy stole więcej miejsca.

Młodszy mężczyźni wy pytali przybysza przede wszystkim o samochód, ale ich entuzjazm opadł, gdy okazało się, że to tylko nudne kilkunastoletnie Renault. Nikomu nie można było tym zaimponować, tym samym Zbyszek również wydał im się mało ciekawy.

– A to jakie samochody są imponujące? – zapytała Baśka, wycierając głowę ręcznikiem. Bracia spojrzeli na nią z politowaniem. – Pewnie beamki. Albo audice?

– Patrzenie ją, jaki znawca! – zaśmiał się najstarszy. – Baśka, weź idź się lalkami pobaw.

– Jestem za stara na lalki! – zaprotestowała, co spowodowało tylko kolejne złośliwe uwagi.

Mimo to dziewczyna zaczęła ich dalej; im bardziej próbowała wciągnąć braci w rozmowę, tym bardziej ci się irytowali i ją odganiaли. Zbyszek przyglądał się sprzeczce rodzeństwa w milczeniu, wyraźnie zadowolony, że sam nie musi kontynuować rozmowy. Przytłaczała go ta intensywność rodzinnego życia. Przy stole siedziało ośmioro przekrzykujących się osób, ledwo mieszczących się w za małym mieszkaniu. Grzegorz zabawiał Jagodę, by poprawić jej humor, a ta co jakiś czas wybuchała głośnym, nieprzyjemnie wysokim i skrzekliwym śmiechem; Piotr puszczał muzykę z telefonu; Maria nieustannie trajkotała o braku wody w kranie albo ostatnim spotkaniu z matką Zbyszka. Pomyślał, że jego ojciec nigdy nie pozwoliłby na taki rozgardiasz – u nich pano wała dyscyplina.

Łowca doszedł jednak do wniosku, że nie podobały mu się ani milczące obiady z rodzicami, ani luźna atmosfera u kuzynostwa. Z natury był samotnikiem – opuścił dom jeszcze jako nastolatek i zajął się polowaniem na demony. Był nomadą, podróżującym od miasta do miasta. Nie przywiązywał się do ludzi, zwłaszcza że zwykle po skończonej robocie miał więcej wrogów niż przyjaciół.

– Odwal się! – warknął w końcu Karol, zmęczony domagającą się wciąż uwagi Baśką.

– Jak ty mówisz do siostry? – oburzył się Grzegorz.

Podniesienie głosu nic nie dało; kuzynowi Zbyszka wyraźnie brakowało autorytetu. Przepychanki rodzeństwa – choć nieco mniej złośliwe – trwały dalej. Uspokoili się, dopiero gdy Maria przyniosła wazę

z rosółem. Za pomocą chochli nalała gościowi niewielką porcję.

– Jak zjesz, to sobie dolej. Przez ten przechył więcej do talerza nie wchodzi – wyjaśniła Zbyszkowi.

Burknął podziękowanie. Krępowała go uprzejmość Marii, to, jak okazywała mu sympatię i zainteresowanie, zwłaszcza że potrafiła w jednej chwili z uśmiechem podać mu zupę, a w następnej huknąć ostro na dzieci.

Najmłodszy syn zniknął ze swoją porcją w pokoju obok. Baśka próbowała wykonać podobny manewr, ale matka usadziła ją z powrotem silnym szarpnięciem.

– Mamy gościa!

Zbyszek zauważył, jak dziewczyna krzywi się na tę wyraźną niesprawiedliwość. Sam chętnie by uciekł, bo Maria zarzuciła go pytaniami o rodziców, na które nie miał ochoty odpowiadać.

– Nie wiedziałem, że macie taką małą córkę. – Zmienił temat, wskazując na Jagodę.

– To mojego młodszego brata – wyjaśnił Grzegorz. – Żona mu zmarła w zeszłym roku, to pomagamy trochę z dzieckiem, gdy jest w robocie.

– Nie można tak dziecka, zwłaszcza dziewczynki, bez kobiecej ręki zostawić. Baśka, wytrzymaj Jagódce brodeł!

– Ale ja nie chcę być niczyją kobiecą ręką! – zaprotestowała. Jakby dla podkreślenia jej słów farba osypała się ze ściany wokół jednej z wielu małych dziur.

Łukasz i Karol parsknęli śmiechem, ale twarz Marii spochmurniała.

– Nic mi w tym domu nie pomożesz. Leniwa krowa. O pozmywaniu po obiedzie nawet już nie mówię, bo mi znowu wszystko potłuczysz. To wszystko przez ciebie – rzuciła niespodziewanie do Grzegorza, wybiegając do kuchni.

Baśka udawała, że słowa matki nie zrobiły na niej wrażenia, ale oczy lśniły od powstrzymanych łez. Kiedy jednak Grzegorz położył dłoń na jej czarnych włosach i szepnął coś ciepło do ucha, zachichotała i objęła go za szyję. Zbyszek obserwował tę dwójkę – byli do siebie zaskakująco podobni, oboje niscy, ale barczyści. Do Grzegorza to pasowało, podczas gdy wielkie dłonie, zacięta mina i silna postawa sprawiały, że Baśka wyglądała nieproporcjonalnie,



a jednocześnie na starszą, niż była. Mężczyzna wstał od stołu i zaczął razem z Jagodą puszczać małe plastikowe samochodziki, które zupełnie niepopychane staczały się po krzywej podłodze pokoju. Puścił do córki oko, by jeszcze raz ją zapewnić, że nie musi się niczym martwić.

– A te dziury w ścianach to od czego? – zainteresował się Zbyszek.

– Grzesiu przełożył wszystkie szafki na drugą ścianę, bo na tej jak drzwiczki otwierałam, to wszystko wypadało – odkrzyknęła kobieta z kuchni przy wtórze bulgotania pustej rury. – I jak ja teraz zrobię cokolwiek?! Ciekawe, ile to będą naprawiać... Pół serwisu potłukłam – kontynuowała opowieść. – Raz to nawet w nocy szafka się sama otworzyła i mnie obudził brzęk szkła. Teraz jest spokój, tylko te dziury zostały.

– Zaszpachluję – zapewnił z nutą poczucia winy w głosie Grzegorz.

Druga część obiadu przebiegła już spokojniej. Grzegorz może i nie potrafił zapanować nad dziećmi za pomocą krzyku, ale za to umiał wszystkich zająć rozmową, z łatwością lawirując pomiędzy samochodowymi pasjami synów, dyskusją o szkole z Baską, zabawą z Jagódką a komplementami dla małżonki. Maria – skupiona na dokładaniu i upewnianiu się, że obiad wszystkim smakuje – mimo problemów z wodą wyraźnie cieszyła się z pochwał i nastrój jej się poprawił, zwłaszcza że córka nie prowokowała już kłótni. Nawet Piotrek wychylił głowę z drugiego pokoju. Zbyszek poczuł, że zaczyna się rozluźniać. Niby zdawał sobie sprawę, że to spokój tylko powierzchowny, a pod nim wciąż kotłują się uśpione chwilowo konflikty, jednak ta rodzinna atmosfera w dziwny sposób mu się udzieliła. Jakby z mięśni zeszło napięcie. Do tego dochodziło ciepłe jedzenie w żołądku, które jeszcze bardziej rozleniwiło. Z lekkim zakłopotaniem musiał sam przed sobą przyznać, że zaczynał lubić Grzegorza. Ten starszy, łagodny mężczyzna traktował wszystkich – zwłaszcza dziewczynki – tak, jak dziadek rozpieszczający wnuki, nie zaś jak surowy pan domu, jakim był ojciec Zbyszka.

Wkrótce jednak czar rodzinnego obiadu prysł i towarzystwo zaczęło się rozchodzić. Chłopcy wybiegli z mieszkania, nawet nie przeżuwszy dobrze kotletów do końca, Maria zaś poszła odprowadzić

Jagodę do domu i poplotkować z sąsiadkami o awarii. Baśka zebrała naczynia. Bez wody nie musiała ich zmywać, ustawiła je tylko na kumie w zlewie. Grzegorz poszedł szukać papierosów i Zbyszek został nagle całkiem sam przy stole, aż cisza zaczęła mu dzwonić w uszach. Nie wiedział, co ze sobą zrobić, więc zajrzał do kuchni.

– Musisz przestać rozmawiać z duchami. Ściągniesz na kogoś kłopoty.

Baśka aż podskoczyła przestraszona. Upuściła przy tym jedną ze szklanek na podłogę. Złapała szybko za zmiotkę, by sprzątnąć, nim matka znów ją ukarze.

– Tak? Jakie na przykład? – zapytała buńczucznie, obrażona na kuzyna, że narobił jej kłopotów.

– Znałem kiedyś chłopca, trochę młodszego od ciebie, który rozmawiał z duchami – zaczął Zbyszek, ale przerwał, bo przypadkiem nadepnął na kawałek szkła.

– I co? Stało się coś? – prychnęła niecierpliwie Baśka.

– Umarł.

Dziewczyna przyglądała mu się chwilę, jak balansuje na jednej nodze, dłubiąc paznokciem w zniszczonej podeszwie, aż zdała sobie sprawę, że nie zamierzał powiedzieć nic więcej.

– Czy ty w ogóle wiesz, jak się opowiada historie? Zwłaszcza takie, które mają kogoś wystraszyć?

– Myślisz, że martwym ludziom szczegóły robią dużą różnicę?

Już chciała powiedzieć, co duchy myślą na temat śmierci, ale się powstrzymała. Nie podobało jej się, jak Zbyszek na nią patrzy. Wcale się go nie bała, po prostu... Nie lubiła go.

– Wszystko w porządku? – Grzegorz zajrzał zaniepokojony do kuchni.

Baśka wiedziała, że tata się na nią nie pogniewa, pokazała więc zbitą szklankę. Grzegorz pogroził jej palcem, ale zawadiacko, następnie zaś przyłożył go do ust, zapewniając, że nie zdradzi sekretu. Baśka poszła do śmietnika pod domem, by matka nie znalazła dowodów przeciwko niej w kuchennym koszu. Tymczasem Grzegorz wyciągnął dwa kieliszki i wódkę. Podobnie jak z zupą, nalał tylko do połowy naczynia, bo przez przechył więcej by się wylało.

– Zdrowiej dla wątroby. Poza tym nie da się za dużo wypić, bo wtedy już człowiek zupełnie nie może złapać pionu! – zażartował.

Zbyszek nie wyglądał na rozbawionego. Chwilowe rozluźnienie zniknęło – należało przejść do konkretów. Podniósł kieliszek, ale tylko obrócił go powoli w palcach.

– Z rodziną się nie napijesz? – zachęcił Grzegorz.

– Rodziną – powtórzył łowca, przeciągając sylaby, wyraźnie zafrasowany użyciem tego słowa. – Czy to lepiej, czy gorzej, że posłańcem złych wieści jest ktoś z rodziny? – Nie doczekał się odpowiedzi, więc kontynuował: – Musisz oddać to, co zabrałeś.

Grzegorz pobladł. Owszem, niezapowiedziana wizyta kuzyna trochę go zaskoczyła, ale nie spodziewał się, że będzie związana akurat z tym... Odchrząknął, wypił wódkę i natychmiast dolał więcej. Kieliszek trzymał tym razem w ręce, by móc nalać do pełna.

– Nie wiem, o czym mówisz – skłamał bez przekonania.

– Domy się pochylają. Szkoły.

– Takie są skutki wydobywania na zawał, co zrobić – wyjaśnił Grzegorz, starając się brzmieć swobodnie, ale wiercił się z zakłopotaniem.

Zbyszek wstał i podszedł do miejsca, gdzie osypała się farba ze ściany. Poskrobał uszkodzenie, aż odpadł kolejny płat.

– Nie w tych wypadkach. Nie w tym bloku na przykład. Pokażę ci. – Sięgnął po plecak, ale Grzegorz powstrzymał go ruchem ręki.

– Kim w ogóle jesteś, żeby mówić w ten sposób? Byłem pod ziemią, znam kopalnie, wiem, co robią z tym miastem.

Zbyszek nie odpowiedział, bo Baśka wróciła do mieszkania. Obrzuciła gościa niechętnym spojrzeniem i zniknęła w swoim pokoju.

– Jestem... – Nie chciał użyć słowa „łowca”. – Tropię to, co niecodzienne. Dziwne. Nadprzyrodzone. To, czego nie da się wyjaśnić inaczej, czego nie da się wyjaśnić zapadającymi tunelami. A ty, jak sam powiedziałeś, byłeś pod ziemią. Zabrałeś coś.

Grzegorz huknął otwartą dłonią w stół, bardziej by odgonić własne lęki niż ze złości. Wiedział, że Zbyszek ma rację, a nie był dobrym kłamcą. A także – choć nigdy by tego sam przed sobą nie przyznał – odczuwał ulgę na myśl, że mógłby się w końcu z kimś podzielić swoją

tajemnicą. Nie był jednak jeszcze na to gotowy, jeszcze szukał innych możliwości.

– Nadprzyrodzone, tak...? A co z legendą o zapadającym się mieście? – wypalił, co mu przyszło pierwsze do głowy. Zbyszek pokręcił głową. – Mówią, że Bytom, w którym mieszkamy, nie jest pierwszym Bytomiem. Tamto miasto zapadło się pod ziemię, ponieważ ludzie byli nieprzyzwoicie bogaci, a przez to zepsuci, i zostali ukarani przez Boga.

– Jaki to ma związek z czymkolwiek?

– Dzisiaj ludzie nie są dużo lepsi. Może nie bogaci, ale na pewno nikczemni. Może to samo dzieje się znowu?

Zbyszek zawahał się. Wydawało mu się, że znał prawdę, ale Grzegorz, choć zachowywał się nerwowo, niczego wprost nie potwierdził. I nawet ta „prawda” to były plotki, domysły, jego intuicja. Odwrócił głowę, by nie patrzeć Grzegorzowi w oczy. „Zmiękczył mnie, skubany” – przyznał z irytacją. Wszyscy go zmiękczyli – tego się właśnie obawiał: że nie będzie umiał potraktować ich tak, jak sytuacja tego wymagała. Wizyta u kuzynostwa, nawet jeśli tylko częściowo przyjemna, obudziła w nim dawno zapomniane poczucie winy. Uciekając z domu, ostatecznie rozbił i tak już ledwo trzymającą się własną rodzinę. A teraz znowu miał to zrobić... Przesząpił nerwowo z nogi na nogę.

*Dziadzieję*, pomyślał z niezadowolaniem. Kiedyś by go jakieś tam uroczne obrazki ojca i dzieci nie ruszyły. Wszystko przez to, że byli z nim spokrewnieni, ale też tacy normalni i przeciętni z tym schabowym na obiad, kłótniami, ale też gestami miłości. Przez nich za dużo myślał o własnej matce, która nie miała teraz dla kogo gotować, nikt nie chwalił jej potraw. Może trzeba było oddać tę sprawę innemu łowcy...

– Mam szukać dowodów na boską karę? A mogę liczyć na jakieś dodatkowe wskazówki czy mam złapać za łopatę i zacząć kopać w pierwszym napotkanym ogródku? – spytał sarkastycznym tonem, licząc, że Grzegorz nie będzie miał nic do dodania.

– Nie, nie! Jest takie miejsce w dolinie rzeki, lasek Goj. Mówią, że tam czasem z ziemi wystaje krzyż z wieży kościoła czy tam klasztoru i jeśli człowiek się o niego potknie i zaklnie, budynek zapada się z powrotem. Ale jeśli poprosi się Boga o pomoc, miasto wydobędzie się na powierzchnię.

Zbyszek zaklął pod nosem. Wiedział, że nie powinien marnować więcej czasu, z drugiej jednak strony, co jeśli się mylił? Może wtedy, przed wakacjami, tylko mu się wydawało, coś mu się przywidziało? Mógł sprawdzić na wszelki wypadek jeszcze jeden trop... Być może coś innego powodowało przechył, choć wątpił mocno w boską naturę tych zdarzeń. Być może nie będzie musiał niszczyć tej rodziny. Poprosił Grzegorza, by wyjaśnił mu, jak odnaleźć lasek, po czym od razu wyszedł.

Baśka, podsłuchująca pod drzwiami sypialni, wycofała się ostrożnie.

\*\*\*

Nie był to imponujący las: rzadki, poprzecinany chaszczami i ścieżkami. Niezbyt rozległy, z jednej strony ograniczony zespołem starych ceglanych budynków, z drugiej jakimiś zakładami, hutami i hurtowniami, a także hałdami. Sama rzeka też niczym się nie wyróżniała. Zbyszek kręcił się między drzewami bez konkretnego planu. Założył, że prędzej czy później coś samo na niego wyskoczy. Takie szczęście łowcy.

Popołudnie zdążyło przejść w wieczór, a dalej nic się nie wydarzyło. Wyszedł spomiędzy drzew i zatrzymał się na niewielkiej polanie nad rzeką. Rozejrzał się z rezygnacją po pustej przestrzeni. Zaczynał podejrzewać, że Grzegorz celowo podrzucił mu fałszywy trop, by zyskać trochę czasu... Na co? Byleby na nic głupiego.

Postanowił spróbować sprawdzonej techniki. Spojrzał przed siebie, na niczym nie skupiając wzroku. To, czego szukał, dostrzec można było tylko na granicy pola widzenia. Pozwolił, by obraz się rozmazał. Używając tego sposobu, Zbyszek wykrył, że niektóre z zapadających się w mieście budynków są inne od pozostałych – wirowała w nich obca energia, którą potrafił dostrzec tylko wtedy, gdy nie patrzył na nią bezpośrednio. Cała sztuczka polegała na tym, by nie obracać nerwowo głową, nie próbować złapać ostrości, lecz pozwolić, by cień sam się ujawnił.

Tym razem niczego kątem oka nie uchwycił. Zawrócił. I dokładnie w tej chwili, gdy podjął decyzję, by zaprzestać poszukiwań, potknął się o coś ostrego.

– Kurwa mać! – syknął, padając na ziemię.

Roztarł łokieć, którym uderzył boleśnie o kamień podczas upadku. Spojrzał na połacany metalowy krzyż. Wystawał z ziemi pod lekkim kątem, ciężki, o ostrych kantach. Ziemia wokół niego zadrżała, a następnie pękła i krzyż zapadł się, wzbudzając tuman kurzu. Rozległo się ciche dudnienie i gdy Zbyszek przyłożył dłoń do podłoża, poczuł wyraźną wibrację. Po chwili wszystko ucichło.

Wydawałoby się, że łowca będzie zawiedziony, iż nie zauważył czubka wieży – jednak uśmiechnął się z satysfakcją. Wydarzyło się dokładnie to, co musiało się wydarzyć. Wiedział o tym, bo rozpoznał metaliczny smak w ustach i mrowienie na piersi, gdzie wibrowały jego amulety, oburzone, że wpadł w pułapkę. Tak działała klątwa – wypowiedzenie prośby do Boga było praktycznie niewykonalne.

Udało mu się zatem dowieść, że istniało miejsce, na które rzucano klątwę nawiązującą do tej opowieści o zapadniętym mieście. Nie znaczyło to jeszcze, że pod ziemią znajdowały się budynki – będzie musiał to dokładniej zbadać. Satysfakcję szybko zastąpiła irytacja na myśl o tym, ile pracy go czeka, by ustalić, co tu się dokładnie wydarzyło i co może z tym zrobić. Po załatwieniu sprawy z Grzegorzem zamierzał wyjechać z miasta, teraz jednak będzie musiał zająć się też likwidacją klątwy.

Był jeszcze inny problem. Wątpił, by akurat ta klątwa mogła powodować zapadanie się konkretnych budynków. Wydawała się związana z tym konkretnym miejscem i najpewniej nie miała dość mocy, by sięgać aż tak daleko w głąb współczesnego miasta. Mimo to zamierzał przeprowadzić kilka testów, tak dla pewności. Wciąż – wbrew zdrowemu rozsądkowi łowcy, nakazującemu zdecydowanie działanie – szukał jakiegoś potwierdzenia, że to jednak nie Grzegorz jest winny.

Podniósł się i otrząpał z piachu spodnie. Licząc, że klątwa nie zaatakuje go po raz drugi, ruszył w kierunku samochodu. Nocował u Lewandowskich – nie wytrzymałby na kupie z kuzynostwem. A przy najmniej tak mu się wydawało.

\*\*\*

– Kim jest ten dziwny facet? – zapytała Julka, gdy następnego dnia wracały ze szkoły.

– Kolejny kuzyn... – odpowiedziała Baśka, niezbyt zainteresowana tematem. Od rana nie czuła się za dobrze i brzuch ją bolał ze zmartwienia.

– Och! To dobrze!

– Niby czemu?! – Najeżyła się.

– Bo ma takie czarne włosy jak ty! I oczy też ma chyba ciemne, co nie? Czyli nie jesteś jedyna taka w rodzinie.

– No, może... – Baśka nie pomyślała o tym wcześniej w ten sposób.

– Ale błąd jest. I strasznie wielki i chudy.

Choć Baśka dzielnie znosiła złośliwe uwagi obcych, swoich kolegów, a nawet matki, w rzeczywistości raniły ją dogłębnie i podkopywały poczucie przynależności. Nie rozumiała, czemu wszyscy postrzegali ją jako obcą tylko dlatego, że wyglądała trochę inaczej. Julka chciała pomóc przyjaciółce, ale tylko wywołała u niej kolejne wątpliwości. Widząc to, spróbowała znaleźć dodatkowy argument.

– Bo ty jeszcze rośniesz!

– O nie, na pewno nie będę takim kościotrupem! Poza tym odkąd Zbyszek przyjechał, tata jest cały czas smutny... Wczoraj o czymś rozmawiali, i to jeszcze tak specjalnie po cichu, a potem tata wypił dużo wódki... A robi to, tylko gdy jest bardzo czymś zmartwiony.

– Twój tata jest mądry, na pewno coś wymyśli. To co, lody czy batony? – Pokazała wyciągnięte z kieszeni monety. Baśkę trochę to rozveseliło.

Batoniki wzięły jeszcze po drodze i dokładnie wytarły usta. Gdyby Jagoda zobaczyła choć najmniejszy okruszek, zaraz narobiłaby rabanu, czemu ona nie dostała. Czekolada pomogła też na Baśkowe bóle.

Pod domem spotkały Rudego i Kubę. Obaj mieli łopaty i zacięcie grzebali nimi w odsłoniętej ziemi tuż przy podstawie muru. Obok leżało parę niedbale rzuconych, wyciągniętych ze swojego miejsca kostek chodnikowych.

– Co wy wyprawiacie?

– Odkopujemy fundamenty! Będziemy prostować nasz blok!

Powrót do wyrównanej szkoły po wakacjach był dla wielu dzieci szokiem. Podświadomie przyzwyczajone do przechyłu, chodziły niepewnie po salach, które wydawały im się jakieś inne, nienaturalne.

Nie rozumiały, że ich zmysł równowagi również zdążył się wykrzywić i potrzebował czasu, by przyzwycząić się do nowych warunków. Dziwiły się, że nie trzeba już podkładać pod nogi ławek wielokrotnie składanych kartek i eksperymentowały z toceniem piłek, czym doprowadzały do szału nauczycieli, którzy co chwilę potykali się o porozrzucane po korytarzach przedmioty. Wyprostowanie budynku w szczególności fascynowało Rudego, który niby widział akcję z podnośnikami, ale zwyczajnie nie umiał sobie wyobrazić, jakie będą tego efekty. Przykładał więc do szkolnych ścian pożyczoną od wujka poziomice, podziwiając skuteczność robotników. Jednocześnie irytowało go, że gdy wracał do domu, wszystko znów było wyczuwalnie pochylone. Czuł, jakby pięć dni w tygodniu podróżował między dwoma różnymi światami i głowa zaczynała go od tego boleć. Dlatego postanowił, że pora wyprostować też dom, w którym mieszkali.

– Przecież nie macie lewarów. – Baśka popatrzyła na nich, jakby powariowali.

– Użyjemy lewarków samochodowych – wyjaśnił Kuba.

– A jak je podłączycie do komputera? – drążyła dalej.

– Jedna osoba będzie odliczać, a reszta równo popychać dźwignie, proste. Trzeba umieć kombinować!

– A od Woźniaków pożyczymy betoniarkę – dodał Rudy.

Baśka dalej nie była przekonana, ale zobaczyła, że Julce świecą się oczy, a skoro Julka nie uważała tej zabawy za głupią, to znaczy, że warto było spróbować.

– Dobra, daj łopatę, pomogę wam.

– Nie ma mowy! – zaprotestował Kuba, mocniej zaciskając dłonie na drzewcu.

– To znajdę sobie drugą.

– Nie! Nie chcemy cię tu!

– A dlaczego?

– Bo budowlanka jest dla facetów, nie dla dziewczyn – wyjaśnił ze złośliwym uśmiechem. – A już na pewno nie dla jakichś przybłądnie wiadomo skąd.

– Jak nam Znajda pomoże, to pójdzie szybciej – zasugerował Rudy, ale Kuba nie chciał go słuchać, a Baškę dodatkowo rozsierdziło



nielubiane przezwisko.

– Jesteście głupi! – krzyknęła i skoczyła na chłopaka z pięściami.

Atak był tak szybki i agresywny, że zaskoczony Kuba ledwo zdążył się zasłonić. Upuścił przy tym łopatę, która zaplątała mu się między nogami, i runął na ziemię. Baśka okładała go ciosami, w których nie było nic z ich typowych dziecięcych potyczek. Wyraźnie wyładowywała na nim frustrację zgromadzoną przez ostatnie dni. Kuba zasłaniał twarz jedną ręką i krzyczał, by ta wariatka z niego zesza, drugą zaś próbował starego numeru ze złapaniem za włosy. Choć dorównywał koleżance siłą, nie miał odwagi mocno uderzyć dziewczyny.

Julka krzyczała, by przestali, ale bez skutku. W końcu Rudy złapał Baškę za nadgarstek. Dziewczyna wyrwała mu się i odepchnęła, a on zatoczył się do tyłu, potknął i huknął plecami o ścianę. Jego włosy oprószył pył, który obsypał się z przekrzywionego budynku. Kuba wrzasnął ostrzegawczo, ale nie zdążył nic zrobić, nim poluzowała cegła zleciała Rudemu na głowę.

Chłopak padł na ziemię, prosto w płytki rów, który wykopał. Wszyscy na chwilę zamarli i tylko patrzyli z niedowierzaniem na nieruchome ciało. Mijały kolejne sekundy i coraz bardziej stawało się jasne, że Rudy sam się nie podniesie, ale nikt nie chciał wykonać pierwszego ruchu. W końcu Julka zaczęła wołać o pomoc i po chwili zbiegli się dorośli – robotnicy pracujący nieopodal przy pękniętej rurze. Baśka cofnęła się i przykucnęła, przytłoczona zalewającymi ją uczuciami.

– Coś ty zrobiła, Znajda! – krzyknął pobladły Kuba.

– Muszę iść do domu – powiedziała, ignorując oskarżenie, po czym poderwała się i zaczęła biec.

W domu wbiegła od razu do łazienki. Usiadła na toalecie, nie mogąc już wytrzymać bólu brzucha. Siedziała chwilę zwinięta w kłębek, aż w końcu zauważyła ślady krwi na bieliźnie. Nagle zrozumiała, co się dzieje, i wybuchnęła przeraźliwym płaczem.

Julka zjawiała się po dłuższej chwili. Słyszając płacz, zdecydowała się delikatnie zapukać. Ledwo jednak stuknęła w drzwi, te otworzyły się – luźna zapadka w połączeniu z przechyłem od dawna powodowały takie problemy. Zobaczyła przyjaciółkę, całą mokrą i czerwoną na

twarży, wstydliwie próbującą zasłonić brudną bieliznę. Sięgnęła od razu do plecaka, wyciągając podpaszkę.

– Ja też już zaczęłam miesiączkować. Jakoś można się przyzwyczaić – zapewniła z uśmiechem, ale Baśka nie chciała tego słuchać.

– Ale ja nie chcę! Nie chcę w ogóle dorastać! Mama jeszcze więcej będzie ode mnie wymagać i będę musiała... – Reszta zaginęła gdzieś w zawodzeniu i bulgotaniu smarków.

– Nie będzie tak źle, zobaczysz – uspokajała Julka, głaszcząc przyjaciółkę po włosach. – Bycie dorosłą jest fajne! Wszyscy w końcu traktują cię poważnie, zaczynasz fajnie wyglądać, a nie jak dzieciak, chłopaki się za tobą oglądają, a potem można mieć dzidziusia...

– Nie chcę żadnej z tych rzeczy! – zaprotestowała Baśka. – Może tylko żeby mnie traktowali poważnie...

– Widzisz? Czyli jednak coś dobrego z tego wyjdzie.

Gdy Baśka w końcu przestała płakać, Julka, upewniwszy się, że drzwi są porządnie zatrzaśnięte, zostawiła ją samą w toalecie, by mogła się w spokoju doprowadzić do porządku. Kiedy wreszcie Baśka wychynęła z ubikacji, znalazła przyjaciółkę bawiącą się z Jagodą. Julce towarzystwo dziecka nie przeszkadzało, ale Baśce przypomniało, że wołała spędzać czas z kolegami, nawet jeśli oni nie zawsze mieli na to ochotę.

– Myślisz, że Rudy będzie OK?

– Tak – odpowiedziała starsza dziewczyna, ale bez przekonania.

Nagle rozległo się znajome Baśce ciche stukanie i drapanie w szybę. Próbowała je zignorować, ale nieprzyjemne mrowienie twarzy coraz bardziej ją irytowało, a Czarnoduch nie dawał za wygraną, aż w końcu nawet Julka zaczęła dopytywać, co to za hałasy.

– Ufasz mi? – Baśka złapała ją za rękę.

– Oczywiście!

– Bo jest takie coś... Tajemnica, ale ja nie chcę mieć przed tobą żadnych tajemnic! Tylko się nie bój, dobrze? On jest niegroźny. – Zamknęła się z Julką w sypialni i otworzyła okno.

– On? To kot? Ptak?

Z początku nic nie było widać, potem zaś do wnętrza zaczął przesiąkać ciemny kształt. Pełził ostrożnie, kryjąc się w cieniu drzewa i uważając, by nie wpaść w płamę światła po prawej stronie parapetu.

Kłębł się chwilę na podłodze i łóżku, następnie zaś zaczął rosnać, wypełniając swym czarnym cielskiem prawie całe pomieszczenie. Kolce na plecach zaczepiły o sufit, zrywając farbę. Błysnął zębiskami do Julki, a jego wielkie ślepie puściło do niej oko. Baśka mocniej złapała przyjaciółkę za drżącą rękę, by dodać jej otuchy.

– To Czarnoduch. Nie robi ci żadnej krzywdy, obiecuję! Lubi wszystkich straszyć, ale wcale nie ma się czego bać, to tylko takie wygłupy – przekonywała, widząc, że Julka pobladała i oparła się z trudem o ścianę.

Duch nie zareagował zadowoleniem na taką prezentację. Wyciągnął w stronę przestraszonej dziewczyny macki, a snujące się po podłodze cienie najpierw owinęły się wokół jej kostek, następnie zaś tydek. Julka zaczęła krzyczeć i kopać, nie słuchając zupełnie uspokajających zapewnień przyjaciółki.

– O Boże! – wrzasnęła przerażona, a wówczas Czarnoduch zdrzął z obrzydzeniem i rozluźnił uścisk.

Dziewczyna skorzystała z szansy – otworzyła drzwi, by uciec, za nimi stała jednak zaciekawiona hałasami Jagódka. W pierwszej chwili nie zareagowała w ogóle na widok Czarnoducha, wyraźnie nie rozumiejąc, na co patrzy. Stała tylko z szeroko rozwartymi oczami i otwartą buzią.

– Czarnoduchu! – syknęła ostrzegawczo Baśka, czując, że szykują się kłopoty.

Duch nie usłuchał jej prośby, a jego bezkształtna twarz przybrała demoniczny wygląd, najeżył się jeszcze mocniej, pokazując rogi, a łapy strzeliły w stronę dziecka. Wystraszona Jagoda uderzyła w bek i teraz krzyczeli już wszyscy – jedni ze strachu, inni, by straszyć, a jeszcze inni, by jakoś zapanować nad sytuacją. Julka złapała w końcu Jagodę na rękę i wyniosła z mieszkania. Zaalarmowana zamieszaniem sąsiadka przybiegła zobaczyć, co się dzieje. Ku swojemu zdziwieniu znalazła tylko Baśkę, stojącą na środku pokoju ze spuszczoną głową, czerwoną od płaczu i złości.

\*\*\*

Zbyszek spędził większość dnia na wykrzykiwaniu przekleństw w stronę pieczęci i przechylonych budynków, starając się dowieść

związku klątwy z przechyłem. Nie odniósł jednak żadnych sukcesów, ściągając za to na siebie trochę niechętnych spojrzeń przechodniów. Spodziewał się tego, a jednak czuł rozczarowanie. Musiał się w końcu wziąć w garść i odbyć poważną rozmowę z Grzegorzem.

Gdy po południu pojechał do kuzynostwa, zastał niezły bałagan. Robotnicy wciąż walczyli z potopem, jakiś chłopiec wylądował w szpitalu, a Jagoda za nic nie chciała wejść do mieszkania wujka, twierdząc, że mieszka w nim potwór. Grzegorz użył całych swych zdolności negocjacyjnych, by przekonać ją do zmiany zdania, ale bezskutecznie. Maria przeczuwała, że miało to jakiś związek z Baską, choć nie wiedziała jaki, a córka udawała, że nie wie, o co chodzi, w związku z czym dostała lanie.

Dziewczyna uciekła na podwórko, do miejsca, z którego zabrano Rudego. Zastanawiała się, czy powinna przechować dla chłopaków łopatę. Nie powinna tak leżeć na środku chodnika, ktoś ją jeszcze ukradnie i jak wtedy Rudy skończy swój projekt...

– Potwór, co? – zagadnął Zbyszek, a ona łypnęła na niego z niechęcią. – Jakiś znajomy?

– Czarnoduch – przyznała od razu, przeczuwając, że Zbyszek jej uwierzy.

– Niebezpieczny?

– Nie...

– Złośliwy? – W odpowiedzi Baśka zaczęła bardzo dokładnie oglądać swoje paznokcie. – Musimy z nim pogadać.

– On się tak tylko wygłupiał! Gdyby Julka chwilę poczekała, przekonałaby się, że jest niegroźny!

– A ta mała?

– Jest mała i głupia.

Przez chwilę siłowali się na spojrzenia. Baśka poddała się pierwsza, bo mierziło ją patrzeć na tego dziwaka.

– Umiesz go przywołać?

Dziewczyna była obolała i zmęczona. Chciała, by kuzyn dał jej spokój, z drugiej jednak strony czuła złość na Czarnoducha. Nie dość, że wystraszył Julkę, to jeszcze przez niego matka strasznie na nią krzyczała i złała potężnie, aż Baśka czuła się cała sztywna. Pomyślała,

że Zbyszek na pewno nie będzie się bał i dogada duchowi lepiej niż ona. Zgodziła się więc na plan – przywoła Czarnoducha i rozmówi się z nim, a kuzyn pozostanie w ukryciu, by rozeznać się, z czym ma do czynienia, i dołączy do dyskusji, gdy będzie miał gotową kwestię. Dodatkowo jeszcze mężczyzna wyrysował na ziemi jakieś bohomyzy, nakazując Baśce, by na nich nie stawała.

– Czarnoduchu! – zawołała, uderzając pięścią w cegły.

Duch wypęłzył z ciemności w kącie, prychając i powarkując, co oczywiście nie zrobiło na dziewczynie żadnego wrażenia.

– Ależ mi się dziś udały dowcipy, prawda?

– Czemu to zrobiłeś?

– Bo taka jest moja natura. – Uśmiechnął się szeroko. – Istnieję, by straszyć. Dlatego zawsze możesz na mnie liczyć.

– Julka to moja najlepsza przyjaciółka! Musisz ją przeprosić.

– Czemuż miałbym to zrobić? Wbrew mej naturze? A tobie na co ta przyjaciółka potrzebna? Jest w końcu człowiekiem, a skoro nie podoba ci się to, co ja robię, to pomyśl, jaką paskudną naturę mają ludzie. Nie rozumiem, czemu próbujesz zachowywać się według ludzkiej natury. – Zrobił krok do przodu i spojrzał na symbole na ziemi. Pazurami rozdrapał krawędzie kręgu, a następnie obszedł go bokiem. – Ludziom nie można ufać... Nie rób takiej miny, nie lubię, kiedy się złościsz. Za to jak byłaś wystraszona... To mi się podobało! Ha, w końcu cię wystraszyłem! Jaką masz piękną twarz, gdy się boisz, taka trwoga!

– Nigdy się ciebie nie bałam!

– A kiedy cegła spadła? Oj, to był prawdziwy strach, umiem go wywahać.

Oczy Baśki rozszerzyły się z niedowierzaniem.

– Ty to zrobiłeś?!

– A nie dokuczali ci? Nie byli dla ciebie paskudni? Zasłużyli sobie na porządne straszenie.

Nim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć, Zbyszek wyskoczył zza rogu. Wiedział, że duch zniszczył jego pułapkę, miał jednak nadzieję, że nie umknie przed wystarczająco szybkim atakiem. Sztylet załśnił w ciemnym przejściu, po czym przeszedł przez cień jak przez powietrze. Mężczyzna odbił się od ściany i odskoczył na bezpieczną pozycję.

Spojrzał rozczarowany na magiczną broń – rzadko się zdarzało, by go zawiodła.

– Baśka, słabe punkty, szybko!

Zawahała się, wciąż czując przywiązanie do Czarnoducha i nie mając czasu w pełni zrozumieć sytuacji. Działo się zbyt dużo, zbyt szybko. Tymczasem Czarnoduch uśmiechnął się tak szeroko, że jego zęby widoczne były prawie dookoła całej głowy.

– Myślałeś, że mnie tak zaatakujesz z zaskoczenia? Potrafię cię wywachać z daleka, tak przesiąkłeś smrodem zabitych duchów, potworów i demonów. Nawet Basia to czuje.

Dziewczyna spojrzała zszokowana na Zbyszka. Zupełnie już nie wiedziała, co się dzieje. Mężczyzna chciał jej coś powiedzieć, a wówczas Czarnoduch wykorzystał szansę i skoczył na przeciwnika.

– Matko Boska!

W przejściu pojawiła się starsza kobieta. Czarnoduch skurczył się gwałtownie, słysząc jej okrzyk. Kiedy wykonała znak krzyża, zaczął się wić i jęczeć. Tym razem to Zbyszek złośliwie się uśmiechnął. Magiczne istoty negatywnie reagujące na symbole chrześcijańskie były zawsze łatwiejsze do pokonania. Szybkim ruchem ręki sięgnął do tyłu, by wyciągnąć z jednej z wielu przegródek plecaka najwykleszy w świecie plastikowy spryskiwacz do kwiatów, tyle że wypełniony święconą wodą.

Cień zaczął już wnikać w szpary w ścianie, Zbyszek spryskał więc w pierwszej kolejności właśnie to miejsce. Czarnoduch syknął z bólu i wycofał się. Kolejne pryśnięcie trafiło go w oczy. Skurczył się jeszcze bardziej, do ciemnej, wijącej się z bólu plamy. Zbyszek szarpnął za wiszący na szyi krzyż, który zdążył się splątać z innymi amuletami. Zerwał łańcuszek i uniósł chrześcijański symbol wysoko w górę.

– Boże, Ojczy Wszechmogący... – rozpoczął egzorcyzmy.

– Do niego nie wolno tak mówić! – zaprotestowała Baśka, łapiąc kuzyna za rękę trzymającą krzyż.

Czarnoduch natychmiast skorzystał z okazji i skoczył do najbliższej studzienki kanalizacyjnej.

– Gratulacje – sarknął z ironią Zbyszek. – Może następnym razem rzuci cegłówkę tobie na głowę, to zmądrzejesz.

– To mój przyjaciel! Na pewno nie chciał nikogo skrzywdzić, on tylko lubi straszyć ludzi! Nie rozumie, że takich rzeczy nie wolno, ale ja mu wytłumaczę...

– A co z twoim drugim przyjacielem, który może od tego straszenia umrzeć?

Chciała zaprotestować, ale tylko zacisnęła usta w linię, a dłonie – w pięści. Zrozumiała, że Zbyszek od początku miał rację, a ona była naiwna i głupia. Czarnoduch nigdy jej nie skrzywdził, nie wierzyła więc, by mógł to zrobić komukolwiek innemu, ale on się przecież przed nią nigdy nie ukrywał, nie kłamał... Wiedziała, czym był, tylko udawała, że jest inaczej. Przez nią Rudemu stała się krzywda. Była zła i na siebie, i na Czarnoducha. Jednak najbardziej ze wszystkich nienawidziła w tej chwili swojego kuzyna, który śmiał tak nagle wkroczyć w jej życie, wytknąć błędy i głupotę, o zasmuceniu taty nie wspominając.

– A ty jesteś mordercą! Idź sobie! Zostaw mnie! – wykrzyczała mu w twarz i uciekła.

Zbyszek westchnął z irytacją. Nigdy nie radził sobie dobrze w rozmowach z dziećmi. Dlatego od początku wołał rozmawiać z jej ojcem – ale w sprawie ducha nie miał wyboru. Zresztą to wobec Grzegorza czuł współczucie i to jemu, jako członkowi rodziny, tak się starał pomóc. Baśka... Sądząc po tym, co się wydarzyło, być może nie była warta ratowania.

Obejrzał się jeszcze na staruszkę, która przysiadła na schodach do klatki i z trudem łapała oddech, próbując wyjaśnić sąsiadowi, co się wydarzyło. Zbyszek zdecydował się zniknąć, zanim zostanie nieopatrnie wzięty za to wielkie, czarne i straszne w bramie, które tak przeraziło kobietę.

\*\*\*

Baśka doszła do wniosku, że chwilowo nie chce wracać do domu. W pierwszej kolejności chciała odwiedzić swojego dobrego kolegę Maćka, ale pod nawiedzonym przez niego kamieniem akurat stała grupka mężczyzn. Gawędzili, śmiali się i nic nie wskazywało, że planują odejść, a przecież Baśka nie będzie gadać z duchem przy obcych, jeszcze ją wysmieją. Postanowiła więc pójść w jedyne miejsce, gdzie

mogła swobodnie z kimś porozmawiać – na cmentarz. Problem polegał na tym, że duchy niechętnie wychodziły w środku dnia, zwłaszcza słonecznego. Sprawiało to, że znacznie częściej widywała się z nimi późną jesienią i zimą. Wiosną z każdym dniem coraz trudniej było jej znajdować wymówki, by móc po zmroku wyjść z domu, latem zaś zwykle przymusowo rezygnowała z wizyt w nekropolii. Tegoroczny wrzesień był zaś bardzo ciepły i słoneczny. Baśka spojrzała na zegarek. Na pewno nie zamierzała czekać do zmierzchu. Trudno, coś wymyśli.

Podeszła do jednego z grobów, który stał pod rozłożystym drzewem, rzucającym cień na płytę. Rozejrzała się najpierw, czy nikt jej nie widzi, a następnie kopnęła kilkukrotnie w nagrobek. Duchy nie lubiły dnia, ale niektóre jeszcze bardziej nie cierpiały samotności.

Spomiędzy szczelin nagrobka wydobył się czarny ni to dym, ni to płyn. Przypominał trochę substancję, z której zrobione było ciało Czarnoducha, ale był bardziej przezroczysty i lekki.

– Panienska Basia! – Duch człowieka o imieniu Zygmunt przysiadł na ławeczce pod drzewem. Uniósł do góry dłoń, niby to osłaniając oczy przez słońcem, mimo że po pierwsze, siedział w cieniu, a po drugie, nie miał fizycznych oczu. – A cóż to za wizyta w taką brzydką pogodę? Towarzystwo nam się nie zbierze.

– Potrzebuję pomocy! Chodzi o Czarnoducha i...

– Ach, kto by się przejmował tym urwisem! Lata po mieście, zaczepia ludzi jak jakiś upiór! Porządne duchy wiedzą, gdzie jest ich miejsce. A teraz, skoro już tu jesteś, chyba ci ostatnio nie skończyłem opowiadać o pewnym moim pacjencie, zupełnie był jak Czarnoduch, nieroztropny zawadiaka, dopóki nie trafił na szpitalne łóżko...

Zygmunt wychodził na powierzchnię o prawie każdej porze dnia i nocy, gdyż był duchem niezwykle gadatliwym i wyraźnie rozczarowanym, że przyszło mu zginąć głupio w wypadku samochodowym, nim stał się sławnym chirurgiem naczyniowym. Żal za straconą karierą miał zwyczaj tłumić opowiadaniem o swoich triumfach i Baśka była przekonana, że jedną połowę historii ubarwiał, a drugą zwyczajnie zmyślał. Lubiła odwiedzać go, gdy nie miała nic lepszego do roboty – wówczas mogła siedzieć i słuchać jednej opowieści za drugą. Jednak tym razem to ona potrzebowała się wygadać... Gdyby nie słońce,



mogłaby przywołać innego ducha, a tak musiała się jakoś przebić przez trajkotanie Zygmunta.

– Doktorze! – zawołała, bo gdy zwracała się do niego tym tytułem, on zwykle zwracał uwagę na nią. Poczowała mrowienie w palcach, gdy spróbowała złapać za widmową dłoń. – Czarnoduch zrzucił Rudemu cegłę na głowę i wtedy Zbyszek próbował go egzorcyzmować, i ja...

– Powoli, panienko, powoli. – Uciszył ją gestem ręki. – A któż to jest ten Rudy?

– Mój przyjaciel! Czarnoduch zrzucił na niego cegłę i teraz się boję, co z nim będzie!

– Hm, no cóż, trauma to nie moja dziedzina, ale nie martwiłbym się nim zbytnio. Jeśli wydobrzeje, zobaczysz go w domu, jeśli zaś nie – odwiedzi go tutaj. Idźmy dalej – kim jest Zbyszek?

– Mo... – Baśce usta drżały i zająknęła się z przestachu, bo słowa Zygmunta wcale jej nie pocieszyły. Nie chciała, by Rudy stał się duchem! Rozmówca zaczął ją poganiać, odsunęła więc na bok ponure myśli i odparła: – Moim kuzynem.

– I egzorcystą? Może to ksiądz?

– Nosi krzyżyk, ale...

– Na pewno ksiądz. Nie ufaj za nic tym szarlatanom. Miałem takiego pacjenta...

– Ale inne symbole też ma. Widziałam, jak mu na szyi wisi cały taki pęk. – Pokazała wielkość dłonią zaciśniętą w pięść.

– Tak, w takim razie... – Gdyby duchy mogły zblednąć na twarzy, Zygmunt byłby w tej chwili biały jak prześcieradło. – Dziewczyno, sprawdzisz na nas wszystkich nieszczęście! Przecież to łowca! Wiesz, co oni robią z duchami? Wypędzają! I nikt nie wie dokąd! Nie chcę mieć z tą sprawą nic wspólnego. – Zaczął wsiąkać z powrotem w płytę nagrobną.

– Poczekaj! Dalej nie wiem, co mam zrobić!

– Wracaj jak najszybciej do domu, nie masz czasu do stracenia.

– Kiedy mama jest na mnie zła. Muszę poczekać, aż jej choć trochę przejdzie.

– Co ty za bzdury, dziecko, opowiadasz! Przestań się wygłupiać i biegać po cmentarzach, raz-dwa wracaj do matki, przy niej będziesz bezpieczna! – krzyknął jeszcze na pożegnanie i zniknął.

Baśka zacisnęła dłonie w pięści. Złapała gałąź i zaczęła nią okładać nagrobek, wściekła na Zygmunta, że nigdy jej nie słuchał i nie potrafił nic poradzić. Gdyby choć na chwilę przestał gadać, wiedziałby, że najbezpieczniej czuła się z ojcem. Zaczęła rzucać kamieniami także w okoliczne groby w nadziei, że ściągnie uwagę innego ducha. Tak bardzo chciałaby porozmawiać z panią Stanisławą albo Genowefą – były to dusze ponure, zawsze czarnowidzące i narzekające, ale dzięki temu doskonale też słuchające żali dziewczyny. Potrzebowała ich milczącego wsparcia.

Żaden duch nie wyszedł jednak bronić swej siedziby, a dziewczyna musiała w końcu rzucić się do ucieczki, bo odwiedzający parę alejek dalej groby mężczyzna zaczął krzyczeć w jej stronę i wyzywać od satanistów.

\*\*\*

– Znalazłeś? – zapytał nerwowo Grzegorz, ledwo Zbyszek przekroczył próg.

Łowca rozejrzał się po mieszkaniu – chwilowo opustoszało, ale nie mieli dużo czasu, nim rodzina zbiegnie się tradycyjnie na obiad. Wyciągnął w pośpiechu mapę i rozłożył ją na stole.

– Tak. Niestety nie znalazłem powiązania między rzekomo zapadłym miastem a tym, co się teraz dzieje. Naprawdę się starałem, ale teraz musimy już przestać marnować czas. Zwłaszcza po tym, co się dzisiaj stało. Nie przerywaj – syknął, być może trochę zbyt ostro, ale chciał mieć tę rozmowę już za sobą. – Wysłuchaj mnie do końca. Miejsca zaznaczone na czerwono to budynki, które się zapadają, ale inaczej niż reszta miasta, nie w sposób naturalny. Wisi nad nimi... Obca energia, cień. Próbuje pochłonąć te miejsca.

– Skąd to wiesz? – zapytał z powątpiewaniem Grzegorz.

– Na tym polega moja praca – parsknął niecierpliwie. Wyjaśnił bardzo pokrótce metodę patrzenia kątem oka, choć nie spodziewał się zrozumienia.

– Ale co to ma wspólnego z nami? Może trzeba jakoś połączyć te punkty? Znaleźć środek?

– Już próbowałem – wskazał na różowe linie – ale nie układają się

w żaden sensowny kształt, koło, pentagram, nic. Na wszelki wypadek sprawdziłem miejsca na przecięciach i też nic.

– To może jakiś inny element wspólny? – Ojciec Baški zmarszczył brwi, próbując rozszyfrować zapiski. – Hm, to jest nasz blok, to jest szkoła, a to tutaj...

Jego palec zatrzymał się na domu sąsiadów Lewandowskich. Grzegorz wyraźnie spochmurniał. Zaczynał dostrzegać zależność.

– Tam mieszka emerytowana nauczycielka Baški... Dzieciaki czasem do niej zagląдают. To dobra kobieta, kocha dzieci. Czasem upiecze im ciasto, pozwoli się pobawić w ogrodzie...

– A tutaj? – Zbyszek szybko wskazał kolejne miejsce.

– Piekarska? Nie, nie kojarzę zupełnie.

Zbyszek nerwowo obrócił mapę w swoją stronę, przyjrzał się drobnym zapiskom, trudnym do odczytania na tle kolorowej mapy.

– Kamień Macieja Spyry. Baška rozmawia z duchami.

– Przecież ona nie mówi tego poważnie, to tylko dziecięca fantazja!

– À propos tego, powinieneś ją spytać, co się przydarzyło temu chłopakowi, co to leży w szpitalu... Ale nie odchodźmy za daleko od tematu: to są wszystko miejsca, w których najczęściej pojawia się Baška. Ziemia pod nią się zapada.

– Nie, to nie tak. – Grzegorz wyrwał mu mapę. – A te inne miejsca? – zapytał, natychmiast odwracając wzrok od znajomej przychodni. – A te na niebiesko?

– To są pieczęcie, teraz to nieważne. Posłuchaj mnie. Byłem przed wakacjami na prostowaniu szkoły. Baška też tam była, wtedy pierwszy raz ją zobaczyłem... Miała podobny rodzaj energii wokół siebie. I rozmawia z duchami, jest w jakiś sposób połączona z...

– Basia nie jest złym dzieckiem!

– Nie mówię, że jest zła, ale jest inna. I powoduje przechył.

– Nie masz na to żadnych dowodów. – Grzegorz rzucił ze złością mapę na stół. – Ja też mogę sobie pozaznaczać dowolne miejsca i powiedzieć, że coś w nich widzę czy tam wyczuwam.

– Zabrałeś ją. Zabrałeś ją spod ziemi, chociaż wiedziałeś, że nie powinieneś, a teraz nie chcesz przyjąć konsekwencji do wiadomości.

– To tylko dziecko!

– To niczego nie zmienia! Przez ciebie to miasto się zapada i musisz to naprawić!

– Co niby mam zrobić? Zaprowadzić ją z powrotem do kopalni?!  
– krzyknął z desperacją, w końcu wprost potwierdzając podejrzenia łowcy.

W drzwiach wejściowych zazgrzytał zamek i do środka weszła Maria. Zbyszek zwinął szybko mapę. Ulżyło mu, ponieważ w końcu powiedział to, co powinien. Miał wrażenie, że wcześniej zachowywał się jak ktoś inny, sentymenty przyćmiły jego rozsądek – a łowca musiał być zdecydowany. Wymienili się z Grzegorzem bojowymi spojrzeniami, kobieta nie zwróciła jednak uwagi na napiętą atmosferę, zmęczona uspokajaniem Jagody i ciężką rozmową ze szwagrem.

Zjawili się też Łukasz i Karol, którzy – bezbłędnie rozpoznając nastrój matki – wyciągnęli piwo z lodówki i rozsiedli się przed telewizorem, zakładając, że jak nie dostaną obiadu, to chwilę posiedzą i pójda. Zbyszkowi nie podobał się ten tłum i już miał powiedzieć, że wychodzą z Grzegorzem szukać Baśki, gdy dziewczyna sama się odnalazła. Nie doczekawszy się pocieszenia u duchów, płatała się jeszcze jakiś czas po okolicy, ale nie wiedząc, co dalej ze sobą zrobić, wróciła do domu. Z oczami zapuchniętymi od płaczu, zagubiona i obolała, podeszła niepewnie do ojca, bojąc się, że Zbyszek opowiedział mu o wszystkim i tata już jej nie kocha...

Grzegorz jednak przyciągnął ją do siebie i utulił mocno wielkimi, szorstkimi dłońmi, które z niepasującą do nich czułością głaskały czarne włosy dziecka. Baśka zanurzyła się w jego ramiona jak w ciepły koc; w końcu poczuła ulgę. Spojrzała ponad jego ramieniem na matkę, zastanawiając się, czy mogłaby za radą Zygmunta podbiec i do niej, wtulić się w nią i poczuć bezpiecznie.

– Basia, kurcze zetrzyj! – zawołała Maria, przerywając rozmyślenia córki.

– Brzuch mnie boli.

– Nie wymyślaj! Tylko szuka wymówek od roboty.

– Naprawdę! Źle się czuję.

– Nie obchodzi mnie to. – Maria zaczęła szukać czegoś po szafkach, w końcu westchnęła ciężko i poszła do łazienki. – A co to za syf?

Myślisz, że kto to będzie po tobie prał? Ja?

Ku przerażeniu Baśki kobieta uniosła w górę jej poplamione majtki. Dziewczyna przez zamieszanie z Czarnoduchem kompletnie o nich zapomniała, a zamierzała je przeprać w umywalce i schować przed matką. Teraz zaś zostały wywleczone na światło dzienne, pokazane wszystkim. Znowu zrobiła wszystko źle!

– Uuu, nasza siostrzyczka rośnie na kobitkę! – zakpił Karol.

– Baśka, kobieta to musi być dyskretna! – wtórował mu Łukasz. – Trzeba chować takie rzeczy przed chłopami, bo żaden cię nie zechce.

– No, chłopakom to tylko czyste majteczki pokazywać, koronkowe!

Kolejny raz zawstydzona i poniżona Baśka czuła, jak rumieniec piecze jej policzki. A przecież Julka obiecała, że teraz będą ją traktować poważnie, jak dorosłą! Nie potrafiła sobie wyobrazić, by po czymś takim bracia mieli kiedykolwiek odnosić się do niej z szacunkiem lub wciągnąć w swoje sprawy, o co się zawsze starała.

– Nienawidzę cię! – wykrzyknęła do matki. – Nienawidzę was wszystkich!

Nim Maria zdążyła odpowiedzieć, wszyscy poczuli drgnięcie. Nie mocne, ale jednak wyraźne. Moneta leżąca na regale zsunęła się za krawędź i upadła na podłogę. Łagodne pęknięcie na ścianie rozszerzyło się, rozlało po ścianie jak spływająca woda. Zbyszek miał wrażenie, że coś słyszy, jakieś odległe wołanie, ale nie rozpoznał słów.

Grzegorz pobałdł; co jednak gorsze – posmutniał. Baśka spuściła głowę, czując się temu winna, choć sama nie była pewna dlaczego.

– Już dobrze. To nie szkodzi – zapewnił z czułością, ale zabrzmiała w niej też nuta wątpliwości. Baśka wyczuła ją, choć udała, że wcale jej nie zauważyła.

– Właśnie, że szkodzi! Nie da się w tym domu wytrzymać! – skomentowała Maria. – I jeszcze ta gówniara takie niespodzianki mi zostawia! Kto zapłaci za nowe gacie? Jak dla mnie możesz chodzić bez!

Wyrwała córkę z bezpiecznych objęć ojca. Grzegorz patrzył ze smutkiem na szamotaninę, próbując bezskutecznie interweniować, kiedy kobieta szarpała dziewczynę za ramię, a w końcu wymierzyła jej siarczysty policzek.

– Wystarczy! – To zniecierpliwiony Zbyszek postanowił

powstrzymać furię Marii. Żenowały go chichoty mężczyzn i krzyki ich matki, a poza tym bał się konsekwencji przemocy wobec Baśki. Nie chciał, żeby dach zawalił się tej bandzie idiotów na głowy. Jednego Grzegorza było mu trochę żal, bo wyraźnie chciał jakoś zareagować, ale nie potrafił się przebić przez harmider i zapanować nad własną żoną. Czemu w zasadzie Zbyszek im pomagał...? No tak, rodzina.

Kobieta spojrzała na niego gniewnie, bo śmiał podnieść na nią głos, ale też ze zmieszaniem, że przy obcym – co prawda członkiem rodziny, ale jednak – poniosły ją nerwy. Przestała bić Baškę, która uciekła od razu w ramiona ojca.

– I co z tą wodą?! – krzyknęła trochę zbyt piskliwie, ze zdenerwowaniem. Skryła się w kuchni, nikogo nie przepraszając.

– Nic ci nie jest? – zapytał córkę Grzegorz.

– Nic! – odpowiedziała dzielnie.

Ojciec otarł jej łzy z twarzy. Chwilę szeptał pocieszające słowa do jej ucha, po czym zaproponował, by poszła do sypialni odpocząć. Wbrew pozorom żony było mu tak samo żal jak Baśki. Kolejne dziecko pojawiło się w ich życiu zbyt późno i Maria – zmęczona odchowaniem trzech synów – nie miała już siły ani cierpliwości na kolejnego niemowlaka. W zdominowanym przez mężczyzn domu nie nauczyła się też delikatności, która przydałaby się w podejściu do dorastającej dziewczynki. Żałował, że nie potrafił ich ze sobą pogodzić.

– Czy to jest wystarczający dowód? – szepnął Zbyszek, wskazując na pęknięcie na ścianie. – Moment, w którym to się stało? Krzyknęła i dom zadrżał. A będzie tylko gorzej, zwłaszcza teraz, gdy zaczyna się rozwijać. Zaczyna dorastać i jej siła też będzie rosnąć, zawsze tak jest.

– Porozmawiam z nią, uspokoję – zapewnił Grzegorz. – Jutro zrobimy to, co trzeba.

– Tata, idziesz z nami na piwo? – zapytał Łukasz, zgniatając pustą puszkę. Wyraźnie zaczął się nudzić, gdy tylko ustała awantura.

– Chciałbym spędzić wieczór z córką – powiedział Grzegorz ni to do Zbyszka, ni to do synów.

Łowca chciał zaprotestować, ale przygnębienie w głosie mężczyzny sprawiło, że znów się zawahał. Mógł poczekać jeden wieczór; w końcu uspokojenie Baśki, zanim wyjaśnią jej całą historię, było dobrym

pomysłem. Lepiej, żeby nie zareagowała zbyt gwałtownie. Wolał też, by Grzegorz z nim współpracował, bo wtedy wszystko przebiegnie sprawniej, nie będzie musiał porywać Baśki i samemu płatać się po zamkniętej kopalni... Niechętnie, ale przytaknął kuzynowi. Niech ma ten ostatni wieczór, jeśli sprawi to, że jutro rzeczywiście odprowadzi Baškę do domu.

\*\*\*

Baška nie płakała. Nie miała już na to siły. Z jednej strony zamarzwała się o Rudego i obwinała, z drugiej czuła się poniżona jak nigdy w życiu. Za dużo się też tego dnia wydarzyło i jej mózg zdawał się puchnąć w czaszce, próbując wszystko to przeanalizować. Popadła w odrętwienie; nie zareagowała nawet, gdy tata przysiadł obok niej na łóżku.

Siedzieli w milczeniu i dziewczyna zaczynała stopniowo się rozluźniać, pochtaniać promieniujący z ojca spokój i łagodność. Przetarła czerwone, piekące oczy i oparła głowę na jego ramieniu. Tymczasem Grzegorz zastanawiał się, co ma powiedzieć. Nie miał doświadczenia w kobiecych sprawach i krępowało go to tak samo, jeśli nie bardziej, niż Baškę.

– Jesteś teraz kobietą...

– Nie chcę.

– Hm, no tak – jęknął, jeszcze bardziej zagubiony. – Dobrze. Jeszcze przez chwilę nie musisz nią być. Na razie możesz być dalej moją małą Basią.

– Ale na barana już mnie nie będziesz nosił...

– Nosiłbym cię, gdybym miał siłę, ale się starzeję. To nie twoja wina.

Poczuła zalewającą ją falę przyjemnego ciepła, jak kiedy zimą wracała z mroźnego podwórka do domu. Tak, to nie była jej wina. Skoro tata tak mówił, to tak musiało być. A może inne rzeczy też wcale nie byłyby jej winą, gdyby o nich opowiedziała?

– Poza tym dla mnie zawsze będziesz moją małą córuchną, nawet jak już urośniesz większa ode mnie – zapewnił, obejmując ją ramieniem. Baška uśmiechnęła się na tyle, na ile zdrętwiałe od płaczu i uderzenia matki mięśnie twarzy pozwalały. – Dlatego lepiej by było, jakbyś o tych dorosłych sprawach porozmawiała z nauczycielką albo pielęgniarką...

– Rozmawiałam z Julką – odpowiedziała szybko, by zamknąć temat.

Jednocześnie zdała sobie sprawę, że nic z tego, co powiedziała Julka, tak naprawdę jej nie rozweseliło. Zrobiło jej się lepiej, bo Julka próbowała pomóc i Baśka to doceniała, ale miała wrażenie, że w kwestii dorastania za nic się z Julką nie rozumiały. Ta świadomość zapiekła ją boleśnie. Do tej pory dogadywały się w każdej sprawie... Choć o Czarnoduchu wcześniej jej nie powiedziała, nauczona, by nie chwalić się znajomościami z duchami. Wystraszyła się, że jeśli nie potrafiła być całkowicie szczerą z najlepszą przyjaciółką, jeśli trzymała przed nią sekrety, to tak naprawdę nikogo na świecie poza tatą nie miała. Ogarnął ją gwałtowny lęk przed utratą także jego i wtuliła się mocniej w ojca.

– To dobrze... W takim razie wszystko będzie dobrze – obiecał, zadowolony, że jednak nie będzie musiał tłumaczyć rzeczy, których sam za dobrze nie rozumiał. Zdążył się rozluźnić, nie wiedząc, że Baśka ma dla niego znacznie trudniejsze pytanie.

– Tato, czy jestem adoptowana?

– Nie – zapewnił szybko i w panice, czego natychmiast pożałował. Może powinien podejść ostrożniej do tego tematu, zacząć już tłumaczyć sytuację, skoro temat sam wypłynął? Technicznie nie była to jednak prawda i potwierdzenie byłoby takim samym kłamstwem, jak zaprzeczenie. Co jednak miał powiedzieć? *Znalazłem cię? Zabrałem? Skłamałem, że jesteś moja?* To by ją kompletnie zszokowało, a Baśka wyglądała, jakby nie dała rady przyjąć tych wszystkich rewelacji. Potrzebowała snu. Wytłumaczy jej to wszystko jutro, tak jak obiecał, ale dziś musiał dać jej wypocząć.

– Chłopcy nazywają mnie Znajdą. Mówią, że mnie znalazłeś w kopalni.

Zaskoczyła go jeszcze bardziej. Do tej pory sądził, że uchronił ją przed plotkami. Ludzie gadali, ale głównie gdy była jeszcze mała i nie rozumiała nic z tego, co się dzieje dookoła. Sąsiedzi patrzyli krzywo na Marię, dziwiąc się, czemu rzekomo ukrywała ciążę, daty im się nie zgadzały, ktoś na kopalni widział Grzegorza z zawiniątkiem... Był jednak pewien, że sprawa rozeszła się po kościach – przecież wersja z niemowlakiem znalezionym pod ziemią była zbyt nieprawdopodobna.



– Wiesz, no, mówią... – Zastanawiał się, co powiedzieć, by bezpiecznie przenieść ten temat na następny dzień, gdy sobie o czymś à propos chłopaków przypomniał: – Basiu, ta sprawa z Jankiem... Podobno jakiś duch był w to zamieszany?

Baśka zawahała się, ale tylko na chwilę. Jemu zawsze mogła powiedzieć prawdę.

– Nie uwierzysz mi – zastrzegła jeszcze na wszelki wypadek.

– Córuchna, zawsze ci wierzę – zapewnił.

– To był Czarnoduch, taki duch, co lubi straszyć. Zbyszek też go widział.

Gdy opowiadała mu wszystko, Grzegorz robił się coraz bielszy na twarzy. Przyciągnął do siebie córkę i zaczął głaskać ją po włosach. Tym razem jego ruchy były trochę za gwałtowne, trochę za mocne. Przypadkiem szarpnął ją za kosmyk, przeprosił, ale myślał o czymś innym. Wiedział, że Basia celowo nie chciała skrzywdzić przyjaciela, ale fakt, że w ogóle знаła tę nadprzyrodzoną istotę, przerażał go. Zrozumiał, że wokół nich dzieje się wiele rzeczy, których kompletnie nie rozumiał – Janek leżał w szpitalu w ciężkim stanie wcale nie w wyniku wypadku, ściany w ich domu pękały wcale nie przez kopalnię... A o czym nie wiedział? Zbyszek miał rację – Grzegorz nie chciał dostrzec konsekwencji swego czynu. Cóż on najlepszego zrobił... I co musiał zrobić teraz?

Basia ziewnęła. Jej ojciec natychmiast wykorzystał to do zmiany tematu i ułożenia jej wcześniej spać. Zapewnił jeszcze raz, że zawsze będzie jego kochaną córuchną. Chciał, by to zapamiętała.

– Opowiesz mi coś na dobranoc?

– A co chcesz? – zapytał, lekko zdziwiony, bo już od dawna nie opowiadał bajek przed snem.

– O tym, jak się miasto zapadło pod ziemię. – Zauważyła, że Grzegorza zaskoczyła ta prośba, więc z ostrożności dodała: – Wcale nie podsłuchiwałam.

Grzegorz uśmiechnął się i ucałował ją w czoło. Zaczął opowiadać. Zaskoczyło go, jak wielką sprawia mu to przyjemność. Przypomniały mu się lepsze, prostsze dni, kiedy Basia była malutka, a on wreszcie miał córeczkę, o której zawsze marzył. To on wstawał do niej nocami,

gdy płakała, i wcale nie uważał tych nocy za trudne, lecz pełne spokoju i ciepła. Zupełnie jak teraz. Cieszył się, że mógł dać Basi jeszcze chwilę dzieciństwa, ostatni moment niewinności. To był dla niej ciężki dzień. Niech się jeszcze przez chwilę niczym nie martwi.

\*\*\*

Ale Baśka oczywiście się martwiła. Wszystkim, co zostało wypowiedziane bez słów, w przerwach, westchnieniach, mocniejszych uściskach. Wierzyła tacie – musiała mu wierzyć – ale wiedziała też, że jest głęboko czymś zmartwiony. Podejrzewała, że Zbyszek ma z tym jakiś związek – w końcu duchy bały się go nie bez powodu. Nie wiedziała, czy powinna naciskać na ojca, drążyć i wypytywać, czy cierpliwie czekać na rozwój wypadków. Nie podobały jej się wiszące w powietrzu tajemnice, ale nauczyła się boleśnie, że ich pochopne zdradzanie może spowodować jeszcze gorsze kłopoty. Martwiła się też Rudym i tym, co sobie o niej myślą bracia; martwiła się, że matka znów na nią naskoczy; martwiła się nawet Jagodą, bo podobno Czarnoduch wystraszył ją tak bardzo, że w nocy nie mogła spać i obsikała łóżko. I bez tego z Jagodą były same problemy; poza tym aż tak źle jej nie życzyła. W drodze do szkoły głowa ją rozboleła od tych wszystkich ponurych myśli, postanowiła więc się od nich odciąć. Musiała skupić się na jednej, najważniejszej w tej chwili rzeczy – pogodzeniu z przyjaciółką.

– Julka! – Wypatrzyła ją na szkolnym korytarzu. Nogi Baśce się trzęsły i serce biło z przejęcia, tak bardzo zależało jej na wyjaśnieniu nieporozumienia. Od wczoraj zdążyła ochłonać i uświadomić sobie, że mimo różnic, Julka dalej była jej najlepszą przyjaciółką. Chciała, by całkowicie jej ufała. I sama potrzebowała kogoś, komu mogłaby zaufać.

– Przepraszam za wczoraj. Naprawdę nie chciałam cię wystraszyć.

– Baśka... – Julka zrobiła znak krzyża. – To był diabeł, sam diabeł. Musisz powiedzieć księdzu.

– Nie, nie, to tylko Czarnoduch. Mój kuzyn go przegonił.

– Będę się za ciebie modlić. – Julka zaczęła się cała trząść i zakryła dłońmi twarz, bo znów zbierało się jej na płacz. – Będę się modlić za twoją duszę.

– Julka, nic mi nie grozi! Tobie też nie, jego już nie ma, Zbyszek go przegonił do kanalizacji.

Chciała przytulić przyjaciółkę, ale ta się odsunęła, odsłaniając twarz – Baśka ujrzała jej wielkie, przerażone oczy, jak u zwierzątka kulącego się przed drapieżnikiem.

– Wpuściłaś go do swojego domu. I Jagódka... Co, jeśli zabrał duszę Jagódki? – Teraz Julka rozbeczała się już na dobre. – Musisz powiedzieć księdzu Markowi, musisz.

Baśka nie wiedziała, co zrobić. Nie mogła dotknąć Julki, bo ta przed nią umykała, nie mogła jej przemówić do rozsądku, bo zbywała wszelkie jej tłumaczenia. Nie mogła też jednak odejść, bo to by była oznaka poddania się. W końcu dziewczynki rozdzielił dzwonek. Na następnej przerwie Baśka nie szukała już Julki, a gdy się przypadkiem minęły na schodach, Julka złapała w jedną dłoń medalik z Matką Boską, który nosiła na szyi, a drugą znów się przeżegnała.

Baśka nie spodziewała się aż tak gwałtownej reakcji i zalała ją fala zupełnie nowych uczuć. Poczucia się nie tylko niechciana, ale wręcz przeklęta. Pomyślała, że Julka postrzegала ją teraz jako coś paskudnego, skażonego. Na lekcjach religii ksiądz ostrzegał przed demonami, ale Baśka nigdy nie pomyślała o Czarnoduchu w ten sposób. Czyżby znowu wykazała się naiwnością? A Zbyszek ostrzegał, że rozmawianie z duchami kończy się tylko problemami. Powróciło poczucie poniżenia. Przypomniała sobie o Rudym, który leżał w szpitalu, i doszło przejmujące poczucie winy. Zamiast na matematykę, pobiegła do łazienki, by tam płakać, płakać tak długo, aż nie zostały jej już żadne łzy. Obraz przed jej zapuchniętymi oczami rozmazał się i nie widziała, jak płytki na podłodze pod nią pokryły się pęknięciami.

Wracając ze szkoły, natrafiła na bujającego się na trzepaku Kubę. Minę miał ponurą, a w jego ruchach był automatyzm wskazujący, że wykonywał czynność odruchowo, bez radości, wyraźnie nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Przystanęła w pewnej odległości, niepewna, czy może podejść do kolegi. Między nimi wytworzyła się jakaś bariera i czuła skrępowanie. To samo, przez które nie spała pół nocy, bo przeszkadzało jej zarówno krwawienie, jak i obecność Piotrka w łóżku obok. Czuła się skrępowana swoją innością, o której nie mogła mu

powiedzieć, a która ich teraz od siebie oddzielała. Panicznie wręcz nie chciała, by wiedział – wystarczyło, że starsi bracia ją wyśmiali.

Tak samo oddzielona czuła się teraz od Kuby, który wciąż był dzieckiem, kiedy ona miała być kobietą, nawet jeśli tata zapewnił ją, że jeszcze może udawać młodszą. Martwiło ją to i nie rozumiała, co to znaczy. Wiedziała tylko, że nie umiałyby teraz złapać nogami za górny szczebel trzepaka i zwiesić się głową w dół, a to sprawiło, że wystraszyła się, że nie umiałyby zrobić też wielu innych rzeczy; rzeczy, które robiła tylko po to, by zaimponować Kubie, by sobie nie myślał, że jest od niego gorsza. By ją szanował. Jak miał ją szanować teraz?

Chciała jednak zapytać o Rudego. Nie miała pojęcia, co zrobili z nim w szpitalu, jak się czuł. Zbliżyła się nieśmiało do trzepaka, a wówczas Kuba zauważył ją i skrzywił się brzydtko.

– To wszystko twoja wina – rzucił i ruszył do domu.

Baśka nie pobiegła za nim. Stała jak rażona piorunem, ale jej myśli galopowały. To nie była jej wina. Nic nie zrobiła. To Czarnoduch... Ale to ją chciał przestraszyć, to ona śmiała się z jego zachowań, zamiast go powstrzymać. To ona była tu obca... Nagle aluzje rzucane przez Czarnoducha nabrały sensu.

Pod blokiem spotkała jeszcze sąsiadkę zajmującą się tymczasowo Jagódką. Dziecko na jej widok rozbeczało się natychmiast i ukryło twarz w spódnicę opiekunki. To już doszczętnie przybiło Baśkę – nawet ta paskuda, od której nigdy nie mogła się opędzić, nagle nie chciała mieć z nią nic wspólnego.

Pobiegła do domu, gdzie czekał na nią tata. Grzegorz, widząc, jak poruszona jest jego córka, pożałował, że wysłał ją do szkoły. Został za to zresztą ostro skrzyczany przez Zbyszka, dla którego było oczywiste, że biorą się od rana do roboty. On na to nie wpadł, nie potrafiąc oderwać się od codziennej rutyny – przecież dziecko musiało się uczyć. Wciąż do niego w pełni nie docierało, że będzie musiał rozstać się z córką, bo powodowała przechył. Brzmiało to zwyczajnie niedorzecznie. Jednak gdy tylko otwierał usta, by zaprotestować i zwyczajnie wygonić Zbyszka, przypominał sobie, że znalazł ją w kopalni. Zawsze wiedział, że była inna, po prostu sam przed sobą tego nie przyznawał.

– Coś się stało? – zapytał łagodnie.

– Julka już mnie nie lubi! – Załkała żałośnie. – I Kuba też nie, i Rudy pewnie też, i nawet mama! A Zbyszek jest paskudny! Nikt mnie nie lubi i... i... Ja tu nie pasuję!

Grzegorz nie zaprzeczył, nie zapewnił, że to nieprawda i że Baśka na pewno pogodzi się z przyjaciółmi. Nie obiecał, że w ich rodzinie zawsze będzie dla niej miejsce. Nie powiedział żadnej z rzeczy, które powinien.

– Kocham cię, córuchno – wyznał zamiast tego czule, przytulając ją mocno i z desperacją. Baśka mu wierzyła, ale wyczuła lęk, który próbował przed nią ukryć, chowając twarz w jej włosy, i też się przeraziła. Przywarła do niego mocniej.

Znów naszły go wątpliwości – czemu miał ulegać naleganiom Zbyszka? Bo parę szafek krzywo wisiało? Spojrzał na Baškę i zobaczył ból w jej oczach. Widział, że jest nieszczęśliwa, ale każdemu czasem zdarza się taki czas, gdy nic się nie układa. Mógł jej pomóc. Mógł wszystko naprawić. A potem sobie przypominał, gdzie ją znalazł...

Rozległo się głośnie, natarczywe chrząknięcie. Zbyszek wychylił się z kuchni i znacząco spojrzał na Grzegorza. Spędził całe przedpołudnie na nerwowym dreptaniu po kuchni, niezadowolony, że musiał czekać na Baškę.

– Mógłbyś nas zostawić samych? Chciałbym jej wszystko wyjaśnić...

– Zwlekaliśmy wystarczająco długo, już ci dałem czas!

– Tak, starczy tych tajemnic! – wtrąciła się sama zainteresowana. – Powiedźcie mi, co się dzieje! Co wy dwaj kombinujecie?

Grzegorz otworzył usta, ale nie wiedział, od czego zacząć. Baśka spojrzała pytająco na kuzyna.

– Twój ojciec zrobił coś strasznie głupiego, a teraz musi to naprawić.

Baśce ulżyło – owszem, było jej też przykro, że tata wpadł w kłopoty, ale cieszyła się, że choć raz nie chodziło o coś, co ona zrobiła.

– A gdybyś już pojechał na miejsce, a ja z Basią przejdziemy się? – kombinował dalej Grzegorz. – Wszystko jej po drodze opowiem.

Zbyszek już chciał zaprotestować, gdy coś sobie przypomniał.

– Czy my w ogóle wiemy, jak się dostać do środka?

– No... Możliwe, że ochrona stoi i wszystko będzie zamknięte...

Zbyszek zaklął szpetnie.

– Dobra, pojedę tam rozeznaczyć się w sytuacji, może znajdę jakąś dziurę w płocie albo nie wiem co. – Był zły, ale nie załamany. Nie pierwszy raz będzie musiał improwizować. – Tylko się pospieszcie.

Baśka ścisnęła mocno dłoń ojca, zniecierpliwiona. Chciała tylko, by nie mieli przed sobą żadnych tajemnic.

\*\*\*

Ruszyli spacerowym tempem, jakby wcale im się do Zbyszka nie spieszyło. Baśka zerknęła na ojca – na jego twarzy było widać wszystkie wewnętrzne rozterki.

– Co takiego zrobiłeś? Gdzie musimy iść ze Zbyszkiem?

– Nie jesteś adoptowana – powiedział, w końcu gotowy wyrzucić z siebie to, co czuł. – Nie adoptowałem cię, ale... Znalazłem. Znalazłem cię małą i bezbronną. Pomyślałem sobie: *Co dziecko robi pod ziemią?* I jakaś część mnie chyba wiedziała, że nie jesteś zwykłym dzieckiem i że nie powinienem... Może naprawdę nie powinienem, ale cię zabrałem. Przepraszam – mówił coraz wolniej, z coraz większym trudem, nie potrafiąc znaleźć odpowiednich słów. Cały ranek zastanawiał się, co powinien powiedzieć, ale w tym momencie w głowie miał kompletną pustkę. – Myślałem, że możesz być moją córką i mogę się tobą zajmować...

– Jestem twoją córką! – zaprotestowała gwałtownie.

– Tak, tak – zapewnił szybko, klękając obok niej. – Zawsze będziesz moją ukochaną córeczką, ale nie powinienem cię zabierać. Pod ziemią jest twoja prawdziwa rodzina, rozumiesz? Może się o ciebie martwią, może twój prawdziwy tata za tobą tęskni. Byłem samolubny, bo bardzo chciałem mieć córkę taką jak ty...

Dziewczyna słuchała go z rosnącym niezrozumieniem. Prawdziwy ojciec? Przecież to on nim był. Prawdziwa rodzina? Miała ją tutaj – braci, mamę, Jagodę. I przyjaciół też... Którzy ją odrzucili. A teraz tata też jej mówił, że jej nie chce. Że powinna wrócić. Nie chciała tego słuchać.

– Powiedziałaś, że mnie kochasz!

– Kocham, ale...

Nienawidziła tego „ale”. Wszystko było kłamstwami. Wyrwała się i zaczęła biec przed siebie.

Zbyszek wsiadł do samochodu zaparkowanego w pewnej odległości od zamkniętej kopalni. Niecierpliwie spojrział na zegarek. Chciał już mieć to wszystko za sobą – był zmęczony kłamstwami. Ze względów strategicznych nie mógł powiedzieć Grzegorzowi o tym, co planuje zrobić z Bašką i jej pobratymcami. Potrzebował jego pomocy w doprowadzeniu dziewczyny do kopalni i znalezieniu drogi pod ziemią. Przede wszystkim jednak nie chciał krzywdzić członka rodziny. Kuzyn z czasem pogodzi się z odejściem Baški, przekonany, że przybrana córka wiedzie szczęśliwe życie. Tymczasem łowca wróci następnej nocy oznaczoną trasą pod ziemię i rozprawi się z ukrytym tam gniazdem istot nadprzyrodzonych. Tak, by żadna już nigdy nie wyszła na powierzchnię niszczyć miasta.

Ponownie zerknął na zegarek. Powinni już tu być. Wybrał numer kuzyna.

– Daleko jesteście?

– Ja... Jestem w domu – przyznał z zakłopotaniem Grzegorz.

Wyjaśnił krótko Zbyszkowi, że Baška mu uciekła i próbował ją odnaleźć. Liczył, że zaprowadzi ją do jej prawdziwego domu i że będzie miał szansę się z nią pożegnać, zanim umożliwi jej powrót tam, skąd pochodziła. Jednak ich rozmowa przebiegła zupełnie nie tak, jak planował. A że był już za stary na pościgi, szybko zgubił córkę. Zgrzany i kompletnie czerwony na twarzy, wpadł do mieszkania. Miał nadzieję, że ją tam znajdzie. Niestety, ani Piotrek, ani matka Basi nie widzieli.

Zbyszek nawet nie pytał o szczegóły. Odsunął na chwilę telefon od ucha, więc przekleństwa rozbrzmiały przytłumione. Odpalając samochód, kazał Grzegorzowi wymienić wszystkie miejsca, w które mogła pójść Baška. Najpierw podjechał po kuzyna, następnie zaś odwiedzili Julkę. Dziewczynka patrzyła na nich wielkimi, przerażonymi oczami – zwłaszcza na Zbyszka – i kręciła przecząco głową na wszystkie pytania. Potem sprawdzili u Kuby, innych dzieciaków, a także w domu starej nauczycielki mieszkającej obok Lewandowskich. Poszli sprawdzić kamień Macieja Spyry, a także okoliczny cmentarz, bo może dziewczyna poszła szukać pocieszenia u duchów.

Nigdzie jednak nie znaleźli nawet śladu Baški. Wsiedli do renówki i ruszyli powoli, licząc na łut szczęścia. Ojciec co jakiś czas wykrzykiwał przez okno imię dziewczyny.

– Gdzie jeszcze? No gdzie? – naciskał Zbyszek, mocno zirytowany, głównie własną głupotą. Gdyby się nie litował, tylko załatwił sprawę po swojemu, nie musiałby teraz biegać za dzieciakiem po całym mieście.

Grzegorz wysiłał się ze wszystkich sił, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

– Może wcześniej o czymś rozmawialiście? Nie wspominała o żadnym miejscu?

– Nie... Wczoraj mówiliśmy o Janku i tych, kobiecych sprawach... A na dobranoc chciała, żebym jej opowiedział o mieście, które zapadło się pod ziemię...

\*\*\*

W pierwszym odruchu Baška chciała pobiec do Julki. To u niej szukała pocieszenia, jeśli z jakiegoś powodu nie mogła pójść z problemem do taty. Tym razem nie mogła jednak liczyć na przyjaciółkę. Pomyślała o starej nauczycielce, do której często zaglądała, ale tam kręciły się inne dzieciaki, a nie miała ochoty się z nimi widzieć. Spojrzała w niebo, ale nie było na nim nawet jednej chmurki, nie było więc sensu odwiedzać cmentarza. Kręcąc się bez celu po Bytomiu, zaczęła dokładniej zastanawiać się nad tym, co powiedział jej tata. Zabrał ją spod ziemi... Co to w ogóle znaczyło? Co tam robiła? Czy naprawdę miała tam inną rodzinę? Miała tyle pytań i żałowała, że ich nie zadała. Mogłaby jeszcze wrócić do domu, ale... Matka nigdy jej nie chciała, Piotrek traktował ją jak powietrze, wiecznie zapatrzony w komórkę, zaś starsi bracia nigdy nie uważali jej za równą sobie i nie lubili jej towarzystwa, przyjaciele za wszystko ją obwiniali, nawet głupia Jagódka nie chciała się z nią bawić... I tata powiedział, że powinna sobie iść; powinna wrócić tam, skąd przyszła.

Powiedział, że ją kocha, ale też że jej więcej nie chce. Nie rozumiała, co to znaczy. Te rzeczy się wykluczały, musiał więc w którejś części kłamać. Czy w takim razie jej nie kochał? Czy też chciał, żeby została? Ale jeśli chciał, by została, to czemu kazał jej odejść?



Usiadła na jakimś schodku, zmęczona własnymi myślami, pozwalając, by staruszki uderzały w nią wózkami, a przechodnie prychnęli z niezadowolaniem. Obcy patrzyli na nią z tą samą niechęcią, co rodzina i przyjaciele. Nie chciała być wśród nich. Zerwała się na nogi i ruszyła pędem.

*Nie ma dla mnie nigdzie miejsca!* – pomyślała z przerażeniem i rozpaczą, biegnąc przed siebie. Zatrzymała się gwałtownie na środku chodnika. *Nie ma dla mnie miejsca na powierzchni...* Było tylko jedno miejsce, w którym mogłaby dostać odpowiedzi na swoje pytania.

Dlatego ostatecznie zdecydowała się ruszyć na poszukiwania krzyża. Według legendy pod ziemią miało znajdować się całe miasto i ta idea bardzo Baśkę zainteresowała. Przypomniała sobie też dziwne słowa Zygmunta. Kazał jej wracać do domu... A co, jeśli chodziło mu właśnie o to podziemne miasto? Tylko czemu nie powiedział jej o tym wcześniej? W głowie zaczynał jej się robić jeden wielki mętlik pytań. Czy pochodziła z tego miasta? Czy wyglądało jak miasto na powierzchni, tylko zamiast nieba było sklepienie? To skąd się brało światło, deszcz czy pory roku? Wyobrażanie sobie podziemnego miasta sprawiło jej przyjemność i oderwało od ponurej rzeczywistości, zwłaszcza gdy pomyślała, że wszyscy mogli tam być tacy jak ona – śniadzi, czarnowłosi i krępi. Może nawet by ją tam chcieli. I Zygmunt powiedział, że z matką będzie bezpieczna... Przeszedł ją dreszcz na samą myśl, co też mogło to oznaczać. Postanowiła na razie nie snuć więcej domysłów, by nie rozbudzać w sobie nadziei.

Grzegorz nie dał Baśce wyraźnych instrukcji, gdzie można znaleźć wynurzający się spod ziemi krzyż, jednak dała radę odnaleźć rzeczną dolinę w lasku. Łaziła w tę i w tę, co chwila zatrzymując się i przekopując trawę butem. Nie była pewna, czego dokładnie szuka ani co chce zrobić, gdy już to znajdzie.

Trochę ją zaniepokoiło, że nigdzie nie widziała żadnego ogrodzenia ani ochroniarzy, o których wspominał Zbyszek. Nie miała pewności, czy trafiła w miejsce, o którym wcześniej rozmawiali dorośli. Postanowiła jednak chwilowo się tym nie martwić, bo samotna wędrówka wśród drzew sprawiła jej zaskakująco dużo przyjemności – chociaż przyzwyczajona była do bawienia się z innymi dziećmi.

W tych okolicznościach samotność była przyjemnie kojąca. Jeśli nie znajdzie krzyża, to trudno, chociaż chwilę odetchnie. Wciągnęła powietrze mocniej do płuc, ciesząc się nowym uczuciem, gdy nagle potknęła się i poleciała jak długa. Jęknęła krótko, bo uderzyła się w brode i obita sobie kolana. Odwróciła się i zobaczyła sporych rozmiarów – dziwne, że go wcześniej nie wypatrzyła – pozłacany krzyż, wystający pod lekkim kątem z ziemi. U podstawy wyraźnie rozpoznała dachówkę, układające się na kształt czubka czworobocznej wieży.

Znalazła go! I kościół był wyraźnie pod spodem! Serce zabiło jej szybciej. Przyłożyła dłonie do ziemi wokół znaleziska i zaczęła ją rozgarniać, ale szybko zdała sobie sprawę, że to bez sensu. Może gdyby miała łopatę... Mogłaby wziąć tę od Rudego! Tylko przyniesienie jej zajmie mnóstwo czasu. Rozejrzała się z desperacją dookoła. Musiało być jakieś sensowne zejście na dół.

Przypomniała sobie opowieść taty. Jeśli wypowiedziało się brzydkie słowa, miasto zapadało się z powrotem. Czy po krzyżu została by dziura w ziemi, przez którą mogłaby wejść do środka? Przez chwilę rozważała takie rozwiązanie, coś sobie jednak przypomniała – inny fragment legendy.

– Panie B...

– Nie! – Zbyszek wypadł zdyszany spomiędzy drzew. Obejrzał się za siebie, ale Grzegorz wciąż przedzierał się przez krzaki w sporej odległości od niego. Wyciągnął dłoń w stronę krzyża i zaklął siarczyście, nic się jednak nie wydarzyło. To nie on potknął się o czubek wieży, nie miał więc nad nim kontroli. – Jak złamałaś klątwę? Po potknięciu... powinnaś...

– Nie używam brzydkich słów – wyjaśniła, unosząc dumnie podbródek. Kiedyś próbowała prześcignąć Kubę w używaniu przekleństw, ponieważ jednak zawsze nieuczciwie liczył punkty, przestała używać ich w ogóle, twierdząc, iż to głupie i dziecinne. Zakłuło ją w sercu, gdy o tym pomyślała, bo choć udawała, że wcale nie, tak naprawdę kochała głupie zabawy z chłopakami. Tęskniła za nimi.

– W takim razie po prostu się cofnij...

– A niby czemu? Tata kazał mi wracać do domu, mojego prawdziwego domu, który podobno jest pod ziemią.

– To nie jest twój dom! To miejsce dotknięte klątwą!

– To miasto pod ziemią i...

– I powinno tam zostać! Jak myślisz, co się stanie, gdy wyciągniesz je na powierzchnię? Co się stanie z miastem, które już tu stoi?

Baśka zawahała się. Nie pomyślała o tym. Zobaczyła ojca, który wydostał się w końcu z krzaków. Również dyszał ciężko, ale oczy mu wesoło rozbłysły na widok córki.

– Córuchna!

– Tato!

– Tak bardzo się o ciebie martwiłem! Już wszystko dobrze. Chodźmy do... – Zdał sobie sprawę, że nie mogą wrócić do domu. Nie dlatego szukali Baśki. Dziewczyna natychmiast wyczuła wahanie w jego głosie.

– Idę sobie! Idę do podziemnego miasta! – odrzyknęła z desperacją.

– Nie rób tego! – warknął coraz bardziej nerwowo Zbyszek. – Mówiłem ci, żebyś nie ściągała na innych kłopotów. Odsuń się od tego krzyża.

– Czy naprawdę miasto się wtedy wynurzy? – zapytał zaniepokojony Grzegorz.

– A skąd mam wiedzieć! Nie mam w zwyczaju bawić się klątwami znalezionymi przypadkowo w lesie! Jednak lepiej będzie, jeśli założymy najgorsze. Zrób coś!

Grzegorz zrobił parę nieśmiałych kroków w stronę córki.

– Basiu, mogę cię chociaż odprowadzić? Jeszcze trochę pamiętam drogę, razem będzie raźniej. Pójdziemy przez kopalnię, tak będzie bezpieczniej.

Dziewczyna być może by się zgodziła, gdyby kątem oka nie dostrzegła ruchu Zbyszka. Sięgnął pod bluzkę, wywlekając na wierzch wszystkie ochronne symbole, ręka zaś zniknęła za plecami i Baśka przypomniała sobie o sztylcie na potwory. Zaciśnęła dłoń mocniej na krzyżu i wezwała Pana Boga na pomoc.

Zbyszek skoczył na nią, odpychając od krzyża, Grzegorz zaś skoczył za nim na ratunek córce. Było już jednak za późno – ziemia pod ich stopami zadrżała, przewracając ludzi, a kościelna wieża zaczęła wynurzać się na powierzchnię. Z początku wielkie zwały wypiętrzyły się do góry i na boki, a brunatne grudy wzlatywały w powietrze,

szybko jednak powstała pustka po zagrzebanym budynku i utworzyło się osuwisko. Grzegorz, który złapał się gzymsu wieży, zrozumiał, że zostanie wyniesiony w powietrze. Zeskoczył z dachu, ale nie utrzymał równowagi i został wciągnięty gdzieś pod kościół. Zbyszek próbował odciągnąć Baškę na bezpieczną odległość, ale stawiała mu opór. Wołała ojca, wyciągając desperacko ręce w jego stronę, choć nie mogłaby go pochwycić.

Dopiero teraz Baška w pełni pojęła skutki swojej decyzji. W przerażeniu przywarła do Zbyszka, nie wiedząc, czego się złapać. Spod ich nóg wyrósł dach i oboje zaczęli się ślizgać na dachówkach. Ledwo złapali równowagę, na dom upadło wyrwane z korzeniami drzewo. Jedna z gałęzi świsnęła Zbyszkowi prosto w twarz. Złapał się za nią w bólu, jednocześnie puszczając komin. Dużo większy konar uderzył go prosto w pierś, ściągając z dachu. Natychmiast zniknęła Baška z widoku. Dziewczyna przywarła do dachówek jak przerażone zwierzątko.

W górę uniosły się i pozostałe budynki – ratusz, karczma, kamienice. A im było ich więcej, tym rozleglejsze stawało się zapadlisko, a kolejne fale wstrząsów rozchodziły się coraz to szerszymi kręgami po całym Bytomiu. Dwa miasta drżały, walcząc między sobą o tę samą przestrzeń. To współczesne przechylało się groźnie, a to legendarne, nieprzygotowane na gwałtowność wynurzenia, zaczęło się rozsypywać. Ściany nie wytrzymały przeciążeń i pękały. Okna i witraże rozbijały się w drobny mak, sypiąc szkłem na Zbyszka i Baškę. Drewniane belki trzaskały jak wykałaczki, ziemia zaś stała się płynna niczym woda, tworząc rwącą, rozlaną szeroko rzekę, spadającą kaskadą w głębiny.

Nie wytrzymała nawet kościelna wieża, choć przecież już tak wiele razy wychylała się na powierzchnię. Runęła w dół, rozorując po drodze ścianę kościoła. Połączany krzyż wylądował do góry nogami, szybko jednak został porwany przez wir i wciągnięty pod fundamenty miasta.

Pył wzbił się wysoko w powietrze, przykrywając wszystko szarą chmurą, budząc noc w środku dnia.

\*\*\*

Zbyszek otworzył jedno oko. Drugie było zbyt spuchnięte. Nos miał zapchany zaschniętą krwią, przecięta warga spuchła brzydko. Łowca leżał chwilę, wpatrując się w wirujący w powietrzu pył. Poruszył ostrożnie palcami najpierw jednej, potem drugiej dłoni, następnie ramionami. Usiadł i odgarnął z twarzy posklejane krwią i błotem włosy. Splunął obficie, próbując usunąć piasek chrzęszczący między zębami. Był cały poobijany i podrapany, ale na szczęście niczego nie połamał – a przynajmniej tak mu się wydawało, dopóki nie spróbował wstać. Przekonał się wówczas boleśnie, że kostkę miał co najmniej skreconą. Złapał długą gałąź i oczyścił ją pobieżnie z liści, by użyć jej jako laski.

Gdzieś spod ziemi wciąż dochodziło ciężkie dudnienie, a w od-dali wyły syreny służb ratunkowych. W mieście musiał panować niewyobrażalny chaos, do epicentrum nikt jednak jeszcze nie dotarł. Panująca dokoła cisza dzwoniła w uszach. Opadający powoli pył odsłonił podziemne miasto, a raczej to, co z niego zostało. Zbyszek nie dostrzegł ani jednego nienaruszonego budynku. Niektóre zawaliły się chwilę po wynurzeniu, gdy pusta przestrzeń pod nimi nie zapełniła się wystarczająco szybko. Inne stały przekrzywione bardziej niż którykolwiek z dotkniętych przechyłem budynków we współczesnym Bytomiu. Strach było na nie patrzeć, bo sprawiały wrażenie, jakby mogły się przewrócić pod ciężarem samego spojrzenia. Jeśli w okolicy znajdowały się jakiegokolwiek mniejsze obiekty, na przykład studnie, zostały całkowicie zmiecione.

Spróbował zawołać Grzegorza albo Baškę, ale tylko się rozkaszał, a wówczas obita klatka piersiowa dała o sobie znać. Zgiął się wpół, próbując zapanować nad bólem i złapać z powrotem oddech. Splunął, wciąż nie mogąc się pozbyć piasku z ust. Pokuśtykał w stronę kościoła, przed którym utworzyła się długa, wąska rozpadlina. Zajrzał do środka w nadziei, że dostrzeże Grzegorza, ale trochę też z ciekawości, co jeszcze może siedzieć pod ziemią.

Tego się jednak nie spodziewał: zobaczył postać wspinającą się do góry. Nie był to jego kuzyn, lecz kobieta. Wystawiła niepewnie głowę ze szczeliny, a słońce natychmiast ją oślepiło. Skrzywiła się, ale złapała za krawędź i podciągnęła wyżej. Nie bez trudu prze-pchnęła szerokie biodra w kolorze ciemnej gliny przez wąski otwór.

W końcu postawiła na ziemi szerokie stopy o dużych, mięsistych palcach. Napięta umięśnione, owłosione łydki i wyprostowała się. Była wyższa od łowcy, potężna, z dłońmi wielkimi jak niedźwiedzie łapy. Poruszała się trochę niepewnie i ociężale. Odgarnęła z twarzy czarne włosy, ciężkie i splecione w kłęby. Otrząsnęła się i grudki ziemi posypały się Zbyszkowi na twarz.

Łowca przyjął pozycję do starcia – na tyle, na ile mógł – ale ona nie sprawiała wrażenia chętnej do walki. Wyglądała raczej na zagubioną. Rękę przyłożyła do czoła, by osłonić oczy. Spojrzała na Zbyszka z uprzejmym zainteresowaniem, kręcąc głową raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby go sobie dokładnie oglądała i oceniała. Wynik tej oceny musiał nie być dla Zbyszka zbyt wysoki, bo kobieta z podziemia po prostu odwróciła się do niego tyłem i ruszyła między ruiny. Przystawała co chwila, rozglądając się uważnie, jakby czegoś szukała. Dzięki temu Zbyszek mógł dotrzymać jej kroku.

Uwagę obojga przykuł charczący odgłos. Odnaleźli Baškę, która klęczała pośrodku gruzowiska, wsparta na rękach, wypływając resztki treści żołądkowej wymieszanej z brudem i pyłem. W końcu opadła ciężko na stertę kamieni, poturbowana i otumaniona. Przymknęła na chwilę oczy, a gdy je otworzyła, zobaczyła nad sobą dwie sylwetki. W jednej rozpoznała Zbyszka, druga zaś przypominała górę, która się nad nią nachylała. Baška podniosła się na łokciach, spojrzała nieprzytomnie na przybyszy, następnie zaś rozejrzała się zdezorientowana dokoła. Stopniowo zaczynała sobie przypominać, co się wydarzyło. Na widok ruin ogarnęło ją przerażenie.

– Zniszczyłam mój dom... – załkała, chowając twarz w dłoniach. – Chciałam tylko zobaczyć, czy ludzie pod ziemią będą mnie chcieli, ale zniszczyłam ich miasto! Wszystko robię źle!

Na włosach poczuła delikatny dotyk wielkiej, ciężkiej dłoni. Skojarzył jej się z ojcem, uniosła więc wzrok, ale zamiast Grzegorza zobaczyła przez łyzy obcą kobietę, która głośno ją nieśmiało i przyglądała się ze zmartwieniem. Nieznajoma zaczęła mówić, coraz śmieiej głaszcząc dziewczynę, wyraźnie starając się ją pocieszyć i próbując do siebie przyciągnąć. Baška odepchnęła ją jednak, bo nie rozumiała nic z dziwacznej mowy. Wystraszyła się też charakterystycznego

mrowienia, które przeszło jej ciało, jakby coś pełzało jej pod skórą i próbowało wydostać się na wolność. Nie wiedziała, czy kobieta jest duchem, czy człowiekiem, a ostatnie wydarzenia sprawiły, że nie potrafiła już nikomu zaufać.

– Powoli, powoli – ostrzegł Zbyszek, bojąc się, co jeszcze za tragedia może się wydarzyć. Głowa go bolała.

Nieznamąca nawet na niego nie spojrzała, skupiona na Baśce. Nie sprawiała wrażenia obrażonej odrzuceniem. Pokiwała wyrozumiale głową i najpierw pociągnęła się palcem za ucho, a następnie przyłożyła dłoń do piersi na wysokości serca. Baśka nie rozumiała tych gestów, ale gdy kobieta zaczęła znów mówić, miała wrażenie, że słucha szeptu albo podsłuchuje przez ścianę – dźwięki były zniekształcone, ale znajome. Nachyliła się do przodu, marszcząc brwi. Pomyślała, że jeśli tylko się skupi, będzie w stanie rozpoznać treść.

Zbyszkowi również zależało na otrzymaniu wyjaśnień – na szybko wymyślił, że mógłby zmodyfikować sprawdzoną technikę niepatrzenia bezpośrednio na magię, lecz dostrzegania jej kątem oka. Starał się nie słuchać kobiety, lecz skupić na odległym wyciu syreny w nadziei, że słowa same nabiorą sensu na granicy słyszalności.

– ...brze zrobiłaś. Złamałaś klątwę. Te budowle nie należą do podziemnego świata, ale do ludzi z powierzchni. Nikt w tym mieście nie mieszkał, trwało martwe, czekając, aż ktoś je uwolni, i ty to zrobiłaś. Dzięki tobie zostało zwrócone prawowitym właścicielom. Bardzo dobrze zrobiłaś...

– Jakim cudem? Powinna rzucić przekleństwo jak wszyscy inni – zdziwił się Zbyszek.

Kobieta sprawiała wrażenie zaintrygowanej faktem, że ją zrozumiał. Baśka rodzimą mowę duchów i bogów nosiła w sobie, wystarczyło tylko rozbudzić jej magiczne instynkty. Ten mężczyzna był jednak inny, był tylko człowiekiem z powierzchni. Zaimponował jej na tyle, by zadała sobie trud odpowiedzieć.

– To przecież ludzka klątwa – odrzekła krótko, jakby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie, i zwróciła się znowu do Baśki. – Dzięki tobie mogłam w końcu wydostać się na powierzchnię. Wynurzyłam się razem z miastem. Nawet nie wiesz, jak bardzo czekałam na ten

moment, jak bardzo za tobą tęskniłam... Latami tworzyłam podkopy, próbując się do ciebie dostać. Przepraszam, że mi się to wcześniej nie udało. Jestem już zbyt słaba, żeby z łatwością przewrócić budynek, ale wierzyłam, że z czasem mi się uda...

– Zaraz, czy ja dobrze słyszę? – znów wtrącił się Zbyszek. – To ty powodowałaś przechył? Nie Baśka?

– Przecież to tylko dziecko – odpowiedziała, nawet nie odwracając się w stronę łowcy. Poglaskała wpatrującą się w nią z niedowierzaniem dziewczynę po policzku. – Biedne, zagubione dziecko. Skąd miałybyś mieć tak wielką moc? Jak mogłabyś jej używać, skoro nawet nie wiedziałaś, kim naprawdę jesteś? A jedyny świat, jaki znałaś, był światem ludzi z powierzchni. Tak bardzo starałaś się do niego dostosować... Próbowałaś za wszelką cenę być człowiekiem, choć to nie leży w twojej naturze. Przepraszam. Nic z tego nie powinno cię spotkać. Jedyne, co ci mogę zaferować, to resztę twojego życia, a będzie ono piękne i wolne...

– Nie tak szybko. Kim jesteś?! Kim jest Baśka?! – krzyknął łowca, wściekły, że jego plan się nie powiódł i kolejna niebezpieczna istota wy dostała się na powierzchnię.

Nieznajoma chyba w końcu straciła cierpliwość, bo dotknęła dłońią ziemi, a gdy ją uniosła, gleba podążyła za nią, tworząc łukowatą konstrukcję. Zbyszek pomyślał, że miał to być mur, którym istota chciała oddzielić go od Baśki, jednak z jakiejś szpary wylała się czarna maź i szybko przemknęła pod prowizoryczny daszek. Łowca rozpoznał sterczące kolce i kły, choć część była połamana lub stępiona, a istota znacznie mniejsza niż wcześniej.

– Ktoś tu nieźle oberwał – roześmiał się złośliwie Czarnochuch, wskazując na zakrwawioną twarz Zbyszka, choć sam nie był w lepszej formie. – Mam nadzieję, że Pani cię teraz wykończy!

– Pani czego? – zapytał od razu Zbyszek, niespecjalnie przejmując się groźbą.

Kobieta powiedziała coś, czego łowca nie zdążył uchwycić, ale Czarnoduch maksymalnie się najeżył, zagradzając mu drogę. Pani wstała i wyciągnęła dłoń w stronę Baśki. Nadszedł dla niej czas, by wracać do domu.



Jednak dziewczyna wciąż czuła się zagubiona. Próbowwała sobie to wszystko poukładać w głowie. Przechył, podziemne miasto, świat ludzi, wyczekiwanie tej kobiety... Uderzyły w nią z całą siłą słowa Zygmunta: *Wracaj do domu, wracaj do matki*. Mrowienie twarzy stawało się nieznośne. Nagle do głowy Baśki zaczęły napływać wspomnienia, których nie powinna pamiętać, była przecież za mała... A jednak rozpoznawała tunele. Znajomy mrok, zapach kopalni i dotyk wielkich dłoni. Były to bardziej doznania niż jasne myśli, ale z każdą chwilą przypominała je sobie coraz lepiej, rozpoznawała jako własny, dawno odebrany jej świat. Uniosła głowę do góry, wycierając resztki łez z twarzy. Strach, który wcześniej wywołała w niej nieznajoma, zniknął. Teraz dostrzegała, że w masywnym cieple kryje się matczyna delikatność. Łzy same zaczęły cieknąć z oczu. W końcu pojawiła się nadzieja, że wszystko będzie dobrze. Może rzeczywiście niepotrzebnie tyle walczyła – nie mogła zmusić braci, by ją zaakceptowali, nie mogła zmusić przybranej matki, by ją pokochała, nie mogła przyjaźnić się z ludźmi. Nie była jedną z nich.

– Mama...? – szepnęła z trudem, z gardłem ściśniętym z przerażenia, że znów czeka ją odrzucenie.

Twarz Pani rozpromienił szeroki uśmiech. Czekwała na ten moment, gdy Baśka sama sobie przypomni, gdy jej natura w końcu się niej obudzi. Dziewczyna podbiegła do matki, wtuliła twarz w fałdy na jej brzuchu, wciągnęła nozdrzami mocny zapach wilgotnej ziemi. Kobieta nachyliła się i owinęła wokół niej ramiona; wyglądała jak skała, która połyka dziecko, a jednocześnie użycza mu swego oparcia i siły. Jakże inne było to uczucie niż przytulać się do przybranej matki! Maria zawsze obejmowała córkę mechanicznie, z dystansem, a od jej kościstego ciała nie biło ciepło. Cały smutek, zmęczenie i lęk wyparowały z głowy Baśki i chciała już nigdy nie opuszczać tych bezpiecznych, krępych ramion. W tym uścisku było jej miejsce, jej rodzina.

– Chodźmy do domu.

Złapały się za ręce i ruszyły w stronę szczeliny pod kościołem, ale Zbyszek zagroził im drogę, skacząc w płamę światła. Czarnoduch najeżył się tylko złowieszczo, nie odważył jednak wyjść na słońce. Łowca wbił w Baškę oceniające spojrzenie.

– Ludzka klątwa... Nie wie, kim naprawdę jest... Dziecko, ale nie ludzkie. Dlatego nie musiała wypowiedzieć przekleństwa, klątwa nie działa na swoich. I Pani... Pani czego?

– Pani podziemia, któż by inny! – zachnął się Czarnoduch, wyraźnie oburzony jego ignorancją. – Matka koboldów, królowa wszystkich duchów i magicznych istot! A-a przynajmniej tych w okolicy – zająknął się. – Już się nie szanuje bogów i nie mają tyle mocy...

Pani uciszyła go gestem ręki, wyraźnie uznając, że tyle wystarczy. Pociągnęła Baśkę za rękę, ale dziewczynka ani drgnęła. Zwróciła się ze złością do ducha:

– Wiedziałeś! Wiedziałeś od początku, że jestem inna i że to moja mama! Czemu mi wcześniej nie powiedziałeś? Jak mogłeś!? Jesteś paskudny!

– Bo ja tylko miałem mieć na ciebie oko – odpowiedział niewinnie, jednocześnie wyraźnie się ciesząc, że został nazwany „paskudą”.

– Duchy nie myślą logicznie, nie rozumieją, które informacje są ważne, nie potrafią prowadzić prawdziwych rozmów – wtrącił się Zbyszek. – Nie są w końcu ludźmi, tylko ich cieniami. Zwykle skupiają się tylko na jakiejś określonej fikscji, która podtrzymuje ich istnienie. Na przykład Czarnoduch myśli tylko o straszaniu.

– A Zygmunt tylko o swoich pacjentach! – dopowiedziała Baśka, bo nagle wiele stało się dla niej jasne, choć Zbyszek nie mógł wiedzieć, o czym mówiła.

Pani znów spróbowała ją zachęcić do ruszenia w drogę, ale bez skutku. Spojrzała na Zbyszka bez sympatii, ale też bez wrogości, po prostu z umiarkowanym zaciekawieniem. Normalnie nie poświęciłaby człowiekowi z powierzchni żadnej uwagi, skoro jednak jej córka uznała, że muszą się rozmówić, była gotowa poczekać, byle nie za długo. Przebywanie na powierzchni zaczynało ją męczyć – czuła, jak jej skóra wysycha pod wpływem nawet lekkiego wiatru.

– Hej, Baśka! – zagadnął łowca, chcąc wykorzystać niezdecydowanie dziewczynki do kupienia sobie czasu. Nie mógł pozwolić, by istoty odeszły pod ziemię, bo nigdy ich już nie dopadnie. Zaczął powoli odsuwać się od Czarnoducha, jednocześnie intensywnie myśląc, jak zaatakować. – Ona... Kto wie, o czym myśli? – Wskazał ruchem

brody na Panią. – Jesteś pewna, że chcesz iść z tymi istotami nie wiadomo gdzie?

Baśka niewątpliwie czuła urazę do duchów, że nie zdradziły jej wcześniej prawdy. Nie ufała im już na tyle, by gdzieś z nimi iść, ale jej mama nie była duchem! Chyba... Czy Czarnoduch nie nazwał jej koboldem? Ale była też boginią, królową... Kim to czyniło ją samą, Baśkę? Czuła, że natura ludzka rzeczywiście jej nie pasuje, że ją ogranicza. Nie chciała do niej wracać, ale nie wiedziała też, co czeka na nią w podziemiach. Musiała wiedzieć, jaki dokładnie ma wybór, zanim go dokona. Żałowała, że nie może poradzić się ojca. Co prawda wcześniej twierdził, że powinna wrócić do podziemi, ale może jednak by ją poprosił, by z nim została... Tak, tylko dla niego by została. Nigdzie jednak nie mogła znaleźć Grzegorza, musiała więc zwrócić się do matki – jej szeptem, ciemna twarz z dużym nosem budziła jej sympatię. Wyglądała znajomo, przyjaźnie.

– Mamo... Kim ja dokładnie jestem?

Pani znów łagodnie się uśmiechnęła. Położyła dłoń na czarnych włosach córki, tak jak zwykł to robić ojciec dziewczyny. Nachyliła się do jej ucha i w jednym krótkim tchnieniu przekazała całą prawdę.

– Kim tylko zechcesz.

Ciało Baśki zaczęło zmieniać kolor i fakturę, rosnąć i zapadać się w sobie, w końcu stało się bezkształtne – przybrało, jak u innych magicznych istot, postać ni to dymu, ni to cieczy. Baśka stała się wolna, bezcielesna, w końcu oderwana od męczących ją ograniczeń ludzkiej formy.

– I co z nią teraz będzie? – zapytał Zbyszek.

Pani podeszła do niego. Przekrzywiła głowę i przyglądała mu się, jakby był interesującym okazem owada. Łowca zacisnął dłoń na ukrytym za plecami sztylcie, czekając na dogodny moment, ale kobieta zaczęła mówić, musiał więc skupić się na szumie wiatru w liściach, by móc ją zrozumieć.

– Będzie się bawić tyle, ile zapagnie. Bogowie są starzy. Widzieli zbyt wiele. Czasem nie potrafią się już cieszyć ani bawić, ale boskie dzieci są niewinne, przynajmniej dopóki nie dorosną po wielu, wielu wiekach... Mogą się bawić z prawdziwą radością znaną tylko młodym duszom.

Basia... – Pani i Czarnoduch spojrzeli na płynną masę tańczącą wciąż na wietrze. – Możliwe, że dla niej jest już za późno. Życie wśród ludzi postarzyło ją zbyt szybko. Było pełne nakazów i zakazów. Miała obowiązki. Wymagano od niej. Spotkały ją przykrości. Zdradzono ją i opuszczono. Ludzkie dusze szybko ulegają zanieczyszczeniu. Ale zaopiekuję się nią. Odzyska tyle ze straconej niewinności, ile się uda. Co więcej może dać jej matka?

Baśka wylądowała obok niej. Z początku zaczęła przybierać starą formę, jednak zdała sobie szybko sprawę, że już nie jest nią ograniczona. Przez chwilę eksperymentowała, szukając odpowiedniego kształtu. Wydłużała, potem skracała kończyny, poszukiwała rysów, z którymi czułaby się swobodnie. W końcu rozrosła się, większa nawet i potężniejsza od Pani. Jej sylwetka stała się zwalista, wręcz męska, ale włosy dalej miała po dziewczęcemu zaplecione w dwa warkocze. Wyglądała jak mityczny olbrzym o dziecięcych rysach, jak ożywiona góra. Miała wielkie i silne dłonie. Zupełnie jak ręce Grzegorza.

I tą wielką dłonią złapała delikatnie dłoń matki.

– Pora wracać.

– A co z tym wszystkim?! – oburzył się Zbyszek, wskazując na zniszczenia. – A to tylko środek lasu, co z miastem? Spory kawałek Bytomia może być zniszczony.

Pani zrobiła zakłopotaną minę.

– To należy do ludzi, więc to teraz sprawy istot z powierzchni. Uważam, że to uczciwa wymiana: wy dostaliście wasze uwięzione pod ziemią miasto, a ja odzyskałam moje przetrzymywane na powierzchni dziecko. Wszystko wróciło na swoje miejsce.

– I nic was nie interesuje, że ludzie mogli poginać?! Baśka, twój własny ojciec prawdopodobnie zginął! Nie zamierzasz wziąć za to odpowiedzialności?! – Głos mu się załamał. Zrobił wszystko, by nie zranić Grzegorza, tymczasem najpewniej doprowadził do jego śmierci pod gruzami. Pożałował, że od razu nie złapał Baśki za kudły i nie zaciągnął wprost do piekła.

Baśka nie czuła już jednak uczuć takich jak wina czy wyrzuty sumienia. Pani uwolniła nie tylko jej ciało, ale też umysł. Wspomnienia jednak pozostały – pełne ciepła. Ścisnęła mocniej dłoń Pani.

– Znajdziemy go. Może żyć razem z nami pod ziemią. Nie stanie mu się krzywda.

– A jego rodzina? Jego żona, synowie? Tak po prostu chcecie go sobie zabrać?

– Już go nie potrzebują... – Baśka odezwała się językiem podziemi.  
– A ja tak. Zawsze będę go potrzebować, bo zawsze będę jego małą kochaną córuchną...

Pani skinęła Czarnoduchowi głową, a ten syknął groźnie w stronę łowcy, dając znać, że rozmowa się skończyła. Zbyszek patrzył z frustracją, jak Pani i Baśka idą w stronę szczeliny pod kościołem. Splunął na ziemię, przypominając sobie, że dyskusja z istotami nadprzyrodzonymi nie miała przecież sensu. Widać uderzył się w głowę tak mocno, że stracił cały rozsądek. Zważył w dłoni magiczny sztylet. Czas na podchody się skończył – musiał zaatakować w tej chwili albo nigdy. Nie zważając na ból kostki, pomagając sobie gałęzią, ruszył szybko za kobietami. Czarnoduch złapał go jednak mackami za nogę i ramię, przyciągając do siebie. Wściekły na łowcę, że ten go okaleczył, zacisnął czarną łapę na jego szyi. Zbyszek próbował wyszarpnąć się ze śmiertelnego uścisku. Miotając się na wszystkie strony, dał radę kopnąć w podstawę ziemnego łuku. Część konstrukcji zawałiła się i promienie słoneczne dosięgły Czarnoducha. Zaskoczony potwór wrzasnął, ale nie puścił ofiary; powalił ją na ziemię i przygniótł swoim ciężarem. Zaczął się jednak rozpuszczać – krople o konsystencji roztopionego asfaltu zaczęły skapywać łowcy na ręce i brzuch, natychmiastowo przepalając materiał i parząc skórę.

Czarnoduch nie dał rady długo wytrzymać na słońcu, uskoczył więc w końcu pod najbliższy większy kamień, gdzie dyszał ciężko, ale wyraźnie szykował się do powtórzenia ataku. Zbyszek przeturłał się w piachu, by zrzucić z siebie i zneutralizować działanie mazi. Odpełził też jak najszybciej poza zasięg skoku przeciwnika. Zaciskając zęby z bólu, ruszył w przerwany pościg za kobietami. Zamachnął się, ale miał problemy z utrzymaniem równowagi, trafił więc Panią tylko w bark. Rana rozbłysła, a ręka opadła na ziemię i rozsypała się w drobny pył. Zdezorientowana Pani odwróciła się w stronę Zbyszka, dając mu szansę na jeszcze jedną próbę skutecznego ataku.

Zanim jednak zdążył to zrobić, Baśka powaliła go jednym ciosem potężnej ręki. Stała w rozkroku nad oszołomionym siłą uderzenia łowcą. Zamierzała rozprawić się ostatecznie z nielubianym kuzynem.

– Musiał to zrobić. Taka jego natura, ludzka natura. W naszej naturze nie ma rzeczy takich jak gniew czy zemsta – wyjaśniła Pani, powstrzymując córkę dotknięciem. Utracone ramię zdążyło już bezproblemowo odrosnąć. Odwróciła Baškę do siebie, przykładając dłonie do jej policzków. Przesunęła nimi powoli w dół, a następnie strzepnęła palce, jakby ścierała brud z twarzy dziecka. Baśka od razu się rozluźniła. Pani uśmiechnęła się smutno – być może nie uda się oczyścić nigdy jej duszy, ale będzie musiała próbować, kroczyć po kroczku.

Odeszły pod ziemię, a Czarnoduch skoczył za nimi w bezpieczny, pozbawiony promieni słonecznych świat. Zbyszek leżał chwilę otumaniony na kamieniach. Miał ochotę tak leżeć i czekać, aż go znajda – ale po pierwsze, nie wiedział, kiedy to nastąpi, a po drugie, nie miał ochoty tłumaczyć, skąd się tu wziął. Nie sądził, by ktokolwiek uwierzył w prawdziwą wersję wydarzeń.

Podniósł się z trudem. Podszedł do szczeliny, ale nie zauważył żadnego przejścia, jakby dziura magicznie zarosła kamieniami. Wściekł się z bezsilności, bo nie miał pojęcia, jaki ruch teraz wykonać. Istoty, na które polował, uciekły. Grzegorz zniknął. Brama do podziemi się zamknęła. Paskudnie przegrał, a wszystko przez to, że postanowił okazać współczucie. Wszystko przez to, że byli odlegle spokrewnieni. Zachował się jak idiota. Nie powinien mieć dla nikogo litości, a zwłaszcza dla rodziny. Nigdy już więcej nie pozwoli sobie na taki błąd. Znał się na zabijaniu potworów, a nie ratowaniu ludzi, i nigdy nie powinien o tym zapomnieć.

Zaczął powoli człapać w stronę domu Lewandowskich. Miał nadzieję, że jego samochód stał wystarczająco daleko, by nie zostać uszkodzonym. Woził tam w końcu cały dobytek. W myślach przejrzał zawartość bagażnika, z rosnącą frustracją dochodząc do wniosku, że nie widzi tam nic, co pomogłoby choć trochę uratować sytuację.

\*\*\*

Grzegorz nie do końca zrozumiał, gdzie się znalazł. Ważne było jednak, że miał u boku Basię. Z jakiegoś powodu widział ją podwójnie: jako małą dziewczynkę i potężnego mężczyznę jednocześnie. Kiedy jednak wziął ją na barana, nie miał z tym żadnego problemu, a jej drobne rączki złapały go za czoło. Ruszyli w ciemność – tam, dokąd poprowadziła ich Pani.

**Agnieszka Żak** – Roczniak 1988. Pisarka, autorka opowiadań fantastycznych, autystyczna wiedźma. Regularnie publikuje m.in. w „Magazynie Biały Kruk”, „Silmarisie” i w antologiach *Ścieżki wyobraźni*. Od 2014 bierze udział w NaNoWriMo. Ukończyła bibliotekoznawstwo, ale obecnie zajmuje się tworzeniem tekstów do gier komputerowych. Fanka fantastyki oraz wydawnictwa Karakter. Latem uprawia na balkonie pomidory, zimą szydełkuje. Formułę 1 ogląda dla dramy.





Anna Askaldowicz

*PAMIĘĆ WODY*



*Time it took us  
To where the water was  
That's what the water gave me  
And time goes quicker  
Between the two of us  
Oh, my love, don't forsake me  
Take what the water gave me*

**Florence and the Machine,  
*What the Water Gave Me***

Cień nadpłynął z południa w postaci ciężkiej i szarej jak ołów chmury. Pełził nad miastem powoli, ale nieustępliwie, pochłaniając trwający dotąd w beztroskim *dolce far niente* upalny czerwcowy wieczór. Przed nim, jak koń na czele tabunu, pędził wiatr, roztrącając w biegu gałęzie drzew na skwerach i unosząc w powietrze żdźbła skoszonoj trawy na zieleńcach. Gorący, ale gwałtowny powiew przefrunął z szumem nad parkiem, wdarł się w zieloną aleję tuż nad brzegiem rzeki i uderzył czającego się w krzakach Miszkę w plecy jak wielka dłoń, tak że chłopiec ledwie zdążył chwycić się gałęzi, by się nie przewrócić. A potem nagle zrobiło się ciemno i zagrzmiało. Miszka zadrżał, bo jeśli czegoś na świecie naprawdę, ale to *naprawdę* się bał – pomimo swoich pięciu lat i poczucia, że jest już dużym chłopakiem – to były to na pewno ciemność i burza. W innych okolicznościach na pewno zrobiłby to, co podpowiadał mu teraz instynkt, czyli obrócił się na pięcie i pobiegł na plac zabaw w centrum parku, gdzie czekała na niego ciocia. Jednak Kacper dotąd nie wrócił, a miał pójść z tą panią tylko na chwilę, by pomóc jej wyciągnąć z wody małe pieski, które zresztą Miszka bardzo, bardzo chciał zobaczyć. Zacisnął zatem mocniej palce na gałęzi i skupił się z całej siły na tym, żeby nie uciec, bo przecież Kacper i pani muszą zaraz wrócić, nie zostaną przecież na brzegu w czasie burzy...

– Miszka! – Kolejny grzmot i nagły okrzyk wystraszyły go do tego stopnia, że puścił ściskany dotąd badyl i usiadł z rozmachem w trawie, nagle jakby obudzony ze snu. Zaszleściło i zobaczył, jak po zbocz

nasypu nad brzegiem Kłodnicy pnie się ciocia Zuzia, blada i wściekła jak sto diabłów.

Dopadła go i zmusiła do wstania. Miszce przeszło przez głowę, że chyba go zaraz uderzy – wprawdzie nigdy dotąd tego nie zrobiła, ale widząc, jak sapie ze złości, odskoczył o krok do tyłu, tak na wszelki wypadek.

– O, nie, nie, nie, nie! – Złapała go znowu, tak gwałtownie, że aż boleśnie. – Koniec. Żadnego uciekania więcej. Nie widzisz, co się dzieje? Zaraz lunie! A ty... Co to miało być? Nie słyszałeś mnie? Wołałam! Wiesz, jak mnie wystraszyłeś?

– Nie bądź zła! – wrzasnęła, żeby ją przekrzyknąć. – Nie mogłem iść, muszę poczekać na Kacpra!

– Jakiego Ka... – urwała, bo widocznie dodała już dwa do dwóch. – Jezus Maria, jego mama jest przy moście, szuka go, czekaj, zadzwonię do niej...

Wysupłała z kieszeni komórkę.

– To gdzie on dokładnie jest? Kacper! – krzyknęła, zanim Miszka miał szansę się odezwać. Szarpnęła ją z niecierpliwością za rękę.

– Tam! – Wskazał na krzewy, porastające zbocze nasypu nad brzegiem Kłodnicy. – Tam poszedł, z taką panią, bo potrzebowała pomocy, bo tam były pieski...

Przerwał, widząc, jak twarz cioci zmienia się gwałtownie, a usta otwierają się w grymasie przestachu. Dopiero teraz poczuł, że jest w tym, co właśnie powiedział, coś dziwnego, jakby jakaś fałszywa nuta.

– Znacie tę panią? – spytała wolno, robiąc krok we wskazanym kierunku. – Kacper ją zna?

– Nie – odparł cicho Miszka, opuszczając głowę. – Ale tam naprawdę siedział pies. I on pobiegł za nimi. Ja nie poszedłem, bo ja... Bo ja tropiłem Kacpra, bo tak się bawiliśmy, że ja go tropię...

Urwał. Widział, że ciocia się waha. W końcu puściła jego rękę, odblokowała telefon i podniosła go do ucha.

– Dzwonię do mamy Kacpra. Nie ruszaj się ode mnie ani na krok. Masz.

Wcisnęła mu kurtkę przeciwdeszczową, bo zaczęło nie tylko grzmieć, ale też padać. Posłusznie zaczął naciągać ubranie; materiał

szeleścił, a ciocia mówiła bardzo szybko, więc docierały do niego tylko ułamki wyrazów: *Tak, znalazłam go, prawie przy wyjściu na Akademicką, tam za boiskiem, tak, mówi, że szedł za Kacprem, przyjdzie pani? Tak, czekamy, tak, spróbuję.*

– Stój tutaj. Albo kucnij. – Spojrzała na niebo z niepokojem, choć na razie ciemności nie przedarła jeszcze żadna błyskawica. – Nie ruszaj się. Z nikim nie idź. Zejdź na brzeg.

Pokiwał tylko głową, a gardło ścisnęło mu się nagle, bo poczuł, że zaraz musi stać się coś strasznego. Już-już miał zerwać się i pobiec za ciocią, przytrzymać ją za spodnie, żeby go nie zostawiała, pod żadnym pozorem nie zostawiała, ale zrozumiał, że nie może nawet drgnąć, jakby nagle skamieniał, jak w bajce, i mógł tylko bezradnie patrzeć, jak ona schodzi w dół, w zieloną ciemność.

A potem skulił się, słysząc jej przeraźliwy krzyk.

## I

Trzask. Zamykam drzwi auta chyba odrobinę za mocno i widzę jeszcze, jak ruszający spod mojego bloku na św. Marka taksówkarz krzywi się z niesmakiem. Szlag z nim. Na szczęście zatrzymał się nie w zatoczce, tylko tuż przy trawniku, więc kiedy świat wiruje mi przed oczami, mam szansę chwycić się rosnącej tam akacji i utrzymać pion.

Dobrze. Teraz tylko nie płakać i nie wymiotować. Choć w sumie powinno mi być wszystko jedno – jest już na tyle ciemno i na tyle mokro, że nikt nie zauważy. Poczekam jeszcze chwilę, a potem pójdę do domu. *Do Olka.*

– Hej, Zu. – Obracam się. Stoi za mną, deszcz spływa mu po kurtce i po twarzy, w rękę trzyma telefon. – Google mi pokazało, gdzie jesteś. Pomyślałem, że po ciebie wyjdę.

Wpadam mu w objęcia, bo obawiam się, że inaczej mogę się przewrócić. Głaszce mnie po mokrych włosach, ścisła; widocznie czuje, że cała się trzęsę. I nie pyta o nic, tylko prowadzi – noga za nogą, asekurując mnie, aż do drzwi klatki schodowej. Winda nie działa, w ogóle nie ma prądu w budynku, więc na dziesiąte piętro idziemy piechotą, po omacku. Jest ciemno, ale paradoksalnie czuję się z tym dobrze. Ciemność narzuca milczenie, pomaga się pozbierać.

– To... Co się stało? – pyta w końcu mój mąż, kiedy już siedzimy w kuchni przy świeczce. Przez chwilę zbieram się w sobie, żeby odpowiedzieć.

– Muszę się napić – mówię w końcu. – Nie wody. Daj mi whisky.

– Nie.

Kręci głową, ale po chwili jednak nalewa mi; niedużo, ale to nie przeszkadza. W końcu to konwencja. Po prostu są takie sytuacje, że trzeba się napić. Przełykam i mówię:

– Znalazłam utopione dziecko.

Olek zastyga, ale tylko na moment.

– Ale nie Miskę?

– Nie. – Potrząsam głową. – Gdyby to był Miszka, to by mnie tu chyba nie było. Nie wiem, gdzie bym była.

*(Kłamię, bo doskonale wiem).*

Milczymy przez chwilę, a potem zaczynam opowiadać; nie chcę, ale wiem: muszę jeszcze raz, bo Olek na pewno to zapamięta i przynajmniej będę pewna, że nie, nie zdawało mi się, i że zrobiłam, co trzeba. Przebijam się przez wspomnienia, jakbym znowu tam była, jakby to była zastygła w czasie scena, seria żywych obrazów, przez którą przechodzę jak we śnie.

*Skąd się tam wzięliśmy? Odebrałam Miskę od jego rodziców, u których pracuję od czterech lat jako niania, legalnie, mogę przedstawić umowę. Miałam spędzić z nim wieczór do dwudziestej drugiej, bo jechali do znajomych, a potem do kina. Była szósta, jeszcze ciepło i jasno (tak naprawdę gorąco i jaskrawo, jak to w połowie czerwca), mieliśmy ze sobą spakowane kanapki i sok, Miszka chciał przejść się do parku Chrobrego. Na placu zabaw był tłum, Miszka wyłuskał z niego kolegę z przedszkola, Kacpra – wspinali się na tę wielką kopułę z czerwonej siatki, ja rozmawiałam z mamami. A kiedy zaczęłam wyjmować i składać na ławkę kolację, Miszka zniknął.*

Mój żołądek skręca się znowu, kiedy sobie to wszystko przypominam – bieganie pomiędzy dziećmi, powtarzanie jego imienia, narastający strach, potem chwilę, kiedy wpadam na mamę Kacpra i szukamy już razem, potem przyłącza się kilku innych dorosłych, nagle grzmi i znad budynku Wydziału Informatyki, Elektroniki i Automatyki

nadciąga wielka burzowa chmura. Chwytam kurtkę Miszki i biegnę przez park – umawiamy się, że ja sprawdzę okolice kortów tenisowych, a mama Kacpra budynków Politechniki. Wołam Miszkę, nie Kacpra, bo to Miszkę mam przede wszystkim w głowie, *czy nie wpadł do wody, czy się nie zgubił, czy nie wyszedł na ulicę?*

A potem znajduję go, słucham tego, co mówi, i znów ogarnia mnie strach, ale też poczucie, że muszę zejść nad wodę, muszę sprawdzić, czy mówi prawdę, *Boże, co się stało z tym Kacprem?*

Po chwili już wiem.

Krzyczę, wyciągam go z wody, podnoszę, jest strasznie ciężki, bezwładny jak worek, wyciskam mu wodę z płuc, obracam, *jak to szło? Trzydzieści uciśnień, dwa wdechy, Jezus Maria, nie pamiętam, nie pamiętam!* Ale lepiej tak, niż wcale, zaczynam, jest mokry, zimny, tak okropnie zimny, czuję dotąd obrzydliwy smak w ustach, powinien mieć jakąś ochronę osobistą, wymiotuję i znowu uciskam – póki nie odrywa mnie od niego ktoś z grupy szukających chłopców razem z nami, a potem słyszę już tylko wysoki, przeraźliwy krzyk kobiety.

Jestem z Miszką na brzegu, trzymam go na rękach, a wokół kręcą się policjanci i ratownicy pogotowia. Miszka chlipie mi w ucho, kiedy dzwonię do Tamary i Maćka, jego rodziców. Muszą przyjechać, bo chłopiec musi złożyć zeznania, tłumaczy policjantka, koniecznie w ich obecności.

Kolejny obraz to komisariat. Miszka tuli się z płaczem do mamy, a mnie zżera poczucie winy i wstyd – nawet nie za to, że go spuściłam z oka, bo to się zdarza, ale że nie znalazłam ich wcześniej, że musiało do tego dojść, że zostawiłam go tam na ścieżce i poszłam po Kacpra. Maciek chowa twarz w rękach, kiedy mnie słucha. Rozumie. Nie, tak naprawdę nie rozumie. Bo ja też nie rozumiem.

I najważniejsze – zeznaję, co powiedział mi Miszka. *Z Kacprem postanowili bawić się w podchody, więc skradał się za nim, żeby go tamten przypadkiem nie zauważył. I dlatego nie wyszedł z krzaków, kiedy Kacper wspiął się na ziemny nasyp, który od północnego wschodu ogranicza park Chrobrego od rzeczki Kłodnicy, i zobaczył na jego szczycie kobiety i psa.*

*Była niewysoka, taka zwyczajna; zapamiętał, że miała miły, smutny*

*głos, włosy raczej ciemne, gładkie i długie. Ubranie czerwone, bardzo ciemne – chyba sukienkę. Pokazała Kacprowi psa, który popiskiwał wśród krzaków, i powiedziała, że jakiś zły człowiek wrzucił do rzeki szczeniaczki, a ona sama nie może ich wyłowić, i że może Kacper mógłby jej pomóc, i Kacper dał jej rękę i poszedł z nią, no bo przecież nie wolno chodzić z obcymi, ale to raczej z panami, prawda? A to była pani, młodsza niż mama, niż ciocia, taka miła i smutna.*

*Nikt nie znalazł nad rzeką ani szczeniaczków, ani psa, ani kobiety.*

*Tylko ja znalazłam Kacpra leżącego na brzegu, mokrego, z głową wciśniętą pod wodę.*

\*\*\*

A lato było piękne tego roku, myślę, budząc się wpatrzona w sufit naszej maluskiej sypialni. Słońce nie wpada tu bezpośrednio, okna wychodzą na północ, na morze malutkich domków, zieleń drzew w ogrodach i niewyraźną, niebieskawą granicę horyzontu, gdzie wieczorami widać zabrzańskie M1 i koksownię „Jadwiga” z wiecznym płomieniem rozświetlającym noc. Teraz noc się skończyła; kolejna noc, podobna do wszystkich poprzednich, nie bezsenna tylko dzięki pomocy leków. Świt od pastelowych różów przechodzi do jaskrawej niebieskości czerwcowego dnia. W kuchni za ścianą słyszę, jak Olek szykuje kawę. Wziął urlop i od tygodnia jest ze mną. Załatwia moje sprawy, rozmawia z moimi rodzicami, którzy martwią się moim milczeniem, ze swoimi rodzicami, jak wyżej, z rodzicami Miszki, z moimi zleceniodawcami od tłumaczeń, z całym światem. Podaje mi hydroksyzynę. Jest, kiedy ja leżę i milczę.

Nie chcę nikogo widzieć. Nie chcę z nikim rozmawiać. Kacper nie był pierwszym martwym dzieckiem, które widziałam. *Śmierć w wodzie*. Znam ją za dobrze. Myślałam, że wyjeżdżając z Podkarpacia, ucieknę od niej na dobre, przestanę o niej myśleć. O mojej utopionej siostrze. Bo chociaż oni wszyscy mówią, że to był wypadek, ja wiem swoje.

Wtedy, te osiem lat temu, kiedy zaczynałam studia – ktoś zabił Malinę. Tak samo jak Kacpra.



Dzwonek do drzwi. Dopijam kawę i staram się go ignorować, skulona na kuchennym krześle, ale jest natarczywy, a ja mam świadomość, że Olek tym razem mi nie pomoże, bo wrócił już do pracy. Dzwoni i dzwoni. Kto? Mam nadzieję, że nie policja, bo oni nie odpuszczają tak łatwo. Wlokę się powoli do przedpokoj. Może ten ktoś mnie usłyszy i się odezwie, a wtedy ocenię, czy mogę mieć go gdzieś, czy jednak nie.

Nie odzywa się, a mnie nie przychodzi do głowy najprostsze wyjście, czyli sprawdzenie przez wizjer (a może po prostu jednak potrzebuję zobaczyć kogoś z zewnątrz?), więc otwieram i wpadam w ręce Zazu.

Nie mówi nic, tylko obejmuje mnie i wpycha do mieszkania. Pachnie czymś słodkim i wyjątkowo nie jest z żadnym ze swych trojga dzieci. Odkleja mnie od siebie i wciska mi do ręki torebkę, która lepi się od lukru.

– Masz – mówi stanowczo. – Bo Olek pewnie karmi cię tylko zdrowymi rzeczami. A czasem potrzebny jest cukier. I mnie też daj.

Przyjaźnimy się z Zuzanną Kallą, zwaną Zazu, od lat, to znaczy od czasu, kiedy przyjechałam na studia na Śląsk i osiadłam razem z Olkiem, wówczas na czwartym roku medycyny, tutaj, w Gliwicach. Zazu należała do jego paczki znajomych z liceum, a poza tym była dziewczyną, a potem żoną jego najlepszego kumpla, Jurka. I nosiła to samo imię, co ja, co nas zbliżyło mimo różnic – ona była w połowie rodowitą Ślązaczką, umiejacą *godać*, przystępną, obrotną i zdolną każdego przekabacić, a ja zahukaną dziewczyną ze ściany wschodniej, z głową pełną młodopolskich uniesień, o których planowałam pisać magisterkę. Po latach nasze drogi rozeszły się jeszcze mocniej – ona została matką trojga półdiabłą, ja wciąż odwlekałam macierzyństwo, rekompensując je sobie pracą niani, świadoma, że Olek ma powołanie raczej do chirurgii onkologicznej niż do ojcostwa. Jednak jeśli potrzebowałam kogoś naprawdę desperacko, to wiedziałam, że Zazu prędzej czy później się zjawi. Tak, jak teraz.

Robi sobie kawę i pogryza pączki, kiedy ja ledwie jestem w stanie cokolwiek przełknąć; przestawia mnie z miejsca na miejsce w mojej

własnej kuchni, marudząc jak zwykle nad ciasnotą, bo ona lubi przestrzenie, a *ten stół to nie jest stół, przy stole powinna zmieścić się co najmniej czwórka, a nie półtorej*, psioczy, aż wreszcie każe mi usiąść i mówi:

– Słuchaj, Zu, czy tobie ta cała sprawa trochę nie śmierdzi czymś podejrzanym?

Wciążam głęboko powietrze i czuję, jak coś we mnie pęka.

– Miszka nie zmyślał – stwierdzam twardo. – Tam ktoś był. I ktokolwiek to był...

– Utopił małe dziecko – dopowiada równie twardo Zazu.

Przez długą chwilę milczymy i patrzymy na siebie, zaskoczone, że jesteśmy aż tak jednomyślnie. Ona odzywa się pierwsza:

– Widzisz, ja mam tylko to, co przeczytałam w gazetach, bo Tamara nie chciała mi nic mówić.

– Czy ona jest na mnie wściekła? – mówię, nim jestem w stanie się powstrzymać. Zazu kręci głową.

– Ona teraz skupia się na tym, że Miszka żyje. Powiedziała, że się cieszy, że to byłaś ty. Sama pewnie by tego nie wytrzymała.

*Trochę to rozumiem.*

– To teraz tak: dzieciaki spotkały nad brzegiem rzeki jakąś kobietę, prawda? Powiedz mi, gdzie to było. I w ogóle wszystko mi najlepiej opowiedz, dobrze?

Jej pełen nacisku ton działa na mnie jak ostroga. Zazu ewidentnie do czegoś dąży i to pomaga mi po raz pierwszy do tamtego wieczoru wziąć się w garść i spojrzeć na wszystko z dystansem. Streszczam jej zatem wydarzenia, a ona słucha ze skupioną miną i od czasu do czasu zadaje pytania. I to pytania zaskakujące – o miejsce, o czas, o odległość od pozostałych punktów parku.

Odtwarzam to w głowie. Jest mi o tyle łatwiej, że nie jestem *stōnd*. Gliwice to dla mnie zupełnie inny świat – klaustrofobiczne poniemieckie miasto z dorzuconymi tu i ówdzie koszmarkami PRL-u, ale też z zaskakującą liczbą parków i zieleńców. Park Chrobrego leży za budynkami Politechniki Śląskiej – najbliżej obecnego Wydziału Matematyki, opodal hal sportowych uczelni i nowo wybudowanej hali widowiskowej. Dwa lata temu unowocześniono w nim plac zabaw,

dodano siłownie pod chmurką, nowe ławki, leżaki, klomby i nawet hotele dla owadów. Kiedyś był znacznie bardziej zapuszczony; po modernizacji nie zmieniły się tylko stare boisko oraz nasyp spacerowo-rowerowy wzdłuż gliwickiej *rzeczki-ściczki*, jak na nią mówiłam, Kłodnicy właśnie.

Kiedy kończę, Zazu opiera podbródek na złączonych dłoniach i uważnie mi się przygląda.

– Widzisz, pytam nie dlatego, że jestem żądna sensacji – zaczyna powoli. – Tylko cała ta historia skojarzyła mi się z opowieściami mojej babci. Tej, po której mamy mieszkanie, wiesz.

Wiem. Babcia Zazu była *stōnd*, mogła pamiętać nawet czasy wojny. Przypominam sobie, choć to bez związku z tematem, że Gliwice w tamtym okresie to niemieckie miasto; większość Polaków, którzy tu mieszkali, czuła się zapewne przede wszystkim Ślązakami. Jak babcia Gertruda.

– W tym parku jeszcze w latach pięćdziesiątych były baseny – kontynuuje. – I, żeby było śmieszniej, pomnik Germanii, bo do końca wojny to był Kaiser-Wilhelm-Park. A Chrobry jako patron wziął się ponoć od braków materiałowych, że tak powiem – po wojnie zostawiono park razem z basenami i z pomnikiem, a ludziom, którzy tu przyjechali ze Lwowa, pomnik kojarzył się właśnie z królem Bolkiem.

– Tylko co to ma do rzeczy? – Unoszę brew. Zazu macha ręką z kolejnym pączkiem.

Przelotnie zastanawiam się, jak ona to robi, że przy takim apetycie na słodycze i po dwóch ciążach jej figura jest wciąż rewelacyjna.

– Pomnik to pewnie nic, ale baseny już bardziej. Tuż po wojnie była tu seria utonięć. A potem w latach pięćdziesiątych znowu. I tonęły głównie dzieci. Przy czym tylko te napływowe. Polskie. I dlatego właśnie rozebrano pływalnię, i to tak, że w sumie nawet ślad po niej nie został. I potem był spokój, aż do lat siedemdziesiątych. Wtedy znowu się powtórzyło, a później znowu trzydzieści pięć lat temu. Właśnie latem, w połowie czerwca. Oczywiście już nie w basenach, ale właśnie w Kłodnicy, dokładnie tam, gdzie opisujesz, że... Że to się stało.

Nie bardzo wiem, co powiedzieć. W głowie mam mętlik. Czy *ona sugeruje, że nad rzeką działa od lat czterdziestych jakiś germański*

*morderca, który wyładowuje swoją mściwość na polskim elemencie napływowym?*

– I myślisz, że to się... łączy? – Waham się zapytać wprost. Ale Zazu kiwa głową, zawsze szybciej niż ja skłonna szukać powiązań. – Trochę mi trudno to dopasować, zwłaszcza że, no wiesz, ja w sumie nie znam Gliwic. I Olek też mi o tym nigdy nie mówił.

– Bo jego rodzina tu nie mieszkała – prychna Zazu. – A poza tym większość tych historii została zamieciona pod dywan, jak to czerwoni mieli w zwyczaju. Przecież na piastowskim Śląsku, w przemysłowym sercu kraju, nie mogły się dziać *takie* rzeczy – deklamuje z emfazą. Doskonale wiem, jak nie znosi PRL-u. – Ja to wiem głównie dlatego, że babcia była przez jakiś czas fotografką milicyjną. I ona robiła zdjęcia ofiar w latach pięćdziesiątych i siedemdziesiątych. Do prasy to się nie mogło przedostać, ale rodzinie i znajomym powiedziała. Jak byłam mała, to pamiętam, że jak jechaliśmy do Gliwic, straszyla mnie wasermanem. To znaczy utopcem. No, wodnikiem – dopowiada, bo widzi, że nie do końca kojarzę, o czym mówi. – Dziecku nie mogła powiedzieć prawdy, ale chciała, żebym się trzymała z daleka od Kłodnicy w parku Chrobrego.

Przetrawiam to wszystko. *Waserman*. Czyli widocznie też myślała o Niemcu. Albo Ślązaku.

– No dobra. – Wzdycham. – Czyli to, co ci śmierdzi, to jakiś germański mściciel.

– Aha.

– Ale to się nie trzyma kupy. – Przygryzam wargę. – To musiałyby być cholernie stary człowiek. A Miszka opisał młodą kobietę.

– A jeśli to jest jakaś rodzinna wendetta? – Zazu nie daje się zbić z pantałyku.

– No ale za co? Za zdobycie Gliwic, za rozebranie basenów czy za pomnik Germanii? – pytam serio, bo jej uporczywe przekonanie powoduje, że nie mogę jakoś sobie z tego kpić.

– Bo ja wiem? Ale myślę, że powinniśmy poszukać jakichś tropów, popytać starszych osób. – Unosi rękę, bo ma świadomość, jak uwielbiam rozmawiać z obcymi. – Spokojnie, to akurat biorę na siebie, nie bój nic. Bo policja na pewno na to nie wpadnie. Myślę, że akta tamtych

spraw zostały zniszczone, bo inaczej gazety by to wywlekły, to za gruby temat, żeby nikt o tym nie napisał, gdyby miał materiały. A jeśli te historie się ze sobą naprawdę wiążą, jeśli istnieje jakiś stuknięty *copycat*... Wtedy może umrzeć jeszcze inne dziecko. Albo dzieci.

Czuję, jak żołądek podjeżdża mi do gardła.

– Zacznę od wypytania Olka. I pokopię w sieci. I popytam znajomych ze studiów, tych *stōnd*.

Zazu podnosi się, wyraźnie weselsza.

– Kamień mi spadł z serca, Zuza. Bo się bałam, że mi nie uwierzysz.

– Fakt – przyznaję. – Brzmi to karkołomnie. Ale lepiej sprawdzić szaloną teorię, niż nic nie zrobić i...

Rozpromienia się, zupełnie nie dając mi dokończyć.

– No i tak trzeba żyć! To pogadamy dzisiaj wieczorem na Messengerze, jak już położę młode spać. Nie chcę przy nich o tym gadać – kończy ciszej. Całkowicie ją rozumiem, bo w końcu ona też przyjaźni się z Tamarą, a jej dzieciaki kumplują się z Miszką i jego siostrą Alicją. Nie ma co zarażać ich traumą.

Zamykam za nią drzwi i po raz pierwszy od czasu morderstwa otwieram komputer. Czeka mnie praca.

\*\*\*

Wieczorem dochodzę do wniosku, że chyba ożyłam. I czuję się zdecydowanie bardziej jak Łazarz niż jak łajzarz. Może nie ściągnęłam całego Internetu na pendrive'a, ale przekopałam się przez co najmniej połowę. Do tego wysłałam zapytanie do Teresy, koleżanki Ślązaczki, która szczęśliwym trafem jest germanistką. Jeśli istnieje jakiś niemiecki tekst na temat Kaiser-Wilhelm-Park po II wojnie, to ona ma szansę się do niego dokopać. Informacje o parku po polsku były co najmniej skąpe, ale Zazu miała rację z tymi basenami i pomnikiem Germanii; stare zdjęcia pokazywały zresztą, że był to naprawdę kąpielowy moloch na łące imperialną skalę. I choć nie doszukałam się żadnych wzmianek o seryjnych utonięciach, to wzbudziło to we mnie więcej podejrzeń niż sceptycyzmu. Germański *Ordnung* mógł gwarantować, że na basenach było bezpiecznie, ale patrząc

na powojenny bałagan i prowizorkę, nie byłam w stanie uwierzyć, że tam nie doszło do żadnego wypadku. Zwłaszcza że już o pożarze kina w miejscu obecnego parku Mickiewicza polskie źródła pisały bez ograniczeń – ale to się stało za Niemca, w czasach płonącego celuloиду.

Przyptyw sił życiowych zmusił mnie do wyjścia z domu, zakupów i nawet zrobienia z rozpędu obiadu. Nie znoszę gotowania, ale tym razem miałam na nie ochotę, a do tego wewnętrzny głos podpowiadał, że to najlepszy sposób, żeby usposobić Olka do zwierzeń. Nie zdobyłam się tylko na kontakt z Tamarą, żeby zapytać o Miszkę. Na samą myśl o tym znów czułam, jak coś zaciska mi się na krtani.

Męża powitałam więc w postawie wyprostowanej – tylko po to, żeby po kolacji zostać metaforycznie posłana na deski.

– Zazu pieprzy głupoty! – wybucha, zanim udaje mi się dokończyć. Gdyby nie to, że już siedzę przy stole, pewnie usiadłabym teraz. Pierwszy raz od dawna widzę go tak wściekłego; zawsze jest uosobieniem cierpliwości i opanowania. Nie patrzy na mnie, ale widać, że mięśnie twarzy drgają mu, jakby chciał zawarczeć. – Gliwicki waserman, jasne.

– Ale jej babcia faktycznie była... – Próbuję mu przerwać, ale odwraca się do mnie z taką miną, że odsuwam się od niego. Chyba to zauważa.

– Zuza, przepraszam. – Spuszcza głowę, jakby zawstydzony. – Jestem w stanie sobie wyobrazić, że Zazu chciała cię wyciągnąć z dołka i dlatego wymyśliła tę historię. Sama wiesz, że ona potrafi przekonująco zmyślać.

Nie komentuję. Olek pije zapewne do pisarskiej kariery Zazu, która od lat pisuje powieści kryminalne, ale do głosu dochodzi też zadawniona uraza – nie wiem dlaczego, ale jej nie lubi; ze wzajemnością zresztą.

– No i? – pytam wreszcie po chwili wspólnego milczenia. Mąż znowu patrzy na mnie, tym razem z troską.

– Nie pchaj się w prywatne śledztwa. Zostaw to policji. A już na pewno bym ci odradzał dzielenie się z nimi teoriami Zazu. Jeśli ona sama chce – proszę bardzo, ale niech ciebie w to nie wrabia.

– Bo co? – Tym razem ulewa mi się irytacja. – Bo to nie licuje z godnością pani doktorowej?

Uch. To zabolalo. Olek krzywi się.

– To trochę poniżej twojego poziomu, Zu.

– Przepraszam. – Tyle mi pozostaje, bo co innego mogę zrobić? Podchodzi do mnie, przytula. Chlipię mu w ramię, a on głaszcze moje włosy. Pachnie... dziwnie. Nie szpitalnie. Ten zapach z czymś mi się kojarzy, ale nie potrafię go rozszyfrować. Zanim zdążę zapytać, odsuwa mnie jednak.

– Nie chcę tylko, żeby stała ci się krzywda. Psychiczna – mówi tym tonem, który zarezerwowany jest tylko dla mnie. Tym, którym mówię, że jestem *jego całym światem*. – Opuść to sobie. Proszę. Chodź się całować.

Idę.

## II

Tej nocy park nie śpi.

Księżyc wisi wysoko na niebie, ziemia paruje. Przed północą nad miastem po raz kolejny przetacza się burza. Jest połowa czerwca, ciemne godziny trwają krótko, zaledwie dzień zmruży oko, a musi je z niechęcią otwierać. Deszcz nie przynosi ulgi w upale, snuje się nad wodą gęstą mgłą. Zastępuje drogę, kiedy błądzisz po omacku wśród płataniny księżycowych cieni. Piorun uderzył celnie i wyłączył oświetlenie uliczne w okolicy. Psy z osiedla Hutniczego, zwanego gliwickim trójkątem śmierci, wyją i ujadają zaniepokojone, a potem jak na komendę milkną.

Znad rzeki razem z mgłą unoszą się sny.

Zuzanna, naga i mokra od potu, wtulona w miejsce, w którym powinien leżeć nagi i mokry od potu Olek – ale nie leży – śni o ostatnim dobrym lecie, kiedy byli wszyscy razem: ona i jej siostra błądzą po lesie, w którym rodzice rozbili razem ze znajomymi namioty. Z Maliną plotą wianki z tataraku, leśnych chwastów, paproci. Zbliża się noc świętojańska. Jest gorąco, tak nieznośnie gorąco. Malina chce w nocy pójść nad jezioro, mówi jej o tym w *zaufaniu, rodzicom ani słowa, wiesz*. Zuzanna, tu i teraz, przewraca się z boku na bok i mamrocze przez sen. *Nie. Nie nad jezioro.*

Zazu tej nocy śpi razem ze swoimi bajtlami w ich pokoju, na niewygodnej leżance. Jurek wyjechał na weekend, więc i tak nie warto

spędzać nocy w pustej sypialni, kiedy pod powiekami masz to, o czym nie mówiłaś przyjaciółce – *wspomnienia zdjęć martwych dzieci*.

Tamara śni sny, których nie da się wyśłowić, i krzyczy, przebudzona we śnie, żeby zapaść w kolejny koszmar, o którym nie wie jej mąż, zamknięty we własnym.

Alicja, siostra Miszki, wchodzi do płytkiej, powoli toczącej swoje wody rzeki, bo na falach kołysze się wiklinowy koszyk pełen piszcących szczeniąt, a Alicja zrobi wszystko, żeby nie pozwolić im utonąć. Im dalej wchodzi, tym szybszy, silniejszy nurt, woda popycha koszyk coraz dalej, dalej, ale Alicja nie czuje strachu. Umie pływać.

Miszka wierci się niespokojnie, a ukojenie przynosi mu dopiero cicha kołysanka, której jednak nie śpiewa jego mama.

Olek nie śpi.

I dopiero nad ranem, o szarej godzinie, sny wracają na swoje miejsce.

A park rozbrzmiewa wyciem syren.

\*\*\*

Rano budzi mnie bulgot kawiarki. Wchodzę do kuchni, gdzie Olek garbi się nad kubkiem i ziewa. Mam wyrzuty sumienia, bo po nocnych szaleństwach on musi być na nogach, a ja mogę się wylegiwać. Formalnie jestem na razie bezrobotna, bo nie byłabym w stanie zająć się teraz żadnym dzieckiem – a co boli mnie znacznie bardziej, nikt mnie pewnie już o to nie poprosi. Zostają mi rozgrzebane tłumaczenia, więc obiecuję z własnej inicjatywy Olkowi, który patrzy na mnie spojrzeniem kochającym, ale sennym, że dziś podgonię z pracą. Jeśli mam faktycznie nie zajmować się teorią Zazu, to muszę czymś innym.

– Dobrze – mruczy mi do ucha mąż. – Przynajmniej ciebie nie będę potem musiał zszywać.

– A co niby ma mi pęknąć? – Prycham. Pokazuje mi język.

– Wrażliwa psyche.

Jednak kiedy drzwi zamykają się za nim, nie jestem się w stanie powstrzymać, żeby nie sprawdzić Messengera. Ha, Zazu się nie odezwała. *Widocznie Olek ma rację*, konstatuje, ale otwieram następną wiadomość, tym razem od Teresy.



*Mam coś dla ciebie, pisze. Czuję, jak dreszcz unosi mi włosy na karku, kiedy klikam w link – to odnośnik do Google Drive z tłumaczeniem z niemieckiego.*

\*\*\*

Godzinę później siedzę na komisariacie, cała spięta i roztrzęsiona. Nie dlatego, że mam głęboką potrzebę zrobić z siebie publicznie wariata i przedstawić teorię o seryjnym zabójcy-topicielu, ale dlatego, że jestem *wezwana do stawienia się*. Dwaj funkcjonariusze, którzy dopadli mnie z nienacka, kiedy obgryzałam paznokcie, czytając po raz kolejny przysłany mi przez Teresę tekst, nie pozostawili wątpliwości: *stawiennictwo obowiązkowe*.

*O co im, do cholery, chodzi? Dlaczego? I dlaczego poprosili o moją komórkę?* Nie zamierzają jej pewnie przeglądać, bo nie kazali odblokować ekranu, natomiast dali do zrozumienia, że powinnam zostawić ją w depozycie. Siedzę zatem w jednym z pokoi komisariatu na Pszczyńskiej i czuję, jak plastikowe krzeselko dla petentów boleśnie wbija mi się w kość ogonową, że tak powiem. Wszystko jest ostre i nieprzyjemne.

– Gdzie była pani dziś w nocy? – Po wstępnych uprzejmościach to pytanie jest dla mnie szokiem. Kojarzy mi się z pytaniami, które są zadawane raczej podejrzanym niż świadkom. Policjant przygląda mi się znad elektronicznej maszyny do pisania wzrokiem nieodgadnionym. Stawiałabym na coś pomiędzy podejrzliwością a poczuciem winy.

– W domu.

Wzdycha. Chyba się tego spodziewał.

– A może to ktoś potwierdzić?

– Mąż – wyduszam. Funkcjonariusz wzdycha znowu.

– Ktoś jeszcze?

Zastanawiam się.

– Nie wiem, z nikim się wieczorem nie widziałam ani nie mieliśmy gości. Wychodziłam w ciągu dnia, to mogłaby potwierdzić sprzedawczyni ze Stokrotki pod naszym blokiem, bo tam kupowałam – wyrzucam z siebie, ale widzę, że nie o to im chodzi. Rozkładałam ręce bezradnie. – Nie wiem, może jest coś na kamerze...

– Kameron? – Policjant się ożywia. Kiwam głową.

– Na klatce schodowej, przy wyjściu, są kamery. – Jestem zdecydowana udowodnić swoją niewinność, o cokolwiek mnie, u diabła, podejrzewają. Bo chyba nie wymyślili, że wyszłam w nocy przez okno z dziesiątego piętra.

Policjant coś notuje, a ja próbuję zrozumieć, o co w zasadzie może im chodzić. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to że ktoś znowu zginął. Doświadczenie czytelnika kryminałów podpowiada mi, że mogą mnie podejrzewać – w końcu to ja byłam pierwsza na miejscu zdarzenia. Może uważają, że Miszka zmyślił tę historię z kobietą i psem, żeby mnie chronić? Gryzę się w policzek, i to tak gwałtownie, że czuję na języku smak krwi. Jednocześnie dziwię się, że od wczoraj, od wizyty Zazu, udało mi się tak zdystansować do tego, co się stało w parku. Czy powinnam im powiedzieć to, co od niej wiem? I co potwierdza tekst od Teresy?

*Nie chcę, żeby stała ci się krzywda*, przypominam sobie Olka. I postanawiam na razie zachować swoje przemyślenia dla siebie.

Przesłuchujący mnie wraca z moją komórką w rękę. Patrzę na niego spięta, kiedy przegląda moje zeznanie, a po chwili mówi, że mi je przeczyta, a potem wydrukuje, żebym mogła podpisać. Zasadniczo ma chyba pamięć absolutną, bo – na moje ucho – powtarza słowo w słowo całą konwersację. Podpisuję bez oporów.

– Będziemy jeszcze musieli wziąć od pani odciski butów – mówi, ale nie patrzy na mnie. Spinam się momentalnie.

– Jestem podejrzana? Ale o co? – wybucham. Policjant znowu kręci głową i unika mojego wzroku.

– Jest pani tutaj jako świadek. Musimy sprawdzić wszystkie ślady z miejsca zdarzenia.

Prostuję się, bo chcę wyglądać pewnie, ale drzę.

– Czy tam znowu coś się stało?

Jestem chyba tak wyraźnie spięta, że lituje się nade mną i odpowiada cicho:

– Skoro pani sama zaproponowała sprawdzenie monitoringu, to nie ma to pewnie z panią nic wspólnego. Proszę wrócić do domu. Będziemy panią informować.

Kiedy tylko wychodzę z posterunku i skręcam z Pszczyńskiej we Wrocławską, drżącymi palcami odblokowuję komórkę. Na pierwszej stronie „Wyborczej Śląsk” wali mnie po oczach czerwienią nagłówek: „Kolejny dramat w gliwickim parku”. Na zdjęciu widać funkcjonariuszy, pomarańczowe płachty i pogrążoną w nadrannej szarówce ścianę zieleni. Nie muszę się domyślać, gdzie zrobiono to zdjęcie.

Nogi uginają się pode mną, więc kucam przy ścianie kamienicy.

A potem, zamiast do domu, ruszam na przystanek na Nowym Świecie, skąd odjeżdża autobus do Zabrza.

\*\*\*

Linia 32 jest jedną z najdłuższych gliwickich tras. Startuje na osiedlu Kopernik, spod kompleksu basenów, gdzie nigdy nie byłam, a gdzie przez całe lato kłębi się dziki i nieokiełznany tłum. Ciągnie się od północno-zachodnich osiedli, przecina śródmieście, a potem z prowadzącej na węzeł autostradowy Pszczyńskiej skręca w kopalnianą Sośnicę i, lawirując między łąkami, lasami, nieużytkami, hałdami i ruinami starych budynków, dociera wreszcie do Zabrza. W dni meczowe wóz pęka w szwach od kibiców Piasta Gliwice, względnie Górnika Zabrze, którzy jadą albo oglądać mecz, albo nastukać fanom drużyny przeciwnej, albo jedno i drugie. To naprawdę wesoły autobus, zaręczam wam.

No i jedzie wolno, zwłaszcza w takie gorące, rozpalone dni jak ten, kiedy powietrze wydaje się drżeć, a opony grzęzną w miękkim asfalcie. Mam dość czasu, żeby przeczytać artykuły na Gazeta.pl, w „Nowinach Gliwickich”, „Dzienniku Zachodnim”, informacje na facebookowych profilach o mieście, i sekcję komentarzy też.

Poprzedniego wieczora w parku Chrobrego odbył się folkowy koncert Fifidroków i kilka pomniejszych wydarzeń. Niektórych internautów to oburza – przecież niedawno zginęło tam małe dziecko! – ale wiecie-rozumiecie, jest czerwiec, życie toczy się swoim torem, koniec roku szkolnego, za pasem Noc Świętojańska, musi się *dziać*, zwłaszcza że wszelkie *dzianie się* promuje niedawny remont parku i ukończoną budowę hali Arena. Na błonia przy Politechnice, alejki, place zabaw i ćwiczeń zeszło się mnóstwo rodzin z dziećmi, młodych dorosłych, nastolatków. I to właśnie nastolatki z Sośnicy i okolicy postanowiły

urządzić sobie nocny biwak w parku. Kiedy zrobiło się wreszcie ciicho i bezludnie, zawłasczyli ustawione na łące przy nadrzecznym wale leżaki, przewrócili w ciemności kilka domków dla owadów, rozrzućili trochę petów, butelek po piwie i słonecznikowych łusek, wreszcie zapalili ognisko w krzakach nad wodą i dopiero gdy wygasło, poszli spać, nieporuszeni nawet przez nocną burzę. Byli jeszcze prawie dziećmi – dzikimi, beczelnymi i rozhukanymi jak puszczone samopas żrebaki, ale dziećmi.

O trzeciej, kiedy ciemność powoli zaczęła przechodzić w nadržanną szarówkę, zorientowali się, że jednego z paczki brakuje. A właściwie jednej. Zaczęli szukać – i znaleźli ją tam, gdzie ja Kacpra.

Nie straciłam przytomności, kiedy czytałam artykuł po raz pierwszy – bo na szczęście, mimo prasowego upodobania do clickbaitów, tym razem dziennikarz „Wyborczej” był miłosierny i już na początku zaznaczył, że *stan jedenastoletniej mieszkanki osiedla Wyzwolenia w Zabrze jest ciężki, ale stabilny*. Dziewczynce udało się wydostać na brzeg, nim straciła przytomność. Na jej korzyść podziałała siła przyjaźni – choć większość uczestników zabawy rozpierzchła się w popłochu po całym parku, jej najlepsza kumpela, korzystająca regularnie z pomocy gliwickiego OPS-u, odbyła rok wcześniej kurs pierwszej pomocy dla młodzieży i postanowiła zastosować w praktyce zdobytą wiedzę, a potem w przypływie odwagi cywilnej zadzwoniła też na 112.

I zarzekała się – przynajmniej wg doniesień ze strony internetowej „Faktu” – że widziała na ramionach i szyi koleżanki sińce, tworzące wzór zaciśniętych na opornym ciele ludzkich palców.

\*\*\*

– Już wiesz? – pytam od progu, kiedy Zazu otwiera mi drzwi. Nie odpowiada, ale po minie widzę, że tak, wie. – Gdzie młode?

– Dagny i Błażej są w szkole, a Jacek śpi. – Wciąga mnie do kuchni. – Będę musiała go nakarmić, ale na razie mamy czas. Koty, sio!

Przegania dwie kocice, które z wyraźną niechęcią opuszczają stół w kuchni. W innych okolicznościach pewnie bym protestowała, bo je uwielbiam, ale teraz liczy się czas. Wykładam na drewniany blat wydruk dokumentu od Teresy. Zazu czyta, lekko poruszając ustami.

Teska wykonała naprawę kawał solidnej roboty – nie tylko przetłumaczyła tekst, ale też poszperała głębiej i ustaliła, że napisał go dla lokalnej gazety w Bielefeldzie niejaki Horst Westerwelle, który mnie pewnie skojarzyłyby się jedynie z niemieckim lewicowcem Guido. Dzięki Teresie wiedziałam już, że był najprawdopodobniej potomkiem Niemców, którzy pod koniec lat czterdziestych wyjechali ze Śląska do Nadrenii Północnej-Westfalii. W latach dziewięćdziesiątych pracował w lokalnym radiu, a poza tym działał w stowarzyszeniu rodzin powojennych wysiedleńców i spisywał sumiennie historie sprzed dwóch pokoleń. Jedną z nich była ta, którą wysznupała Teresa – opowieść o dziwkiej rzece Klodnitz, jej kanałach, wylewach, i wreszcie ofiarach dziwnych seryjnych utonięć, które powtarzały się regularnie co kilka lat i przed którymi zabobonny strach odczuwali co bardziej przesądni mieszkańcy Gleiwitz. Zawsze ginęły dzieci, zawsze troje, na początku na odcinku rzeki równoległym do starego kanału kłodnickiego, który przebiegał tam, gdzie dziś mamy ulicę Jagiellońską, od jazu w okolicach dzisiejszego południowego krańca parku Chrobrego aż do basenu portowego pod obecnym Gliwickim Centrum Handlowym. A później także w nowoczesnych, symbolizujących *Kraft durch Freude* parkowych basenach rekreacyjnych. I zawsze w czerwcu.

Westerwelle zaznaczał, że ostatnie utonięcia, o których usłyszał bezpośrednio od swoich śląskich dziadków, zdarzyły się jeszcze w czasie wojny; jednak publikował też zdjęcia z końca lat pięćdziesiątych, otrzymane w zaufaniu od kogoś, kto – jak pisał – pozostał w Polsce, aby *strzec duchów przeszłości*.

Teresa skrupulatnie skopiowała je osobno jako załącznik do wiadomości. Są rozmyte, prześwietlone, jakby ktoś zrobił odbitki z mocno już sfatygowanych klisz. Gdzieś tam znaczą je dziwne plamy, koncentryczne kręgi przypominające ślady na wodzie. Jednak są czytelne. I przygnębiająco smutne, jak smutne są porzucone na nadbrzeżnej skarpie dziecięce ciała w jasnym świetle południa.

– Co z tym w obecnej sytuacji robimy? – pytam rzeczowo. Moja przyjaciółka siada przy stole ciężko. Wczoraj kipiała energią, ale teraz jest przygaszona.

– Przepraszam – mówi, widząc moje przynaglające spojrzenie. – Nie spałam całą noc. Widzisz, nie mówiłam ci tego, ale ja widziałam te zdjęcia. – Stuka palcem w wydruk. – Te i jeszcze inne. Bardziej dokładne. I śniły mi się dzisiaj.

Wzdycham i obejmuję ją. Domyślam się, że dla kogoś, kto ma dzieci, to musi być jeszcze trudniejsze niż dla kogoś, kto stracił siostrę. Dotąd nie lubię wspominać reakcji moich rodziców.

– Jak myślisz, w jaki sposób ten cały Horst Westerwelle je dostał?

– Raczej nie od babci. Gdyby to wyszło na jaw, straciłaby pracę, albo i co gorszego. Mógł je kupić od kogoś wyżej. Esbekowi prędzej uszłoby to na sucho.

– W każdym razie clou jest takie: Niemcy wiedzieli. I się spodziewali. – Jeszcze raz przerzucam kartki, które zakreślałam w domu. – Bo sami się z tym wcześniej zetknęli.

– W czasie wojny. – Zazu sunie wzrokiem po tekście. – Czyli to raczej nie jest germański mściciel.

– No nie. – Siadam obok niej. – Wracamy do punktu wyjścia. A poza tym mnie to zastanawia: w tym artykule są odnośniki do innych, ale Teska napisała, że nie da się ich znaleźć. Że są usunięte. Dlaczego Niemcy mieliby tuszować sprawę utonięć w Gliwicach? Jeszcze bym rozumiała, że w czasie wojny, bo ich ministerstwo propagandy pewnie by nie pozwoliło na sianie paniki, ale czemu w latach siedemdziesiątych albo, no nie wiem... Ostatnio? Bo przecież skoro były odnośniki, to znaczy, że musiały istnieć artykuły zamieszczone w sieci.

– I dlaczego nic nie zrobili? – wchodzi mi w słowo przyjaciółka. – To się działo w czterdziestym czwartym i wcześniej. Mogli ograniczyć informacje, ale czemu nie zamknęli basenów?

Pocieram palcami skronie. Od rana jestem znowu spięta.

– Mnie teraz najbardziej męczy pytanie, kiedy to się zaczęło. Bo wygląda na to, że jeszcze przed otwarciem basenów w 1914. I powtarza się regularnie co piętnaście lat... Ty wiedziałaś o przypadku z 1959 i z 1974. Tu mamy 1914, 1929, 1944... A teraz jest 2019. Czyli powinny być też w 1989 i 2004.

– Chodź do komputera. Włączę ci go, szukaj, a ja będę karmić bajtla. – Zazu rusza do pokoju dziennego, w którym już wierci się na łóżku

i popiskuje jej najmłodsze dziecko. Przypina się do niej jak kangurek, a ja, wciśnięta za biurko (w mieszkaniu Zazu i Jurka jest dużo miejsca, ale też dużo mebli, głównie do siedzenia ze znajomymi i do przechowywania książek), zaczynam wyszukiwać frazę „Gliwice+topielec+1989”.

Nic, nic, nic. Owszem, wyszukiwarka wyrzuca przykłady utonięć w Kłodnicy, ale z innych lat. I ofiary to nie dzieci – najczęściej studenci, młodzi dorośli. Czuję narastającą frustrację. Mam wrażenie, że ktoś zadał sobie dużo trudu, żeby tych informacji w Internecie nie było.

–I co?

– Psińco – wzdycham ze złością, zamykając kolejny bezużyteczny link. – Ale wiesz co? Właśnie mnie olśniło! Ten tekst Westerwellego to jest skan. Z gazety.

Zazu uderza dłonią w blat biurka.

– Kurczę, że ja na to nie wpadłam! Gdzie mogą być stare gazety?

– W bibliotece na Kościuszki, koło sądu. Mają tam czytelną czasopism, więc jest szansa, że będą mieli archiwalne egzemplarze – myślę głośno. – A to nawet nie będzie takie stare. Zwłaszcza ten 2004. – Wstaję, waląc boleśnie biodrem o biurko. – Szlag, złośliwość rzeczy martwych. Pojadę tam od razu.

– A ja się przejdę do Izy – stwierdza Zazu. – Mojej znajomej, policjantki. Ona mi czasem konsultuje teksty. Może powie, jak to przekazać tym policmajstrom z Gliwic tak, żeby nas nie odesłali do Toszka jako chorych na umyśle.

I to najlepiej szybko, myślę, kiedy wychodzę na ulicę. Z tekstu wysznupanego przez Teresę wynika, że dzieci giną aż do nocy świętojańskiej. A to jeszcze kilka dni.

\*\*\*

Oczywiście nie spodziewam się, że w czytelnym czasopiśmie w bibliotece miejskiej na Kościuszki znajdę oryginał tekstu Westerwellego, ale jeśli w ogóle mam znaleźć wzmianki, które skasowano w sieci, to jedynie w archiwach mediów sprzed epoki cyfrowej.

Czerwcowy upał praży niemiłosiernie, a spaliny drażnią gardło, bo mimo że wędruję przez starą, niemiecką część miasta, gęsto obsadzoną drzewami, to do skweru na Kościuszki, opodal parku Grunwaldzkiego,

prowadzą wyjątkowo ruchliwe ulice. Chociaż skwar jest tak straszny, że chwilami brakuje mi oddechu i muszę się zatrzymać, przechodniów i samochodów nie brakuje. Tylko dzieci mało i w pierwszym odruchu chwytam się na myśli, że miasto ogarnęła panika. Jednak przypominam sobie, że mamy wciąż rok szkolny. Dziwne byłoby, gdyby w środku dnia płały się tu małolaty.

Biblioteka to stosunkowo nowy, wolno stojący pawilon między poniemieckimi budynkami – szpitalem wojskowym i sądem z czerwonej cegły – a pięknymi kamienicami przy ulicy prowadzącej do dużego parku i osiedla na terenie dawnej, też niemieckiej, jednostki wojskowej. Przed wejściem jest skwerek z ławkami; siadam na jednej z nich, żeby odpocząć. Gapię się tępo na wysokie topole, na międzywojenne kamienice, na szachulcowe wypełnienia poddaszy budynków po starych koszarach.

Dociera do mnie – zabawna rzecz – że dotąd nie patrzyłam na to moje-nie-moje miasto w kategoriach tego, jak bardzo wiele w nim pozostało po poprzednich mieszkańcach. A przecież gdzieś tam te ślady są bliskie, intymne, na wyciągnięcie ręki. W kamienicy, w której mieszkaliśmy przed przeprowadzką na św. Marka, na drzwiach klatki schodowej widniała płytką z zatartym napisem szwabachą. Na starych, zaniedbanych budynkach pod odpadającym tynkiem można czasem zobaczyć ślady niemieckich szyldów. Ba, Miszka i jego rodzina mieszkają w willi z lat trzydziestych – tam po niemiecku opisane są niektóre włączniki światła na korytarzu. Wciąż działają.

Jakbyśmy byli tylko bluszczem, który obrasta znacznie starsze – i wciąż żywe – drzewo.

Z zamyślenia wyrывa mnie ciężka łapa na kolanie. Podskakuję, a młoda dziewczyna parska nerwowym śmiechem.

– Przepraszam! On się mnie zupełnie nie słucha! – wykrzykuje, próbując zapanować nad wielkim czarnym psem, na oko mieszańką goldena i owczarka. To on przestraszył mnie tak, że prawie zleciałam z ławki, a teraz tańczy taniec radości, prosząc, żebym go pogłaskała.  
– Kocha wszystkich ludzi!

– Nic nie szkodzi. – Zaczynam czochorać psa za uchem; jest wniebowzięty. – Lubię psy, zupełnie mi to nie przeszkadza.



– No, tak. – Dziewczyna ma na oko jakieś piętnaście lat, długie jasne włosy i trochę speszony wyraz twarzy. – Tylko wie pani, nie każdy chce, żeby po nim skakało prawie trzydzieści kilo futra. Próbuję go tego oduczyć, ale on... Atos!

Atos wytrąca mi komórkę z ręki, więc przez chwilę obie szukamy jej w żywopłocie, ale po chwili dziewczyna musi się oddalić, wykrzykując coś przepraszająco, kiedy pies zauważa innego przedstawiciela swojego gatunku i ciągnie ją na drugi koniec skweru. Wyłuskuję wreszcie komórkę spomiędzy gałęzi i widzę, że mam nieodebrane połączenie. *Olek*. Jednak zanim zdołam wybrać jego numer, telefon się wyłącza. *Psiakrew, nie podładowałam go*, myślę; będę musiała to zrobić w czytelnicy, ale tam nie będę mogła zadzwonić. No nic, koniec laby, szybko się uwinę i szybko oddzwonię.

Z tyłu głowy mam: *czarny, duży pies. Kobieta, która zwabiła Kacpra nad wodę, miała czarnego psa. Czy to ma jakieś znaczenie?*

\*\*\*

Lżejsza o kilka bezowocnie spędzonych godzin życia i stertę gazet, które właśnie odłożyłam na biblioteczny kontuar, patrzę na zegar wiszący na ścianie czytelnicy. Jest ósma; jeszcze dość jasno, ale już późno. Bibliotekarka, starsza kobieta w okularach i lekkiej bluzce, wzdycha.

– I co? – zagaduje ze współczującym uśmiechem. – Znalazła pani to, czego szukała?

– Nie. – Kręcę głową. Przejrzałam chyba wszystko, co się ukazało w Gliwicach od początku III RP, a potem w desperacji zabrałam się za późny PRL i epokę Gierka. I nic. – A mają państwo może coś bardziej historycznego? Z międzywojnia na przykład?

Pytam bez większego przekonania, ale kobieta się rozpromienia.

– Tak, znalazłoby się coś starszego, na pewno, tylko czy pani zna niemiecki?

– Na tyle, ile trzeba – odpowiadam, próbując nie dać po sobie poznać, jak nagle przyspieszył mój puls. – Najwyżej zrobię zdjęcia telefonem i przetłumaczę...

– A-a-a, ale zdjęcia to za dnia. Bo z fleszem nie można – tłumaczy. – A poza tym i tak zaraz zamykamy.

Zatem grzecznie dziękuję i obiecuję pojawić się jutro, zdjęcia bez flesza oczywiście.

Ruszam do wyjścia, a bibliotekarka – w kierunku zaplecza. Zanim jednak zamknę drzwi, odwraca się do mnie i z uśmiechem, w którym widać lekkie zastanowienie, stwierdza:

– Ciekawe, że te stare gazety nagle zrobiły się tak wszystkim potrzebne, bo wie pani – jest pani już trzecią osobą w tym tygodniu, która o nie pyta.

Znika za drzwiami do wewnętrznego sanktuarium papieru i kurzu, a ja stoję jak ten kołek z ręką na klamce, oszołomiona. Ktoś jeszcze wpadł na podobny pomysł jak Zazu i ja. Boże, ile bym dała, żeby się dowiedzieć kto!

\*\*\*

Dopiero kiedy przekręcą klucz w zamku, dociera do mnie, że nie mam działającego telefonu. A miałam oddzwonić do Olka! Wchodzę do domu i wołam go – ale natychmiast orientuję się, że go nie ma. Czuję tylko jego zapach, taki jak wczoraj: lekko zielony, roślinny. Pod wieszakiem brak butów, na haczyku – kurtki; mieszkanie pogrążone jest w ciszy i lekko liliowym półmroku letniego zmierzchu. Nie wiem, dlaczego ten widok powoduje we mnie spazm strachu; *przecież na zdrowy rozum nic nie mogło się stać, jest pewnie na dodatkowym, nagłym dyżurze, i to pewnie dlatego do mnie dzwonił, żeby mnie uprzedzić...*

Wyłuskuję komórkę z kieszeni. Jest oczywiście nienaładowana, więc spędzam kolejne minuty na czekaniu, aż da się ją włączyć. Tak, dzwonił, potem dzwoniła też Zazu, teściowie...

Oddzwaniam najpierw do niego, ale ma wyłączoną komórkę. Żadnej poczty głosowej, żadnych esemesów, *abonent ma wyłączony telefon lub jest poza zasięgiem*. Teraz jego rodzice – okazuje się, że towarzysko, więc zatajam przed nimi, że nie mam kontaktu z mężem. Zazu. Ona też nie odbiera. Tknięta przeczuciem, sprawdzam pocztę na Gmailu – i zamieram ze strachu.

Dziś dostałam tylko jeden e-mail. Nie znam adresu, wygląda jak wygenerowany losowo ciąg liter, znaków i cyfr. I składa się w zasadzie tylko z nagłówka.

Klikam w załącznik, zanim zdążę pomyśleć o clickbaitach, trojanach i plikach .exe. W załączniku jest zdjęcie w kolorze spłowiałej sepii i dodatkowo nieostre. Ale nietrudno rozpoznać, co przedstawia.

W wodzie dryfuje – plecami w górę, nienaturalnie bezwładne – dziecko w krótkich spodenkach na szelkach i wysokich trzewiczkach.

\*\*\*

– Halo? – odzywa się wreszcie Olek, kiedy po raz nie wiem który już z rzędu wybieram jego numer. – Zuzia? Dzwoniłem...

– Wiem – odpowiadam najspokojniej, jak potrafię. – A mnie rozłądowała się komórka.

– Już dość dawno – stwierdza z lekką przyganą w głosie. Przełykam ślinę.

– Byłam w mieście. Policja...

– Tak, mnie też wezwali – dopowiada tak lekko, że powinnam się zupełnie nie przejąć. – Zapytać o ciebie. Ale wygląda na to, że to tylko pro forma.

– Mieli sprawdzić monitoring. Czy nie wychodziłam w nocy – mamroczę, cała spięta. To właśnie dlatego nie wyszłam teraz z domu, choć czuję, że jeśli zostanę, to strach mnie zje żywcem.

– I dlatego się tak denerwowałaś? – Prawie się śmieje. – I wydzwaniałaś do mnie dwadzieścia razy?

– Przepraszam. Wcześniej byłam... Trochę się przejść, wiesz, odebrać się. Pojechałam do Zazu i zapomniałam podładować telefon, a teraz wszystko mnie wytrąca z równowagi... – Czuję, że mój głos niebezpiecznie się wznosi, i muszę przerwać, żeby opanować pochłipywanie.

– Spokojnie, rozumiem – mówi Olek tym swoim łagodnym, ciepłym tonem, który lubią jego pacjenci. – I przepraszam, że nie napisałem ci esemesa. Wziąłem dodatkowy dyżur, bo chcę po Bożym Ciele mieć wolne. Dasz radę?

– Jasne. Kocham cię – mówię cicho; w tle słyszę jakieś dźwięki. Ktoś woła go po imieniu.

– Też cię kocham. Czekaj ze śniadaniem. Ale bez kawy.

Uśmiecham się mimowolnie, kiedy się rozłącza. Przynajmniej z nim wszystko w porządku.

Bo z Zazu nie. Nie dodzwoniłam się do niej, za to zadzwonił do mnie Jurek z pytaniem, czy nie ma jej u mnie. Szuka jej od czterech godzin. Opowiedziałam mu o Izie, do której chciała się wybrać; obiecuje, że oddzwoni, kiedy to sprawdzi, ale kiedy dostaję od niego następnego telefon, już z samego tonu głosu mogę wywnioskować, że tam jej nie było. Wyszła około trzeciej. Zostawiła małego z nianią, mówiąc, że musi coś załatwić i niedługo wróci. I jeszcze nie wróciła.

Kiedy rozmawiamy, w tle słyszę płacz Jacka.

\*\*\*

Nie idę spać.

Nasze duże, trzypokojowe mieszkanie wydaje mi się teraz ciasną klatką. Letnia noc jest duszna i nawet otwarcie okien na przestrzał nie przynosi ulgi. Jest mi gorąco, czuję, że pot spływa mi po twarzy, po plecach, moczy nawet dłonie. Wyciągam z szafy w przedpokoju wiatrak, duży model, który potrafi dmuchnąć jak halniak, ale kiedy mam go właśnie podłączyć do gniazdka, w mieszkaniu gaśnie światło.

Po chwili walki z korkami i ostrożnym wyjściu na klatkę schodową orientuję się, że mamy najwyraźniej w bloku awarię. Nie tylko w bloku zresztą, uświadamiam sobie, kiedy wyglądam przez okno, bo na całej św. Marka, Witkiewicza, Tarnogórskiej i w okolicy widzę ciemność. Na szczęście księżyc świeci wystarczająco jasno, żeby znaleźć świeczki i zapalki.

Zabawne, bo mam wrażenie, że w tej krzątaninie wreszcie uszło ze mnie napięcie i przekonuję się, że zlewny pot to jednak w dużej mierze kwestia stresu, a nie upału. Jednak nadal czuję się nieprzyjemnie lepka, brudna. Zabieram do łazienki kilka tealightów i zaczynam nalewać wody do wanny. Po namyśle wlewam do kominka zapachowego odrobinę olejku lawendowego i herbacianego. Kąpiel jest chłodna, zapach orzeźwiający, płomienie świec kołyszają się, wydobywając ze znajomych kształtów fantastyczne cienie. Opieram głowę o brzeg wanny i oddycham głęboko. Nawet nie czuję, kiedy zamykają mi się oczy.

*Leżę na wodzie. Nade mną jaśniej prawie białe niebo czerwcowego południa; obracam się na brzuch, patrzę w dół. Podo mną błyszczą jaskrawą bielą dno basenu. Widzę sunące podo mną wielkie, leniwe ciała japońskich karp. Złote rybki.*

*Złote rybki. Skórzane trzewiki, spodenki na szelkach. Jasne włosy. Dziecko dryfujące na powierzchni wody. Chcę się zerwać na nogi, natychmiast wydostać z basenu, w panice tracę koordynację i zamiast płynąć ku powierzchni, zapadam się w toń. Otwieram oczy szeroko i widzę przed sobą twarz kobiety.*

Prostuję się gwałtownie; tealight wpada do wody, ale nie gaśnie. Łapię powietrze – we śnie zanurzyłam się prawie po nos. Rozpryskując wodę na wszystkie strony, wyłażę z wanny i chcę jak najszybciej uciec z łazienki, ale rozsądek każe zabrać świece. Odwracam się i prawie krzyczę.

Widzę ją znowu. Ma ciemne, unoszące się wokół twarzy włosy i ciemne oczy w dziwnie śniadej twarzy. Jest naga. Patrzy na mnie przez moment badawczo, a potem obraca się wokół osi i odpływa, znikając w ciemności – jakby moja wanna była otworem przerębła. Nie jestem się w stanie ruszyć, zrobić ani kroku.

Gdy się obróciła, zobaczyłam na jej żebrach długie, półkolisty nacięcia.

\*\*\*

Do rana nasza część miasta – Zatorze – jest odłączona od sieci energetycznej. Wiem, bo resztę nocy spędzam owinięta w koc na karimacie na balkonie. Żadnej wody. Siłą woli powstrzymuję się, żeby nie dzwonić do Olka, za to jeszcze kilka razy wybieram numer Zazu. Nie mam dość odwagi, żeby sprawdzić, co się dzieje z dziewczynką podtopioną wczoraj w parku Chrobrego.

– Nie pójde do biblioteki, nie zapytam, kto jeszcze szukał tych starych gazet – mamrocze do siebie, a może i nie do siebie. – Nie sprawdzę czarnego psa. Nie sprawdzę nacięć. Nie chcę już o tym myśleć, nie chcę mieć z tym nic, zupełnie nic wspólnego. Nic.

Zасыpiam nad ranem, nim jeszcze ptaki rozśpiewają się na dobre, a niebo poróżowieje.

### III

Niebo różowieje, dopala się ogień, mgła nad taflą wody powoli topi się w promieniach wstającego słońca – już jest jej ledwie na palec, na nic, na włos. W powietrzu snuje się zapach dymu przesyconego zapachem ziół, przełamany mokrą, zieloną wonią. Młoda kora lipy oddziela się od gałęzi, z miazgi sączy się sok.

*Będziemy pleść sznur według pomysłu Achima, mówi głos ukryty w dymie. Sznur z młodej kory lipowej. Nie mamy już innych opcji, więc pozostaje wypróbować tę.*

*Najpierw trzeba ją wywabić, odpowiada inny głos.*

*O to się nie martwimy. Już zwęszyła przynętę.*

Zuzanna śni sen jasny i pełen kolorów. Śni o ognisku nad brzegiem rzeki.

O jasnowłosej dziewczynce, walczącej z całych sił z prądem, próbującej przebić się przez warstwę białej jak mleko mgły, która wreszcie ustępuje, *topi się w promieniach słońca*

*jest jej ledwie na włos*

*o dymie*

*o soku*

*o głosie*

o łodzi, która niesie ją po falach jeziora, które nie jest jeziorem, tylko rzeką, coraz bardziej rwącą, *wzdyma się fala mętna od krwi, wszędzie wokół zatapiając obrzędy dawnej niewinności, a łodzi już nie ma.*

*Zabierzmy ją stąd, mówi głos po prawej, czemu tu zasnęła?*

*Szuka jej, poznają to, odpowiada głos z lewej. Szukają się nawzajem. To może być nasza szansa.*

*Lepiej byłoby jej powiedzieć.*

*Nie możemy ryzykować, że się zdradzi. Za wysoka stawka.*

A we śnie Zuzanny to już nie Zuzanna unosi się na wodzie, twarzą w dół, i śpiewa:

*Lay me down*

*Let the only sound*

*Be the overflow*

*Pockets full of stones*

Śpiewa Malina, dźwięki wylewają się z jej ust strumieniem wody.

Dzieci – Dagny, Błażej, Alicja, Miszka, i tyle innych – śnią, zasłuchane w kołysankę rzeki.

\*\*\*

O dziewiątej jestem w bibliotece. Przed wejściem czeka na mnie Zazu – stoi pod drzewem i łapczywie pali papierosa. Macha do mnie, a ja biegnę do niej z drugiej strony ulicy takim sprintem, że na ostatniej prostej potykam się i prawie wpadam jej w ramiona. Ale nie jestem szczęśliwa, tylko wściekła.

– Gdzie byłaś?! – Celuję w nią palcem oskarżycielsko. – Myślałam, że przez ciebie zejde!

– Cichaj – mruczy, przesuwając papieros w kącik ust i grzebiąc jednocześnie w swojej przepastnej torebce. – Już się nasłuchiłam od Jurka, nie mam ochoty na kolejne kazanie.

Jest trochę zła, ale mam wrażenie, że jednocześnie podekscytowana. Zadzwoiła rano, akurat kiedy zbudziłam się ku swojemu zaskoczeniu nie na balkonie, ale w łóżku, do którego zapewne zawłókł mnie Olek, zanim zrobił śniadanie, zostawił na stole obok kanapek kartkę z prośbą, żebym zadzwoniła w południe, i wyszedł na kolejny dyżur.

– Musiałam pojechać do Cieszyna – kontynuuje, kiedy siadamy na ławce. – Do domu ciotki. Przypomniałam sobie, tam jest więcej rzeczy po babci, które dotyczą tych utonięć. Jeśli mamy z czymś iść na policję, to lepiej żeby to były namacalne dowody. Zajęło mi to trochę, ale wróciłam przed jedenastą. Chciałam nawet do ciebie zadzwonić, żebyś się nie martwiła, ale uznałam, że pewnie już śpisz. A ty znalazłaś coś w bibliotece?

Przetykam ślinę. Walczę ze złością. *Mogłaś przynajmniej napisać esemesa!*

– Nie – mówię zamiast tego. – Dzisiaj będę sprawdzać papiery sprzed wojny. Ale dowiedziałam się, że ktoś jeszcze też szukał tych gazet.

– Ktoś jeszcze? – dziwi się Zazu, wydmuchując dym kącikiem ust. – No proszę. Czyżby policja zaczęła jednak myśleć? Nie może być.

Nie patrzę na nią, kiedy dodaje:

– A potem, w nocy, miałam koszmar. Przyśniła mi się ta kobieta, o której mówił Miszka. W wodzie. Pokaleczona.

Zazu milczy dłuższą chwilę.

– Pokaleczona? To znaczy?

Zaciskam mocno splecione na kolanach dłonie.

– Widziałam ją w wodzie, nagą. Popatrzyła na mnie, a potem popłynęła gdzieś dalej, ale kiedy się obracała, zauważyłam, że ma rany między żebrami. Takie, jakby ktoś ciął ją tam nożem, a raczej jakimś, nie wiem, sierpem...?

– Boże, nie zazdroszczę. – Moja przyjaciółka się otrząsa. – Musiały ci głęboko wejść w podświadomość te historie o niemieckiej krzywdzie na Śląsku.

– Chyba tak – stwierdzam, ale wiem, że to nieprawda. Nie potrafię się jej zwierzyć, że jestem bardziej niż pewna, że kobieta w wodzie nie była częścią mojego snu. – Pokaż, co znalazłaś u babci.

Podaje mi album – a właściwie skoroszyt, dość stary, z powpinanymi kartonowymi planszami do wyklejania. Przeglądam je, starając się nie myśleć, co prezentują zdjęcia; skupiam się na podpisach. Przełykam ślinę. Są dwa zestawy; na jednym i drugim oprócz dat rocznych są teżienne. Przypadków nie jest tyle samo, ale jeśli już są – ich daty się powtarzają.

Kiedy oddaję jej album, spomiędzy kartonów wypada jeszcze jedna fotografia. Podnoszę ją i otwieram szeroko oczy. To nie jest właściwie zdjęcie, ale zdjęcie zdjęcia – wystarczająco wyraźne, żeby je rozpoznać.

– Potrzyмай. – Wciskam je Zazu, a potem wyjmuję komórkę i otwieram moją skrzynkę pocztową. – Patrz.

Ta fotografia i plik, który mi przesłano, przedstawiają dokładnie to samo.

– To nie ja wysłałam...

– Wiem – przerywam jej. – To przecież kopia. Ktoś ma oryginał.

Zazu obraca fotografię i marszczy lekko brwi.

– Tu jest data. I to jest... – Wysila wzrok. – Rok 1901.

– Rany boskie. – Patrzę na nią szeroko otwartymi oczami. – Jak długo to już trwa?



Pytanie zostaje bez odpowiedzi. Przez chwilę jeszcze siedzimy w milczeniu; Zazu wypala kolejnego papierosa, przygarbiona, z głową opartą o dłoń.

– To co teraz? – pytam wreszcie. – Pójdziesz z tymi zdjęciami na komisariat?

– Tak – odpowiada zdecydowanie. – Nawet jeśli miałabym się wygłupić. Może oni też wpadli na ten pomysł, skoro sama mówisz, że ktoś grzebie w starych gazetach. A ty spróbuj podpytać, kto to.

– Zostaje jeszcze ten e-mail – zastanawiam się na głos. – Powinniśmy się dogadać z kimś, kto jest w stanie wyśledzić autora, bo nie mam ochoty teraz jeszcze oddawać mojej komórki policji.

– Ale powinnaś. – Tym razem to Zazu jest głosem rozsądku.

Kręcę głową. *Nie, póki nie dowiem się, kto postanowił mi zrobić tak obrzydliwy kawał.*

– Poprośzę Hankę. Ona powinna sobie z tym szybko poradzić. A potem nie ma sprawy, niech sobie szukają po IP.

Zazu kiwa głową; nie naciska już. Rozchodzimy się zatem – ona wsiada do samochodu, żeby pojechać na Pszczyńską, a ja ruszam znowu do biblioteki, zdeterminowana dowiedzieć się, jak głęboko, do diabła, to wszystko sięga.

\*\*\*

Mam szczęście, bo zastaję na porannej zmianie tę samą bibliotekarkę, która żegnała mnie wczoraj. Postanawiam więc kuć żelazo, póki gorące – prócz tego, że proszę ją o starą prasę, pytam o książki poświęcone Gliwicom. Dzięki temu jest okazja wdać się w pogawędkę. Błaguję, że noszę się z zamiarem napisania opowiadania o miejskich legendach.

– Nawet się pani nie dziwię – mówi, kiedy wchodzimy razem do archiwum, a ja zaczynam buszować wśród gazet, szukając głównie czerwcowych i lipcowych wydań sprzed ponad stu lat. – Ostatnio mamy tu w mieście sporo takich inicjatyw. Dotąd to były głównie opracowania muzealne, ale teraz pojawiają się właśnie opowiadania, powieści...

– O legendach miejskich też? – pytam, wyłuskując kolejny tytuł wspomniędzy innych.

Starsza kobieta śmieje się cicho.

– O, a jakie tu mogą być legendy? Chyba o czarnej wołdze! Chociaż... Przypominam sobie, że kilka lat temu muzeum wydało komiksy o Gliwicach, pokażę pani, i tam była taka historia, *Człowiek z żeliwa*, taka legenda o nieszczęśliwej miłości... Proszę, tędy.

Idę za nią do wypożyczalni książek. Pustawo tutaj, szczególnie w części zamieszkałej przez silesiana – opodal filozofii, religii i etnografii. Dostaję tomik o zabawnym tytule „Niczego sobie”, a przy okazji wpada mi w oko broszurowe „O diobłe złośliwym i utopku życzliwym”. Zgarniam i to. *Utopek* to utopiec, *waserman*, jak mówiła babcia Zazu. A jeśli ktoś rzeczywiście postanowił zainspirować się legendami? Podszyc się pod nadnaturalne byty?

– Dużo tu w okolicy legend o utopcach. – Przeglądam książkę, kiedy bibliotekarka dalej szuka czegoś dla mnie. – Ale w samych Gliwicach nic.

– Dziwne, prawda? Bo można by się spodziewać, w końcu to jest miasto, które miejscami dosłownie stoi na wodzie... Wie pani, co to „zgliwiały”? Od tego samego rdzenia, od *gliwy*, błotnistej ziemi, pochodzi ponoć nazwa Gliwic.

– Nie wiedziałam – przyznaję. Kobieta nie dziwi się.

– Ja też bym nie wiedziała, gdybym nie szukała. – Wzdycha. – Też nie jestem stąd. Jak większość z nas, którzy mieszkają tu w centrum. My wszyscy to bardziej lwowiaci niż Ślązacy...

– Ale o basenach w parku Chrobrego pewnie pani wie. – Postanawiam zaryzykować grę w otwarte karty. – Bo mnie dopiero niedawno koleżanka opowiedziała, po tym, jak się to dziecko utopiło...

Bibliotekarka prostuje się i obraca w moją stronę, nagle cała spięta.

– Szkoda, że pani o tym wspomniała. – Widzę, jak ciężko oddycha. Przykłada rękę do piersi, żeby uspokoić serce. – Wolę nawet o tym nie myśleć, bo już wiedziałam, że przedwczoraj też był tam wypadek, jakaś nastolatka wpadła do wody... Ja tam chodziłam jako zupełny maluch na te baseny, pamiętam je. – Przysiada na parapecie. – Potem je zasypali, a teraz tam stoją korty i ta paskudna hala Arena, oby te wody podziemne jej nie zatopiły i nieszczęścia z tego nie było.

Na chwilę przerywa, a ja patrzę na nią wyczekująco, bo mam

przemozne wrażenie, że teraz powinnam się zamknąć i słuchać.

– Kiedy byłam dzieckiem, to rodzice nas tam chętnie prowadzili; wiadomo: lato, upały, a wtedy jeszcze Kąpieliska Leśnego nie było. Za to było jeszcze właśnie z niemieckich czasów tego sporo, zwłaszcza w okolicach Kłodnicy. Teraz to mało kto wie, ale były też baseny kąpielowe pod starym teatrem, w samym centrum, i był port tam, gdzie teraz jest GCH. To miasto stało kiedyś na wodzie... Ale Ślązacy, jeśli tu się w centrum jakichś spotkało, to swoich dzieci na to kąpielisko w parku Chrobrego nie puszczała.

– Czemu? – Udaję zaskoczenie, choć brzmi zupełnie jak historia Zazu. Bibliotekarka zniża głos:

– Bo uważali, że tam straszy. Że coś tam właśnie ludzi wciąga do wody. I teraz sama nie wiem, czy w tym wszystkim nie ma trochę prawdy... Pamiętam, że coś tam się mówiło, że co jakiś czas latem dzieci tam giną. Chociaż oczywiście to pewnie z przyczyn naturalnych, ale my się baliśmy.

Rzuca okiem na gazety, które ściskam w rękę, i nagle w jej oczach widzę błysk przypomnienia.

– Mówiłam pani, że pani nie jest pierwsza, która się tym zainteresowała? Tymi starymi gazetami? To była raz dziewczyna, a raz taki młody człowiek, który też o nie pytał. Za pierwszym razem przyszedł za późno, tak jak pani wczoraj. A jeszcze raz przyszedł niedawno, już nie na mojej zmianie, koleżanka go obsłużyła. I żeby było ciekawiej, to ja go znam, bo to jest chirurg, który mi na onkologii wycinał guzek parę lat temu, taki spokojny, zawsze tak mówi, że człowiek się przestaje bać...

Nie słucham, bo w uszach zaczyna mi szumieć, jakby ciśnienie chciało rozsadzić mnie od środka.

– Ten chirurg nie nazywa się przypadkiem Aleksander Wilczyński? – pytam, nim zdążę się powstrzymać.

– Tak. Panią też operował?

Wybiegam z biblioteki, nie myśląc nad tym, jakiego obciachu sobie właśnie narobiłam.

Wiedział. Nie wiem, co dokładnie, ale wiedział. I usiłował mnie od tego odciągnąć, zniechęcić, przekonać, że to, co mówi Zazu, to bzdury. A sam szukał dokładnie tego samego.

Nogi niosą mnie w kierunku PAN-owskiego Instytutu Informatyki Teoretycznej i Stosowanej, który od biblioteki dzieli w zasadzie tylko stary park i kawałek pięknej stuletniej alei, wysadzonej lipami i otoczonej przez wille i niewielkie domy wielorodzinne z lat trzydziestych. To stara część miasta, ponemiecka skorupa zasiedlona przez polskiego ducha.

Niemieckie miasto na wodzie. Podmokłe. Bagniste łąki nad Bytomką. Sąsiadka narzekająca na budowę centrum handlowego na terenie dawnej kurzawki. Woda, która kilka lat temu wdarła się do piwnic budynków Politechniki Śląskiej. Letnie powódzie i wylewy, studenci pływający pod uczelnią w kajakach. Lato. Woda. Podziemne strumienie. *Kłodnica*. Przypominam sobie nagle, zupełnie ni z gruszki, ni z pietruszki, co oznacza staropolski *kłodnik*: więzień zamknięty w dybach.

\*\*\*

Hanka nie może mnie przyjąć w budynku, ale kiedy dzwonię do niej, schodzi na dół bez żadnych pytań. Na nią zawsze można liczyć – inaczej niż na Zazu, która do danego słowa podchodzi czasem dosyć luźno. Idąc tutaj, pod *irris*, w którym nasza wspólna przyjaciółka pracuje, próbowałam się dobić do Zazu chyba kilkanaście razy, bez skutku. Jej telefon, co lepsze, był wyłączony. *I znowu nawet żadnego esemesa, e-maila, nic!* Miałam ochotę cisnąć telefonem o ziemię z tłumionej złości – na tę całą historię, na nią, na Olka. Jedyna nadzieja w Hance i jej olimpijskim spokoju.

Hanka pojawia się jak zwykle – zniecka. Nie wiem, jak to robi, ale zawsze, gdy się gdzieś umawiamy, podchodzi do mnie tak niezauważenie, że nie potrafię się połapać, jak. Sama komentuje to zwykle tym, że jest hobbitem – faktycznie, jest niższa ode mnie i ma kędzierzawe czarne włosy, ale nigdy nie zauważyłam u niej sierści na stopach. Pracuje tutaj naukowo – jak mawia, programuje, wypasa roboty i przygotowuje modele druku 3D, a poza tym grywa czasem z kolegami w rolpleje albo pisze po godzinach fantastykę na starym jak świat małym laptopie ozdobionym naklejką z jednorożcem, z którym w zasadzie nigdy się

nie rozstaje. Poza tym lubi różowo-czarne ubrania i jest najbardziej poukładaną osobą na świecie poza Olkiem.

A przynajmniej wydawało mi się, że poza nim. Teraz nie jestem już tego pewna.

Siadamy pod wierzbą płaczącą, która daje nam nieco cienia, i na pierwszą zachętę wyrzucam z siebie praktycznie wszystko, co mi leży na sercu – śmierć Kacpra, szok, utratę pracy, a potem amatorskie śledztwo, które prowadzimy razem z Zazu i które, jak się okazuje, postanowił storpedować za moimi plecami mój własny mąż. Któremu, jak myślałam, mogę ufać bez żadnych zastrzeżeń.

Trochę chlipię, a trochę smarkam. Hanka bierze moje ręce w swoje i zmusza mnie, żebym na nią spojrzała.

– Zuza, według mnie też powinnaś odpuścić. Bo mam wrażenie, że na początku to ci pomogło zebrać się do działania, ale teraz coraz bardziej się nakręcasz. Nie śpisz, masz koszmary, wydaje ci się, że widzisz duchy. To do niczego nie prowadzi.

Kręcę głową.

– Ale to nie są moje zwidy, Haniu – tłumaczę. – Może gdyby nie ta bibliotekarka... Ale teraz wiem, że Olek też postanowił się tym zająć...

– Bo może chciał sprawdzić, czy to, co opowiedziała ci Zazu, ma w ogóle sens?

– I zrobił to potajemnie? Za moimi plecami? – Śmieję się niewesoło. Hanka sama jest dobrym człowiekiem i widzi w innych dobre intencje, ale ja nie umiem się na to zdobyć. Sięgam do torebki po telefon. – A poza tym jest jeszcze to. I to z tym do ciebie przysłam. Bo jeśli ty nie znajdziesz człowieka, który to wysłał, to nie wierzę, że zrobi to nasza policja. A przynajmniej że zrobi w jakimś rozsądnym czasie, zanim ten wariat, który za tym stoi, nie zabije kolejnego dziecka! – Podnoszę głos.

Hanka obejmuje mnie i głaszcze po plecach. Jakieś nastolatki, które wychodzą właśnie ze szkoły katolickiej naprzeciw Iris-u, patrzą na nas z lekką konsternacją, ale chyba nie słyszały mojego wybuchu.

– Dobrze. – Hanka bierze mojego smartfona i przygląda się wysłanej do mnie wiadomości. Wstukuje coś w przeglądarkę, sprawdza w ustawieniach, przygryza lekko dolną wargę. – Obawiam się, że to będzie trudniejsze, niż się wydaje. Jak dla mnie to poszło przez TOR-a.

– No i? – Nic mi to nie mówi. Hanka przygląda się tymczasem zdjęciu w mailu i stuka lekko palcem w obudowę telefonu, zamyślona.

– To znaczy, że nawet mnie będzie trudno go wyśledzić. Mogę spróbować pokombinować coś z załącznikiem, ale przypuszczam, że do wiem się najwyżej, jakim aparatem i gdzie je zrobiono. Nie rób sobie nadziei na więcej.

Odbieram to jako kolejny cios. Jeżeli nawet ona się wycofuje, to kim, u diabła, jest ten morderca?

– Powtarzam ci: moim zdaniem lepiej byłoby, gdybyś odpuściła – dodaje Hanka, patrząc na mnie z troską. – Bo mam wrażenie, że przez historię z Maliną odbierasz to dużo bardziej osobiście.

Patrzę w spokojne, ciemne oczy Hanki i czuję, jak przechodzi przeze mnie dreszcz. Ale nie strachu.

– Nie. Póki nie wyjaśnimy sobie tego z Olkiem.

Wstajemy; widzę, że Hanka nie czuje się z moją złością najlepiej. Kołysze się na piętach, wbija wzrok w ziemię. Wymieniamy jeszcze zdawkowe pozdrowienia i już mam odejść, kiedy nagle zmienia zdanie.

– Zuza, jeżeli naprawdę chcesz się w to pchać... To ja ci coś powiem jako człowiek *stōnd*: to jest Oberschlesien. A ty jesteś tutaj podwójnie obca. Dotąd nie starałaś się rozumieć tego miasta. A teraz próbujesz napisać kryminalną historię tam, gdzie moim zdaniem wcale jej nie ma.

– No to co tam jest?! – Robię krok w jej stronę, teraz już prawie nastliwie. – Wszystko wskazuje na to, że od początku dwudziestego wieku w Kłodnicy topią się dzieci, szczególnie w czerwcu. Jeżeli tam nie ma jakiegoś zwariowanego mordercy-naśladowcy, to co?

– Wiosenne burze i przybory. Upał, który zachęca dzieciaki do włożenia do wody. Albo utopce – mówi Hanka spokojnie.

Wzruszam ramionami i odchodzę, wściekła.

\*\*\*

Nie wracam do domu, bo nie mam siły konfrontować się teraz z Olkiem. Do biblioteki też nie chcę iść; zrobiłam tam z siebie wariatkę. Do Zazu nadal nie mogę się dodzwonić, a do Jurka nie zamierzam, skoro ostatnio też nie wpadł na pomysł, żeby choćby poinformować, że jego żona

wróciła do domu. *Pies z wami tańcował*, mruczę do siebie. Potrzebny mi spacer, żeby trochę ochłoniąć. Jest już dwunasta, słońce wisi w zenicie nad miastem, które ledwo dyszy od upału. Aż trudno uwierzyć w te wszystkie historie o powodziach, rozlewiskach, bagnach i podmokłej gliwie, kiedy już w czerwcu czujesz się tutaj tak, jakbyś brodził w gęstej, gorącej zupie.

Mijam park Grunwaldzki, otoczony przez niemieckie szeregówki i wille. Przez Zawiszy Czarnego, Kościuszki i aleję Korfantego docieram na plac Mickiewicza, a potem, przez rynek z fontanną Neptuna (zwaną ponoć kiedyś Jorgiem z Widłami, jak twierdzi Zazu) do Zwycięstwa, a stamtąd wędruję do parku Chopina z jego – ponemiecką, a jakże – palmiarnią.

*Jesteś tutaj podwójnie obca*, powiedziała Hanka. *Mieszkasz w mieście, które zawłasczyli ludzie ze Wschodu; weszli w buty poprzednich mieszkańców, zasiedlili ich domy, często aż dotąd nie zmieniając w nich nic – albo niewiele*. I w większości – jak rodzice Miszki, jak rodzina Olka i wiele, wiele innych – nie zadali sobie nigdy trudu, żeby zrozumieć to miasto. A ja jestem elementem jeszcze bardziej napływowym, bez wspomnień czy rodzinnych opowieści o tym, jakie to miasto było choćby dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści lat temu. Nałożono na nie warstwę polskiej pozłotki; nadano teutońskim *Strassen*, *Platzen* i *Aleen* czyste polskie nazwy. Ale kiedy potrzęsiesz czubkiem palca, czujesz, jak osypują się z szelestem, a setki lat przeszłości pozostają – nieruchome, bezzmienne.

Gdy docieram do parku, zaczyna zbierać się na burzę, więc zamiast na przystanek przy dworcu kolejowym, skąd mogłabym pojechać do domu, idę do palmiarni. Nie z potrzeby zwiedzania; bywałam tam już wielokrotnie z moimi dziećmi, a poza tym w upalne popołudnie nie mam zamiaru pchać się do rozgrzanego, wilgotnego wnętrza. Jednak na piętrze jest kawiarnia z balkonem i stamtąd właśnie zamierzam teraz popatrzeć na szarpiący koronami wielkich dębów i kasztanowców podmuch, który przynosi pomruki grzmotów. Lubię burze; jest coś magicznego w tym, jak powietrze zastyga w oczekiwaniu na pierwsze uderzenie gwałtownego wiatru, w skupionej energii napierających na siebie chmur, którą czuję przez skórę. Jeśli miałabym

wymienić mój ulubiony żywiół, to właśnie powietrze. Kiedyś lubiłam też wodę.

Dopóki nie zabrała mi Maliny.

Teraz pozwolę, żeby wiatr zabrał ode mnie strach, gniew i złe wspomnienia. Niech odlecą na północ razem z deszczem, niech wypalą je pioruny, szepczę do siebie jak modlitwę znad kawiarnianego stolika i filiżanki kawy. Rozkoszuję się zimnem na skórze i szumem drzew, który zapełnia mi uszy, dopóki w kieszeni nie zaczyna mi wibrować telefon.

Teresa?

– Hej, hej, Zu. – Jej głos brzmi jak zawsze pogodnie. – Można spytać, gdzie teraz jesteś?

– W Gliwicach – odpowiadam lekko zdziwiona; gdzie indziej miałabym być?

– To się świetnie składa, bo ja też i właśnie chciałam się z tobą spotkać. Chyba mam dla ciebie coś, co może cię zainteresować.

Wciążam głębiej powietrze. Mocniej przyciskam do ucha smartfona, a ręce wyciągam po torebkę i szal rzucony na fotel po drugiej stronie stolika.

– Chodzi o ten tekst, który dla mnie przetłumaczyłaś?

– Aha.

– Gdzie dokładnie jesteś? Bo ja w palmiarni, ale już się zbieram.

– To zostań tam, bo zaraz pewnie będzie łało jak z cebra, możemy się spotkać...

– Nie! – prawie wykrzykuję, wzbudzając zainteresowanie siedzących w wewnętrznej części kawiarni gości. – Znajdę cię, zanim zacznie, tylko gdzie?

– Na... Czekaaj, to jest chyba Plebańska, w tej pizzerii, w której kiedyś jadłyśmy taką dobrą pizzę...

– Tito Tito. Zaraz tam będę, nigdzie się nie ruszaj.

Wybiegam z tarasu; kątem oka widzę, jak gwałtowny podmuch unosi serwetki z mojego stolika. Fruną w powietrzu jak porwane wiatrem liście.

\*\*\*



Do pizzerii w małej uliczce prowadzącej od rynku do skweru przy kościele Wszystkich Świętych docieram prawie niesiona wiatrem, a kiedy wpadam do środka, pierwsze ciężkie krople deszczu uderzają o rozgrzane kocie łby. Teresa pozdrawia mnie uniesieniem dłoni.

– Znakomite wyczucie czasu, milady. – Wstaje i ściska mnie na powitanie.

Zza kontuaru, tuż przy wielkim piecu na pizzę, rzuca nam leniwe spojrzenie kelnerka, ledwo żywa od bijącego od paleniska żaru. Nawet nie proponuje nam menu, choć prócz nas nie ma akurat w lokalu nikogo. W końcu opuszcza posterunek i staje w drzwiach, żeby ochłodzić się choć trochę w wodnej mgłę rozpryskującego się deszczu.

– Bardzo mi zależy na każdej rzeczy, jaka się wiąże z tym tekstem Westerwellego. – Stwierdzam, że lepiej od razu przejść do rzeczy, skoro Teska też najwyraźniej chciała o tym porozmawiać.

– Ale na początek to ja cię spytam, dlaczego w zasadzie? – Rzuca mi szybkie spojrzenie, ale zaraz zaczyna myszkować w swojej słomianej shopperce.

Nie potrafię oderwać wzroku od jej palców, długich i szczupłych. Wszystko w niej jest liniami prostymi: smukła sylwetka, pociągła twarz, lekko falujące blond włosy; tylko oczy są duże i owalne.

– Hej, tu ziemia do Zuzy! – Macha mi przed nosem plikiem spiętych wydruków, a ja go prawie jej wrywam. – Pytałam!

– No tak, nie mówiłam ci – przyznaję, choć skręca mnie niecierpliwość. – Chodzi o tę sprawę utonięcia dziecka w Kłodnicy, o której pisali tydzień temu. Bo widzisz, to ja to dziecko znalazłam. A wczoraj też omal nie zginęła tam nastolatka. Mamy z Zazu teorię, która może mieć jakiś związek z tym, co napisał ten Westerwelle.

– To ja nie jestem w temacie... – W jej głosie słyszę zaskoczenie i jakby... niepewność?

– Nie słyszałaś o tym?

Kręci głową.

– Zapomnij. W naszym biurze tłumaczeń jest od dwóch tygodni taki zalew pism dla sądów, że ledwie zipiemy. Dlatego zresztą wzięłam się za tego Westerwellego, bo potrzebowałam odskoczni – wyjaśnia. *Cóż, cała Teska: jeśli masz za dużo roboty, dołóż sobie więcej.* – I to

ciekawe, bo to, co on pisze tutaj, też dotyczy utonięć dzieci, tylko trochę dawniej.

– O tym pisał w artykule. – Unoszę lekko brwi; co w tym zatem nowego? Teresa macha ręką.

– Czytaj. To z jego bloga. Nie znalazłam go normalnie w sieci, bo był skasowany, tak jak wszystkie linki, o których ci pisałam, tylko przez Wayback Machine, taką sprytną stronkę, która robi kopie innych stron internetowych...

Nie słucham jej już, tylko rzucam się na tekst jak sęp. W przelocie zauważam, że zaczyna grzebać w komórce.

Tym razem to nie artykuły prasowe, tylko raczej coś w rodzaju zbioru ludowych podań, relacji – zapisów żywego języka. Część jest po śląsku – przebijam się przez nie z trudem, ale coś tam rozumiem; inne to tłumaczenia własne Teresy, lekko archaizowane, bo ona jest jednak wyczulona na piękno przekładu. Znam taki rodzaj tekstów; na studiach czytaliśmy je jako przykłady mowy żywej, gwarowej w czasie zajęć z dialektologii. Skopiowane z sieci teksty są krótkie i wszystkie łączą to samo: dotyczą gliwickiej Kłodnicy. *To niyma wielko rzeka, ale we cołkim Gõrnym Ślõnsku miyszkało downiyj we niyj nojwiyncyj utopcõw.* Czuję, jak serce zaczyna mi bić szybciej. *Gliwicki waserman, utopce*, o których mówiła Hania... Przebiegam wzrokiem kolejne opowieści o spotkaniach z wodnymi duchami, ale nagle moją uwagę przykuwa coś nowego.

To nie jest opowieść o utopcu, ale o śmierci w wodach rzeki: w 1901 ruszyły w mieście prace nad uregulowaniem koryt trzech uciążliwie wylewających gliwickich cieków – Kłodnicy, Ostropki i Bytomki. Do prac przy zasypywaniu dzikiego koryta największej rzeki zatrudniono nie Ślązaków, tylko robotników z Galicji (*z moich okolic?* – przebiega mi przez głowę) i to ich dotyczyła opisywana tragedia: ludzie mówili później, że przy pracach zginął w wyniku pośpiechu bezimienny robotnik, przygnieciony ziemią. Jego żona, która przyjechała do Gliwic za nim, otrzymała od władz niewielką zapomogę, ale nie była w stanie utrzymać z niej siebie i trójki dzieci. Znalezienie pracy w mieście, którego językiem nie mówiła, było trudne, więc kiedy wreszcie udało jej się nająć na służbę, zaniedbała opiekę nad dziećmi. Oczywiście

wkrótce stało się to, co łatwo było przewidzieć – kręcące się po mieście samopas maluchy potonęły w rzece. Matka zniknęła krótko potem, a dobrzy mieszczanie gliwicy zapomnieli o niej bez żalu, nie zadając sobie trudu ustalenia, co właściwie się z nią stało.

A niecałe piętnaście lat później rzeka zabrała w czerwcu pierwszą trójkę ich własnych dzieci – konstatuję, choć w tej relacji nie ma nawiązania do wydarzeń z 1914 roku.

– Teska, to może być nasze rozwiązanie! – Patrzę na nią rozgorączkowana. – Ktoś związany z tą kobietą! Ktoś, kto się mści za śmierć jej dzieci! Musimy to pokazać policji, zanim komuś znowu stanie się krzywda, jak temu Kacperkowi, jak tej małej z Zabrzea...!

Widzę, że lekko się cofa na krześle, jakby moja ekscytacja ją przytłaczała. Potrząsa przecząco głową, odkłada na blat telefon, w którym miga mi nagłówek artykułu o śmierci Kacpra.

– Przykro mi, Zuza, ale ja nawet nie wiedziałam, że ty tego szukasz w takim, no... personalnym kontekście. I myślałam, że najbardziej zainteresuje cię to, bo zrozumiałam, że szukasz kogoś, kto by ci mógł tu, na miejscu, powiedzieć o tych utonięciach. – Wyciąga mi z rąk wydruki i podsuwa pod nos jeszcze jedną kartkę. Czytam i czuję, jak zaczynają mi drżeć ręce, a krew odpływa z głowy.

Horst Westerwelle w artykule dla bielefeldzkiej gazety wspominał o *strażnikach przeszłości*, tak, pamiętam to. Tutaj, we wpisie ze swojego bloga sprzed czterech lat, chwali się, że udało mu się z nimi porozmawiać. To zaledwie kilka osób; proszą, by nie ujawniać ich danych. Niektóre pochodzą z rodzin zasiedziały tu od stuleci, jak choćby prawnuczka jednej z trzech ostatnich mieszkańek zniszczonego przez krasnoarmiejców Schönwaldu. Inni to, ku jego zaskoczeniu, Polacy pochodzący z dawnych Kresów Wschodnich, z rodzin osiedleńców, którzy przybyli tu po wojnie i zasiedlili niemieckie mury. *Wrosli w nie*, opisuje nieco poetycko Horst, *pokochali to miasto i związali się z nim na dobre i złe. Służą mu*, jak enigmatycznie stwierdza, *nie tylko codzienną pracą. Strzeżenie duchów przeszłości w tym mieście ma czasem bardziej dosłowny wymiar* – odpowiada jeden z jego rozmówców. *Ghostbusters?* – pytanie Horsta opatrzone jest dopiskiem w nawiasie: (śmiech). *Och, tak byśmy tego nie nazwali, ale w mieście*

*dzieją się czasem nieciekawe rzeczy, wie pan... Taaak, przytakuje, zainteresowała mnie szczególnie ta sprawa utonięć, o której jakoś nikt nie chce mówić. Pracujemy nad tym, możemy pana zapewnić, choć odnalezienie sprawcy to może być kwestia lat wyczerzonego przeszukiwania archiwów, rozumie pan zresztą...*

Tekst ilustruje zdjęcie, kolorowe, lekko rozmyte; bohaterowie stoją na nim bokiem, w grupie trzech czy czterech osób, jedną z nich pewnie jest Westerwelle, nie widać ich twarzy, ale bezbłędnie rozpoznaję na nim przedmiot, który wystaje z plecaka-kostki trzymanego w ręku przez dziewczynę.

Mały laptop z biało-różowym jednorożcem.

– Mogłabyś spróbować napisać do Westerwellego, kim są ci ludzie? – pytam tak spokojnie, jak tylko potrafię.

– Mogę, nawet teraz. Na blogu znalazłam jego e-mail. – Teresa jest trochę spięta. Chyba nie sądziła, że próbując mnie uszczęśliwić, wplącze się w taką kabałę, ale wiem, że skoro powiedziała A, to powie też Z.

Bierze telefon, a w tej samej chwili w moim smartfonie odzywa się dzwonek. Widzę, że to Zazu – *i Bogu dzięki, muszę wiedzieć, czy powiedziała o wszystkich policjantom, czy nie zaaresztują mnie jako podejrzaney, czy...*

– Halo?

Ale odzywa się Jurek.

– Zuzka, ona jest w szpitalu. Miała wypadek na skrzyżowaniu przy średnicówce, przed południem, teraz oprzytomniała...

Kiedy wybiegam z pizzerii, kelnerka żegna mnie spojrzeniem pozbawionym nadziei. Burza przeszła bokiem.

\*\*\*

Ten wieczór to upostaciowany chaos: zostawiam zaskoczoną Teresę w Tito Tito, żeby z telefonem przy uchu przebiec sprintem przez rynek, starówkę i ulicę Zygmunta Starego. Dobiegam z językiem na brodzie do Szpitala Wojskowego, zdyszana i ociekająca potem, bo chwila deszczu w upale sprawiła jedynie, że zrobiło się bardziej parno. Na miejscu wpadam na Jurka; wyszedł po mnie, bo bez niego nie wejść do

środku. Biegniemy razem po schodach na urazówkę; Jurek tłumaczy, że Zazu chciała się ze mną zobaczyć, nie wie czemu, poza tym dzieci są u dziadka w Gliwicach, czują się dobrze, jeszcze nie wiedzą, samochód do kasacji, Zazu na pewno z tego wyjdzie.

Zastaję ją półprzytomną; płatanina bandaży, rurek, gipsu, czujników, siniaków i otarć nie robi na mnie aż takiego wrażenia, jak jej spojrzenie kogoś kompletnie zdezorientowanego. W końcu jednak skupia na mnie wzrok.

– Nie... dojechałam – wydusza z siebie. Kiwam głową; domyślam się, co to znaczy. – Musisz...

– Wiem. Nie męcz się. Pójdę tam sama.

Ściska moją rękę, zdumiewająco mocno i gwałtownie.

– Nie. Nie... Tam... Już nieważne. Musisz... – Nabiera głębiej powietrza; kątem oka widzę zaniepokojoną minę Jurka i stres ściska mi gardło, że na jego oczach męczę mu żonę, *nie powinno mnie tu być, w ogóle!* – Jedź do mnie. Do dzieci. Zostań z nimi. Proszę. Nie wracaj...

Zapada się w szpitalną poduszkę, wyraźnie wycieńczona. Zapewniam, że tak, jeszcze raz ściskam ją pokrzepiająco i wychodzę prędko na korytarz. Jurek po chwili dołącza. Jest skupiony i opanowany, jak zawsze, kiedy dzieje się coś, co sprawiłoby, że ja pewnie biegabym w kółko i krzyczała.

– Też cię chciałem o to prosić – mówi. – Chcę zostać z nią na noc, ale teraz jeszcze pojadę na chwilę do domu po rzeczy. Po drodze zgarnę dzieciaki. Możemy cię przy okazji zawieźć do domu, weźmiesz, co chcesz, i zabiorę was wszystkich do nas.

– Daj spokój, załatw dzieci, a ja sama pojadę do domu i potem do ciebie.

Nie chcę go fatygować. Jurek jest na szczęście typem człowieka, który w normalnych okolicznościach pewnie zaproponowałby mi podwózkę jeszcze raz, ale wie, kiedy nie ma co być kurtuazyjnym. Rozstajemy się przed wejściem, skąd zamawiam taksówkę, i dopiero w kabinie, w powiewach orzeźwiająco zimnej klimatyzacji dociera do mnie, co oznacza powrót do domu.

Olek. Mój mąż, który najwyraźniej ma przede mną jakieś sekrety. Którego osłania przed moimi podejrzeniami i narastającym gniewem

nasza wspólna koleżanka. Nasza koleżanka, zamieszana w jakąś fantastyczną historię *strażników miasta*. Szukająca najwyraźniej, tak samo jak Olek, wiadomości o serii utonięć w tej śmiesznie płyciutkiej Kłodnicy, serii, która ciągnie się od ponad stu lat. I oboje próbują mi wmówić, że razem z Zazu robimy z siebie idiotki.

Wysiadam pod domem, ledwo trzymając się na drżących nogach. Jest już prawie siódma wieczór; burza dawno odleciała z wiatrem na wschód, ale nad miastem wiszą ciężkie, skłębione masy chmur i zdaje się, jakby było znacznie później niż naprawdę. Taksówka znów zatrzymała się na rogu Witkiewicza i św. Marka, jak w tamtą noc, kiedy wróciłam z komisariatu po śmierci Kacpra. Podnoszę głowę na górujący nade mną, szary jak niebo blok, wokół którego krążą jerzyki, krzyżąc przenikliwie. W oknach naszego mieszkania widzę światło. *Ile bym dała, żeby było tak jak wtedy – żebyś czekał tu na mnie, wziął mnie pod ramię, zaprowadził do domu, a ja poczułabym się bezpieczna, bo przy tobie.*

– Zuza? – Olek rzuca mi zmęczone spojrzenie znad talerza, kiedy wchodzę do pokoju. Wygląda dokładnie jak człowiek, który nie spał pewnie od dwudziestu czterech godzin. Przywykłam do tego, bo żony lekarzy albo przywykają, albo się rozwodzą; zwykle w takich chwilach mu współczułam. – Jesteś na mnie wściekła.

– Bardzo trafna diagnoza – prychem nerwowo.

– A powiesz mi, z czego to wynika, czy mam się skonsultować z histopatologiem?

– Próbujesz być zabawny? – warczę, bo czuję zalewający mnie przypływ agresji. – Wiedziałeś przecież o Kacprze. Że Miszka omal nie zginął. I co lepsze: nie, tylko nie próbuj zaprzeczać! Wiedziałeś, że Zazu ma rację, że to nie jest pierwszy raz, kiedy dzieci giną w Kłodnicy przed Sobótką, prawda? No!?

– Wiedziałem.

Jego spokój działa na mnie jak płachta na byka. Ruszam w jego stronę, odpycham od stołu tak, że prawie się przewraca.

– Wiedziałeś! – Mój głos, choć z nim walczę, przechodzi w piskliwy, histeryczny krzyk. – Wiedziałeś o tym wszystkim! I próbowałeś mi wmówić, że nie mam racji, kiedy szłam dokładnie tym samym torem, co ty!

– Zuza! – Chwyta mnie za nadgarstki, ale choć jest ode mnie większy, to wściekłość dodaje mi sił, wyrywam się. – Chciałem cię...

– ...chronić? Tak, zawsze chcesz! Więc wolisz przede mną ukrywać prawdę, bo po co babcię denerwować, niech się babcia cieszy! – Uderzam go z całej siły w pierś. – Wiedziałeś, że w Gliwicach mieszka morderca, który topi dzieci! Dzieci, Olek! Takie jak moja siostra! I mogłeś o tym rozmawiać z Hanką za moimi plecami, a mnie w żywe oczy pociskać farmazony o narwanej Zazu i że zrobisz z siebie wariatkę, jeśli pójdziesz z tym na policję!

W końcu stajemy naprzeciw siebie, on spokojny, nieruchomy i ja, cała rozdygotana. Chcę z całej siły, żeby podszedł do mnie, przytulił, powiedział, że to nie tak, okłamał; cokolwiek, bylebym nie musiała wierzyć, że to się dzieje naprawdę.

– Zuzanno – mówi cicho. – Nie potrafię cofnąć czasu. Ty też nie. Cokolwiek byś nie zrobiła, to nie zwróci ci Maliny. Nie uratujesz jej tym, że rzucisz się na łeb, na szyję w coś, co nie jest... twoim obowiązkiem.

– Tylko *strażnika duchów przeszłości*? – odpowiadam z goryczą i po raz pierwszy widzę, że coś go poruszyło. – Nie sądziłeś, że do tego dojdę? Że znajdę sposób, żeby dokopać się do źródeł tej historii?

– Nie. – Kręci głową. – Ale powtarzam, że to nie jest twoja sprawa, nawet jeśli bardzo byś chciała.

– A twoja? – Uśmiecham się sardonicznie. – Jak blisko jesteś rozwiązania? Przekazałeś cokolwiek policji?

– Zrobiłem to, co powinienem. – Próbuje do mnie podejść, ale odwracam się na pięcie i wychodzę na korytarz. – Zu, proszę...

Wzruszam ramionami.

– Nie musisz o nic prosić. Ja mam teraz związane ręce. Zazu jest w szpitalu. – Znów widzę, że jest zaskoczony. – Miała wypadek. Obiecałam jej i Jurkowi, że pojedę na noc do niej, do dzieci. Niczego już nie zrobię.

– Wychodzisz? – pyta po chwili, jakby nie dotarło to do niego.

– Tak.

Zgarniam do większej torebki zmianę bielizny, szczoteczkę, dezodorant, koszulkę.

– Powinnaś zostać w domu. – Olek zastępuje mi drogę, ale wymijam go, sięgając po komórkę, żeby zamówić Ubera.

– Przykro mi, ale mamy chyba inne definicje odpowiedzialności.

– Tak – przyznaje, patrząc mi w oczy, kiedy stoję już w progu. – Ja nie próbuję być odpowiedzialny za to, co zrobiła twoja siostra osiem lat temu.

Trzaskam drzwiami tak, że mam przez moment wrażenie, że blok się zawali, a potem, przełykając łzy, zjeżdżam na parter.

\*\*\*

Jest prawie północ, kiedy wreszcie kładę się na kanapie w salonie Zazu i Jurka. Czuję, że boli mnie chyba każdy jeden napięty jak struna mięsień. Nie miałam wprawdzie czasu skupiać się na sobie, bo wieczór upłynął mi na szykowaniu kolacji dla bliźniaków Dagny i Błażeja, noszeniu i karmieniu co jakiś czas ich młodszego brata Jacka, sprawdzaniu zadań domowych, głaskaniu kotów, zaganianiu dzieci do mycia, kąpaniu, pocieszaniu, czytaniu do poduszki i tym podobnych zajęciach – ale moje ciało bardzo zdecydowanie postanowiło nie dać mi zapomnieć o stresie. Kiedy wreszcie starszaki ułożyły się do snu, ustawiłam dla bezpieczeństwa obok kanapy łóżeczko turystyczne i przeniosłam do niego Jacka, żeby w nocy w razie czego usłyszeć jego płacz.

W ciemności błyszczy już tylko wyświetlacz mojego smartfona i – czasem – jego odbicie w kocich oczach. Oba zwierzaki ułożyły się w łóżeczku, u stóp i za plecami niemowlęcia, jak na straży jego snów. Sprawdzam jeszcze raz esemesy – Jurek wysyłał mniej więcej co godzinę dla mnie i dzieciaków informacje, najczęściej o treści: *Bez zmian*. Zazu wciąż spała, ale jej parametry, mierzone przez tę całą robiącą „ping!” aparaturę, nie pogarszały się, co napawało nas wszystkich optymizmem. Miałam czym uspokajać bliźniaki; Jacka można było uspokoić jedynie noszeniem, kołysaniem i karmieniem, ale jemu brak mamy doskwierał i tak.

Już mam wygasić ekran, kiedy zauważam, że w natłoku wiadomości (*Żadnej od Olka. Żadnej*) umknęło mi coś jeszcze – nie e-mail, bo



ten ma zbyt charakterystyczny dźwięk powiadomienia, ale chyba priv z Messengera. Dotykam palcem w ikony – Teresa.

*Bardzo mi przykro, Zuza, ale nie skontaktujemy się już z Horstem Westerwelle. Udało mi się wysłać mu maila, ale odpisał w jego imieniu tylko współpracownik z gazety. Że miło, że się odezwaliśmy, zainteresowaliśmy i tak dalej, ale musi nas zmartwić, bo pan Westerwelle od trzech lat nie żyje i kontakt z nim będzie siłą rzeczy utrudniony.*

Słodki jeżu w kołnierzu, to już mnie nawet nie szokuje. Muszę być naprawdę bardzo zmęczona. Ikonka z facebookową profilówką Teresy wciąż świeci na zielono, więc zaczynam stukać w ekran:

*Wiesz może, co się z nim stało?*

*A wiem. Pojechał na wycieczkę do ziemi swych przodków i w czasie tejże był w Gliwicach. I zgadnij, co się stało.*

*Utonął. – Nawet nie udaję, że pytam.*

*Jakbyś tam była. W Kłodnicy, wracając spacerem z wieczornego spotkania w CEK przy Konarskiego. Zachciało mu się spaceru do starej dzielnicy hutniczej przez park Chrobrego i tylko raz się poślizgnął, ale bardzo pechowo. A rzeka akurat przybrała po deszczu. Oczywiście w czerwcu. Na twoim miejscu bym się w tym miesiącu i w tym mieście nie kąpała nawet w wannie.*

Czuję przebiegający po skórze lekki dreszcz. Wczorajsza kąpiel. Widziało. Sny.

*Dziś na pewno nie będę, jestem zresztą na nocce u dzieci Zazu.*

*Ojej. To trzymajcie się tam... No, może nie ciepło, ale w umiarkowanych temperaturach. Zazu ma się lepiej, jak rozumiem?*

*Tak. – Trochę naciągam fakty. – Bardzo cię przepraszam, że cię tak nagle zostawiłam.*

*Nie ma sprawy, zrozumiałam, co mówił Jurek. Vis maior. A teraz, Zuzulku, idę spać, bo padam na pyszczek.*

*Dobranoc i jeszcze raz dzięki za wszystko – piszę, po czym odkładam komórkę i obracam się na plecy, żeby wymienić spojrzenia z sufitem. Chciałabym to wszystko jakoś przemyśleć, ale prawie natychmiast zasypiam.*

#### IV

– Ciociu! Ciociu...

Otwieram oczy przerażona, bo w pierwszej chwili zupełnie nie wiem, gdzie jestem. W świetle księżycy przedmioty wyglądają obco, dziwacznie, okno pokazuje inny krajobraz, a stojące nade mną dziecko – *kto to jest? Miszka? Malina? Nie*, rozumiem wreszcie, *to przecież Błażej*. Siedzi na brzegu kanapy w swojej piżamie, mokry od potu, i patrzy na mnie strapiony. W jego oczach odbija się księżyc w pełni.

– Nie mogę spać. I Dagny też.

– Jest gorąco. – Wstaję. – Mogę zawiesić wam coś mokrego na oknie, choćby prześcieradło Jacka.

– Nie-e – mruczy bez przekonania. – Ja się obudziłem, bo myślałem, że śpiewasz. Ale jak tu przyszedłem, to spałaś.

– Nam się to już od paru dni śni – dopowiada cicho Dagny, która właśnie wchodzi do pokoju. Trzyma pod pachą poduszkę i w białej pościwiacie wygląda trochę jak duch. – Że pływamy w jakimś takim dziwnym basenie, w którym są takie duże ryby. – Pokazuje, jak duże. Patrzę na nią przez chwilę bezmyślnie, ale coś mi zaczyna świtać. – I ktoś śpiewa, ale jakby...

– Jakby pod wodą – kończy Błażej.

Nie jestem z siebie w stanie nic wydusić. Nagle przypomina mi się w całej jaskrawości mój sen z poprzedniej nocy i kobieta w mojej własnej wannie, i nadranne dryfowanie na falach.

*Głosy. Słyszałam czyjeś głosy, przypominam sobie. Nie tylko śpiew.*

– Należę wam picia – obiecuję. – A wy wskakujcie na kanapę, może tak będzie nam się lepiej spało.

Korzystając z zaproszenia skwapliwie, jak nie oni – bliźniaki są, mimo ledwie siedmiu lat, zaskakująco samodzielne i zasadniczo przywiązane do swoich łóżek. Jednak nie dziś. *Ta noc do innych jest niepodobna.*

Nim zasną, karmię jeszcze Jacka; usypia ponownie dość szybko, napchany po brzegi mlekiem modyfikowanym, a ja kołyszę go i mruczę pod nosem kołysankę ze starego słuchowiska o Muminkach. *Kołysanka, senna kołysanka... Śpij, maleńki, po troszeńku, do białego ranka.*

– Zaśpiewaj jeszcze – prosi Dagny, kiedy wślizguję się pod koc. –  
Może ta kołysanka przegoni tę drugą.

*Kołysanka, kołysanka, nocna kołysanka... Niebo całe się zamknęło,  
i ty oczka zamknij...*

\*\*\*

Jurek pojawił się o czwartej, zajął miejsce przy śpiących dzieciakach, powtórzył: *Bez zmian*, więc pożegnaliśmy się, a ja postanowiłam skorzystać tym razem z usług MPK i wrócić do domu prawie pustym autobusem 32. Przelotnie pomyślałam, że przecież jeszcze przedwczoraj jechałam nim w drugą stronę, do Zazu, a teraz mam poczucie, jakby minęło znacznie więcej czasu. Cóż, szybko wyszło na jaw, jaką wydmuszką był mój pozorny spokój, który trzymał mnie przy życiu nie tylko przez ostatni tydzień, ale tak naprawdę przez osiem długich lat.

W drodze próbowałam zastanowić się, co teraz – dziś wypadał ostatni dzień przed Sobótką i akurat jednocześnie Boże Ciało. Olek pewnie będzie jeszcze dyżurował. I dobrze. Nie miałam ochoty go oglądać. Może tylko dziś. A może wcale. Przejrzałam półprzytomnym wzrokiem newsy w komórce. Ładna pogoda do południa, od południa burze. Lokalne trasy procesji. Zdjęcia zielonych od świeżych gałązek wierzby i lipy ołtarzy polowych. Plotki z regionu. I jeszcze – dziewczynka z osiedla Wyzwolenia podtopiona w parku Chrobrego żyje i ma się dobrze, *policja prowadzi dochodzenie w kierunku próby zabójstwa*.

Czyli – myślę, wpatrzona w pełne słońca okno – *zginęło jak dotąd jedno dziecko. A zawsze było troje, jak troje dzieci galicyjskiej wyrobnicy. Czy policja o tym wie? Czy Olek, Hanka i inni strażnicy miasta zamierzają coś z tym zrobić?* Utopienia nie zdarzały się już po letnim przesileniu (*Dlaczego?*), więc jeśli rzeczywiście istnieje jakiś szalony morderca, powinien zaatakować dziś.

*A jeśli nie istnieje?* Ta myśl uderza mnie jak obuchem. Czy o to chodziło Olkowi?

*Wiesz dobrze, szepcze wewnętrzny głos, doskonale wiesz, o co mu chodziło. Łatwiej jest wierzyć w mściwość, która napędza kolejnych szaleńców od stu lat, w tajemniczą kobietę w czerwonej sukni i jeszcze w kogoś, kto wywabił? przekonał? twoją siostrę, żeby poszła tamtej nocy*

*nad jezioro. Łatwiej, bo wtedy nie myślisz o tym, że mogłaś temu zapobiec, nie dotrzymać jej słowa, powiedzieć rodzicom. Tak, właśnie ty, bo „wszyscy winni są śmierci każdego człowieka”. Pamiętasz? Włożyłaś jej ten wiersz Leśmiana do trumny, nie możesz nie pamiętać. Nie pogodziłam się z jej śmiercią. Może nie próbuję wcale dla innych, tylko chcę zadośćuczynić.... Siostrze? Sobie? Może rzeczywiście powinnam przyznać, że to najpewniej był wypadek, a tajemniczą kobietę z czarnym psem Miszka zmyślił, żeby usprawiedliwić, dlaczego z Kacprem uciekli nad wodę?*

*A ja znów dałam ciała, bo im na to pozwoliłam.*

Nie, nie chcę teraz o tym myśleć. Autobus kołysze się sennie, tocząc się przez puste obrzeża miasta, więc żeby zająć czymś umysł, wyciągam z torby zapiski z bloga Horsta Westerwelle, niech spoczywa w spokoju. Dopiero teraz zaczynam wczytywać się w nie uważnie, zwłaszcza że fragmenty po śląsku wymagają skupienia, bo dziwny zapis, usiłujący oddać znaki alfabetu fonetycznego, miesza mi w głowie bardziej niż znane ze studiów kółka, kreski, łuki i ptaszki. *Utopce*, mrużę do siebie. Widocznie nie tylko ja miałam potrzebę wyjaśniania sobie śmierci w wodzie.

Kiedy wchodzę do pustego mieszkania, mam głowę pełną opowieści o mokrych, zielonkawych, lubiących czerwień i tytoń, a za to nie lubiących lip i burzy śliskich demonach, którymi straszono dzieci jeszcze w dwudziestym wieku, czego dowodzi historia o babci Zazu. Mam wrażenie, że na wpół polskie, na wpół niemieckie słowa krążą nade mną jak stado ptaków, kołując coraz to szerszą spiralą. Mieszają się z nimi wiersze, które recytowałyśmy sobie nawzajem z Maliną, kiedy byłam na studiach i chciałam zarazić ją moją miłością do Leśmiana, symbolistów brytyjskich, Virginii Woolf, Florence and the Machine. W powietrzu niesie się dźwięk kościelnych dzwonów. Szósta.

Padam na własne łóżko, kątem oka rejestrując, że leży na nim kartka zapisana zadziwiająco starannym jak na lekarza pismem Olka. Nastawiam budzik na dwunastą, a list strącam na podłogę. Niech się dzieje, co chce.

\*\*\*

Budzik podrywa mnie na nogi z wybiciem południa. Siadam, zdziwiona, że nadal wszystko tak bardzo mnie boli, szczególnie głowa, ale szybko się orientuję, że to spadek ciśnienia – rano świat był jasny i gorący, a teraz pogoda postanowiła najwyraźniej zrealizować opisaną na AccuWeather deklarację. Tym razem burza chyba nie przejdzie bokiem, myślę, wlokąc się na balkon. Stąd widać całe miasto – zieleń poprzecinaną czerwoną cegłą starych i brudną bielą nowych budynków, czarne, lśniące pudło biurowca przy dworcu, wysokie wieże neogotyckich kościołów, wbite w brzuch nieba. Wał chmur jest ołowianoszary, a przed nim wiatr pędzi stado poskręcanych w przedziwne kształty – fale, spirale, owale – undulatusów. W oddali, na południowym wschodzie, widać już błyski, choć grzmot jest ich bardzo odległym, stłumionym echem. Wdycham zapach naelektryzowanego powietrza głęboko, jakbym wciągała wodę do płuc.

Nagle z sypialni słyszę łoskot; nagły przeciąg otworzył okno na oścież, aż uderzyło o ścianę. Pędzę, żeby je zamknąć, i nagle dostaję czymś lekkim i białym dokładnie między oczy; wiatr porwał kartkę od Olka i chlasnął mnie nią po twarzy. Nie mam już jak uciec przed starannymi literami: *Pod żadnym pozorem nie wychodź dziś z domu, zwłaszcza do parku Chrobrego. Wróć wieczorem. Wszystko będzie dobrze. Kocham Cię.*

W tej samej chwili mój telefon na stole zaczyna wibrować. Zastygam, sparaliżowana lękiem, kiedy widzę, kto dzwoni. Tamara.

*Nie, nie odbiorę,* myślę gorączkowo, ale kiedy po pierwszym dzwonku następuje kolejny i kolejny, w końcu przesuвам zieloną słuchawkę na ekranie w górę.

– Halo? – zaczynam, ale zanim zdążę powiedzieć coś więcej, Tamara przerywa mi drżącym ze zdenerwowania głosem.

– Zuza, pomóż mi, proszę, dzieci mi zginęły...

\*\*\*

Wyskakuję z autobusu na placu Piastów. Na dworze jest prawie pusto, tylko gdzieś tam na ulicach widać miotane wiatrem pozostałości po lokalnych procesjach – przywędłe płatki kwiatów, gałązki

świeżych drzew. Coś dryfuje nad moją głową – porwana biało-żółta flaga papieska, tiara i klucze falują w podmuchach przedburzowej wichury.

Biegnę przez Jagiellońską na Częstochoowską, w okolice wiaduktu nad średnicówką. W głowie tłucze mi się natrętne, niechciane wspomnienie – osiem lat temu, w wigilię Sobótki, obudziliśmy się w naszym rodzinnym leśnym obozie, słysząc krzyk taty, że Malina zginęła. W pierwszej chwili myślałam, że zgubiła się w lesie, ale kiedy tylko wyskoczyłam z namiotu, zrozumiałam – tato niósł ją na rękach, bezwładną, ociekającą wodą. We włosach miała pasma wodnego zielska i liście ze świętojańskiego wianka.

Tamara powiada mi do słuchawki roztrzęsionym głosem, co się stało: o dziewiątej poszli na mszę i procesję, a potem mieli jechać całą rodziną do Katowic, do rodziny szwagra. Po mszy na placu przed kościołem było sporo dzieci, głównie znajomych; Alicja i Miszka poszli się witać, kiedy ich rodzice rozmawiali z teściową. Dopiero po dłuższej chwili zorientowali się, że dzieci nie ma; znalazła ich zdyszana i wystraszona zakonnica, która prowadziła religię w przedszkolu, krzycząc, że Alicja pobiegła za bratem i jakąś kobietą, która zaoferowała mu odprowadzenie do domu. Miszka ją poznał, nazwał ciocią i entuzjastycznie za nią poszedł. Akurat wywiązało się jakieś zamieszanie wśród dzieci i siostra zakonna dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że nie zna tej osoby. Tamara liczyła, że może to jednak byłam ja, ale opis zupełnie nie pasował. Długie ciemne włosy, ciemne oczy, lekko oliwkowa skóra. Tak Miszka opisywał kobietę, która najpewniej zabiła Kacpra.

Policja już wie i szuka dzieci w mieście. Wcześniej rodzice i babcia rozdzielili się – mama Maćka pojechała na komisariat, Maciek pobiegł po samochód, żeby objechać okolicę, a Tamara do domu, sprawdzić, czy dzieci tam jednak nie wróciły. Zajrzała też do sąsiadów na piętrze i zbiegając roztrzęsiona po schodach, potknęła się i złamała nogę. Jest już z nią pogotowie, chcą zabrać ją do szpitala, a ona przez tę cholerną burzę nie może dodzwonić się do Maćka ani do swojej mamy, która pewnie zostawiła komórkę w domu, ani do rodziny w Katowicach, w zasadzie do nikogo nie może się dodzwonić, ja jestem pierwszą osobą, która odebrała! Czy one – dzieci – są ze mną?

I wtedy coś nas rozłącza. Cóż, bez znaczenia; co chciałam wiedzieć, już wiem. Nie mogę się teraz zatrzymać, żeby w pełni poczuć wyrzuty sumienia i strach. Nie mogę. Później.

Biegnę do parku Chrobrego. Burza ciągle wisi w powietrzu, pierwsze krople deszczu tylko czekają, żeby ciężko uderzyć o rozgrzany asfalt. Trzymam komórkę w ręku, na wypadek gdyby ktoś próbował się do mnie dodzwonić i powiedzieć, że to już nieaktualne, że znaleźli się oboje, że nic się nie stało. Bo choć nie jestem w stanie nie biec – boję się, jak chyba po raz pierwszy w życiu.

Kolejne elementy układanki wskakują na swoje miejsca. Notatki Westerwellego. *Klik*. Niemieckie i śląskie przesady. *Klik*. Dzieci, które wypełniły pustkę po potomstwie dobrych gliwickich mieszczan. *Klik*. Kobieta spoza tego świata, z Galicji, jak ja, doświadczona stratą, musi odnaleźć się w obcym mieście, a ono jej nie chce. *Jesteś tu podwójnie obca*, mówi Hanka. *Klik, klik, klik*. Trójka dzieci złożonych na ołtarzu Sprawy, jaką jest nowoczesne, prężnie działające niemieckie polis, w którym nie ma miejsca dla dzikiej rzeki, biegających samopas sierot, szalonej wdowy. *Klik*. Strażnicy *niemieckiego ducha miasta*. Mój mąż pachnący zielenią – liśćmi tataraku i rogożyny, zapachem wianka, który uplotła sobie do trumny Malina.

Policja nie znalazła najwyraźniej nic na mnie w monitoringu z naszej klatki schodowej, ale wezwali na komendę Olka. Co im powiedział? Że Kacper musiał zginąć dla dobra Gliwic? Niemożliwe, nie wypuściliby go wtedy. Chyba że sami o tym dobrze wiedzieli. Ktoś w końcu od lat zamiatał sprawę czerwcowych topielców pod dywan.

Mijam parking przed Jamnikiem – jednym z budynków Politechniki; widzę ludzi pospiesznie uciekających pod dachy przed nadciągającą ciemną chmurą i wiatrem, który porywa w powietrze tumany kurzu, żdźbła skoszonej trawy – i gałęzie oberwane z drzew. Na razie te mniejsze, ale kto wie, co będzie się działo za chwilę? Wpadam na most przy Wydziale Matematyki, a potem biegnę przed siebie nadbrzeżem Kłodnicy.

– Miszka! Alicja! Miszka! – wołam, choć nie wiem, jak mają mnie usłyszeć w szumie wiatru i huku wody, która przelewa się przez spiętrzone kamienie pod kolejnym mostem. Swoją drogą, skąd jej tu aż tyle?

– Miiiiszka!

Zatrzymuję się w końcu, zdyszana i przerażona, o kilka kroków od miejsca na nadrzecznym nasypie, gdzie znalazłam Miskę wtedy. *Nie chcę tam iść*, wszystko we mnie się przeciw temu opiera. Wracają wspomnienia. Obrazy. Martwa Malina. Moja siostra o ciemnych, długich włosach i jakby lekko zielonkawej skórce. Jej oczy są martwe, szeroko otwarte i wpatrzone w nicość. Ciemne. *Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam?*

Oczy Maliny nigdy nie były ciemne. Były jasne, jasne jak przejrzyste zielone kamienie. Pociemniały, kiedy umarła.

– Ciociu!

Przez narastający szum – nie wiem, czy wiatru, czy mojej własnej krwi – przebija się piskliwy, wysoki wrzask Alicji.

Zbiegam nad wodę.

\*\*\*

Pierwsze, co widzę, kiedy wpadam w zarośla, to pies.

Jest naprawdę wielki, nieokreślonej rasy, za to niewątpliwie czarnej jak noc maści. W pierwszym odruchu cofam się, bo spodziewam się ataku, ale zwierzę nie tylko ustępuje mi drogi, ale rusza ścieżką, co jakiś czas oglądając się, czy idę za nim.

Zarośla piętrzą się wokół nas. Mam świadomość, że nie powinno ich tu być – Kłodnica jest obrosnięta krzewami i młodymi drzewkami, dzikim barszczem o białych baldachach, pokrzywami, ale nigdzie nad rzeką nie ma takiego zielonego, pachnącego wilgocią tunelu, w głąb którego prowadzi śliska, jakby wiecznie zlaną wodą ścieżka. I nie powinna prowadzić tak daleko, coraz niżej i niżej, jakby brzeg oddalony był od szczytu nasypu o wieśset metrów, a nie zaledwie kilka uderzeń serca.

I kiedy w końcu staję nad brzegiem, wiem, że to nie brzeg Kłodnicy. To brzeg jeziora w lesie, w którym na zawsze została dusza mojej siostry. *Mojej siostry samobójczyni.*

– Nie masz prawa pokazywać mi się pod jej postacią – mówię, choć zęby mi szcękają ze strachu. – Nie jesteś nią.



Kobieta przygląda mi się z uśmiechem. Trzyma za ręce Miszkę i Alicję. Oboje wyglądają, jakby spali – choć stoją na nogach. Tak, teraz, kiedy na nią patrzę, widzę to wyraźnie – wygląda jak Malina, tylko... Dorosła. Jej nagie ciało jest kobiece, o zaokrąglonych biodrach i pełnych, jakby nabrzmiatych piersiach. Pod nimi widzę wyraźnie czerwone, wąskie nacięcia – skrzela.

– Skoro taka twoja wola, żeby mnie zobaczyć... Proszę. Ale pożalujesz.

– Przekonajmy się.

Zmiana nie następuje bynajmniej stopniowo – w jednej chwili dzieci trzymają za ręce moją młodszą siostrę, a w drugiej – obrzmiałe, zielone ciało o pustych, zbieleńszych oczach, pokryte porwaną tu i ówdzie suknią w kolorze głębokiej czerwieni. Cuchnie; czuję mdłości, kiedy dolatuje mnie jej zapach, zepsute mięso i butwiejące rośliny. Co dziwne – zamiast mnie sparaliżować, widok topielicy wywołuje rzut adrenaliny. *Czymkolwiek jesteś, myślę, nie pójdziesz ze mną łatwo.*

– Czemuż się krzywisz, Zuzanno? Niemiło ci na mnie patrzeć?

– A co, to konkurs piękności? Sąd Parysa? – Parskam nerwowym śmiechem. Co za absurd! To jest jak sen, w którym wszystko jest bez ładu i składu. Może po prostu ktoś powinien mnie uszczypnąć. – Nie próbuj mnie straszyć, bo wychodzi ci to tandetnie. Oddaj mi dzieci.

Nagle znów się zmienia – teraz wygląda zapewne tak, jak widzieli ją Miszka i Kacper: smutna, chuda młoda kobieta w porwanej czerwonej sukni.

– Nie. One są moje. Jak wszystkie inne. Wszystkie, które dostałam.

– Zabrałaś – uściślam. Jej twarz kurczy się w grymasie bólu.

– To rzeka mi moje zabrała. – Patrzy na mnie, jestem tego pewna, choć w jej białych oczach nie widać źrenic. – Za to, że ją zasypali. By ich piekło pożarło!

– Kogo?

– Panów. Niemce. Gleiwitz mieć chcieli, ot co! – cedzi przez zęby. – Piękne domy. Parki. Kanał. Kopalnie, których nie zalewa woda. Dumne kamienice. Huty. Tylko troszkę trzeba się było ułożyć z wodą, tak. Trochę ją w karby wziąć. Ale woda jest mściwa i woda jest ślepa, nie patrzyła, kogo karze, ino mnie je zabrała! Moje dzieci, i nikt ich nawet

nie szukał, nikt ich nawet nie wyłowił, chociaż prosiłam, prosiłam, aż sobie gardło zdarłam, w głowie się poprzewracało pomietłu, *du polnische Dummkopf, jo!*

Jej głos przechodzi w podszyty wściekłością krzyk.

– Ale ja po nie wróciłam! Weszłam do wody, głęboko, kamyków do kieszeni napchałam, bo wiedziałam, że tam, na dnie, rzeka więzi dusze moich dzieciaczków... Waserman, mówią, je tam trzyma, ale to leż, nie waserman, to rzeka sama. I znalazłam je. Wydobyłam i oddałam im. – Oddycha ciężko, jeżeli można mówić o oddechu w przypadku topielca. Widzę, jak na jej ustach osiada piana. – Mogły wrócić do domu, dobrzy ludzie pomogli, pojechały moje dzieciaczki na ojcowiznę, życie przeżyć, dzieci swoje mieć. Ale ja musiałam zostać, bo życie sobie skrócić grzech to ciężki, to i ostałam... Tutaj, pod wodą. Samotnie mi tu było.

Jej głos brzmi teraz prosząco, jak skomlenie głodnego psa.

– Czy ja tak dużo chciałam? Bo nie chciałam sama być. Tylko mieć dzieci z powrotem. Tylko tyle.

– One nie są twoje – warczę. – Zabierasz je ludziom w zamian za ochronę przed rzeką czy z czystej mściwości? Tak czy owak, tych ci nie oddam.

Rozciąga usta w smutnym uśmiechu.

– Nie są twoje. Tyś im ni brat, ni swat.

– Ty jeszcze mniej.

– Ja jestem przynajmniej matką. – Kładzie dłoń na swoim obwisłym brzuchu. – Wiem, co to znaczy nosić pod sercem i kochać. A ty? Udajesz tylko, w dobrą ciotkę się bawisz, boś dla własnej siostry dobra być nie umiała, ochronić jej. Wiem, co ci w głowie siedzi – mówi dalej, patrząc, jak się chwieję pod tym ciosem. – Wiem, boś ty krew z mojej krwi. Com ci winna, tom twojej prababce spłaciła, do tej wody wchodząc. I do mego życia się nie mieszaj.

*Klik, klik, klik.* Ostatni kawałek łamigłówek wreszcie na miejscu.

– Nie do twojego. To jest moje życie i moja odpowiedzialność – wyduszam.

– One wolą być ze mną!

– Fandzolisz! – wykrzykuję, bo to jedyne, co w tej chwili przychodzi mi do głowy, a potem ruszam prosto na nią.

Nie mam pojęcia, jak się walczy z utopcami, ale za to mam bardzo dużo czystej, zaślepiającej mnie wściekłości. Rzucam się na nią i przewracam na ziemię, mimo całej odrazy, jaką we mnie budzi, bo pod moim dotykiem zmienia się znów w zielonkawę, cuchnące ożywione zwłoki. Możliwe, że właśnie na tę odrazę liczyła, bo kiedy pada, wydaje z siebie zaskoczony skrzek. Ale bardzo szybko odzyskuje rezon – i mimo że trzymam ją z całych sił, wrywa mi się i skacze do jeziora.

– Alicja! Bierz Miszkę i uciekaj! – Potrząsam dziewczyną, ale ona nadal stoi, jakby uwięzła w błocie. Widzę, że pod powiekami jej oczy poruszają się gwałtownie, jak we śnie. Najwyraźniej bez rozprawienia się z tą... *utopculą?*... nie będę w stanie ich obudzić.

Skaczę do wody, która – jak na leśne bajoro – jest zaskakująco głęboka i przejrzysta. Nade mną widzę złote ryby, pode mną – cień przemykający wśród wodorostów. Nurkuję głębiej i dopadam ją. Szarpiemy się; jest silna, zwrotna i śliska, ale udaje mi się zamknąć ją w ramionach i odbić od dna. *Wyciągnąć ją na powietrze, na ziemię!*, myślę gorączkowo. Woda to jej żywioł i tu z nią nie mogę wygrać.

Wynurzamy się, ku mojemu zaskoczeniu, z Kłodnicy – w parku, tam, skąd przyszedłam. Nad nami kołyszają się targane wiatrem gałęzie krzewów i lip, powietrze przecinają ciężkie krople deszczu. Topielica wydaje z siebie dziwne, bulgoczące dźwięki, jakby zupełnie nie miała ochoty tu być. Jest zła i ta złość jej też dodaje sił. Kiedy próbuję ciągnąć ją na brzeg, chwytą mnie za szyję i z całej siły wciąga pod wodę. Kaszlę i pluję, walczę, drapię jej obrzydliwe ciało-nie-ciało i już tracę nadzieję, kiedy nagle słyszę trzask. Tuż przy nas ląduje w wodzie lipowy konar. O mały włos, a spadłby nam na głowy. Chwytam się giętkich, obrastających konar młodych pędów i podciągam się, wlokąc za sobą wodnicę. Złamana gałąź zaryła oboma końcami w miękką, rozmokłą ziemię na brzegach. Jeśli się wysiłę, wyciągnę utopculę na nasyp.

Walczy, ale coraz słabiej – najwyraźniej mój pomysł z wyciągnięciem jej na brzeg ma więcej sensu, niż się spodziewałam. Nagle, kiedy już mam wypchnąć ją między chwasty – znowu widzę Malinę. I to nie dorosłą, zmienioną, ale taką, jaką pamiętam ją z czasów, gdy żyła. Patrzy na mnie błagalnie rozszerzonymi ze strachu oczami.

– Siostrzyczko...

Błąd.

– Ona nigdy tak na mnie nie mówiła – syczę, ostatnim wysiłkiem odpychając się od konaru i rzucając razem z topielicą na brzeg. Nad nami niebo przecina błyskawica i w jej świetle, przefiltrowanym przez zieleń liści, widzę teraz stojącego nade mną Olka z dziwnym, plecionym sznurem w dłoniach. Krzyczymy w wściekłości obie, ale w tej samej chwili ktoś chwyta mnie i odciąga na bok.

\*\*\*

Deszcz obmywa mi włosy, twarz, miesza się ze łzami.

– Naprawdę nie chciałem cię w to wciągać. I wszystko, co robiłem, robiłem tylko po to, żebyś trzymała się z daleka – mówi miękko Olek, kładąc mi rękę na ramieniu.

Alicja i Miszka leżą beładnie na brzegu, w wysokich chaszczach. Deszcz i huk piorunów nie robią już na nich wrażenia. A ja nie chcę słuchać pocieszającego głosu Olka, nie chcę czuć na sobie współczującego spojrzenia Hanki. Nie chcę czuć w ogóle niczego.

Wysoko nad nami kołysze się na sznurze uwiązany do gałęzi topoli to, co pozostało z kłodnickiej utopculi. Olek i Hanka wciągnęli ją tam mimo jej wrzasków i skrzeków, a wtedy, jak na zawołanie, w drzewo strzelił piorun.

Horst Westerwelle wiedział, ale nie traktował tego poważnie; ja zresztą też. Śląskie podania potraktowałam jak opowieści, choć miałam tam wszystko jak na talerzu: Kłodnicę, rzekę, w której było ponad zwykłą miarę *utopków*, to, że zdarza im się przybierać postać czarnych psów i że najbardziej aktywne są w czerwcu, przed Kupalnocką, a według niejakiego Achima pokonać je skutecznie można tylko przy pomocy lipowego sznura i tylko wyciągając je podczas burzy na brzeg. Czemu właściwie? Może mokre duchy muszą bać się ognia z nieba, aby świat mógł pozostać w równowadze?

Nie wiem.

– Szukaliśmy jej, ale bez skutku – tłumaczy Hanka. – Jesteśmy strażnikami miasta od niedawna, i chociaż wiedzieliśmy, że co piętnaście lat uaktywnia się duch rzeki, nie wiedzieliśmy, kiedy dokładnie. To dlatego Olek sprawdzał dane w bibliotece. Bo wy z Zazu wtedy jeszcze

nie miałyście zdjęć, prawda?

– A wy mieliście zdjęcie dziecka sprzed stu lat – odpowiadam, dziwiąc się, że w ogóle jestem w stanie wydobyć z siebie głos.

– To był mój pomysł, żeby ci je wysłać – mamrocze przepraszającym tonem. – Liczyliśmy, że się wystraszysz i odpuszczisz.

– Duch w mojej wannie też? I wypadek Zazu?

– Nie – kręci głową Olek. – Nie robimy takich rzeczy. Nie sądziliśmy, że utopcula się wtrąci. Że upatrzyła sobie ciebie i dzieci ze względu na twoją historię.

Przymykam oczy. Gdzieś z podświadomości wypływają wspomnienia słów na krawędzi snu. Czuję, jak gorycz zalewa mi gardło, nie wiem tylko, czy bardziej zbiera mi się na płacz, czy na wymioty.

– Nie kłam – mówię wreszcie, wpatrzona we własne wspomnienia.

– To poniżej twojego poziomu.

– Zuza...

– Jak to szło? – Łapię oddech, zamykam oczy. – *Trzeba ją wywabić na powierzchnię. Złapała już przynętę.*

– Zu...

– Od początku wiedziałeś. Bo wiedziałeś, kim jestem ja. A potem, od Westerwellego, kim jest ona. Mam rację, prawda?

Nie odpowiada.

– Ile lat byłeś, jak to nazywasz, strażnikiem tego miasta? Ile lat chroniłeś je przed ciemnością, mnie wciskając, że spędzasz czas na nocnych dyżurach? A właściwie to nie, zapytam wprost: ile lat mnie okłamywałeś? – Ucieka wzrokiem. – Ale teraz to już nieważne, co? W końcu to ja dałam ciała. Znowu. Nie uratowałam dzieci. Potrafilibyście to zrobić, gdybyście zareagowali szybciej? *Mogliście to zrobić?*

Wytrzymuje moje spojrzenie.

– Gdyby nam o to nie chodziło, to byśmy cię nie narażali. Wybacz, Zu.

Robi ku mnie krok, tylko jeden, a ja zataczam się i przewracam w krzaki. Nie próbuje więcej.

– Ciągle można jeszcze coś zrobić – rzuca nagle w przestrzeń Hanka.

– Wrócić na dno. Wyciągnąć stamtąd ich dusze.

– I zostać tam w zamian na zawsze. Jak ona – mamroczę, podnosząc się na nogi.

Być może w ostatecznym rozrachunku od początku o to chodziło? W końcu utopcuła z Kłodnicy chciała tak niewiele: swoich dzieci. Może ich wnuki – ja i moja siostra – wystarczą w zamian? *Oh, my love, don't forget me, when I let the water take me.* Nabieram kamieni w kieszenie, tak jak kiedyś Malina.

Patrzą na mnie, kiedy wchodzę do wody, ale nie ruszają się z miejsca.  
– Możesz wrócić – szepcze Olek. – To nie jest przesądzone.

– Ktoś musi pilnować rzeki, prawda? – pytam z goryczą. – A topielicy już nie ma. Ja nie będę zabierać dzieci. To chyba rozsądne zastępstwo.

Milczą. Jednak gdy zanurzam się w wodę, która nagle staje się przejrzysta i pełna złotych ryb, słyszę jego głos:

– Wróć. Będę czekał.

**Anna Askaldowicz** – Rocznic 1981. Rzeszowianka z urodzenia, gliwiczanka z wyboru. Pomiędzy Podkarpaciem a Śląskiem zdarzył jej się pięcioletni romans z Krakowem i tamże ukończyła studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Fantastykę pokochała jako dziecię niewinne, wygrzebawszy z domowej biblioteczki opowiadania Stanisława Lema, i dotąd jej nie przeszło. Zawodowo spełnia się jako niania, korektorka i redaktorka, a prywatnie jest nieuleczalnym mołem książkowym, początkującą kolekcjonerką lalek i niespełnioną krawcową. Píše z rzadka, ale stara się to robić dobrze.



Michał Cholewa

*CASUS BELLI*





Syrena kopalni zabrzmiała po raz ostatni i umilkła. Pomarańczowe światła alarmowe zgasty, wysoka sylwetka wieży szybowej przestała wyglądać jak objęta pożarem. W tej chwili tylko szara poświata ponad filtrami Dymu świadczyła o niedawnym kryzysie. Ona – i oczywiście dziesiątki ewakuowanych spod ziemi górników drugiej zmiany. Ci siedzieli już w podstawionych ciężarówkach w bezpiecznej strefie i w milczeniu obserwowali wyniosłą wieżę szybu. Zawsze milczeli i zawsze obserwowali wieżę i szare drobinki filtrowanego oparu cetanu wychodzącego przez system rozpraszaczy, choć przecież ze strefy ewakuacyjnej nie było widać nic z tego, co działo się na poziomie 3600. Zawsze czekali, niezmiennie na złe wieści. Bo te prędy czołowej nadchodziły, zwiastowane szumem windy i trzema krótkimi dźwiękami sygnalizatora wyciągu. Szły ciężkimi, mechanicznymi niemal krokami ratowników KRC w ciężkich, przypominających zbroje pancerzach ochronnych. Rozbrzmiewały w komunikatach sztygara zmianowego, który teraz czekał dokładnie naprzeciw wejścia do wieży szybowej, przygarbiony znużeniem, tuż obok ambulansów i przygotowanych do wejścia do kopalni zwykłych ekip – tych od zbierania ofiar. Bo kiedy złoża carnitu uwalniały czarny, oleisty, zabójczy opar cetanu, ten zawsze zabierał kogoś, kiedy odchodził.

Wreszcie, po czterech godzinach oczekiwania, syrena zagrała wy-czekiwane trzy sygnały. Mechanizmy wyciągu szczęknęły i gdzieś tam, w głębokim na cztery kilometry szybie, klatka ruszyła w górę.

Pierwszy wyszedł dowódca zespołu z hełmem w rękę i ciemnymi włosami mokrymi od potu. Za nim kroczył zastęp, szesnastka ratowników zakutych w ciężkie pancerze, w wielkich hełmach z zatrzaśniętymi przyłbicami systemów wizyjnych. Odgłos kroków okutych metalem butów dudnił na podeście. „Bardziej jak maszyny niż jak ludzie” – sztygar Meier, choć widział zastęp nie po raz pierwszy, zawsze czuł się zaniepokojony, będąc tak blisko zamkniętych we własnych stalowych światach, milczących ratowników. Tłumaczył to sobie respektem w obliczu tragedii i śmierci, ale uczciwie musiał przyznać, że to nie było tylko to.

– 3600 zabezpieczony. – Na bladej twarzy dowódcy ciągle lśniły krople potu, dwa palce ukrytej w ciężkiej rękawicy dłoni wybijały rytm

na trzymanym hełmie. – Postawiliśmy bramy, zrobiliśmy test powietrza. Zostawiliśmy mierniki, przekazują wskazania do magistrali. Jeśli wskaźniki opuszczą zielone pole, zawiadamiajcie nas.

– Rozumiem. – Meier pokiwał głową. – Potrzebujecie pomocy medycznej?

Dowódca spojrzał na niego nieruchomym wzrokiem, zupełnie jakby sztygar powiedział coś niestosownego, choć przecież taka była procedura każdej akcji ratunkowej.

– Nie – powiedział wreszcie. – Zastęp nienaruszony. Zaczekajcie godzinę i można uruchamiać wydobywanie. Możecie zejść na dół po ciąża. Bardzo mi przykro.

Ruszył dalej – wysoki, choć przygarbiony, z hełmem pod pachą. Milczący zastęp ratowniczy podążył za nim jak rycerze po przegranej bitwie. Meier nie dziwił się nastrojom. Uwolnienia cetanu były zabójcze i wszyscy wiedzieli, że KRC służyły raczej do ratowania kopalni niż kogokolwiek, kto znalazł się na nagle zalanym zabójczą substancją chodniku. To nie mogło zbyt dobrze wpływać na ich morale.

– Dziękujemy.

Dowódca zastępu zatrzymał się, odwrócił, przez chwilę patrzył na niego, wreszcie skinął głową.

– Taka powinność.

Potem obrócił się i odszedł, a za nim pozostali, z równym stukiem ciężkich buciorów. Sztygar Meier odprowadził ich wzrokiem, po czym zwrócił się do Milickiego, szefa wewnętrznych służb ratowniczych na „Wujku”:

– Ruszajcie, miejmy to już za sobą. Ja dopilnuję, żeby wysłać na badania tych, co uciekli, i przygotuję nas do wznowienia. I pójść zawiadomić Wołek.

Spojrzał przepaszająco na figurę Skarbka na środku placu kopalni. Nigdy nie podobało mu się, że po uwolnieniu tak szybko próbowano przywrócić kopalnię do normy. To nie było zgodne z tradycjami, które kazały górnikom zawsze pochylić się w obliczu śmierci. Uszanować poległych pod ziemią. Ale procedury były nieugięte, i równie nieugięta była stojąca na ich straży dyrektorka Wołek. Carnit należało wydobywać tak szybko, jak się tylko dało, musiał wędrować na powierzchnię

i płynąć na rynki nieprzerwanym strumieniem. Budować przyszłość.

\*\*\*

Wydział kryminalny komisariatu na Żwirki i Wigury miał specyficzny tryb działania, a ciekawe dochodzenia zawsze trafiały na biurka odpowiednich osób – co nieodmiennie znaczyło: miejscowych. Ślężacy lubili załatwiać ważne sprawy we własnym gronie. Ja, jako mieszkający w Katowicach zaledwie od dwóch lat, nie pozbyłem się łatki *gorola* – i musiałem liczyć się z tym, że może nigdy się jej nie pozbędę. Byłem, na ile rozeznawałem się w zachowaniu kolegów, *gorolem* sympatycznym i akceptowanym – ale jednak obcym. W związku z tym mogłem zwykle liczyć tylko na dochodzenia z kategorii „drobnica”. Ot, kradzież czy włamanie – bez problemu. Pobicie? Czemu nie. Asysta przy czymś ciekawszym? Jak najbardziej. Natomiast zaginięcie, w dodatku zaginięcie górnik, w żadnym razie drobnicą nie było, nawet pomijając fakt, że zdarzenie trafiło się formalnie w rewirze trójki, a nie naszym. Ostatecznie zmianę rejonu dało się jeszcze wytłumaczyć obciążeniem, zwykłym żonglowaniem ważnymi sprawami i polityką lokalną szefów. Jednak to, że sprawę dostałem akurat ja, było nowe. Normalnie powiedziałbym: ekscytujące, ale jako człowiek z natury ostrożny postanowiłem pohamować przedwczesny entuzjazm.

I, jak się okazało, słusznie. Bliższe bowiem przyjrzenie się sprawie – i rozmowa z Hoffman, komendantką komisariatu – potwierdziły moje wątpliwości. Hoffman była niesamowicie inteligentną, świetną komendantką, miała jednak z mojego punktu widzenia jedną wadę – nie lubiła mnie. A dokładniej: nie miała nic przeciwko mnie, ale uważała, że brak wiedzy o lokalnych realiach jest większą przeszkodą w pracy śledczej niż lenistwo Wadeckiego czy nonszalancja Sojki. Tym razem wyglądało na to, że sprawa jest trochę zgniłym jajem. „Wyszedł z domu i nie wrócił, żadnych wrogów, żadnej kartoteki”. Równie dobrze mógł się odnaleźć w Berlinie za trzy miesiące, a ja będę tu albo uwięzany, albo z uwaloną sprawą. Zasobów też miałem niewiele – co prawda rzeczywiście miałem prowadzić śledztwo, ale też byłem z nim chwilowo sam, bo reszta wydziału magicznie ma akurat teraz pełne obłożenie. Wsparcie? Na razie dostęp do Wiktora od komputerowców

i paru dzielnicowych. Reszta – i owszem, „kiedy tylko będzie potrzebne”. To oczywiście oznaczało: „Nie teraz”. Znaczy się, zaginięcie było czymś, co dostało mi się w ramach ogólnej psychologii. W sumie mogłem się tego spodziewać.

\*\*\*

Zaginięcia górników na Śląsku nie są częste. Nie dlatego, że górnicy rzadziej wpadają w tarapaty niż inni – nie są na nie jakoś szczególnie bardziej odporni niż dowolna inna grupa bogatych Ślązaków zajmujących się niebezpieczną pracą, a zatem przyzwyczajonych do życia na krawędzi. Piją jak inni, czasem biorą udział w bójkach, czasem eksperymentują z narkotykami czy hazardem. Mają kochanki, kochanków, powody, by znaleźć się nagle gdzieś na Pomorzu. Wyróżnia ich jednak ważna cecha: każdy, kto ma postawić stopę pod ziemią w dowolnej kopalni carnitu, jest chipowany. Lokalizator, biofunkcje, cała cholerna telemetria. Zapis prowadzony jest – podobno – tylko na terenie kopalń, ale sprawdzenie lokalizacji w czasie rzeczywistym działa. Dlatego czynności w przypadku zaginięcia górника najczęściej kończą się na zdalnym wywołaniu chipa i podjechaniu na wskazaną lokalizację, żeby sprawdzić, czy coś jest nie w porządku. Tym razem jednak było inaczej – chip Arciszewskiego nie działał. To sprawiało, że do sprawy należało podejść bardziej kompleksowo. Zaginięcie oraz wyłączony chip telemetryczny oznaczały, że raczej nie jest to kwestia zapicia. Z drugiej strony, skoro robota dostała się mnie, i tak nie oczekiwałem cudów.

Pierwszym przystankiem naturalnie miała być zgłaszająca. Amelia Arciszewska: według tego, co stało w papierach, sześćdziesięciodwulatka, wdowa po Mirosławie, też zresztą pracowniku kopalni, jak synalek. Na Śląsku każdy górnik ma przynajmniej trzech innych górników w rodzinie. Albo miał – bo odkąd zaczęto fedrować carnit, śmiertelność skoczyła na równi z prestiżem zawodu. Pani Amelia przywędrowała na komendę dziś rano i od tego czasu dzwoniła już dziewięć razy. Typowa zmartwiona matka, pewnie z nerwami zszarganymi od ciągłego nasłuchiwania wycia syren cetanowych alarmów.

Wiało koszmarnie – zimnym, wilgotnym jesiennym wichrem. Po niebie pędziły szare chmury, chodniki były mokre niedawną mżawką, a listopadowy wiatr podrywał wilgotne liście i ciskał je w niezgrabnym, ociążałym tańcu pod nogi. W takich warunkach samochód służbowy jest najbliższym substytutem opieki opatrności, na jaki można liczyć. Nawet jeśli to makabrycznie zajeżdżony mistral z wiecznym problemem ogniwa i zagadkowym zapachem wydobywającym się z klimatyzacji. Jazda na Brynów minęła mi całkiem szybko – spod naszego komisariatu wyjeżdża się wprost na Mikołowską, a potem wiaduktem nad A4 wprost na górniczy Brynów. Ruch jak zwykle w okolicach południa. Obie drogi, którymi jechałem, dorobiły się dodatkowych pasów, żeby obsłużyć trzymianowy tryb pracy biznesu, rozrywki i czego tylko człowiek chciał. Dzięki wszechobecnym ekranom dźwiękochłonnym z tego wszystkiego mogłem obserwować głównie reklamy i fury, na które nie byłoby mnie stać nawet za dwa życia. A także – co z jakiegoś powodu stało się ostatnio normą – wozy korporacyjnej straży pilnującej strefy Śląskiego Centrum Bankowego. Enklawa biznesowa ścb była, podobnie jak Korpus Ratownictwa Carnitowego, miejscem praktycznie niezależnym od prawa krajowego.

Śląsk, odkąd dwie dekady temu zaczęło się carnitowe szaleństwo, nie miał przestojów i każda pora dnia była czymś w rodzaju godzin szczytu. Bo przecież wraz z reaktywowaniem kopalń cały goP podporządkował się wydobywaniu „czarnego złota” – tyle że tym razem to określenie było o wiele bardziej prawdziwe niż kiedykolwiek. Czysty, hiperwydajny carnit na rynkach energetycznych robił furorę tak niesamowitą, że samo tylko jego wydobywanie z dnia na dzień uczyniło państwo potęgą gospodarczą. Jednocześnie ruszył cały biznes pokrewny: na gwałt zaczęto modernizować koleje, w okolicy wyrosło nowe zagłębie energetyczne, później zadebiutowała giełda Katowice. I tak inwestorzy, zupełnie jak osy do miodu, przybyli całymi rojami, żeby ukroić sobie kawałek carnitowego tortu. Jednak kluczem do tego wszystkiego było górnictwo: z jeszcze większym rozmachem, potwornie dochodowe i – z powodu uwolnień cetanu – bardzo ryzykowne.

W miarę jak wjeżdżałem na Brynów, w strefę wpływu kopalni, właśnie ta dochodowość górnictwa kłuła w oczy coraz bardziej. Przemysł

wydobywczy przynosił kwoty, o których nie chciało mi się myśleć, ale pamiętało o tych, którzy dla tych kwot ryzykowali życie. Luksusowe osiedla górnicze, rozmieszczone w cieniu stalowych molochów wież kwc „Wujek”, były przestronne, eleganckie i prawdopodobnie całkiem samowystarczalne, z drogimi sklepami, zakładami opieki zdrowotnej, przedszkolami i prywatnymi szkołami. Po szerokich ścieżkach przechadzały się patrole ochrony kopalni, której grzecznościowe wyręczenie policji w tak zwanych „mniej ważnych sprawach” diabelnie przypominało mówienie nam, psom, że tutaj nie jest nasz teren. Ale to życie miało też drugą stronę medalu: było życiem funkcjonującym w cyklu pracy rozpraszaczy cetanu i w ciągłym oczekiwaniu na złote migotanie lamp alarmowych i charakterystyczny, ponury odgłos syreny. I, nieuchronnie po każdym takim alarmie, w pełnym niepokoju oczekiwaniu na wieści o najbliższych.

Osiedle zdecydowanie nie było miejscem dla gliniarzy. Dało się to wyczuć od momentu, kiedy wylegitymowała mnie ochrona; wrażeń nie tylko wzmocniły spojrzenia, jakimi obrzucano mojego mistrzala w drodze pod dom Arciszewskich, wyrażające co najwyżej niechętną tolerancję dla mojej obecności. To miejsce mówiło: „Jesteś tu obcy” bardziej dobitnie niż najgorsze dzielnice Łodzi czy Warszawy – choć w zupełnie inny sposób. Ale też służba ma to do siebie, że często rzuca człowieka tam, gdzie znaleźć się nie powinien.

Piętrowy biały dom, w którym mieszkała Amelia Arciszewska, wyglądał prosto i schludnie, a jego drzwi do garażu prawdopodobnie były więcej warte niż moja kawalerka. Otworzyła mi pomoc domowa – wysoki, szczupły blondyn o przystojnej twarzy i taksującym spojrzeniu. On też skierował mnie do salonu, gdzie miałem „oczekiwać na panią Amelię”. Oczekiwałem więc, popijając obowiązkową herbatę i lustrując pomieszczenie. Wnętrze emanowało nowoczesną elegancją, ale niepozbawioną tradycyjnego śląskiego sznytu. Na elektrycznym kominiku stały zdjęcia – jak sądziłem – członków rodziny: od najnowszych holograficznych aż po stare, rekonstruowane czarno-białe fotografie. Cała oddzielna ściana poświęcona była samemu zaginionemu. Mariusz Arciszewski, kędzierzawy brunet o pociągłej twarzy, kojarzącej się bardziej z urzędnikiem niż górnikiem, w czarnym mundurze i górniczym

czako obok popularnej w kopalniach figury Skarbka. Podobny, ale inaczej ostrzyżony Mariusz Arciszewski przed SGG podczas odbierania dyplomu. Młodszy, na zawodach, w sportowej koszulce i z nieskutecznie zapuszczanym zarostem. Na jakimś przyjęciu. Jako dziecko zdmuchujące świece na torcie. Ujeżdżające plastikowego dinozaura. Dwuletnie, drepczące po dywanie w towarzystwie starszej kopii siebie, pewnie ojca. Cała cholerna ściana miłości matki do dziecka, paskudna rzecz w takich sprawach.

Na stole leżała haftowana serweta pamiętająca czasy nie tylko sprzed carnitu, ale pewnie i Okrągłego Stołu, przyległą ścianę zdobiły kolejne fotografie; tym razem motywem przewodnim były górnicze mundury. Wielkie okna wychodziły dokładnie na kopalnię. Górnicze wieże szybowe były wyższe i szersze niż niegdysiejsze, jakby kopalnia musiała mocniej zaprzeć się w grunt, by sięgnąć niemal cztery kilometry w głąb ziemi. Stalowe konstrukcje, jedna obok drugiej, tworzyły ponury industrialny krajobraz. Pomiędzy budynkami ciągnęły się napowietrzne przeszklone korytarze, a pod wszystkim przemykały pojazdy wiozące sprzęt i ludzi. Pociągałem właśnie łyk mocnej herbaty, kiedy zagrała syrena: przeciągłym, nieprzyjemnym wyciem. Muszę przyznać, że niemal podskoczyłem.

– To nie alarm, panie oficerze – usłyszałem za plecami matowy głos.  
– To wezwanie na szczytę.

Amelia Arciszewska całkowicie odbiegała od obrazu sześćdziesięcioletniej matki górnika, jaki miałem w głowie przez całą drogę na Brynów. W zasadzie powinienem był się tego spodziewać – była w zasadzie w wieku średnim, a mając dostęp do wszelkich udogodnień medycyny, dietetyki i całej reszty, można było wyglądać dokładnie tak, jak się chciało. Amelia Arciszewska wyraźnie chciała wyglądać pięknie. Nie dałbym jej więcej niż czterdziestkę. Miała idealną sylwetkę, lśniące włosy otaczające śniadą twarz czarnymi kosmykami i ciemne oczy lustrujące mnie z uwagą. Nosiła luźną sukienkę o bardzo stonowanej barwie, która zapewne miała własną nazwę, ale dla mnie była po prostu granatem. W normalnej sytuacji, gdybym spotkał ją na ulicy, chyba bym się za nią obejrzał. Teraz jednak sytuacja nie była normalna. Arciszewska była wyraźnie zmęczona i prawie na pewno płakała – choć

makijaż i samodyscyplina całkiem dobrze to maskowały. Sukienka musiała być założona na szybko, już kiedy tu czekałem.

– Rozumiem, że przyszedł pan w sprawie Mariusza – powiedziała, robiąc kilka kroków w moją stronę i ciężko wspierając się o wysokie oparcie fotela.

– Tak jest – potwierdziłem i przedstawiłem się. – Mam nadzieję, że będę mógł zadać kilka pytań w sprawie syna. Bardzo by nam to pomogło w poszukiwaniach. – Wydobyłem z kieszeni tablet i kamerę. – Pani pozwoli?

Skinęła głową, patrząc niezbyt pewnie na sprzęt. Cywile nigdy go nie lubili. Każdy jest trochę zaniepokojony, kiedy nagrywa go policja, jakoś tak ludziom zostało.

– Mariusz zniknął właściwie przedwczoraj. To znaczy – uściśliła, widząc moje pytające spojrzenie – wyszedł przedwczoraj wieczorem, podobno umówił się z kolegami. Nie wrócił rano ani potem przez cały dzień, nie odbierał telefonu. Najpierw nawet się ucieszyłam...

– Cieszyła się pani?

– Mariusz nie miał wielu przyjaciół – wyjaśniła. Jej głos był spokojny, ale wyraźnie było to okupione dużym wysiłkiem. – Był, no, inny od reszty.

– Inny?

Kobieta przez chwilę milczała, spoglądając na wiszące na ścianie zdjęcia.

– On nie chciał być górnikiem, panie oficerze. W ogóle go to nie ciągnęło i zjeżdżać nie lubił, i... No, to po śmierci ojca też, myślę, ale on od początku nie był do tego za bardzo chętny.

– Rozumiem.

– On się w komputery chciał zawsze bawić, no ale namówiłam go, bo tu, w Katowicach, to pewny byt dla niego, bo górnik to przecież i status, i pieniądze. Myślałam, że na uczelni mu się spodoba i z czasem polubi pracę, jak kiedyś Mietek. Ale nie. Bo on też i z innej gliny lepiony niż inni. No i fakt, że ojciec w kopalni zginął, też nie za dobry dla niego. On... No, źle z kopalnią żyje.

– Co ma pani na myśli? Źle pracuje?

Przez kilka sekund patrzyła we wzorzysty dywan.



– No, tak trochę też. Znaczy – zastrzegła szybko – jak już był na dole, to robił, co trzeba, ale i na lekarskie chodził, i zdarzało mu się nie pójść do pracy. Na terapię zaczął niedawno chodzić, że niby depresja. Liczyłam, że pomoże, ale przecież już drugi miesiąc chodzi i nic.

No tak. Górnicza rodzina, ojciec bohater, dziecko w najlepszej wierze ślane do kopalni... Nie mieszkałam na Śląsku długo, ale nawet ja wiedziałam, że tutaj to scenariusz, który powtarza się aż za często. Dla dobra dzieci, ale też, nie ma co się oszukiwać – całych rodzin, bo i status, i pieniądze da się zagospodarować.

– Powiedziała pani: „Też”...?

– No bo wie pan, u górników to i braterstwo silne, i symbolika. Że pająk chleba dla Skarbka, a on nie, bo to bzdura. Że wszyscy z poziomu sobie symbol kopalni i tego Skarbka tatuują, a on nie, bo tatuazu nosić nie chce. Po pracy z innymi się nie spotka, tylko wirtual i sieć. Czasem muzyka, ale wszystko samemu albo online z jakimiś znajomymi gdzieś tam z daleka. – Machnęła ręką, jakby chciała zademonstrować, jak bardzo z daleka. – Nikogo tutaj. Myślałam... No, myślałam, że skoro poszedł świętować z kolegami i został kolejnego dnia, to coś się zmieniło...

Na moment przerwała, oblizła wargi, odetchnęła.

– No ale nie wrócił. Dzwoniłam chyba z dziesięć razy. – Rozłożyła ręce, potem spojrzała na ścianę ze zdjęciami, przez długą chwilę błędziła po niej wzrokiem. – Potem też na kopalnię, bo miał mieć drugą zmianę, czyli musiał już tam być.

– Rozumiem.

Spojrzenie, jakie mi posłała, mówiło, że nic nie rozumiem i raczej nie zrozumiem. Matki we wszystkich miejscach, w których służyłem, świetnie umiały tak patrzeć. Przez dłuższą chwilę milczała.

– Nie przyszedł do pracy – powiedziała wreszcie. – Miał przyjść, nie przyszedł.

– Ale nadal pani czekała?

Zgłoszenie zarejestrowano dziś rano, co oznaczało, że Arciszewska zwlekała prawie dwadzieścia godzin, zanim zdecydowała się przyjść na komendę.

– Mój syn... – Wyraźnie chciała powiedzieć „synek”, ale powstrzymała się. Nadopiekuńcze matki traktujące dorosłych mężczyzn jak

dzieci zawsze mnie trochę bawiły... ale nie w pracy. Wtedy jakoś nigdy nie było to zabawne. – Mój syn nie był osobą przywykłą do... zabawy. Głównie był w domu. Uznałam, że to możliwe, że... pochorował się i gdzieś śpi, może u jakiegoś kolegi...

Twarz kobiety wyrażała autentyczną rozpacz, patrzyła na kamerę – bo nie na mnie – jak na spowiednika. Moje szkolenie mówiło, że naturalnie coś ukrywa. Mój instynkt miał przeczucie, co.

– Nie chciałam być matką, która trzyma syna u spódnicy. Powinnam była zadzwonić już wtedy, prawda? Już wtedy? Czy wtedy byłoby lepiej? Bo myślałam, żeby zgłosić wtedy, naprawdę. – Tym razem mówiła już przez łzy, szybko wyrzucając z siebie słowa, jakby każde kolejne zdanie było jakiegoś rodzaju usprawiedliwieniem dla poprzedniego, które należało wypowiedzieć, koniecznie zanim ktoś ją osądzi choć w przybliżeniu tak surowo, jak ona siebie osądzała. Ręce o długich, smukłych palcach dygotały jej jak w febrze. – Ale on mógł przecież po prostu być gdzieś, co by sobie pomyślał? Że jak pójdzie gdzieś pobawić się trochę, to matka zaraz policję wzywa. To przecież dorosły mężczyzna jest. Co by sobie pomyślał, co by sobie inni pomyśleli?

– Wiem – powiedziałam, starając się nadać mojemu głosowi kojący ton. Nigdy nie byłem w tym najlepszy. – W tym wieku zniknięcie na jeden dzień na ogół nie oznacza jeszcze nic.

– Właśnie tak, pani oficerze. – Arciszewska wyraźnie uchwyciła się tych słów. – Przecież to zwykle nic. Ale dziś rano pojechałam od razu. Panie oficerze...

– Słucham?

– A to może być tak, że on uciekł od pracy? I ode mnie też?

Siedziałem w ciszy, zastanawiając się, co odpowiedzieć. Bo przecież nie prawdę. Że im dłużej słuchałem o Arciszewskim, jego całym życiu spędzonym na spełnianiu oczekiwań i o jego depresji, tym bardziej ucieczka wydawała się całkiem nie najgorszym z możliwych scenariuszy. Dzielenie się z nią tą myślą zdawało mi się jednak bez sensu, nie wspominając już o tym, że byłoby całkiem nieprofesjonalne.

– Na razie trudno mi cokolwiek powiedzieć, dopiero zaczynamy śledztwo. Na pewno będzie pani informowana o postępach. Tymczasem będę potrzebował kontaktów do jego znajomych, do kogoś,

u kogo mógłby spędzić noc lub dwie.

– Naturalnie.

Zabrałem się już za wstawanie, ale uświadomiłem sobie, że coś mi jeszcze umknęło.

– Powiedziała pani, że syn mógł świętować i nie chciała mu pani przeszkadzać.

– No tak, powiedziałam.

– Co właściwie miał świętować?

Spojrzała na mnie, jakbym właśnie palnął jakiś kompletny idiotyzm.

– No jak to: co? – Wskazała na okno, za którym widniał szary i ponury kompleks kopalniany. – Uwolnienie cetanu było na jego poziomie, a on akurat na powierzchni był. Osiem osób zginęło na dole, dwóch dalszych, co wszyscy myśleli, że przeżyli, w szpitalu leżą na zatruciu wyziewami. A mój Mariusz akurat tego dnia na dół nie poszedł. Szczerze, jakby Skarbek wynagrodzić mu ojca jakoś chciał.

Posłała tkliwe spojrzenie w stronę zdjęć i zatrzymała je tam na długo, aż w jej oczach zaszklily się łzy. Powiedziała coś bezgłośnie – ale z pewnością nie do mnie. Podziękowałem, złożyłem sprzęt i wyszedłem, ostatecznie nie dopijając herbaty. Nie miałem pojęcia, co mogło się stać z Mariuszem Arciszewskim, ale już miałem pojęcie, jak musiał się czuć.

\*\*\*

Dostałem od Arciszewskiej opis ubrań, w których zaginiony wyszedł z domu, i nawet ich zdjęcia. Rzeczywiście na górniką nie wyglądał – nosił jasne spodnie i błękitną kurtkę, kolekcjonerski egzemplarz dla fanów sieciowej gry „Thunderdome” z wielkim holograficznym nadrukiem na plecach. Pewnie warta górę kasy, ale cóż, na biednego nie trafiło. Na telefon terapeuty zadzwoniłem, ale milczał jak zakłętą, a jego strona sieciowa powiedziała, że ma teraz urlop. Mój pech. Przejrzałem listę znajomych Arciszewskiego – była krótsza niż moja, a ja mało kogo tu naprawdę znałem, oprócz kilku obiektów nie najlepiej ulokowanych uczuć, no i kolegów z pracy. Namiary posłałem do komisariatu. Lepiej będzie, jeśli do tutejszych przyjdą dzielnicowi; zresztą miałem paskudne uczucie, że mój zaginiony u żadnego z tych

ludzi nie był. Wystawiłem też zapotrzebowanie na zlokalizowanie jego telefonu – co prawda jego chip nie działał i jeśli ktoś o to zadbał, raczej wyłączył też telefon, ale ostatecznie zawsze mogła to być po prostu awaria. Sam natomiast udałem się do kopalni – nawet jeśli jego szef, współpracownicy i cała reszta nie przyjaźnili się z nim specjalnie, to jednak spędzał tu sporo czasu. Poza tym nie miałem gigantycznej listy innych tropów.

Kopalnia „Wujek” była jedną z jedenastu kopalni carnitu – jedynych obecnie działających, bo z węgla kamiennego, niegdysiejszego napędu Śląska, zrezygnowano, kiedy pojawiła się nowa opcja. Kompleksy kopalniane rozrosły się jeszcze bardziej, by móc w pełni wspierać dużo bardziej skomplikowane wydobywanie surowca. Kiedy tylko zaczął się carnitowy boom, kopano na potęgę w głąb, coraz głębiej, bo złoża czarnego, połyskliwego i delikatnego materiału o strukturze kryształu leżały daleko poniżej poziomów objętych zwykłym – czy też „dawnym” – wydobywaniem. Ale nikt nie przejmował się trudnościami – nie kiedy miało się do czynienia dosłownie ze zbawieniem energetyki. Szyby rosły, wzmacniano zabezpieczenia, budowano systemy podtrzymywania życia, bo na głębokościach, gdzie kopano carnit, było nieznośnie gorąco. Pieniądze popłynęły do regionu szeroką strugą, by zasilić coraz większy rozrost kopalń, które zaczęły zamieniać się w industrialne wyspy w śląskim krajobrazie, otoczone murami, połyskujące w dzień i w nocy reflektorami. Geologowie szukali wszędzie nowych złóż, ale nigdy ich nie znaleźli; wszystko wskazywało na to, że występują tylko w kopalniach, w których znaleziono je na początku. Carnit okrzyknięto fenomenem i minerałem endemicznym.

Potem w kopalni „Czczott” zdarzyło się pierwsze uwolnienie cetanu: coś, czego nikt nigdy się nie spodziewał. Czarny, oleisty gaz, nazywany później przez górników po prostu Dymem, pojawił się nagle w trakcie wydobywania na poziomie trzy tysiące sześćset, sunąc przez tunele i pochłaniając kolejnych niespodziewających się niczego górników. Przetrawiał ubrania robocze i rozpuszczał ciało. Czterdzieści siedem osób zginęło w straszliwy sposób. Na szczęście kolejne poziomy ewakuowano, zanim pożarł je cetanowy opar, ale i tak była to największa od lat katastrofa w górnictwie. Potrzeba było całych dni

nawiewu neutralnych gazów, żeby ktokolwiek mógł zejść pod ziemię. Pośród skorodowanego sprzętu na miejscu tragedii znaleziono potem resztki kości i części metalowych elementów oporządzenia.

Śląsk zamarł. Zawieszono wydobywanie we wszystkich jedenastu kompleksach, zebrano próbki i zainwestowano w najlepszy program badawczy, jaki dało się stworzyć. Pracowano dzień i noc, tak w laboratoriach, jak i na wyłączonych poziomach. Cetan się nie pojawiał, ale postępy – również nie. Szczęściem w nieszczęściu było, że gaz dość szybko rozkładał się na czynniki nietoksyczne, a kiedy już to zrobił, dało się go wyprowadzać z kopalni przez odpowiednie filtry. Oczyszczono wszystkie poziomy na „Czczotcie”, zrobiono wiele demonstracji w laboratoriach na syntetycznym cetanie odtworzonym z próbek. Wszyscy kiwali głowami, bili brawa. Jak to zwykle bywało w takich sytuacjach, politycy, kiedy tylko upewnili się, że jest już bezpiecznie, byli w kopalniach niemal każdego dnia. Ci odważniejsi i bardziej zdecydowani zjeżdżali nawet w głąb szybów, aby strojąc zażalenie do górników, pozować do zdjęć przy pracujących zespołach naukowych. Szybko zaczęto naciskać na wznowienie wydobywania – przecież sytuacja była opanowana, a carnit był dla Śląska i dla Polski szansą. Zawsze kiedy używa się takich sformułowań, wiadomo, że chodzi o naprawdę duże pieniądze. I, jak łatwo było przewidzieć, naciski w końcu zadziałały. Maszyny znów ruszyły, górnicy – trochę mniej pewni, ale uspokajani pojawieniem się nowych filtrów, potężnych dmuchaw i licznych barier mających zatrzymać ewentualne kolejne problemy – zaczęli znowu zjeżdżać w ciemność, budować „wielką szansę”.

Kolejne uwolnienie cetanu nastąpiło dwa miesiące później i pochłonęło życie trzydziestu ośmiu górników. Tym razem pod ziemią zginęło trzydziestu sześciu, a dwaj, którzy byli akurat blisko klatki windy i pozornie umknęli bez szwanku, zmarli w szpitalu trzy dni później. Tak odkryto syndrom Kadel-Percia, zatrucie cetanowe. Odkryto też, że ani dmuchawy, ani grodzie nie powstrzymały czarnej śmierci, która przetoczyła się przez chodniki – w każdym razie nie na długo. Kopalnię ewakuowano, odczekano czas neutralizacji Dymu i wysłano ekipy, by zebrać ciała i pochować je w zaplombowanych trumnach. Wydobywanie znów stanęło, a akcje spółek kopalnianych poleciały na

twarz. Dygnitarze zaczęli się poważnie martwić, że ucierpią ich portfele, fundusze powiernicze zadrżały w posiadach.

Mniej więcej wtedy pojawił się Korpus Ratownictwa Carnitowego. Jego pomysłodawcy – weterani ratownictwa górniczego i doświadczona kadra podziemna – spędzili najpierw sporo czasu w laboratoriach, a potem dużo więcej w terenie. Krążyli po pustych poziomach, oglądali straty, przyglądali się śladom postępu Dymu. Badania lokalne trwały ponad trzy tygodnie, po których wreszcie sformułowano założenia i zapotrzebowanie KRC. Zbudowano koszary i tunele umożliwiające pojazdom ratowniczym szybkie dotarcie do kopalń. Zaprojektowano ciężkie pancernie ratownicze, składane śluzy i przenośne agregaty pochłaniające. Utworzono system syren i sygnalizacji. Powstały procedury działania, system werbunku i szkolenia, pośpieszenie i pod dyktando pierwszych jedenastu pomysłodawców. Skonstruowano filtry stale oczyszczające atmosferę na głębokich poziomach i wyprawiające nietoksyczne już gazy w powietrze. Wszystko w pośpiechu i nie szczczędając kosztów – decydenci mieli przed oczami wizję końca carnitowej recesji. I słusznie, bo dobre czasy znowu nadeszły. Górnicy, zachęcenii statusem i obietnicami bezpieczeństwa, wrócili pod ziemię.

Korpus Ratownictwa czuwał. Nie był w stanie ochronić górników w hipocentrach cetanowych uwolnień, jednak potrafił zabezpieczyć resztę kopalni i poziom. Filtry działały, incydenty stały się rzadsze i choć niezmiennie pociągały za sobą ofiary, ich liczba już nigdy nie była nawet zbliżona do tej z pierwszych katastrof. Górnicy stali się nie tylko ważnymi specjalistami, ale wręcz bohaterami narażającymi życie dla lepszej przyszłości – a przynajmniej tak głosiły media, kupione przez tych, którzy na carnicie najwięcej się dorobili. Stali się też – co było pewnego rodzaju zaskoczeniem – cholernie przesądni. Ostatecznie skoro podziemne tunele stały się okopami walki o lepsze jutro, ateści, zgodnie z przysłowiem, stopniowo stamtąd zniknęli. Wróciły stare zwyczaje, opowieści o Skarbku, zakazy przekleństw i cała reszta. Z czasem przed nową-starą tradycją ugięli się i naczelnicy kopalń, a nawet Korpus Ratownictwa, który stał się czymś w rodzaju niezbyt licznego zakonu z prawie rycerskim etosem służby. Ratownicy żyli jak mnisi w odosobnieniu koszar, rzadko pojawiając

się publicznie – i doskonale wpisując się w na wpół mistyczne podejście do górnictwa.

Biznes zabobonów kwitł – w końcu to był Śląsk, a na Śląsku było pełno ludzi z nosem do interesów.

\*\*\*

W zasadzie przyszedłem do kopalni z zamiarem porozmawiania z szefem zmiany, czy jakkolwiek się tam nazywał bezpośredni przełożony Arciszewskiego. Kiedy jednak przedstawiłem się i wyłożyłem, co mnie sprowadza, skierowano mnie natychmiast do gabinetu dyrektorki. Ważne sprawy, jak mi powiedziano, pani Wołek lubi załatwiać osobiście. Dlatego zamiast gdzieś do biur kadry średniego szczebla posłano mnie od razu do wieży zarządczej „Wujka” i kazano czekać. Nie trwało to zresztą długo.

Adriana Wołek była średniego wzrostu czterdziestokilkulatką o pociągłej twarzy, bardzo jasnych, prawie białych włosach i bardzo ciemnych oczach w bladej twarzy. Kontrast, ewidentnie przynajmniej częściowo zamierzony, dawał upiorne wrażenie dziwnej monochromatyczności szefowej „Wujka”, potęgowanej dodatkowo przez czarny garnitur. Była osobą z władzą tak wielką, że pochodziła niemal z innego świata, który z rzeczywistością prostego gliniarza takiego jak ja nie przecinał się praktycznie w żadnym punkcie. Naturalnie oprócz sytuacji śledztwa. A i tak miałem wrażenie, jakbym mówił do niej przez szybę.

Przyjęła mnie w znajdującym się w biurowej części kopalnianego kompleksu gabinecie z rodzaju tych, w które ktoś wpakował naprawdę duże pieniądze, żeby wyglądały ascetycznie. Za plecami dyrektorki poprzez przyciemniane okno widać było blask słońca na głównej wieży szybowej kopalni, pracujących przy niej ciągle techników, przemijające dołem sylwetki ludzi w różnobarwnych kurtkach, dalej – zabudowania przetwórci rudy, magazyny i hale generatorów awaryjnych. Jeszcze bardziej w oddali – kopułę elektrowni stanowiącej główne źródło zasilania kompleksu. Mocno odcinające się wstęgi rozłożonego przez filtry cetanowego Dymu pełzły po szarawym niebie, tworząc abstrakcyjne wzory. Wszystko odbywało się w absolutnej ciszy.

– To szkło rezonansowe. – Uśmiechnęła się, widząc, jak wpatruję się w obraz za oknem. Było coś w nieokreślony sposób nieprzyjemnego w tym uśmiechu. Nie można mu było nic zarzucić, ale utwierdzał mnie w absolutnym przekonaniu, że w ogóle nie powinienem tu być.

– Przepuszcza jedynie dźwięki na częstotliwości syreny alarmowej.

– Chce pani tu słyszeć syrenę?

Spojrzała spod uniesionych śnieżnobiałych brwi. Wyraźnie oceniała mnie i nie wypadałem najlepiej.

– To syrena alarmu uwolnienia Dymu, panie Potocki. Każdy na kopalni musi ją słyszeć, ja nie jestem wyjątkiem. – Podeszła ostrożnie do metrowej wysokości postaci Skarbka wyrzeźbionej z carnitowego kryształu. Przez chwilę wpatrywała się w karbidowy płomień na leżącej przed figurą łopacie. Ta była najzupełniej zwyczajna, tyle że niewielka, jak dla dziecka. Pewnie dopasowana skalą do figury.

– Rozumiem.

– Nie. Ale nie szkodzi.

– Kwestia zwyczaju, jak...? – Wskazałem na figurę.

– Jest taka w każdej z jedenastu kopalń carnitu na Śląsku, nie wiedział pan? – Nadal obserwowała połykującą czarno postać podziemnego demona. – Kiedy każdego dnia ryzykuje się życie, panie Potocki, przyda się każda pomoc. Nawet jeśli to tylko legenda. Ludzie zwyczajnie lepiej się czują.

– Pani też?

Tym razem obróciła się w moją stronę, podeszła do prostego biurka, na którym pewnie dałoby się grać w tenisa. Gestem wskazała mi siedzisko dla gościa, sama jednak stanęła przed skórzanym fotelem wsparta na czarnym blacie; blade dłonie wyglądały na nim jak rękawiczki arlekina.

– Ja czuję się lepiej, wiedząc, że moi górnicy mają zapewnione dobre warunki i komfort psychiczny – powiedziała. – Jeśli jest pan zainteresowany życiem kopalni, mogę panu polecić dobre artykuły na ten temat. Z tego, co jednak wiem, chciał pan rozmawiać o inżynierze trzeciego stopnia Arciszewskim.

– Oczywiście. – Skinąłem głową – Nie sprawi pani różnicy, jeśli będę nagrywał tę rozmowę?



– Sprawi. Ale przeżyję.

Stałem obok wskazanego miejsca i wydobyłem z torby kamerę, ostrożnie ustawiając ją na blacie. Dopiero wtedy Wołek usiadła, kilkoma pociągnięciami palca po gładkiej powierzchni uruchamiając dotąd uśpiony system. Z blatu wysunął się ekran, ukazujący podobiznę Mariusza Arciszewskiego w górniczym mundurze i czako z czarnym pióropuszem.

– Tak, chodzi o Mariusza Arciszewskiego – potwierdziłem, włączając sprzęt. – Prowadzę czynności w jego sprawie

– To, że nie zjawił się w pracy wczoraj i dziś, powinno być dla mnie wskazówką co do natury tych czynności?

– Nie mogę zdradzać szczegółów, mam nadzieję, że pani rozumie.

Skinęła głową, po czym spojrzała z namysłem na podobiznę młodego górnika.

– Dobrze zatem. Jak mogę panu pomóc?

– Kiedy był ostatnio w pracy?

– Cztery dni temu, tuż przed uwolnieniem cetanu – odpowiedziała natychmiast, nawet nie sprawdzając. Skrzywiła lekko wąskie usta. – Podczas samego uwolnienia był nieobecny, następny dzień miał wolny jako osoba z zagrożonego poziomu. Wczoraj powinien był się stawić na swojej zmianie. Nie zjawił się.

– A dlaczego nie było go podczas incydentu?

Skrzywienie warg pogłębiło się, przez twarz dyrektorki przemknął wyraz niesmaku, natychmiast zresztą wygaszony.

– Inżynier Arciszewski mimo niewątpliwych umiejętności miał pewne problemy z dyscypliną – mówiła, wyraźnie ważąc słowa. – Jego ilość zwolnień lekarskich zdecydowanie przekraczała normę. Zdarzało mu się też czasem po prostu nie przychodzić do pracy.

– Nie przychodzić? – Zdziwiłem się. – Ot tak?

– Ot tak – odparła, choć jej ton wyraźnie sugerował, że myśli zupełnie co innego.

– A konsekwencje?

– Och, otrzymywał reprimendy, wpisy do akt, obciążenia dodatkowych apanaży. Nie skutkowało.

– Z kopalni nie zwalnia się za takie rzeczy?

Pełen ponurego zrezygnowania uśmiech, zabębnienie palcami po stole.

– Specjalistów pracujących przy wydobyciu carnitu nie można zwolnić, jeśli nie stwarzają zagrożenia w czasie zmiany. Arciszewski nie stwarzał.

– Nie można?

– Było wiele spotkań dyrekcji w tej sprawie, ale zarząd Górnośląskiej Spółki Carnitowej nie może się na to zdecydować.

– Dlaczego?

Nieźle. Brak możliwości zwolnienia nawet takiego bumelanta jak mój zaginiony. Żyć nie umierać. Wyraźnie wybrałem zupełnie niewłaściwy rodzaj roboty.

– Bycie górnikiem wymaga specyficznego zestawu umiejętności, panie Potocki. – Wołek zmierzyła mnie spojrzeniem ciemnych oczu.

– Nie tylko technicznych, ale też, powiedziałabym, charakteru. Nie każdy może pracować na niskich poziomach, wielu nie może pracować długo.

– Czyli lepiej mieć złych pracowników niż przestoje w wydobyciu?

To brzmiało całkiem prawdopodobnie. Nie było bardziej żarłoczego potwora niż chciwość, a carnit stanowił dla niego doskonałą pożywkę.

– Kiedy już są na dole, są bardzo uważnie rozliczani z jakości pracy. Ręczę, że nie są, jak pan to ujmuję, „źli”. Poza tym Ratownictwo jest przeciwko zwalnianiu takich, a Ratownictwo to potężna siła.

– Mówią dlaczego?

– Poza wszystkim, co powiedziałam już dotąd, panie Potocki – odparła głosem, w którym idealnie odmierzone pierwsze nuty irytacji, tak by nadal był całkiem spokojny, ale już było widać nadciągającą falę – przydatność górnika dla kopalni jest określana pod ziemią, a nie na powierzchni.

To było dokładnie zdanie, którego mógłbym się spodziewać od dbających o odpowiednio tradycyjno-zabobonną otoczkę typów z Ratownictwa. Dziwiłem się raczej, że zarząd spółki temu przyklasnął – choć sam nie wiem, jak ja bym reagował, pracując na tykającej bombie.

– Pani tak nie uważa?

– To bez znaczenia.

Kiwnąłem głową. Nie wyglądało na to, żeby Wołek zamierzała rozwijać temat, a wypytywanie dyrektorki kopalni na temat jej poglądów co do stanowiska spółki było niebezpiecznie daleko poza przedmiotem śledztwa.

– Czy w kopalni jest ktokolwiek, z kim Mariusz Arciszewski miał bliższy kontakt? Przyjaciel, ktoś, z kim mógłby świętować przeżycie uwolnienia?

Przez chwilę Adriana Wołek milczała, wpatrując się w blat, potem spojrzała prosto w kamerę.

– Pani Potocki – powiedziała. – Mariusz Arciszewski nie mógł być zwolniony z kopalni, ponieważ był specjalistą. I ja zgadzam się nawet z podstawami tego przepisu. Pracowałam na dole jako inspektorka szesnaście lat. Rozumiem problemy, jakie można tu mieć, naprawdę. Ale Arciszewski, nawet jeśli je miał, nic z nimi nie robił. Unikał terapeuty naszego ośrodka, przynosił zwolnienia na zapalenie spojówek i katar, prawie jawnie drwiąc sobie z zasad i kolegów...

– Rozumiem.

– Pewnie znowu nie, ale trudno – odparła. Tym razem, choć dalej mówiła spokojnie, pozwoliła głosowi wznieść się trochę wyżej, jakby chciała okazać irytację. Lub po prostu nie przejmowała się, że irytacja była widoczna. – Mam graniczące z pewnością przekonanie, że nie miał żadnych przyjaciół na terenie kopalni „Wujek”. A ponieważ górnicy rozmawiają, nie sądzę też, aby miał na terenie innych kopalń.

Przez chwilę milczałam.

– A wrogów? – zapytałam wreszcie.

– Takich? Nie sądzę.

– Jeśli był aż tak nielubiany...

– Jest pan tu nowy, panie Potocki. – To nie było pytanie. – Na Śląsku, znaczy. Znać to po akcencie, doborze słów. I znać to po tym, że o górnictwie carnitowym pan nawet nie czytał, a co tu mówić o zrozumieniu. To niebezpieczna praca, bardzo zamknięte środowisko. Bardzo liczne rytuały i zwyczaje, których pan nie zna.

– Proszę mi więc wytłumaczyć.

Adriana Wołek westchnęła, patrząc na mnie ciemnymi oczami spojrzeniem znużonego nauczyciela. Albo upiora zastanawiającego się, kiedy będzie mógł mnie zabić.

– Mariusz Arciszewski miał służyć na poziomie, na którym uwolnił się Dym. To nie jest ważne, że tego dnia akurat go nie było. Miał być. Jeśli przeżył, to sprawa między nim a kopalnią. Jeśli miał zginąć, głębia jeszcze się o niego upomni, w ten lub inny sposób. Ale nie kieruję morderczym gangiem, tylko zakładem pracy. Niektórzy z moich ludzi bywają niesympatyczni. Ale to nie mordercy.

Kiwnąłem głową.

– Na wszelki wypadek będę potrzebował jednak spisu górników z jego zmiany.

– Zostanie panu dostarczony.

– I wyników badań. Jeśli był na rozmowach z psychologiem albo doradcą zawodowym, to również tych.

– Zrozumiałe.

Wołek podniosła się z fotela i podeszła do carnitowego Skarbka; przez chwilę stała tyłem do mnie, przyglądając się misternie wykonanej figurze. Wzór znałem dobrze, na Śląsku widywało się go często, choć nowoczesna sztuka nie obeszła się z nim uprzejmie, zamieniając go w dziwną kreaturę złożoną głównie z łuków i krzywych.

– Czy mogę panu jeszcze jakoś pomóc?

Istnieje ton, który, choć pozornie uprzejmy, każdemu zdaniu nadaje wydźwięk ponaglącego wyproszenia. Wołek użyła właśnie tego tonu. Uznałem więc, że to dobry moment na zakończenie rozmowy. Poza wyniosłością musiałem przyznać, że Wołek mogła okazać się przydatna, a wydawała się uczciwie nie wiedzieć, co się stało. Podziękowałem więc, pożegnałem się i szybko opuściłem wielki gabinet, odprowadzany spojrzeniem Wołek oraz – jak mi się irracjonalnie zdawało – carnitowego Skarbka łypiącego wrogo znad tańczącego nad łopatą płomienia. Za rezonansową szybą kopalnia „Wujek” pracowała w surrealistycznej ciszy.

\*\*\*

Postanowiłem, że nie wracam na komisariat. Formalnie byłem już po godzinach, co jednak nie znaczyło, że jeśli Hoffman mnie zobaczy, nie znajdzie mi jakiejś papierkowej roboty. Lepiej zatem było nie pokazywać jej się na oczy, zwłaszcza że mogłem dzienny raport złożyć zdalnie. Do domu też nie chciało mi się jeszcze jechać. Wykonałem więc telefon do Konrada – mojego, powiedzmy, informatora.

Własny informator jest czymś, co każdemu gliniarzowi, który prowadzi czynności dochodzeniowe, bardzo się przydaje. Czasem pomaga w researchu, czasem ma własne znajomości, czasem może pochodzić po okolicy, zadając pytania, na które policjantowi nie odpowiedziałby nikt. Tak jest w teorii. Ja niestety w wielkiej loterii informatorów wyciągnąłem dość krótką słomkę – Konrad co prawda sam siebie nazywał dziennikarzem śledczym, ale w praktyce sprowadzało się to do publikowania w kilku raczej podejrzanych sieciowych periodykach artykułów dotyczących niemal wyłącznie teorii spiskowych. W normalnej sytuacji nie zaprzętałbym sobie nim głowy, ale tym razem Konrad miał istotną cechę, która mogła mi się przydać – był emerytowanym pracownikiem kopalni. Co prawda nie miałem tyle szczęścia, żeby robił na „Wujku”, ale z pewnością jego wiedza o górniczych zwyczajach była większa od mojej.

Jako miejsce spotkania tradycyjnie wybrałem „U Szytygara” – jedną z tych knajp, które w sieci reklamują się „prawdziwym śląskim klimatem” i „widokiem na kopalnię”. Jakby każde cholerne miejsce w Katowicach nie miało widoku na którąś z kopalń, lepszego lub gorszego. Strona sieciowa „U Szytygara” zawierała też jednak informację o „przystępnych cenach”, co było dla mnie niepozbawione znaczenia. Śląski klimat panował tu niewątpliwie, a żarcie podawano doskonałe, więc ilekroć załatwiałem sprawy w tej części miasta, lubiłem zajrzeć. Nie wiem, ile rolad trzeba zjeść, żeby zostać uznanym za kulinarnie zasymilowanego, ale byłem przekonany, że tę granicę już dawno przekroczyłem.

Sprawy służbowe, czyli raport dzienny, nagranie rozmów z Amelią Arciszewską i dyrektorką Wołek, załatwiłem na tablecie ponad talerzem. Po upewnieniu się, że techniczni zabezpieczyli laptopa zaginionego, oraz potwierdzeniu, że jego chip nadal milczał, a komórka

pozostawała nieuchwytna – dopisałem również plany na kolejny dzień. Pierwszym krokiem miało być wydarcie logów kamer bezpieczeństwa na terenie osiedla, co powinno być zrobione dzisiaj, ale policyjny formularz na ogół niewiele znaczył w miejscach, w których rządziły korporacje ochroniarskie. Nie miałem wątpliwości, że ostatecznie dostęp uzyskam, ale obstawiałem, że uda się to raczej jutro; być może – jeśli pójdzie źle – pojutrze. Prywaciarze i policja jakoś za sobą nie przepadali, a odkąd Śląsk stał się jednym z największych finansowych centrów pieprzonej Europy, to ci pierwsi mieli jakoś dużo więcej do powiedzenia. Kolejnym naturalnym krokiem był kopalniany terapeuta, a potem mozolne przebijanie się przez raporty dzielnicowych, którzy dziś odwiedzali mieszkania znajomych Arciszewskiego. Zaginięcia – te prawdziwe, nie te, które były wybrykami – to cholernie depresyjna i w dużej mierze rutynowa robota, kończąca się najczęściej ślepym tropem albo ciałem. I kolejnym krokiem na drodze do alkoholizmu.

Konrad naturalnie zjawił się spóźniony. Przybył też w tradycyjnej kurtce z postawionym kołnierzem i czapce z daszkiem oraz w okularach AR – zestawie, który miał go niezawodnie uczynić nierozpoznawalnym dla monitoringu. Nawet jednak pośród tysiąca ludzi w identycznych kurtkach i czapkach Konrad byłby łatwy do wyśledzenia, zarówno ze względu na charakterystyczny chód, będący zapewne jakąś pochodną skradania, jak i fakt, że cały czas był podpięty do sieci. Na szczęście jednak zupełnie nie potrzebowałem jego ekspertyzy w kwestii ukrywania się przed złowrogim systemem.

– Zamówiłem piwo – powiedział, siadając naprzeciw mnie, a na kolanach kładąc sobie swą nieodłączną towarzyszkę, powycieraną skórzaną teczkę. – I obiad, jeśli się nie obrazisz.

Bycie dziennikarzem śledczym niezmiennie nie było najlepiej płatną robotą.

– Jasne. Smacznego.

Usiadł, rozejrzał się czujnie, potem spojrzał na mnie, zsuwając okulary na czubek nosa.

– W czym ci mogę pomóc?

– Potrzebuję twojej wiedzy o kopalniach. – Uspokoilem go gestem,

widząc, jak oczy mu się zaświeciły. – Znaczy, chodzi mi o ten cały kopalniany folklor. Zwyczaje i takie tam.

Pokiwał głową, wyraźnie zawiedziony. Jak zawsze liczył, że znajdzie wdzięcznego słuchacza swoich teorii spiskowych – co mogło wskazywać, że jego artykuły raczej nie trafiały do szerokiego grona odbiorców.

– Mam zaginionego górnik. Wyszedł z domu, nie wrócił – zacząłem, przerywając na moment, kiedy przed Konradem wylądował kufel piwa i zupełnie nieśląskie nuggetsy z frytkami. Podwójna porcja dziecięca, jak zawsze. – Nie był przesadnie lubiany, z pracy się zrywał na podobno lewe zwolnienia, nie tatuował się czy coś. Pewnie też na piwo nie chodził.

– Mhm.

– No i chciałem wiedzieć, czy nie mogło się zdarzyć, że mu koledzy jakiś psikus zrobili i teraz się obudzi w Szczecinie bez telefonu, kasy i pewnie spodni.

Przyznaję, że trochę nie wierzyłem w tak szczęśliwe zakończenie historii, ale wbrew wszystkiemu miałem nadzieję. Konrad naturalnie wybił mi ją z głowy w bardzo Konradowym stylu.

– Ho, ho, ho... – powiedział, zatrzymując widelec z nuggetsem w pół drogi do ust. – Parias na kopalni, poważna sprawa.

– Bo?

– Kopalnia to niebezpieczne miejsce, kopalnia carnitu jeszcze bardziej. W niebezpiecznych miejscach najlepiej mieć samych przyjaciół, no nie? Bo inaczej możesz mieć, wiesz...

Wykonał dłonią dość nieokreślony gest, całkiem jakby tym, co można mieć w kopalni, był zawrót głowy.

– Serio? – Spojrzałem na niego z irytacją. – W kopalni, najlepiej monitorowanym miejscu na Śląsku, możesz mieć...

Zamachałem rękami w imitacji jego gestu. Konrad jednak nie wydał się zbity z tropu. Przełknął kawałek kurczaka i pokiwał głową.

– Pewnie. Nikt nie lubi pariasów.

– Morderstw też nie. Zresztą, nie licząc cetanu, kiedy ostatnio był jakiś wypadek śmiertelny w kopalni? Bo po złamanej ręce czy innym pobiciu to się jednak człowiek znajduje. Niezbyt szczęśliwy, ale żywy.

– Znaczy, cetan pominąłeś?

– Trochę tak. Bo cetań tak jakby trudno przewidzieć, poza tym skądinąd wiem, że po ostatnim uwolnieniu cetańu mój delikwent był jeszcze całkiem żywy.

Konrad pokiwał głową i zacmokał.

– Znaczy to ktoś na „Wujku”?

– No tak. W ogóle to nawet był jego poziom, ale on sobie akurat wtedy wziął zwolnienie.

Mój informator o mało nie zakrzuszył się frytką.

– Znaczy miał wtedy pracować, a nie pracował? A potem zaginał?

Zza wpół zsuniętych okularów doskonale widziałem, że oczy ma komicznie wybałuszone.

– Tak, dokładnie tak.

– To mogłeś wdepnąć w coś głębszego, wiesz? – Łyknął piwa, pochylił się konfidencjonalnie nad talerzem. – Może wszedł w drogę ratownikom.

– Ratownikom. W drogę. A jak można w ogóle wejść w drogę ratownikom? Jako szeregowy górnik?

Mój rozmówca zrobił tajemniczą minę, rozejrzał się czujnie, tak że jeśli ktokolwiek podejrzewał nas o jakieś sekretne sprawy – teraz musiał być już pewien.

– No przecież, Artur, ty się orientuj – powiedział półszepem. – To całe Ratownictwo to prawie jak kościół Skarbka działa, wiesz. Każdy górnik trochę przesądny jest przecież, jak pod ziemię schodzi, a tam cetań jest i nie wiadomo, kiedy walnie. Łatwo się wierzy w takich sprawach, to otuchy dodaje. Stąd, wiesz, figurki wszędzie, wisiorki, stare tradycje, pajdki chleba i inne ognie na łopatach. A że ci ratownicy to sami prawie jak zakon się noszą, to i chyba wiesz, jeszcze tylko katedry nie wybudowali u siebie w koszarach. Ale to pewnie kwestia czasu.

– Znaczy, co? – Wywróciłem oczami. Konrad nie był całkiem normalny, ale jednak trochę liczyłem na jego pomoc. – Uciekł z kopalni i dopadła go magiczna kłątwa?

Teraz z kolei on popatrzył na mnie jak na idiotę.

– Nie no, co ty, zgłupiałeś? – Przyznaję, że usłyszeć takie pytanie od Konrada było bardzo deprymujące. – Nie chodzi o żadną kłątwę, tylko o pozory. Po-zo-ry.



Każdą sylabę zaakcentował stuknięciem widelca o stół.

– Widzisz, Ratownictwo to taki kościół jest właśnie, władza mu się widzi. I na Śląsku to ono ją nawet ma. Wiesz, że w radzie spółek carnitowych oni mają praktycznie decydujący głos?

Kiwnąłem głową. Pamiętałem uwagi Wołek na temat blokady zwolnień górników, która przeszła ze względu na stanowisko Ratownictwa.

– No właśnie, a to sięga duuuużo dalej. A wiesz, że ta figurka Skarbka, co ją teraz wszędzie kupić można i w każdym holu kopalni stoi, to kiedyś, jak się carnit zaczynał, był tylko symbol Ratownictwa? A teraz jest już wszędzie. Sam wojewoda ma podobno figurę z czystego carnitu u siebie w gabinecie. Niby że to z szacunku dla fachu i tradycji górniczych. A ja ci powiem, że to przez Ratownictwo, bo oni znaczą teren, jakby normalnie wszystko obsikiwali. A wojewoda im nie podskoczy, bo przecież wiadomo, że oni na radach zarządczych kilka słów powiedzą i już się górnictwo na wojewodę wypnie, i raczej miejsca nie zagrzeje. Władza, sam rozumiesz.

Pokiwałem głową z udawaną powagą.

– I jak ktoś zagrozi tej ich władzy, to ma wypadek? Ratownicy biją czołem przed figurą, pojawia się cetan i oponenta zżera?

– Nie no, tak to nie. Ale oni chcą, żeby ci, jak to mówisz, oponenti tak myśleli. Dlatego ten cały teatrzyk, stroje i w ogóle. Dlatego zawsze ginie jedenastu górników, tyle ile jest kopalń.

– Serio? – Zmarszczyłem brwi. – No co ty, mnóstwo razy zginęło więcej, na początku było ponad czterdziestu. Zresztą ktoś by zauważył...

– Nie no, czasem więcej. Ale zawsze musi zginąć przynajmniej jedenastu.

– Miesiąc temu – przypomniałem sobie nagłówki z gazet – było tylko osiem ofiar, chyba.

– Właśnie nie! – Spojrzał na mnie triumfalnie. – Czterech zginęło w ciągu następnego tygodnia. Dwóch od zatrucia cetanem, jeden popełnił samobójstwo. A jeden miał zagadkowy wypadek.

Wymawiając słowo „wypadek”, poruszył palcami w powietrzu, imitując cudzysłów.

– Jaki dokładnie?

– Upił się i wpadł pod tramwaj.

– Nie wygląda mi to na klątwę Skarbka, nie obraż się.

– Dla ciebie nie, ale górnicy są o dwa stopnie bardziej przesądni, zwłaszcza jeśli chodzi o cetan. – Odsunął talerz z niedojedzonym posiłkiem, postawił teczkę na stole i wydobył z niej plik kartek. – Na papier ciężko się włamać. Dlatego noszę ze sobą.

Rozłożył fotki i notatki, istny festiwal jego naturalnej teorii spi-skowej obsesji.

– Patrz. – Pokazał mi zdjęcie zrobione wyraźnie z ulicy. – Widzisz? Kwatera główna KRC.

– Mhm.

– To w sumie jest solidny budynek, ale nic bardzo specjalnego, nie? Z przodu biuro, z tyłu te ich koszary, co się do nich nie wchodzi. Jakby centrum handlowe wybudować na tym miejscu, to nawet za wielkie by nie było. A inwestycje w to są takie, jak normalnie nie wiadomo co, jakby tam kopalnię budowali. I te inwestycje trwają i trwają, a że Śląsk jest bogaty jak Krezus, to kasę ma. Niby na co, myślisz, ta kasa idzie?

Zanim zdążyłem wysunąć tezę, że zapewne na gotycką katedrę Skarbka postawioną pod ziemią albo wielkie działo strzelające pociskami cetanowymi, on już kontynuował, pokazując fotografię wysokiego, gładko ogolonego gościa. Z blizną po ciężkim oparzeniu na twarzy i zaciętym wyrazem ust, zdecydowanie wyglądał jak stronnik dowolnej złowrogiej organizacji. Dodatkowo powagi zdjęciu dodawał fakt, że jegomość ów właśnie rozmawiał z jakimś typem pod krawatem.

– O, popatrz, to jest Edward Kroll, prawa ręka Deptaka, szefa KRC. Ważna persona. – Postukał palcem w zdjęcie. – A ten drugi to facet z Rheinmetall.

– Czego?

– No, Rheinmetall. To niemiecka firma od uzbrojenia, wielki megapleks. Wszystko robią.

– Rozumiem, KRC dogaduje się z Niemcami. Naturalnie, podejrzana sprawa.

Mój głos ociekał sarkazmem, ale to absolutnie go nie zatrzymało.

– No właśnie. Wiesz, czemu? – Zrobił efektowną pauzę. – Bo chcą, żeby Śląsk był w końcu niepodległy. Już jest bajecznie bogaty, a tu

trzeba Warszawy słuchać. Wierz mi, nikomu się to tutaj nie podoba. Sam jesteś ze stolicy, to wiesz, jak tu patrzą na obcych.

OK, w tej jednej sprawie miał trochę racji.

– A nikt nie wie, na co kasę wydaje KRC. Nikt nie wie jak, poza kopalniami, a te trzymają gęby na kłódkę, bo tworzy się cała mistyczna hucpa i nikt nie chce podpaść. No więc wojewoda może wpompować ile chce kasy w Korpus i mu to przejdzie, bo przecież bezpieczeństwo wydobywania to cholerny priorytet narodowy. No więc on to robi, a potem to wszystko do Rheinmetallu.

– Masz wyobraźnię. I myślisz, że mój zaginiony dorwał się w kopalni do takich plotek i teraz KRC postanowiło go uciszyć?

– Myślę, że KRC mogło go zabić, żeby pokazać innym górnikom, co się dzieje z takim, który nie trzyma linii. Sam mówiłeś, że raczej był na boku? I jeszcze miał być na zmianie, ale zbumelował?

Westchnąłem ciężko. Konrad potrafił być naprawdę miły i posiadał użyteczną wiedzę na temat Śląska i tutejszego środowiska. Jednak niestety odkąd mi zaufała, każdą informację musiałem łowić z mulistego bajora jego teorii, często popartych nic niemówiącymi zdjęciami oraz – czasem – równie mało precyzyjnymi nagraniami. Niepodległy Śląsk wcale nie był jego najbardziej śmiałą wizją. Dlatego pokiwałem tylko głową, zapłaciłem rachunek za nas obu, dołożyłem banknot (mój informator naturalnie w życiu nie wzięłby przelewu) i wyszedłem na ulicę pogrążającą się w szarości powoli zapadającego zmierzchu.

Byłem już w połowie drogi do domu, kiedy dotarło do mnie, jak wiele tak naprawdę uzyskałem.

\*\*\*

Wpadłem do mieszkania jak burza. Kurtkę rzuciłem na oparcie krzesła, odpałem komputer i zalogowałem się zdalnie na mój pulpit w pracy. Szybko sprawdziłem dane, które dostałem z kopalni, i raporty dzielnicowych, a potem dane technicznych. Komórka Arciszewskiego nadal się nie odzywała, podobnie zresztą jak jego chip. Jego billingi nie wskazywały, żeby często ją wyłączał, chociaż głównie używał jej jako routera wi-fi. Jeśli to nie była awaria, to znaczyło, że albo sam próbował zniknąć nam z radaru, albo robił to ktoś inny – ktoś, kto wiedział jak.

Teoria krc była całkiem potrząskana, ale kluczową informacją, którą Konrad mi podał, była zabobonność całej górniczej ferajny. Niby wiedziałem to wcześniej, ale teraz dopiero zacząłem się nad tym głębiej zastanawiać. *Grubiorze* byli przesądni, krc, umyślnie lub nie, te przesady podsyczał – a przynajmniej ich nie zwalczał. To oznaczało, że kamraci Arciszewskiego faktycznie mogli niedobrze przyjąć jego nieobecność podczas uwolnienia cetanu. Był w końcu pariasem, z kolegami się nie dogadywał, kultu pracy nie wyznawał, klanowych dziań nie nosił. Pewnie pierwszy do odstrzału dla takiego Skarbka, który, jak już pierwsze dwie strony w sieci twierdziły, solidnych gwarków lubił, a niesolidnych karał.

I nikt by tak nie zaczął nawet myśleć – oprócz górników, którzy te bajki brali na serio, czy to w myśl zasady, że nie ma ateistów w okopach, czy też w wyniku straszliwego spisku krc. A co, jeśli koledzy uznali, że losowi trzeba pomóc? Skoro miał zginąć, to zginie. Mała strata, krótki żal.

Nalałem sobie wódki, dodałem soku z żurawiny. Pogrzebałem trochę w sieci, szukając informacji o krc, przeczytałem też o historii kopalń i badaniach nad carnitem. Trafiłem na artykuły poświęcone nowemu rozkwitowi tradycji i zabobonów. Trafiłem na takie, w których pisano, że na uczelniach górniczych nie chce się studentów spoza regionu. Co jakiś czas trafiałem też – z konieczności – na teksty o rosnącym w siłę Ruchu Autonomii Śląska. Fakt, górnicy byli w nim ważnymi osobami, ale górnicy byli ważnymi osobami na Śląsku, kropka. Czytałem, popijałem i coraz mniej mi się podobała wizja luksusowego życia pracowników kopalni. Co jeśli ci ludzie naprawdę byli gotowi zabijać? Co jeśli faktycznie było więcej biedaków, którzy przeżyli uwolnienie tylko po to, żeby potem dostać w łeb sztachetą i zostać wciągnięci pod ciężarówkę?

Przez okna mojej kawalerki widziałem w oddali lunę kompleksu kopalni „Czczcott”, nigdy niegasnącej wyspy światła w mroku listopadowej nocy. I, być może, ostoi ciemności – czy też raczej ciemnoty. A być może – jeśli rację miał Konrad – centrali przewrotu politycznego. Wstyd się przyznać, ale nim zasnąłem przy pustej butelce, ostatnią stroną, którą otwarałem, była witryna Rheinmetallu.

Telefon zadzwonił przy śniadaniu, które z braku zapasów składało się z czerstwej bułki z serem i kawy – bez mleka, na co zdecydowałem się rzadko, bo smakowała obrzydliwie, ale musiałem jakoś się rozbuździć. W takich warunkach, nawet po tabletkce przeciwbólowej sygnał połączenia był czymś w rodzaju tortury i natychmiast szczerze zapragnąłem śmierci idioty, który nie docenia, jak ważne jest przygotowanie do pracy w spokoju. Kiedy jednak odebrałem, humor poprawił mi się natychmiast.

– Cześć! – Wiktor z technicznego odezwał się od razu, bezsensownie głośno.

– Cześć...

– Mamy dwie rzeczy dla ciebie i spodobają ci się obie. – Wyraźnie nie zamierzał czekać na odpowiedź.

– No, mów – ziewnąłem.

Wik był hobbystą i wszyscy mieliśmy podejrzenie, że zwyczajnie lubił szperać ludziom w życiorysach, ale by oddać mu sprawiedliwość, była to obiegowa opinia na temat większości ludzi z technicznego. U Wika owocowało to przynajmniej niezwykle głębokim zaangażowaniem w pracę, co akurat świetnie się składało, bo jego robota była dla nas cholernie przydatna. Obstawiałem, że siedzi na komisariacie od szóstej tylko dlatego, żeby gmerać w danych, które dostaliśmy.

– Po pierwsze, rozmontowałem mu komputer i nie uwierzysz, ale twój Arciszewski to jest niezłe ziółko.

– Ziółko? – Próbowałem dopasować obraz zaginionego do słów Wika. – Oszukuje w grach online? Siedzi na L4, żeby grać w strzelanki?

– Ha, żeby tylko. Wyszukuje masowo materiały na temat uwolnień cetanu, i to od chyba samego początku, ma subskrypcje w trzech archiwach i masę dokumentów na dysku. Zaczął dawno, znaczy ponad dwa lata temu, i gmerał w tym w zasadzie aż do dnia zaginięcia, sądząc z historii logowań.

Niezłe, pomyślałem, pociągając w roztargnieniu łyk kawy, który jednocześnie wstrząsnął mnie dreszczem obrzydzenia, ale zdecydowanie pomógł się skupić. Jeśli od jego badań udzieliła mu się choć

cząstka zabobonności, o której wspominał Konrad, to nic dziwnego, że unikał pracy.

– A wiadomo, czego szukał?

– Nie. Nie znalazłem żadnych notatek ani nic. Ale jest coś jeszcze. Czekaj, prześlę ci.

– Czekam.

Uruchomiłem tablet i wgrzyłem się w bułkę. Zdecydowanie powinienem pilnować robienia zakupów. Albo chociaż zamawiania.

Przesyłka od Wika była już w skrzynce, kiedy tablet przebił się przez bezpieczne logowanie do policyjnej sieci. Zawierała tylko jedną wiadomość. Metadane wskazywały, że została wysłana przez niejakiego xx567xxx z konta pocztowego założonego w Chinach – Arciszewski wyraźnie zadbał o anonimizację kontaktu, przynajmniej trochę. „Drogi Panie”, czytałem, „piszę w nawiązaniu do naszej ostatniej rozmowy i informacji, które posiadam. Mam nadzieję, że rozumie Pan, z jakiego powodu pilność Państwa odpowiedzi jest dla mnie istotna i jak bardzo liczę na kolejną rozmowę na ten temat, pod tym samym numerem.

X.

P.S. Wszystkie zgromadzone przeze mnie materiały są w bezpiecznym miejscu pod opieką zaufanej osoby. Gdyby okazało się, że coś mi się przydarzy, opublikuje je”.

Spojrzałem na adres e-mailowy odbiorcy i bezgłośnie zakląłem. Przez bardzo krótki moment miałem gorącą nadzieję, że jakimś cudem Wik kumpłował się z Konradem i teraz obaj robili mi dowcip, ba, być może cały wydział kryminalny robił mi dowcip. Ale przecież to było niemożliwe. A to oznaczało, że krótkie ‘kroll@krc.sil.pl’ było faktycznie tym, co znalazł Wik. Że Arciszewski próbował szantażować Krolla, drugiego po Bogu – czy też, na Śląsku, zapewne po Skarbku – człowieka w KRC. Który, jeśli wierzyć Konradowi, kupował od Niemców czołgi czy co tam jeszcze.

– Fajne, nie? – Głos Wika w słuchawce przywołał mnie do rzeczywistości.

– Jak cholera – wymamrotałem. – Nie ma tam czegoś jeszcze na ten adres?

– Nie, sprawdziłem też jego billingi. W ciągu ostatnich trzech miesięcy wszystkie jego telefony są identyfikowalne jako jego znajomi, głównie zagraniczni. Mam listę nazwisk. Ale mam też coś lepszego, a nawet dwie lepsze rzeczy.

– Dawaj.

– Odezwała się jego komórka.

Zesztywniałem nagle. Odzyskany sygnał komórki pozwalał ją – z pewną dokładnością – zlokalizować, a poza tym oznaczał, że nadal był ktoś, kto jej używał. Porywacz raczej nie byłby na tyle głupi, żeby podłączyć się do sieci.

– Gdzie? – Zerwałem się od stołu, potknąłem o krzesło i zakląłem szpetnie, skacząc na jednej nodze w stronę kuchni.

– Wszystko OK?

– Gdzie!?! – Lekko się zataczając, dotarłem do szafki, skąd wyciągnąłem pudełko służbowego alcawaya. Cóż, sam sobie byłem winien. Jakim idiotą trzeba być, żeby pić po nocach w trakcie śledztwa? Będzie brutalnie.

– W Parku Leśnym.

Cholera. Park Leśny, środek niczego, dyżurne miejsce do picia na łonie natury i robienia bardzo głupich rzeczy. Taka lokalizacja nie wróżyła nic dobrego, ani trochę.

– Możesz złożyć na mój kod zapotrzebowanie na patrol w tamtym rejonie i najlepiej prewencję? – Przełknąłem tabletkę alcawaya, popiłem wodą. – Przekaż im zdjęcie, powiedz, że facetowi może coś grozić.

– Jasne, już to robię.

Taka lokalizacja mogła oznaczać sporo rzeczy, w większości złych. Arciszewski albo właśnie robił największą i zapewne ostatnią głupotę w swoim życiu, albo już coś mu się stało i ktoś odnalazł jego komórkę. Oczywiście musiałem brać też pod uwagę fakt, że miał kłopoty i udało mu się komórkę uruchomić – chociaż po dość długiej przerwie. Albo wreszcie, że nic się nie stało, poszedł chlać do lasku, a teraz po prostu włączył telefon. Ale jakoś bardziej wierzyłem swoim pierwszym skojarzeniom.

– Sprawdzam jeszcze jedną rzecz, ale zaraz będę miał dla ciebie coś jeszcze, muszę się tylko upewnić.

– Powiesz mi, jak będę w drodze, oddzwonię. – Wpadłem do łazienki, by pochylić się nad muszlą. Cudotwórcza, ale makabrycznie brutalna reakcja alcawaya właśnie się zaczynała.

\*\*\*

Wyruszyłem w drogę spod domu trzeźwy jak świnia i potwornie nieszczęśliwy po tym, jak chemia wyrzuciła mi organizm do góry nogami, żeby pozbyć się wczorajszej wódki. Lało jak z cebra, wycieraczki nie nadały, a powłoka hydrofobowa nie dawała zupełnie nic. Jechałem prawie wyłącznie na czujnikach i kierowaniu się na rozmyte czerwone światła pojazdu przede mną. Trasa do miejsca, gdzie mogłem sensownie zaparkować, zajęła mi dokładnie kwadrans, poświęcony na nerwową konferencję z sierżantem Stobą z patrolu, który pierwszy dotarł do rejonu od drugiej strony parku. Komisariat przesłał jeszcze dwa patrole z miasta, a ligocka trójka kolejne dwa. Było to, jak dla mnie, paskudnie mało ludzi w stosunku do obszaru, który trzeba było przeczesać – zwłaszcza przy takiej widoczności – ale zdecydowanie więcej niż gdybym szedł sam. Potem zadzwoniłem do Wiktora. Miałem złe przeczucia co do tego telefonu i oczywiście nie pomyliłem się. Złe przeczucia jakoś częściej się sprawdzają niż dobre.

Każda informacja, która obwieszczała mi przejętym głosem technik, budziła mój coraz większy niepokój – Arciszewski, jak się okazywało, używał dość notorycznie darknetu oraz zaszyfrowanego dysku. Ktoś, kto korzysta z takich środków ostrożności, zdecydowanie osiągnął poziom Konrada, jeśli chodzi o obsesję – i być może miał po temu solidne podstawy.

– Ten szyfrowany dysk musiał być zewnętrzny, bo nasza ekipa go nie znalazła, kiedy Arciszewska dopuściła nas do jego miejscówki – mówił technik. – Więć albo dobrze schował, albo w ogóle nie trzymał w domu, albo zabrał ze sobą, jak zniknął.

– Każda z opcji bardzo prawdopodobna. – Mój mistral skręcił w lewo, zbliżając się do miejsca postoju. – Trzeba będzie mu jeszcze raz przetrzepać mieszkanie, ale raczej go nie znajdziemy.

– Pewnie nie. Natomiast sprawdziłem, co miałem sprawdzić, i uważam, że mam bombę.



– Dawaj. – Zatrzymałem wóz. – Tylko szybko, bo zaraz dzwonię do Stoby.

– Jasne. Jego dysk, ten w komputerze, był czyszczony. Spora część w każdym razie.

– To mogło nie być nic ważnego, skoro do ważnych rzeczy używał tego zewnętrznego dysku. – Postawiłem kołnierz, nałożyłem kaptur i otworzyłem drzwi. Poczuję się, jakbym wszedł pod pieprzoną deszczownicę.

– Też tak myślałem, ale uważam, że tak nie jest.

– Czemu? – Wyszedłem z wozu. Pierwsze trzy kroki i już miałem przemoczone spodnie. Trzeba było zabrać płaszcz, ale ubiór był ostatnim, o czym myślałem, wychodząc z domu.

– Nie zorientowałbym się, gdyby ktoś nie grzebał w jego ustawieniach systemu. Zastanawiałem się, po co, i przejechałem się po dysku. Wiesz, co znalazłem?

– Nie docenię, nie znam się – przerwałem. – Opowiesz mi później, teraz daj mi wnioski.

– Czyszczenie miało miejsce przedwczoraj.

Zatrzymałem się. Walący w kaptur deszcz sprawiał, że słyszałem Wika jak przez biały szum. Przedwczoraj Arciszewskiego nie było już w domu od prawie doby.

– Jesteś pewien? Może zdalnie skasował?

– Do tego komputer musiałby być włączony. Nie był.

Zakląłem, a potem zakląłem jeszcze raz. Głośno i bezsilnie, dokładnie tak, jak klnie się w takich sprawach. Co za fatalny dzień. Każda nowa wiadomość coraz bardziej wskazywała mi na bardzo ponury koniec mojego śledztwa. Teraz, idąc po rozmiękłej ścieżce w Katowickim Parku Leśnym, byłem tego niemal pewien.

– Jesteś tam?

– Jestem, jestem – powiedziałem. – Sprawdź to jeszcze dokładnie, bo może się okazać, że zajmujemy się zupełnie inną sprawą. Pisz, jakby co, ja się wyłączam.

Na chwilę się zatrzymałem na ścieżce, zmęczony jak nigdy, mimo że przecież zrobiłem dopiero parę kroków. Nie czułem ani deszczu, który przemoczył mi spodnie, ani lekkich mdłości, które pozostały

mi po alcawayu. No cóż, trzeba iść, dokądkolwiek śledztwo zanieś. Ruszyłem ścieżką, kierując się na niewyraźną sylwetkę Stoby stojącego pod wiatą przeznaczoną dla biegaczy.

Zorientowałem się w pomyłce w ostatniej chwili – sylwetka okazała się skulonym chudym mężczyzną przeczekującym tu deszcz. Pusta butelka po winie i zrolowany głębiej pod daszkiem barłóg, z którego wystawał stary śpiwór, sugerowały, że był to jeden z bardziej starych mieszkańców lasku. Chudzielec spojrział na mnie spod nałożonej na bluzę z kapturem kurtki i poruszył głową w czymś w rodzaju uprzejmo-unizonego skinienia. Coś też wymamrotał, nie usłyszałem co, ale byłbym gotów się założyć, że było to: „Dzień dobry, panie oficerze”. Tacy ludzie mają specjalną zdolność rozpoznawania policjantów. Skinąłem głową i już miałem iść dalej, kiedy nagle zatrzymałem się w pół kroku. Mężczyzna trzymał komórkę, na której musiał wcześniej siedzieć w sieci; ekran nadal był jasną plamą na tle wełnianych rękawiczek. Bez słowa wyciągnąłem swój telefon i wybrałem numer Arciszewskiego. Włóczęga drgnął i spojrział na ekran. Potem na mnie i znowu na ekran. Przez chwilę myślałem, że będzie chciał uciekać, ale nie –: tylko popatrzył bezradnie i ni to rozłożył, ni to podniósł ręce.

– Skąd pan to ma? – zapytałem, wchodząc pod daszek i jednocześnie starając się nie wyglądać, jakbym zamierzał być agresywny.

– Ja tego nie ukradłem, słowo daję, panie oficerze. – Miałem rację, zmysł rozpoznawania gliniarza zadziałał u niego bez zarzutu. Teraz rezygnacja grała w nim o lepsze ze strachem, wodniste niebieskie oczy poruszały się nerwowo, jakby ich właściciel próbował odczytać moje zamiary z wyrazu twarzy. – Ja oddam!

– Wiem, że pan go nie ukradł. – Mój własny telefon zapikał. Dzwonił Stoba, ale go odbiłem. – Pytam tylko, skąd pan go ma.

Przez chwilę wyraźnie się namyślał. Tacy goście przy podobnych pytaniach zastanawiają się zwykle w dwóch sytuacjach: kiedy próbują wymyślić kłamstwo oraz kiedy rozważają, czy ktoś uwierzy, jeśli powiedzą prawdę. W obu wypadkach oznaczało to co innego niż: „Znalazłem w trawie”.

– Dał mi. Znaczy, był tu taki facet, no. Dał mi, powiedział, że nie będzie potrzebował już.

– Jaki facet? Jak to: dał?

Zorientowałem się, że podniosłem głos, bo facet wyraźnie się spał. Odetchnąłem, wyhamowałem, unosząc dłonie otwartymi rękami w jego stronę. Uniwersalny pojednawczy gest chyba zadziałał, przynajmniej na tyle, że nie chciało mu się uciekać w deszcz.

– Pan po prostu powie, jak to wyglądało.

– No, wie pan, panie oficerze. – Mój rozmówca trochę się uspokoił, bo zaczął mówić składowiej. – No bo ja tu trochę, no, bywam, bo tu od wiatru osłonięte miejsce i żyć się nawet da, nie? I siedziałem tu, bo tu daszek, a kurtka to mi przecieka, to co ja będę wychodził moknąć? I patrzę, a on idzie, taki jakiś przygarbiony, ale idzie. I ja myślałem, że to jakiś kolo, co będzie chciał mnie z miejscówki wygryźć, wie pan, panie władzo.

Kiwnąłem głową.

– No i idzie on, ale myślę „Mijać będzie”, to zapytałem go tylko, czy miałby może poratować dyszką, bo jesień już, zimno i pada, a tu jakoś rozgrzać się trzeba. No i on tylko na mnie popatrzył, telefon wyciągnął i dał. Powiedział, żeby sprzedać, jakbym chciał, i że działa do końca miesiąca. I że jemu już nie trzeba. No to wzięłem, panie władzo, kto by nie wzięł, nie?

Popatrzył na mnie, jakby oczekiwał jakiegoś rodzaju potwierdzenia, że faktycznie każdy by wzięł, więc mruknąłem potakująco.

– A jak wyglądał?

– No, takiego wzrostu mniej więcej, chudawy taki. Włosy lokate, czarne takie.

Stoba zadzwonił ponownie, ale znów odbiłem.

– Jakoś ubrany?

– Nie no, niezłe ubrany raczej. Kurtka niebieska z kapturem takim. – Machnął rękami, żeby zademonstrować rozmiar. – I z nadrukiem na plecach, takim holo, kolorowym!

Jest coś w tym, że nawet najbardziej cyniczny glina tak naprawdę liczy na szczęśliwe zakończenie. Że naprawdę może coś naprawić, a nie tylko komunikować złe wiadomości. I dlatego, nieważne co podejrzewałem wcześniej ani jak twardy chciałem być, poczułem, jak uchodzi ze mnie powietrze.

– Pamięta pan, co na nim było?

– Jakież postacie z bajek chyba. Strzelały. I napis. Na „T” chyba, coś z domami.

– Rozumiem.

Nie sądziłem, żeby na Śląsku było wiele jasnoniebieskich, drogich, eventowych kolekcjonerskich kurtek z napisem „Thunderdome” na plecach. A jeśli nawet jakieś były, to chyba nie tutaj.

Telefon zapikał po raz trzeci; tym razem odebrałem.

– Panie detektywie, tu sierżant Stoba mówi. – Głos policjanta w słuchawce był przygnębiony, chyba czymś więcej niż tylko paskudną pogodą.

– Wiem, przepraszam – odparłem znużonym tonem. – Mam świadka, który widział zaginionego w lasku, dostał od niego komórkę.

– Rozumiem. – Stoba nie brzmiał, jakby był pod wrażeniem moich rewelacji. – Bo my właśnie go znaleźliśmy.

– Jasne – powiedziałem. – Zaznaczcie mi pinga, gdzie jesteście. Oznaczam miejsce, żeby przysłać kogoś po mojego świadka i tę komórkę. Nie jest agresywny. Weźcie dla niego pelerynę.

Rozłączyłem się. I zacząłem kłąć.

\*\*\*

Ciało wisiało na grubej linie zwisającej z gałęzi solidnego dębu, ciężkie od deszczu, połyskujące kolorowym napisem „Thunderdome”. Hologram, odporny na deszcz, błyszczał idiotycznie wesołymi kolorami. Reszta hydrofobowej kurtki była już bardziej dopasowana do ponurego nastroju. Woda ściekała po niej, tworząc ciemne plamy, a szczelnie osłaniający głowę kaptur był tak przemoknięty, że po bladospinowej twarzy spływał deszcz, czyniąc ją mokrą, groteskową maską.

Kilkanaście metrów od drzewa stał Stoba i rozmawiał z dwójką funkcjonariuszy z drugiego patrolu, którzy zdążyli już dotrzeć. Kiedy tylko mnie zobaczył, natychmiast ruszył w moim kierunku.

– Kurwa mać, panie detektywie – rzucił mi zamiast powitania. Na pełnej, sympatycznej twarzy widziałem targające nim emocje. Stoba był znany na komisariacie z bycia miłym, z ludźmi dogadywał się jak złoto i jakoś zawsze wszyscy chcieli go słuchać. Ale był też

gościem, który miał spore szanse odpadnięcia ze służby dla poratowania zdrowia psychicznego. Empatia u policjanta jest jak miecz obosieczny.

– Kurwa mać – zgodziłem się, patrząc na wiszącą sylwetkę, nawet pod koronami drzew rozmytą przez padający deszcz. – Tyle dobrze, że nikt nam tu nic nie zادةpcze. Ogródźcie teren, jakby się nam jakiś kochający wilgoć spacerowicz trafił, ja wzywam ekipę do zabezpieczenia.

– Co z tym świadkiem?

– Miejscowy włóczęga – westchnąłem. – Nasz denat dał mu komórkę i powiedział, że już nie będzie jej potrzebował. Pewnie żulik był ostatnim, który go widział żywego, i to raczej niedługo przed śmiercią. Trzeba będzie go sprawdzić i spisać zeznania.

– Tajest.

Sięgnąłem po telefon, ale kiedy już miałem połączyć się z komisarzatem, ten sam zadzwonił. Spojrzałem na identyfikację. Hoffman. To było nowe – komendantka rzadko dzwoniła do mnie w teren, zwykle robił to jednak dyżurny.

– Pani komendant?

– Potocki, dobrze, że cię złapałam. – W jej głosie wyraźnie pobrzmiewała irytacja. – Mam dla ciebie sprawę i chcę, żebyś do niej dzisiaj ogarniał czynności. Zjaw się jak najszybciej w biurze.

– Pani komendant – zaprotestowałem – jestem w środku czynności, znaleźliśmy ciało. Miałem właśnie dzwonić po...

– Zajmiesz się teraz czymś innym – przerwała mi. – Tę sprawę przejmą Sojka i Konopa.

– Ale pani kome...

– Oznacz pozycję, zostaw patrol i wracaj. – Tym razem w jej tonie pojawił się wyraźny nacisk. Hoffman nie była w nastroju do dyskusji, przynajmniej nie teraz. – Zmiana pojedzie tam z zabezpieczeniem. A ty do biura.

Rozłączyła się. Jeszcze przez chwilę stałem jak ogłuszony z telefonem przy uchu. O co jej chodziło? Dlaczego zabrano mi sprawę właśnie w momencie, kiedy miałem przełom? Czy Hoffman faktycznie dała mi ją, bo się bała, że będzie spieprzona, a teraz, kiedy Arciszewski się

znalazł, wołała, żeby sukces mógł przypisać sobie ktoś inny? I to jeszcze Sojka z Konopą, dwóch najbardziej doświadczonych detektywów w wydziale, którzy za cholerę nie potrzebowali ratowania statystyk?

– Wszystko w porządku? – usłyszałem głos Stoby. Zupełnie nie zauważyłem, kiedy sierżant do mnie podszedł.

Spojrzałem na niego bezradnie. Wiszący na drzewie Arciszewski, dane, które wyciągnął Wik, i Hoffman odbierająca mi sprawę właśnie teraz – to wszystko sprawiło, że naprawdę nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

\*\*\*

Ulewa doskonale odzwierciedlała mój nastrój – czułem się zdecydowanie podle. Prosto z parku pojechałem na komisariat zgłosić się po moją nową sprawę i formalnie odbić papiery, ale prawdę powiedziawszy, jedyne, czego chciałem, to wrócić do domu. Możliwe, że się nachlać. Mój plan nie był jeszcze w tej materii całkiem skonkretyzowany. Oddałem jazdę autonawigacji i przez całą drogę wgapiałem się w wolno rzeknące strumienie wody za przednią szybą.

Myślałem o Arciszewskim, który za cholerę nie chciał zostać górnikiem, a kiedy już nim został, odmówił bycia częścią zabobonnego teatrzyku odgrywanego przez cały przemysł wydobywczy i pół Śląska. Zaczął grzebać w tym wszystkim – jak Konrad – i też coś znalazł. Czy to był Ruch Autonomii Śląska w czołgach Rheinmetallu, przekręt finansowy, polityczny nacisk na wojewodę, a może i wyżej – nie miałem pojęcia. Dość, że próbował zagrać tą kartą. Nie mam pojęcia, po co – kasę w końcu miał – ale próbował i te próby doprowadziły go na sznur. Czy to było zabójstwo dokonane przez szantażowanych ludzi KRC, tak jak pewnie widziały to Konrad? Czy po prostu przez kolegów z roboty, więźniów przesądów, które dawały im jakieś wsparcie w świecie uwolnień cetanu? Czy powiesili go, bo powinien był zginąć, a przeżył? A wreszcie: może faktycznie sam targnął się na własne życie, bo zagrał *va banque* z KRC i nic nie udało mu się uzyskać, a było to dla niego aż tak ważne? Tylko czego mógł chcieć?

Na komisariacie Hoffman nie było – pojechała do Wojewódzkiej gadać z szyszkami. Moja sprawa, przekazana mi przez dyżurnego,

dotyczyła włamania na Tysiącleciu. Byłem w niej drugim skrzypcami, prowadził Wadecki, gość cholernie doświadczony, który przez całe życie inwestował przede wszystkim w umiejętność objawiania się w sposób niezauważalny dla szefostwa. Ludzie pracujący z nim kończyli zwykle, wykonując miazdzącą większość roboty, i wyglądało na to, że dokładnie po to Hoffman mnie do niego przydzieliła. Ja się narobię, on zgarnie laury.

Szybko dotarłem na miejsce zdarzenia, gdzie techniczni już robili zabezpieczenie i dokumentację, a Wadecki siedział przy oknie i ćmił e-dymka, roztaczając wokół syntetyczny zapach wiśni. Kiedy przyjechałem, natychmiast skierował mnie do wywiadu z poszkodowanymi, który przeprowadziłem półgębkiem tylko po to, żeby zostać poinformowanym, że pora na dzienny raport. Wszystko robiłem trochę jak na kacu. W głowie nadal siedział mi Arciszewski – jego list do KRC, jego niedopasowanie i jego wiszące na stryczku ciało.

Wieczorem podjechałem przed „Wujka”. Było już ciemno, ale kopalnia jaśniała wiecznym blaskiem kompleksu, który nie zasypia nigdy. Przez bramę wlewali się właśnie górniczy nocnej zmiany, wchodząc na plac główny i potem do szatni pod czujnym okiem olbrzymiej statui Skarbka, identycznej z tą, którą widziałem w biurze Wołek i w tylu innych miejscach. Każdy, który ją mijał, poświęcał jej skinienie głowy; niektórzy zatrzymywali się przy niej, by polecić się duchowi podziemi. To, co krytycy nazywali „nowoczesnym ujęciem tradycyjnej formy”, niespecjalnie wyszło Skarbkowi na dobre. Artystyczne linie, mające formować figurę starca z kilofem, wykrecone przez nowoczesną sztukę sprawiły, że górniczy demon jawił się prawie jak tylko ogólnie ukształtowane, z grubsza człekokształtne monstrum, a geometrycznie uformowana broda wyglądała jak potężny wyciągnięty język, gotów chwycić i pochłaniać nieostrożnych. Miałem paskudne wrażenie, że w ten czy inny sposób faktycznie pożarł Mariusza Arciszewskiego. Pożarł go izolacją pomiędzy kolegami, zabobonem nazywanym tu tradycją i zwyczajem, presją otoczenia.

Może i dla Ślązaków był w porządku, ale Skarbek był naprawdę okrutny dla tych, którzy nie grali na jego zasadach.

\*\*\*

Kiedy rano dotarłem na komisariat, zastałem na komputerze ma-  
ila o treści: „Daj znać, jak się zjawisz, widzimy się w kuchni. Ważne  
sprawy”. Upewniłem się więc tylko, czy Wadeckiego jeszcze nie ma  
– oczywiście nie było – napisałem krótką odpowiedź i udałem się na  
piętro, do pomieszczenia stanowiącego najistotniejszy element inte-  
gracyjny komisariatu.

Wiktor już czekał, z kubkiem i podekscytowaną miną. Trochę mu  
tego zazdrościłem. Jako że ani nie musiał rozmawiać z Arciszewską,  
ani oglądać zwłok w Parku Leśnym, był bardziej odległy od sprawy  
niż ja. W połączeniu z jego niezwykłą umiejętnością wbicia sobie do  
głowy, że wszystko, co robi, jest swego rodzaju grą czy scenopisem  
filmu – potrafił zachować optymizm i dystans. Z pewnością to ludzie  
tacy jak Wik byli przyszłością policji – nie kolesie, którzy za bardzo  
przeżywali robotę, jak Stoba. Albo ja.

– Nie uwierzysz, co się stało.

– Nie uwierzę. Mów.

Postawiłem kubek na tacce ekspresu, podziwiając, jak maszyna  
– najważniejszy zakup komisariatu od dawna – robi magiczną kawę  
z warstw mlecznych pianek i dobrych myśli.

– Sojka i Konopa zamknęli sprawę. – Pokiwał energicznie głową.  
Nieodmiennie rozczochrane i pozwijane w sprężynki włosy zatań-  
czyły na wszystkie strony.

– Wygłupiasz się. Już?

– Mhm. Z samego rana. Przybili samobójstwo, matka denata dzisiaj  
rano była na komisariacie, ale rozpoznawała po zdjęciach i przedmio-  
tach. Zanim przyszedłeś, składali teczkę u Hoffman.

Zabrałem kubek z tacki i pociągnąłem łyk. Zamknęli po ilu, pięciu  
godzinach? Bo jakoś mi się nie chciało wierzyć, że całą noc siedzieli  
nad sprawą tylko po to, żeby ją teraz zamknąć z samobójstwem. A roz-  
poznanie po przedmiotach i zdjęciach też było raczej rzadkie przy  
w miarę normalnym ciele, choć pewnie Arciszewska – z jej przeładowa-  
niem uczuciami do dziecka – mogła się załamać i sobie tego zażyczyć.

– A co zrobili z tym mailem, który znalazłeś? I pokasowanymi da-  
nymi? I tajemniczo ożywającym telefonem?

Wiktor rozłożył bezradnie ręce.



- Wiesz, wiem tyle, że zamknęli. Nie wiem, co jest w teczce przecież.
- Zrobił znaczącą minę.
- I Hoffman nie miała z tym problemu?
- Widzisz, u Hoffman była wczoraj rano jakaś szyszka z Wojewódzkiej. Wielki koleś, inspektor. Szczepański, Szczepaniak... Jakoś tak.
- Czego chciał?
- Siedział u niej w gabinecie, to nie wiem. Ale gadali długo. Potem podobno była wściekła, a potem dała sprawę Sojce i Konopie.
- Którzy ją zamknęli w ciągu doby.
- No tak, w końcu samobójca się znalazł. Wiesz, to stare wygi, wiedzą, co robią. To byłoby bardzo niewłaściwe w tym szperać...  
Spojrzał na niego. Wik był uosobieniem niewinności.
- A możliwe? – zapytałem.
- Może. – Obrócił się do okna, demonstracyjnie podziwiając ponurą listopadową ulicę Żwirki i Wigury.
- Jak bardzo „może”?
- Dobra przyjaciółka w laboratorium „może”.

Przełknąłem łyk kawy, potem drugi. Gdybym mógł przyjrzeć się tym papierom, znaleźć błąd – bo z pewnością tam był – naszego gwiazdorskiego duetu, może przekonałbym Hoffman do ponownego otwarcia sprawy. Może przekonałbym ją też, że się nadaje do śledztw, mimo że nie mam magicznych „genów lokalsa”, których brak wyraźnie podstawiał mi nogę od początku kariery.

I wreszcie – może zrobilibyśmy porządnie to zaginięcie. Bo ten nieszczęsny gość nie zasługiwał, żeby Sojka pchał jego śmierć pod biurko.

\*\*\*

Wróciłem z roboty nad włamaniami Wadeckiego dopiero po południu. Ten zresztą, zgodnie z moimi oczekiwaniami, miał zerowy problem, żeby się mną wysługiwać, dlatego mój dzień składał się głównie z jeżdżenia nieefektywnym zygakiem po całym mieście i wypytywania ludzi, co prawdopodobnie mogliby załatwić dzielnicowi. Byłem więc i pod samym Chorzowem, zaraz obok Tysiąclecia, co jeszcze miało sens, ale też na zabytkowym, ekskluzywnym Nikiszowcu i w Bogucicach. Nie uzyskałem oczywiście nic.

W każdym miejscu Katowic widziałem światła bijące z kompleksów kopalń w ciemnoszare jesienne niebo. Ludzie odruchowo zerkali w ich stronę, prawie jakby wyczekiwali, aż zmienią się w ostry blask reflektorów alarmu i aż usłyszą syrenę. W paru miejscach rzuciła mi się w oczy paskudna nowoczesna wersja Skarbka tuż obok tych bardziej tradycyjnych, i to nie tylko w górniczych rodzinach. Napomknięcie o kopalniach i KRC zawsze budziło reakcję, zawsze jednoznacznie emocjonalną. Tak, Śląsk jest wielki górnictwem, tak, górnicy i ratownicy to bohaterowie. Tak, oby jeszcze sto lat. Warszawa zaskakująco wiele razy była przedstawiana jako odległy wyzyskiwacz, który o miejscowych realiach po prostu nie wie i wiedzieć nie chce, jak długo spływają pieniądze. Zwykle mówiono o niej z obojętnością, choć parę osób nie kryło wrogości. Kilka nawet uważało, że cetan jest karą za nadmierną eksploatację złóż. Kiedy pytałem, czyją – odpowiadano mi nieodmiennie, że boską. Ale rzadko patrzono wtedy na krzyż.

Muszę powiedzieć, że śledztwo Wadeckiego sporo mi dało, choć niekoniecznie to, czego się spodziewałem – i zdecydowanie nie to, czego bym chciał: głównie rosnące, przerażające przekonanie, że pod wieloma względami Konrad miał rację. Rozsądni, racjonalni i pragmatyczni Ślązacy w zbyt wielu przypadkach robili sobie w świadomości specjalną przestrzeń, w którą skrzętnie wkładali lokalny, niemal religijny przesąd i prawie bezkrytyczne spojrzenie na tradycję, na równi tę starą jak samo górnictwo, jak i nową, która pojawiła się po odkryciu carnitowych złóż. Z każdą rozmową utwierdzałem się w poczuciu, że mimo tego, iż Śląsk był bogaty, nowoczesny, miał doskonale dotowane szkolnictwo i naukę – pracowicie pielęgnowany przesąd zadomowił się w duszach mieszkańców na dobre i gdyby KRC faktycznie zamierzał objawić się społeczeństwu, powiewając sztandarem wolności, mógłby uzyskać zaskakująco duże poparcie.

\*\*\*

Pakiet informacji od Wika czekał na mnie na prywatnej skrzynce i otwarłem go, kiedy tylko skończyłem zajmować się papierkami wskazującymi brak postępów – co Wadecki przyjął ze stoickim spokojem, wręczając mi listę równie żmudnych i bezsensownych czynności na

kolejny dzień. Rozmiar dokumentacji, którą wygrzebał nasz informatyk, robił wrażenie – cokolwiek można było powiedzieć o Sojce, nie próbował wykpić się krótką notatką.

Przejrzałem notatkę z rozmowy z Arciszewską, papier, że zażądała rozpoznania syna bez oględzin ciała, i drugi, wskazujący, że otrzymała pomoc psychologiczną i dostała skierowanie do terapeuty zewnętrznego. Trzeci – że tenże terapeuta dostał informację, że ma do niej dzwonić, by umówić się na spotkanie. Potem dotarłem do raportu w sprawie podjętych czynności – tak jak sądziłem, nie było ich wiele, choć trzeba przyznać, że chłopaki zadali sobie trud, żeby odnieść się do wszystkich wskazanych przeze mnie wątpliwości.

To prawda, że kasowano dane z jego komputera. Faktem jest jednak, że porządkowanie własnych spraw wręcz wskazywało na zaplanowane samobójstwo. Arciszewski, jak ustalono, był subskrybentem kilku kanałów dla dorosłych. To naturalne więc, że może nie chciał, żeby jego matka to odkryła. To samo można powiedzieć o zaszyfrowanym dysku. W dodatku denat w czasie, kiedy pozostawał zaginiony, miał mnóstwo okazji, żeby się go łatwo pozbyć i poszukiwanie urządzenia nie rokowało żadnych sukcesów. Nagłe włączenie telefonu? Normalne – przez dwa dni się zastanawiał, co zrobić ze swoim życiem, nie chciał, żeby mu ktoś przeszkadzał. Pod sam koniec telefon włączył, bo jednak zależało mu na tym, żeby znaleziono ciało, żeby matka – którą bardzo kochał – nie musiała żyć w niepewności. Chip lokalizacyjny był uszkodzony, ale nie znaleziono śladu ingerencji, więc postawili roboczą hipotezę, że sam nawalił między zgłoszeniem zaginięcia a znalezieniem zwłok, nikt więc tego nie odkrył. List do Krolla z KRC? Oczywiście został uwzględniony. Ekspertowi udało się dotrzeć do kont Arciszewskiego na kilkunastu darknetowych forach dla miłośników teorii spiskowych. Sądząc ze znalezionych tam danych, młody górnik nie cierpiał KRC, odkąd jego ojciec, Mieczysław, zginął w uwolnieniu cetanu w kwc „Makoszowy”. Uważał wręcz, że KRC umyślnie dopuszcza do ofiar podczas uwolnień – według obiegowej opinii na tego rodzaju forach służyło to do utrzymania poczucia zagrożenia i usprawiedliwiało astronomicznie wysokie dotacje na Korpus.

Ta część raportu była opatrzona komentarzem Wika. Informatyk uważał, że nie znajduje się czyichś „kont na darknetowych forach” w jeden wieczór. Arciszewski albo gdzieś zostawił dane na ten temat – a nasi ich wcześniej nie znaleźli – albo był rozpracowywany już od jakiegoś czasu. Wik sprawdził też podpisanego eksperta: był to jeden z wyższych speców z Komendy Wojewódzkiej. Sojka i Konopa ze swoim doświadczeniem i częstymi wycieczkami do Wojewódzkiej musieli go znać, ale wkręcenie go w sprawę wydawało się bardzo dziwne. Szybko zamknięte śledztwo nie podobało mi się coraz bardziej. Największy szok czekał mnie jednak przy zdjęciach ciała.

Kilka pochodziło z miejsca zdarzenia. Grunt pod drzewem, wiszące ciało Mariusza Arciszewskiego z jego zupełnie niepasującym kolorowym hologramem i bladą, mokrą od deszczu twarzą, okoloną szczelnie przylegającym, lecz też przemoczonym jasnoniebieskim kapturem. Zbliżenia na gałąź, tam gdzie zawiązany był sznur. Pojedyncze ślady w rozmiętej ziemi. Potem raport z sekcji i zdjęcia już w prosektorium. Ubrania i drobiazgi osobiste, portfel ze zdjęciem matki. Siniak na szyi, otarcia od sznura. Naga postać, bezradna i jakby mała na sterylnym stalowym stole.

Zbliżyłem zdjęcie, oddaliłem je, sprawdziłem pięć razy, czy ktoś nie pomylił fotografii. Ale nie, był podpis i wszystko. Nie zgadzało się tylko jedno. Denat miał na ramieniu tatuaż.

\*\*\*

To nie mógł być Arciszewski. Nie mógł być, chyba że ktoś go nagle wytatuował w krótkim czasie od zaginięcia, jednocześnie dbając o to, by w chwili śmierci Mariusza tatuaż był już w pełni wygojony. Nie tylko nie był to Arciszewski, ale Sojka o tym wiedział. Musiał wiedzieć, bo miał tę informację w moich papierach. No i przecież gdyby nie wiedział, to sprawa wydałaby się przy identyfikacji – bo zdjęcie tatuażu na mur beton by się pojawiło wśród tych okazanych matce, a Amelia Arciszewska wiedziała świetnie, że syn się nie kłuł. Sojka i Konopa nie tylko skrewili sprawę, ale w dodatku skrewili ją umyślnie. A to nawet nie była ich sprawa. Hoffman zabrała ją mnie i przekazała im,

kiedy dotarłem do punktu, w którym mógłbym zacząć stawiać niewygodne pytania.

Nagle poczułem, że robi mi się zimno. Czy to możliwe, że Hoffman zabrała mi sprawę, żeby została zamknięta? Kiedy wróciłem z Parku Leśnego, siedziała w Wojewódzkiej w jakiejś ważnej sprawie. Oczywiście mógł to być przypadek, ale nie musiał. Przypadkiem mogło też być, że nagle do śledztwa zwerbowano specja z Wojewódzkiej właśnie, a ten w ciągu jednego wieczora wysledził Arciszewskiego gdzieś w darknetcie. Cholernie dużo tych przypadków; za dużo, żeby w to uwierzyć. Wniosek nasuwał mi się jeden: ktoś wziął w łapę, i to wziął na wysokim poziomie.

Pytanie „Po co?” nasuwało się samo. Ktoś zdecydował się na daleko idące środki, żeby przekonać wszystkich, że Arciszewski nie żyje i nie ma co go szukać. Mogło to oznaczać, że albo śmierć Arciszewskiego nastąpiła w sposób, którego ujawnienie mogło być dla kogoś bardzo niewygodne – albo nie nastąpiła w ogóle, a chodziło o to, żeby porwanego nikt nie szukał. W tym drugim przypadku mogło to oznaczać, że górnik żył, był gdzieś przetrzymywany i można go było jeszcze uratować. Gdzie – to była zupełnie inna sprawa. Ale miałem przecież trop.

Zdjęcie z miejsca zdarzenia pokazywało wiszące ciało odziane w niebieską kurtkę z kapturem z napisem „Thunderdome”. Z kapturem, który szczelnie zasłaniał włosy.

\*\*\*

Zatrzymałem wóz tam, gdzie wczoraj rano, tuż przy Parku Leśnym. Było już ciemno, choć niezupełnie, biorąc pod uwagę iluminacje Śląska i bijące w niebo łuny kopalń jak podświetlenie dla sięgających wysoko w niebo wież szybowych. Przynajmniej nie padało. Wziąłem latarkę – na wszelki wypadek, bo przy ścieżkach spacerowych stały lampy – paczkę zakupów, które zrobiłem po drodze, i ruszyłem w las.

Nie musiałem szukać długo. Był dokładnie pod tą samą wiatą, siedział na zrolowanym śpiworze i pił wino – takie samo jak poprzednio, o ile dobrze pamiętałem. Z niepokojem zauważyłem u siebie radość, że znalazłem go żywego, jakbym podświadomie już zakładał, że ktoś postanowił odciąć również ten trop. Robiłem się paranoiczny, choć

jak każdy paranoik po zastanowieniu uznałem, że akurat teraz lepszym określeniem będzie „ostrożny”.

– Ja nic nie zrobiłem, panie oficerze. – Podniósł się ze swojego miejsca.

– Wiem. – Położyłem koło niego torbę z zakupami. Do jednej z widocznych butelek wina dołączyłem przyczepiony gumką recepturką banknot.

– Za co to? – Popatrzył na mnie najpierw z wdzięcznością, potem podejrzliwie.

– Policja służy obywatelowi, nie? Mogę? – Wskazałem chodnik obok jego barłogu.

Pokiwał szybko głową, przeglądając zawartość torby. Banknot naturalnie zniknął jako pierwszy. Ludzie w ciężkich sytuacjach szybko robią się pragmatyczni, a z banknotem łatwo się ucieka, jakby co.

– Pogadać chciałem.

– Jasne, panie oficerze. O czym?

– O telefonie.

Rzucił mi szybkie, podejrzliwe spojrzenie i – choć natychmiast się opanował – na ułamek sekundy spiął się jak do biegu. Wiedziałem już, że miałem rację.

– Ale ja oddałem telefon temu panu oficerowi, który mnie przesłuchiwał, on wie wszystko – wyrzucił z siebie szybko, jakby bał się, że nie dam mu skończyć.

– Nie wszystko. – Zawsze chciałem uśmiechać się paskudnie, tak żeby potencjalnym kryminalistom robiło się słabo. Po latach pracy w policji szczytem moich osiągnięć w tej materii był grymas kojarzący się z uporczywym bólem zęba. Na szczęście tym razem widownia nie była wymagająca.

– Ułatwię nam tę rozmowę. – Oparłem się wygodnie o tylną ścianę wiaty. – Powiem, co się zdarzyło i wszystko, o co poproszę, to uzupełnienie.

Przez chwilę milczał, błydy i przestraszony. Wiedział, że przez lewe zeznania może mieć poważne problemy, to fakt. Ale wiedział też, że nie zwałem się tutaj z patrolem i kajdankami. Miałem nadzieję, że doszedł do właściwych wniosków i będzie chciał współpracować.

– Panie oficerze...

– Artur, na imię mam Artur. – Wyciągnąłem dłoń. – A pan?

– Stasiek – wymamrotał.

– No dobrze, Stasiek, to jedziemy. – Uśmiechnąłem się ponownie. Miałem nadzieję, że sympatycznie. – Rano zjawił się tu człowiek. Może był sam, a może nie był, ważne, że to on podszedł do ciebie. Mam rację? Skinął głową.

– Dał ci komórkę, może jakieś drobne pieniądze i powiedział, że gdyby ktoś pytał, to dostałeś ją od tego czarnego lokatego faceta w niebieskiej kurtce, którego nam opisałeś.

Tym razem skinienie było wolniejsze – ostatecznie zbliżyliśmy się niebezpiecznie do tematu składania fałszywych zeznań.

– Pomyślałeś sobie, że jest ciężko, a teraz właśnie może być odrobinę lżej – ciągnąłem. – Wziąłeś pieniądze, telefon i obiecałeś. Ostatecznie wtedy nie wyglądało to jakoś specjalnie źle, a dla ciebie to był ciepły posiłek. To normalne, każdy tak myśli, kiedy wyciągnie w życiu krótszą słomkę.

– No... – zaczął, kiwając głową, ale powstrzymałem go gestem.

– Potem okazało się, że o telefon pytają psy. To już ci się nie spodobało, ale dałeś słowo, a jesteś człowiekiem, który słowa dotrzymuje. Więc w pierwszym odruchu sprzedałeś dokładnie tę historijkę, którą ci dano do sprzedania, a potem zwyczajnie bałeś się z niej wycofać. Można? – Zrobiłem gest w stronę butelki. Mój nowy znajomy podał mi ją bez słowa. Pociągnąłem krótki łyk. Wino było przesadnie słodkie, piekło w gardło i bardzo mi przypominało szczeniackie czasy.

– No ale potem tu wróciłeś i pomyślałeś, że to, co zrobisz, jakkolwiek usprawiedliwione, było jednak złe. Wobec nas trochę, ale bardziej wobec tego kolesia, którego znaleźliśmy wiszącego na drzewie. Pomyślałeś sobie, że może, przez pomyłkę i nie wiedząc o tym, wpakowałeś się w pomaganie ludziom, którym pomagać bardzo nie chcesz.

Zamrugał i spojrzał na mnie bez zrozumienia, ale nie przerywał.

– I dlatego kiedy spotkałeś mnie przypadkiem na ścieżce, postanowiłeś zrobić dobrą rzecz. Wycofać się w porę, zanim to, że pomogłeś jakimś zbirom, zeżre cię od środka. Bo jesteś człowiekiem, który nie tylko nie chce siedzieć, ale w gruncie rzeczy chciałby robić dobrze.

– Spojrzałem na niego. – Prawda?

Stasiek przez chwilę milczał, patrząc na mnie wodnistoniebieskimi oczami. Wreszcie pokiwał głową.

– To było czterech gości – zaczął ostrożnie, ale wiedziałem już, że go mam. Jak się już zaczyna mówić, to potem idzie. – Jeden przyszedł do mnie z komórką, dał mi dwie stówki. Powiedział, że przyjedziecie, powiedział, co mam wam puścić.

– Niezła kwota jak za jedno małe niedopowiedzenie – zaśmiałem się cicho. – Sam bym mógł się skusić.

– No, dla mnie to duża. – Pokiwał głową, już pewniej. Pociągnął długi łyk wina. – No i ten gość, co do mnie przyszedł, był taki nijaki. Kurtkę miał hydrofobową, czarną taką. I zarost, i taki nos jak kartofel. Wyższy od ciebie, ale niedużo. Rękawiczki miał, skórzane takie.

No tak, jasne, że miał. Na dopasowanie odcisków palców naturalnie nie było co liczyć. Z drugiej strony i tak miałem szczęście, że ktoś zawałił i puścił denata z tatuażem. Odciski byłyby zbytek niekompetencji.

– Mówiłeś, Stasiek, że było ich tu więcej?

– No.

– Może inni byli bardziej charakterystyczni?

Mój rozmówca myślał przez krótką chwilę, wreszcie plasnął się w czoło.

– No tak!

– Co: tak?

– Jeden z nich – powiedział ożywiony, wyraźnie zadowolony, że może pomóc – miał poparzoną gębę! Normalnie pół twarzy, jak na horrorze.

Zamarłem jak rażony piorunem, czując nagłą suchość w ustach. To nie jest tak, że nie miałem teorii na temat zniknięcia Arciszewskiego. Wręcz przeciwnie, miałem pełno własnych podejrzeń, w pewnym stopniu napędzanych faktami, a w dalece większym, niż chciałbym przyznać – umiejętnościami narracyjnymi Konrada. Pełno bardzo konkretnych podejrzeń, co do których miałem wielką nadzieję, że się nie sprawdzą. No i właśnie moje nadzieje można było spuścić w kiblu. Powolnym ruchem nagle drętwiejących palców wystukałem wyszukiwanie obrazów w telefonie, wybrałem fotkę i podsunąłem ją wyraźnie



nieświadomemu stanu mojego umysłu włóczędze.

– Tak! – Ucieszył się. – Dokładnie on, jakby tu stał. Co to za jeden, Artur?

Westchnąłem ciężko, patrząc na zdjęcie Edwarda Krolla.

– Taki jeden – powiedziałem cicho zrezygnowanym głosem. Schowałem komórkę, pociągnąłem łyk z podanej butelki. – Taki jeden bandyta.

\*\*\*

Nalałem sobie wódki z sokiem i postawiłem szklankę na stole. Powinienem się napić. Powinienem się napić, iść spać i zapomnieć o sprawie. Była w końcu rozwiązana. Zrobiłem, co mogłem, a następnym krokiem – gdybym zdecydował się działać – musiałyby być poważna niesubordynacja. W dodatku niesubordynacja na takim poziomie, że mur beton poszłoby na noże z Hoffman, a może i tym Szczepaniakiem z Wojewódzkiej. Któreś z nich wzięło w łapę od KRC, nie miałem wątpliwości – ale nie miałem też dowodów i jakoś nie czułem specjalnego optymizmu na myśl o starciu z którymkolwiek z tej dwójki.

Bo co ja mogłem? Pogadać z Hoffman mogłem, że ten tatuaż się nie zgadza, przecież to musi uwzględnić. O Stašku powiedzieć też mogłem – ale zaraz bym pewnie usłyszał, że świadek niewiarygodny, skoro raz już zmienił zeznanie. Nawet zadzwonić do wewnętrznego niby mogłem, powiedzieć, że mam podejrzenie jakichś wałków na komisariacie. Tak, może to zrobię. To nawet odważne by było, bo przecież komendantka w minutę osiem wyczał, kto doniósł, i będę miał z nią na pieńku. Ale to byłaby słuszna rzecz. Odważna i słuszna. Sięgnąłem po szklankę, by wznieść toast, ale jakoś nie mogłem się przemóc.

Bo oprócz rzeczy słusznej – i nawet, jak się sam przekonywałem, odważnej – była jeszcze porządna policyjna robota. Taka, no, rzetelna. Była sprawa. I niezależnie od tego, co powiedzieli Sojka, Konopa, Hoffman i wszyscy święci – nadal nie była wyjaśniona. Odstawiłem szklankę.

Wyglądało na to, że nie zrobię słusznych, mądrych, a nawet trochę odważnych rzeczy. Im bardziej o tym myślałem, tym bardziej mi wychodziło, że raczej zrobię rzeczy okropnie głupie.

\*\*\*

Zatrzymałem wóz dwie przecznice od koszar KRC, w jednej z bocznych uliczek. Zabrałem broń i wypisany na nocnej zmianie nakaz przeszukiwania, który nie miał cienia szansy obronić się przed kimś uważniejszym, ale trochę liczyłem, że będę miał do czynienia z nocną obsadą. Lekko zaspanych ochroniarzy może się udać zczarować na tyle, że ktoś zweryfikuje mój papier dopiero później – nawet jeśli niewiele później. To powinno mi dać chwilę na rozejrzenie się po kompleksie. Włączyłem kamerkę służbową na nagrywanie i przesyłanie wiadomości co minutę na serwer, do którego adres podałem Wikowi przez e-mail i na wszelki wypadek też esemesem.

Przyznaję, że stopień, w jakim moja akcja była zagranie *va banque*, nie świadczył o mnie najlepiej. Miałem właśnie dokonać serii przestępstw i przekroczeń uprawnień, za które mogłem nie tylko wylecieć z pracy, ale i prawdopodobnie trafić do pudła. Cholera, z całą pewnością do pudła. Chyba że Arciszewski faktycznie tam był, żywy tak długo, dopóki był potrzebny. Że go tam trzymali, próbując wyciągnąć informacje, gdzie ukrył swój szyfrowany dysk albo gdzie jeszcze w darknetcie wrzucił swoje wnioski. Bo przecież gdyby Kroll miał te informacje, nie potrzebowałby górnika do niczego i to zwłoki Arciszewskiego znaleźlibyśmy dyndające na gałęzi w Parku Leśnym. Skoro jednak wysilił się, była szansa, że mój zaginiony jest w środku.

I da się go uratować.

A ja byłem gliniarzem. W dodatku, jak już ustaliłem w domu, nie-szczególnie mądrym.

\*\*\*

Koszary KRC otaczał wysoki mur, zza którego widać było zabudowania wewnętrzne i oczywiście wykręconą wizją artysty wielką figurę Skarbka, w zasadzie patrona cechu, wystającą ponad mur. Brama była zamknięta, ale lobby – bo portiernia była zdecydowanie zbyt słabym słowem – pozostawało otwarte. Odetchnąłem kilka razy. Zatrzymałem się, cofnąłem za najbliższy róg. Przeszedłem kilka kroków, znowu się zatrzymałem.

– Detektyw młodszy aspirant Potocki – powiedziałem do mikrofonu przy kamerze. – Mam uzasadnione podejrzenie, że w budynku koszar KRC przetrzymywany jest wbrew swojej woli człowiek. Wchodzę na obiekt zweryfikować to.

Jak już mam być niemądry, to niech to chociaż będzie konsekwentne. Wszedłem do lobby najbardziej pewnym krokiem, na jaki było mnie stać. Poza dwójką ochroniarzy CrystalSec, rozmawiających o czymś przy jednym ze stolików, dostrzegłem tylko recepcjonistę za biurkiem stylizowanym na bryłę węgla. Za nim, a jakże, płaskorzeźba Skarbka – równie paskudna jak posągi – i wielki napis „Korpus Ratownictwa Carnitowego” wycięty z, a jakże, carnitowych liter. Podświetlone sprytnie rozmieszczonymi reflektorkami litery lśniły feerią odcieni czerni. Przez chwilę myślałem, że to była jakaś podróbka albo niezbyt bogata ruda, ale znając rozmach KRC – pewnie carnit był czyściutki. Świetnie bym sobie wyobrażał skok na koszary tylko po to, żeby ten napis zawinąć.

Podszedłem do biurka recepcjonisty, ignorując obu ochroniarzy, którzy naturalnie przerwali rozmowę i starali się wyglądać należyście groźnie.

– Dobry wieczór – powiedziałem, kładąc na wygładzonym blacie dokumenty. – Detektyw Potocki, pierwszy komisariat. Prowadzimy poszukiwania zaginionego i dostaliśmy informację, że widziano go w tej okolicy, przeprowadzamy sprawdzenie budynków.

Mężczyzna za biurkiem spojrzał na mnie czujnie. Siwy już, ale krzepki, o gładko ogolonych policzkach i przenikliwym spojrzeniu gościa, który nie trafił tutaj, żeby załatwić pracodawcy zniżkę za zatrudnianie rencistów.

– Przykro mi, proszę pana – powiedział tonem sugerującym, że przykro mu nie jest wcale, a i per „pan” mówi do mnie nieco na krechę – ale tu nie wolno wchodzić. Mamy monitoring i z pewnością wiedzielibyśmy, gdyby ktoś się tu zjawił. Ale jeśli zostawi pan zdjęcie...

– To mnie jest przykro – odparłem, starając się zachować pełen profesjonalizm, co było w ponury sposób ironiczne, zważywszy, że właśnie robiłem najmniej profesjonalną rzecz w swojej karierze – ale naprawdę będę musiał sprawdzić to osobiście. Ale może monitoring

mógłby mi w tym pomóc.

Wydobyłem moją marną fałszywkę nakazu. Trochę liczyłem, że uda się to załatwić bez niej, ale zdecydowanie nie w przypadku tego służbisty.

– Rozumiem.

Wziął do ręki nakaz i przyjrzał mu się uważnie. Nie wierzyłem, że on sam będzie w stanie się zorientować – ostatecznie jak wiele nakazów przeszukania widzi się w życiu? Ale mógł zadzwonić wyżej, a to by mnie zdemaskowało. Byłem tak skupiony na tym, jak po raz kolejny czytał mój trefny papier, że to, iż drugą ręką wduśił jakiś przycisk, zobaczyłem dopiero w chwili, kiedy za moimi plecami już rozległy się kroki dwóch gości z ochrony. Obróciłem się dokładnie w momencie, kiedy jeden wyciągał głuszaka, a drugi teleskopówkę. Zdecydowanie grali poważniej, niż myślałem.

Rzuciłem się naprzód, w dwóch skokach wpadając na tego z głuszakiem, wytrącając go z równowagi. Broń poleciała na gładką podłogę, ale zanim zdążyłem się tym nacieszyć, już oberwałem w ramię pałką, raz i drugi. Miałem szczęście, że byłem blisko i gość nie miał się jak zamachnąć, ale i tak było krucho. Sięgnąłem po broń, odskakując w bok, ale skurczybyk walnął mnie znowu i spluwa wypadła mi ze zdrtwiałej nagle ręki, a kiedy zrobiłem krok w jej stronę, zastąpił mi drogę.

– Jestem z policji! – krzyknąłem, przesuając się o krok, potem kolejny i kolejny, starając się nie patrzeć na podłogę. – Cofnąć się, natychmiast!

Kątem oka widziałem, że recepcjonista podnosi się zza blatu. Musiał mieć prawie dwa metry i nie poruszał się ani trochę tak, jak w mojej głowie powinien poruszać się siwy gość. Siwizny pewnie nabawił się, dowodząc komandosami.

– Nie powinien był pan próbować się włamać – powiedział spokojnym głosem, nie wiedząc czemu kojarzącym mi się z cmentarzem. – Przykro mi.

Przez chwilę myślałem, że ochroniarze zareagują na tak jawną groźbę, ale nie. Ten z teleskopówką zagroził mi drogę do swojego partnera, który spokojnie ruszył w stronę mojej spluwy. Kurczę, serio? Musieli widzieć moją kamerę, musieli liczyć się z tym, że nagrywam

– a zdecydowali się nie tylko zaatakować policjanta, ale jeszcze chcieli zabrać mi broń? Nie doceniłem ich. Na szczęście oni mnie też nie.

Pozornie zupełnie losowe kroki zanosły mnie, według moich obliczeń, w okolice upuszczonego głuszaka. Jeśli miałem to wykorzystać, to teraz albo nigdy. Rzuciłem się na podłogę. Był tam! Trochę dalej niż myślałem, ale dałem radę go chwycić. W samą porę – kiedy się odwracałem, recepcjonista-komandos już był w pół skoku, a jeden z ochroniarzy właśnie podnosił broń. Wystrzeliłem raz, drugi i trzeci według mojego najlepszego rozeznania priorytetów zagrożenia. Trafiony trzykrotnie recepcjonista osunął się na podłogę. Ochroniarz ze spluwą naciskał właśnie spust, kiedy w niego wymierzyłem. Był szybszy. Ale ja byłem policjantem i zawsze zabezpieczałem broń. Pistolet kliknął. Głuszak wystrzelił. Dwa razy, a potem jeszcze dwa w ochroniarza z pałką.

Odetchnąłem głośno raz i drugi, dopiero teraz widząc, jak drżą mi ręce. Oni mnie byli gotowi zabić; ci dwaj może nie od początku, ale na pewno od momentu, kiedy zarządził to ten psychopata zza biurka. Jasne, że człowiek czyta o takich rzeczach. Jasne, mówią o tym na szkoleniu. Ale pierwszy raz byłem przekonany, że nie skończy się na kuksańcach, podbitym oku czy nawet złamaniu. Byłem pewien, że chcieli mnie zwyczajnie sprzątnąć. Nie przejmując się prawem, jakby wszystko im było wolno. Starłem się jednocześnie stłumić panikę i myśleć, co dalej. Na pewno to, co nacisnął recepcjonista, uruchomiło dzwonki nie tylko na komunikatorach ochroniarzy i wsparcie jest w drodze – w sumie dziwne, że jeszcze go tu nie ma. W dodatku z nim sobie raczej siłą nie poradzę, a trudno było liczyć, że nowo przybyli okażą się bardziej skłonni do rozmowy. Jeśli byli aż tak zdeterminowani, alternatywa, przed jaką stali, była jeszcze gorsza niż konsekwencje sprzątnięcia policjanta. Nie potrafiłem sobie wyobrazić niczego takiego, o ile nie chowali tu ofiar z ludzi ani niemieckich czołgów Konrada. A jeśli miałem się dowiedzieć – musiałem ruszać.

Podniosłem z podłogi spluwę i puściłem się biegiem przez lobby. Wypadłem na wewnętrzny dziedziniec, spory, jasno oświetlony i w cieniu Skarbkowej figury. Otoczony był budynkiem w kształcie litery C, której otwartą częścią uzupełniały brama i lobby, a w przeciwniejszej

było coś w rodzaju kolejnej bramy – tym razem niezamykanej – wiodącej dalej. Rozpoznałem też charakterystycznie oznakowany zjazd do podziemnego garażu. Piszczał alarm, niezbyt głośno, ale z idealnie dobraną częstotliwością wywołującą fizyczny dyskomfort.

Och tak, byli też ludzie. Z drzwi najbliższych zabudowań wybiegała właśnie cała gromada – nie w szarych mundurach ochrony, ale w czarnych, ratowniczych. Przynajmniej kilku miało broń, a to nie wróżyło dobrze. Rozejrzałem się gorączkowo, myśląc, co robić – opcji miałem niewiele, bo mój plan już poszedł w diabły. Pozostała chyba ucieczka: nagranie mówiło całkiem sporo, więc nie można było mnie zupełnie zignorować, nawet jeśli byłem teraz przestępcą. No i uniósłbym głowę. Obróciłem się z powrotem w stronę lobby, ale wtedy zauważyłem, że przed bramą już stał furgon ochrony. Szybcy byli, cholera. Rozwahałem właśnie pomysł przebicia się przez nich do samochodu, łączący okrzyki „Policja!”, strzały i dużo modłów, kiedy stało się coś, co zatrzymało mnie w miejscu.

Usłyszałem krzyk. Donośny, przerażony krzyk człowieka na skraju paniki, człowieka, dla którego wszystko było lepsze od tego, co właśnie się z nim działo. Dla którego alarm mógł oznaczać ratunek. Odetchnąłem głęboko i ruszyłem pędem w stronę bramy na wewnętrzny dziedziniec, ciągnąc za sobą pościg czarno ubranych ratowników. Ktoś wystrzelił dwa, potem trzy razy. Na szczęście chybił; pistolety w słabym świetle, w biegu i na znaczący dystans mojej dwudziestokrokowej przewagi są bronią na tyle niecelną, że nie byłem na całym straconej pozycji. A raczej – może i byłem, ale mogłem liczyć, że chociaż nagram, co się tu dzieje. W pełnym pędzie, z odbezpieczoną bronią w garści, minąłem – ku mojemu zaskoczeniu niestrzeżoną – bramę wewnętrzną. Wpadłem na drugi dziedziniec.

I zamarłem.

\*\*\*

Był mniejszy, ale ciągle dość duży, otoczony wysokim murem zdobnym w ledwo widoczne w półmroku wzory. W jednym z rogów wznosiła się wysoka imitacja wieży szybowej, oświetlona jasnymi punktami światła ostrzegawczych. Na samym środku, w blasku karbidowego ognia

płonącego w czterech wielkich misach, stała kolejna figura Skarbka, niższa od tej z głównego dziedzińca, za to odbijająca blask ognia setkami rozszczepień czystego carnitu. Skarbak wyglądał na niej szczególnie upiornie, choć wzór wyraźnie był taki sam, jak we wszystkich podobnych rzeźbach. Bezpośrednio przed nim na wielkiej bryle węgla leżał Arciszewski, nieruchomy, jakby sparaliżowany – bo z miejsca, w którym stałem, nie było widać żadnych więzów. Miał na sobie górniczy mundur i kask. I wrzeszczał cały czas, ze wszystkich sił, jakby w ogóle nie potrzebował brać oddechu. Zupełnie mu się nie dziwiłem. Nad nim górował bowiem Kroll, wysoki i wyniosły w pancerzu oficera KRC i z kolorowymi refleksami carnitowego blasku na poparzonej twarzy. Wokół nich zaś stało dwudziestu, trzydziestu, pięćdziesięciu ratowników w pełni ukrytych w ciężkich bojowych pancerzach, jakich używali podczas akcji, z przyłbicami na głowach, nieruchomi jak posągi.

Nadal słyszałem alarm, ale jego dźwięk, choć docierał do mnie, zdawał się niknąć w dziwnym, przytłaczającym wrażeniu rytmicznego pulsowania, które wypełniało cały wewnętrzny dziedziniec, teraz dławiąc nawet świetnie słyszalny jeszcze niedawno wrzask Arciszewskiego. Stojąca w centrum statua, mieniąca się tysiącem kolorów, z których każdy był innym odcieniem czerni, ale wszystkie współgrały w jakiejś upiornej harmonii, zdawała się pochylać nad postumentem, na którym leżał górnik, a rzeźbiona w carnicie broda Skarbka jak nigdy wcześniej przypominała długi, giętki, obrzydliwy język, który zaraz miał go opleść.

Przed oczami stanęły mi podziemne tunele, w których wcześniej przecież nigdy nie byłem, i pędzący przez nie czarny, oleisty Dym. Statua zdawała się pochłaniać wszystko, tak jak pożerała światło, by przetworzyć je na własną jego wersję; nieruchomi ratownicy i Kroll, i nawet Arciszewski powoli wtapiali się w tło, jakby mój umysł w ogóle nie chciał ich dostrzegać, jakby na całym świecie istniał tylko carnitowy Skarbak i ja, patrzący w niego jak królik w atakującego węża. Ruch zdawał się niemożliwy, każde drgnienie było trudnością nie do przezwyciężenia. Zdobyłem się na jedno. Ściągnąłem palec wskazujący.

Huknął strzał i poczułem przeraźliwy, nieznośny, obezwładniający ból w stopie. Zwaliłem się na ziemię jak kamień, ale paraliż wywołany

widokiem figury zniknął. Słyszałem tupot zbliżających się ratowników i wrzask Arciszewskiego, zobaczyłem bladą twarz Krolla wpatrzonego we mnie z daleka. Nie miałem wiele czasu, żeby cokolwiek zrobić. Wymierzyłem więc i wystrzeliłem, celując Krollowi dokładnie między oczy.

Oczywiście chybiłem, bo jako się rzekło, pistolety na duży dystans i w nocy nie są najcelniejsze na świecie, zwłaszcza jeżeli doda się do tego, że strzelec właśnie postrzelił się w stopę. To znaczy – chybiłem Krolla. Na początku wydawało się, że moja kula przeszła bokiem, trafiając gdzieś w mur. A potem jedna mała fasetka, jeden mały odbłask na brodzie carnitowego Skarbka zalśnił fałszywie, a w chwilę potem drugi i trzeci. Potem kolejne, niczym lawina na zboczu góry wypaczały się i rozbijały, krucha struktura czystego minerału strzelała wiązanie po wiązaniu. Najpierw broda, potem głowa, wreszcie cała przerażająca postać rozpadła się w czarny proch, który zasypał ratownika i Arciszewskiego, postument i powierzchnię dziedzińca.

I wtedy dostałem z głuszaka.

\*\*\*

Ocknąłem się w niewielkim pokoju z szerokimi, wychodzącymi na autostradę oknami i pojedynczym biurkiem, za którym siedział potężny mężczyzna w mundurze inspektora policji. Był brzask, całkiem jasny jak na listopad, ale zdecydowanie coś mi w tym brzasku nie pasowało. Spojrzałem po sobie. Nie byłem skuty, za to ktoś opatrzył mi nogę. Leżałem na taniej kanapie stojącej na granatowej wykładzinie. Znałem tę wykładzinę i po krótkim namyśle skojarzyłem i inspektora, choć nazwisko mi umykało. Ale miejsce znałem na pewno, tak dzięki wykładzinie, tanim meblom, jak i widokowi na autostradę. Byłem w Komendzie Wojewódzkiej. A to mogło znaczyć, że mnie nie zabito. Dobry początek.

– No, panie Potocki. – Potężny inspektor spojrzał na mnie ze znużeniem zza ekranu komputera. Wyglądał zdecydowanie jak po nieprzespanej nocy. Każdy policjant potrafił to rozpoznać, zwłaszcza u innego policjanta. – To pan spieprzyłeś po całości.



– Co? – zapytałem. Wczorajsza (chyba) noc wracała do mnie powoli, ale jakoś nie potrafiłem zdobyć się na to, by wziąć ją za cokolwiek innego niż majak, przywidzenie albo wyjątkowo dziwny sen.

Szczepański, przypomniałem sobie. Inspektor Przemysław Szczepański, Wydział Bezpieczeństwa Śląska, najbardziej nieokreślony z wydziałów Wojewódzkiej. Wszyscy zawsze sądziliśmy, że polityczny.

– Spieprzyłeś – powtórzył i wstał. – W nocy. W koszarach Korpusu.

– Ale co spieprzyłem?

Spoglądał na mnie w ogóle bez gniewu, którego spodziewałem się raczej po inspektorze mówiącym do policjanta z moją liczbą wykroczeń. Westchnął ciężko.

– Śląsk – powiedział – grał od lat w niebezpieczną grę, Potocki.

– Z Warszawą?

Szczepański zaśmiał się krótko, ale bez śladu wesołości.

– Gdyby to była Warszawa... Nie.

Westchnął.

– Kiedy odkryto carnit, od razu zauważono jego wartość i od razu zaczęto wydobyć. Szło na potęgę, zresztą nic dziwnego. – Podszedł do okna i wyrzał na zewnątrz. – Ale czego nie wzięliśmy pod uwagę, to tego, że to wszystko już do kogoś należy.

Wbiłem w niego nic nierozumiejące spojrzenie. Musiał zobaczyć moją minę, bo przerwał na moment, po czym podszedł bliżej do mojej kanapy.

– Też na początku nie wierzyliśmy. Ale badania wskazywały, że za tym, co się dzieło pod ziemią, jest świadomość. Cały Śląsk stał na terytorium... W domenę kogoś innego, i ten ktoś nas tu nie chciał.

– Skarbek? – Spojrzałem z niedowierzaniem

– Oby, trolle czy Skarbek, jak zwał, tak zwał. – Szczepański wzruszył ramionami. – Czymkolwiek były te głębinowe byty, zareagowały bardzo agresywnie. Nie potrafiliśmy opanować tego, co się tu dzieło. Nie mówi się o tym, ale na dół zjeżdżało wojsko, sprzęt ciężki, wszystko... I wszystko trafiał szlag. Były nawet dyskusje o całkowitym zamknięciu wydobywania. Ale potem pojawili się ratownicy.

– I sobie z tym poradzili?

– Poradzili? Nie. – Szczepański pokręcił głową. – Dogadali się z tym.

Dopiero teraz zorientowałem się, co jest nie tak za oknem. Ulice były puste, nawet A4-ka, która o tej porze powinna być nabita pod korek. Katowice za oknem zdawały się być całkiem opustoszałe.

– Znaczący: handlowaliśmy?

– Tak myśleliśmy. Cokolwiek to było, musiałyś spytać ratowników, co dokładnie, nie życzyło sobie wiele. Chciało mieć kult, taki nieszkodliwy. Szacunek i wiarę. I chciało zapłaty. W górnikach.

Wybałuszyłem oczy.

– Składaliśmy ofiary z ludzi?

– Zwykle nie. Samo sobie brało. Co jakiś czas wyznaczało jedenaście osób, bardzo konkretnych osób, spośród górników, którzy potem ginęli w uwolnieniu cetanu. Jedenastu, za jedenaście kopalń carnitu. Ratownicy mieli dopilnować, żeby wszystko poszło zgodnie z układem. Więc zjeżdżali na dół i się upewniali. Zdarzało się, że Skarbek, z braku lepszego słowa, wyznaczał sobie kogoś chorego albo kogoś, kto w ogóle nie służył na dole. Albo ktoś zdążył uciec, zanim przyjechali ratownicy. Wtedy trzeba było to zorganizować później.

Słuchałem Szczepańskiego jak zaczarowany. Przypomniałem sobie rozważania Konrada i jego teorie o ratownikach budujących zabobon, żeby utrzymać władzę. Jakże mój informator był blisko prawdy – i jednocześnie jak daleko. Prawda okazała się dalece bardziej przerażająca niż jego teoria o złowrogim buncie Śląska przeciw Warszawie i niemieckich czołgach.

– Wypadki?

– Wypadki, zatrucia. Ciała się podrzucało, a ratownicy załatwiali sprawę u siebie, zresztą widziałeś jak. Nasz Wydział Bezpieczeństwa Śląska powstał specjalnie po to, żeby zajmować się takimi sprawami. Teraz też próbowaliśmy, bo Arciszewski był strasznym bumelantem i nie załapał się na uwolnienie, ale zadziałała rutyna i spieprzyliśmy tatuaż. Jak tylko się zorientowałem, pojechałem pogadać z Hoffmanem, ale jak się okazało, odsunięcie cię od śledztwa nie pomogło i sprawy nie udało się uratować.

– Uratować – mruknąłem, nie kryjąc sarkazmu. – Niezły ratunek.

– Och, Korpus Ratownictwa Carnitowego służy do ratowania. Tylko

nie pojedynczych ludzi. Od lat próbują się dowiedzieć, z kim dokładnie mamy do czynienia, co może na nich działać. Wojewoda po cichu pchał przez nich sporo kasy w badania zbrojeniowe, kontrakty...

– Z Niemcami?

– Też.

Inspektor Szczepański podszedł do okna, przez chwilę wyglądał przez nie na cichą autostradę.

– I z czym mamy do czynienia? – zapytałem.

– Wiesz, Potocki, służę tu już dwadzieścia lat – zwalisty mężczyzna zignorował moje pytanie – i pierwszy raz widzę taką pustkę. Pierwszy raz.

– Z czym? – powtórzyłem trochę głośniej, nagle orientując się, że w gardle narasta mi dławiąca oddech kula przerażenia.

– Żeby być szczerym, nie mamy pojęcia. – Spojrzał na mnie. – Ale na pewno z czymś dumnym. A ty rozwaliłeś nam symbol porozumienia i szacunku. Swoją drogą, całkiem niezły strzał. W każdym razie jak tylko cię zabezpieczyli, Kroll dokończył robotę, ale chyba nic z tego nie wynikło.

„Dokończył robotę”. Cholera, moje śledztwo, moja idiotyczna próba ratowania życia spaliła na panewce. Mariusz Arciszewski zginął, tym razem naprawdę. Nie ochroniłem go, nie wyciągnąłem z łap Krolla i jego bandy, z braku lepszego słowa, kultystów...

– Przykro mi. – Szczepański chyba zorientował się, o czym myślę. Był w końcu gliną, jasne, że się zorientował. – Ale musieliśmy spróbować.

– Kurwa.

– Wiem. – Pokiwał głową; na moment na jego twarzy wymalowało się autentyczne współczucie, takie, w które naprawdę mogłem uwierzyć. Milczał przez chwilę, po czym podjął: – Zaraz po ofercie ludzie KRC pojechali do wszystkich jedenastu kopalń zjechać na dół, żeby pogadać, ale to też chyba nie poszło, bo żaden nie wrócił. Zamknęliśmy szyby, na kopalniach zostawiliśmy tylko szkieletową obsługę i ruszyła ewakuacja, ale w parę godzin to się niewiele zrobi.

– Ewakuacja... Śląska?

– Chcielibyśmy – parsknął. – Na razie leci kluczowy personel, ludzie

siedzą po domach, żeby nie przeszkadzali, tylko czekali na swoją kolej. Zobaczymy, ile się uda, zanim...

– ...zanim?

– Nie wiemy.

Patrzyłem w przerażeniu to na Szczepańskiego, to na puste miasto za oknem. Gdzieś, jakimś ostatnim głębokim instynktem, ciągle wierzyłem, że to wszystko żart, wielki żart, że Szczepański nagle wybuchnie śmiechem, wyłączy projekcję i zobaczą normalne Katowice pełne wściekłych kierowców i spieszących się ludzi. Potem pójdę do pudła, ale to już było zupełnie nieistotne. Jednak ta resztką wiary topniała we mnie z każdą chwilą, w miarę jak coraz żywsze stawało się wspomnienie wczorajszej nocy, rytuału w koszarach KRC i tego, co czułem, patrząc w carnitowe monstrum.

– Skoro spieprzyłem, a pan wie o tym, co nam grozi, to dlaczego tu jesteście?

– Jesteś cwany, Potocki. – Przez krótki moment w głosie Szczepańskiego zabrzmiała autentyczna sympatia. – Przyznaję, że podobało mi się to, jak działasz. Mogłem cię wsadzić i pewnie to ostatecznie zrobię, ale teraz nie ma sensu. Są ważniejsze rzeczy.

Podszedł do komputera, pochylił się, coś wpisał z klawiatury, potem znowu.

– A pan?

– Co: ja?

– Czemu pan tu jest?

– Nie jestem kluczowym personelem. – Wzruszył ramionami. – Poza tym to my to zawaliliśmy. Nie wypada teraz uciekać przed innymi.

Sięgnął do szuflady biurka, wydobył butelkę whisky.

– Trzymałem ją tu na specjalne okazje – powiedział. – Rzuciłem ze względu na żonę i dzieci, ale teraz są daleko. Nie zobaczą, a okazja jest w cholerę specjalna.

Odkręcił zakrętkę potężną łapą, podał mi butelkę. Nie wahałem się. Nie co dzień zdarza się pić z inspektorem, w dodatku na służbie. Poza tym świat tego poranka był zdecydowanie zbyt straszny, żeby go brać na trzeźwo.

Ulice były zupełnie puste, a miasto ciche, jakby wymarłe. Ludzie, posłuszni komunikatom policji, chowali się w domach, spokojnie czekając na przyjazd ciężarówek, które próbowały mieścić kolejne kursy, aby zdążyć przed nieznanym terminem. Gdzieś tam stały wytoczone z koszar KRC wojskowe transportery z oznaczeniami Ratownictwa, ale symbol Skarbka został zamazany białą farbą. Nad dachami krążyły śmigłowce, a gdzieś bardzo wysoko przemknęły z hukiem myśliwce pary dyżurnej. Miasto czekało, co się wydarzy.

Zaczęło się wszędzie jednocześnie. Znany, przerażający jęk syren rozdarł ciszę: donośny, słyszalny z daleka, powielony jedenastokrotnie. Zabłyły pomarańczowe sygnały, ostatni raz kąpiąc wieże szybów w ognistym blasku. Przez kilka chwil nie działo się nic więcej, tylko odległe wycie i pomarańczowe błyski. Po jezdni przemknęły dwie, trzy, cztery furgonetki ratowników, malutkie wobec odległych gigantycznych kopalnianych kompleksów, nieliczne wobec rozlegających się zewsząd alarmów. Przez kolejne kilka chwil były jedynymi ruchomymi elementami całkowicie statycznej panoramy – małe, błyskające światłami, na pełnym gazie pędzące w stronę zagrożenia.

Naraz ze wszystkich wież szybowych buchnęły cetanowe opary, intensywną, gęstą chmurą przebijając się przez filtry, jakby ich w ogóle nie było. Zalały ciężką, oleistą falą zabudowania kopalń, topiąc je w kłębiastej czerni. Wystrzeliły w górę pazurzastymi kolumnami Dymu, wprost w jasne niebo.

Niczym palce czarnej, upiornej dłoni, która miała zacisnąć się na świecie na powierzchni.

**Michał Cholewa** – Matematyk z wykształcenia, informatyk z zawodu, fantasta z zamiłowania. Nałóg czytania wykształcono mu podstępnie za młodu, zainteresowanie pisaniem przyszło z czasem. Fan twórczości Stanisława Lema, Joego Haldemana i Roberta A. Heinleina. Historycznie zainteresowany wojną na Pacyfiku 1941–1945. Laureat Nagrody im. Janusza Zajdla w roku 2015 za *Fortę* oraz nagrody Kwazar i Srebrnego Wyróżnienia Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego za tę samą powieść.



Marta Magdalena Lasik

*GŁOS*





Pomyśl o dźwiękach nocy, o trzasku w ciemności, pracujących ścianach, o puszcze toczonej ulicą przez wiatr, o kapaniu wody, o szumie chłodziarki i tykaniu zegara. Pomyśl o chrapaniu sąsiada przesączającym się przez cienką ścianę, o własnym oddechu i strzelaniu stawów, gdy przewracasz się z boku na bok, nie mogąc zasnąć.

A teraz zwielokrotnij to sto razy.

Niech ta kakofonia dźwięków przyklei się do twoich myśli i zacznie szarpać nerwami. Niech wypełni wszystko wokół. Zmusi cię do szukania sensu, słów, przesłania, choć przecież wiesz, że ich tam nie ma. Że to tylko twój zaspany mózg próbuje przypisać znajome nazwy nieznanemu.

Pareidolia – nic więcej.

A najgorsze i tak jest to, że gdy zmęczenie w końcu odeśle cię do krainy snów, ta pieśń nie zniknie. Gdy obudzisz się rano, już będzie dźwięczała ci w uszach. Zbyt cicha, aby ją powtórzyć, aby naprawdę cokolwiek zrozumieć, ale zbyt głośna, by skupić się na czymkolwiek innym.

48%

To właśnie słyszała Danka, wpatrując się w pasek postępu zgrywania danych z terminala w ciemnej maszynowni Black Star Resort, piętnaście metrów pod ziemią, sto trzydzieści siedem metrów w linii prostej od najbliższego wyjścia z kompleksu, do którego mogła dostać się tylko przez drzwi, w których stała szamanka.

68%

Niewidząca była drobna, niedożywiona i nie stawiałaby oporu, gdyby ją odepchnąć – Danka nie potrzebowałaby do tego więcej siły niż do strzepnięcia kurzu z rękawa standardu, ale gdyby odważyła się to zrobić, nie byłaby pewna, czy dotarłaby żywa do wyjścia.

76%

Ociemnieni byli spokojni. Żyli w ruinie hotelu w strefie wykluczenia, nigdy nie bronili Dance dostępu do terminala w maszynowni, nigdy nie skrzywdzili strażników pilnujących granicy strefy, nie zadawali pytań, nie prosili o nic i trzymali się na dystans.

Obserwowali ją, tak jak ona obserwowała ich – z daleka, kątem oka i w milczeniu. Niewidzące były ich szamankami, kapłankami. Danka nie była pewna, jak je nazywać, ale wiedziała, że dla pozostałych członków grupy są bardzo ważne.

Niewidząca fałszowała. Głoski formowały się na jej ustach w sylaby. Sylaby w słowa, które nie istniały, ale im dłużej to trwało, tym więcej niesłów znajdował złąkniony sensu mózg Danki. Dopasowywał znaczenia, dopowiadał dźwięki, interpretował, nawet gdy Danka starała się ignorować śpiew szamanki. Słyszała dużo *ż*, *sz*, *ź* i *ł*. Chwilami wyłapywała niewyraźne *przyszło*, *mówi* i coś, co brzmiało jak *przełaj* albo *przelej* – nie była pewna.

Odwróciła się.

Niewidząca stała w progu – w sukience z za dużej koszuli standardu, blada, z opuchniętymi ustami, mokrymi włosami klejącymi się do zapadniętych policzków i kościstych ramion. Z czerwonymi śladami pocałunków na szyi, siniakami w kształcie dłoni na nogach, bo gdy nie ma dostępu do farmaceutyków, trzeba inaczej wychodzić z siebie, wyzwalać świadomość z okowów ciała... Danka nie widziała tego na własne oczy, ale strażnicy opowiadali jej, jakie odgłosy niosły się nad wodą w cichej nocy. Oczy niewidzącej były czarne jak tafla zalewu, patrzyły uważnie – nie była ślepa, a tytuł był właśnie tylko tym: tytułem. KnowYou dopasował do niej wizytówkę i mała zielona ramka pojawiła się obok kobiety niczym metka doszyta do jej ramienia: Karolina Sarowska, 29 lat, zaginiona od ośmiu miesięcy, ocena społeczna 91/100/AA, lingwistka, analityczka, ostatni raz widziana w TG...

Dance drżały dłonie, gdy wyjmowała wpinacz, na który zgrała dane z gniazda, i chowała go do szyfrowanej saszetki na biodrze. Nigdy wcześniej nie słyszała śpiewu niewidzącej. Nucenie, zawodzenie, jęki – tak, ale jeszcze nigdy nie brzmiało to tak bardzo jak pieśń.

– Skończyłam – oznajmiła, a echo powtórzyło po niej, nadając słowu moc, która nic tu nie znaczyła.

Kobieta nadal stała w progu, wokół jej nóg rozlewała się kałuża wody. W słabym świetle czołówki Danka nie widziała jej barwy. Czy była to zwykła deszczówka, czy może ociemnieni czerpali z czarnej głębi zalewu? Zadrżała. Towarzyszący im przewodnik poruszył się i wyciągnął dłoń ku niewidzącej, a ona cofnęła się o pół kroku, ale nie na tyle, aby mogli ją minąć. Brzydki śmiech na moment wkradł się w jej pieśń...

...minuty mijały, a Danka musiała czekać; nikt nie mógł rozkazywać niewidzącym.

\*\*\*

Zanim wyszła na powierzchnię, szary dzień przeszedł w szary zmierzch. Strażnik przy bramie patrzył na nią zatroskany i przebąkiwał coś o tym, że Inspektorat powinien w końcu wpiąć zonę z powrotem w sieć monitorowania, a nie wysyłać Dankę tak daleko. Roześmiała się. Była zmęczona. Po godzinach w półmroku wyjście w późnopołudniową szarówkę sprawiło, że jej oczy łzawiły, a napięcie z tyłu głowy powoli przepoczwarzało się z dyskomfortu w ból.

– Takie marnotrawstwo – westchnął Hieronim.

Nie wiedziała, czy chodzi mu o jej czas, czy o zasoby zużywane na samotne wycieczki, bo żaden zbiorowy środek transportu nie zatrzymywał się w okolicy i za każdym razem musiała brać prywatkę ze stacji w Tarnowskich Górach. Ludzie w jej wieku zwykle najpierw zwracali uwagę na to pierwsze. Arek, jej partner drugiej kategorii, czasami napomykał o złożeniu wniosku o relokację gdzieś bliżej zony, bo jemu nie robiło różnicy, skąd pracuje. Ale starsi ludzie, pamiętający pierwsze lata po wytyczeniu granic podziałów i wprowadzeniu Zamknięcia, częściej myśleli o tym drugim. Hieronim miał ten podkręcony medstetyką typ urody, który na dziesięciolecia zatrzymywał ciało niemal w miejscu, aby potem nagle nadgonić stracony czas, i nie umiała rozsądzić, do której grupy mu bliżej.

– Pewne rzeczy są, jakie są... Długo tak śpiewa?

– Kazek twierdził, że zaczęła koło trzeciej nad ranem. Jak ja przyszedłem, to już śpiewała. – Wzruszył ramionami. – Dobrze, że dzisiaj nie mam nocki, dopiero za dwa... nie, za trzy dni. Ale ty jeszcze takich ich

popisów nie słyszałaś, co nie? – Nachylił się ku niej tak bardzo, że poczuła zapach modyfikatora potu i zobaczyła delikatne linie implantu siatkówkowego; musiał być stary. – To się zdarza raz na kilka lat. Jakiś ich pieprzony rytuał godowy albo co. Ile ich tam jest, to wyją razem albo na zmianę, jak wilki do księżycy. W dzień to jeszcze da się znieść, ale w nocy robi się zupełnie cicho, a głos się niesie daleko. Od kiedy mnie przeniesli nad zalew, to będzie drugi raz, jak się tak rozkręcili. – Łypnął na nią i wyszczerzył się. – Ty, Danko, wierzysz w kosmitów, co nie? – Nie zdążyła się zawstydić ani odpowiedzieć, bo on już mówił dalej: – Jak ich tak słucham, to może serio ktoś tam jest, porywa je i wkłada im te bzdury do głów, bo żeby to się tam tak samo, po ludzku znalazło, to... – zacmykał i spojrzał w stronę Black Star Resort.

Danka zrobiła to samo.

Jego ciemna, nieregularna bryła wznosiła się na zachodnim brzegu zalewu Nakło-Chechło. Poza nią i pogiętą starą wieżą energetyczną na wyspie nie zostało się nic, co zbudowali ludzie. Budki, które stały przy skraju opadającej niecki zalanego wyrobiska, rozebrano. Jasne zęby pomostów, które kiedyś wrzynały się w wodę zalewu, zdążyły się rozpaść przez ponad trzydzieści lat od katastrofy i teraz czarna matowa tafla wyglądała jak błąd renderowania obrazu.

– Jak myślisz, ekspertko? Szarzy, Zieloni, Zetanie?

– Nie wiem. Chyba prościej byłoby porywać ludzi z miejsc, gdzie jest ich więcej i łatwiej to ukryć. A jeśli to ma być przekaz dla nas, też lepiej byłoby, gdyby go mogło usłyszeć więcej osób niż te kilkoro tutaj. Tak, to trochę bez sensu. – Wzruszyła ramionami.

Strażnik cmyknął – trzy krótkie *tsyk, tsyk, tsyk* sprawiły, że Danko spojrzęła na niego. Skubał dolną wargę, jakby bardzo wnikliwie rozważał, co powiedziała, ale koniec końców nie skontrolował jej słów, a jedynie pokiwał głową. I dobrze, bo w jej własnej zaczynało dzwonić i chciała znaleźć się już w prywatce. Miała nadzieję, że w Tarnowskich Górach nie będzie musiała długo czekać.

\*\*\*

Pociąg wypuł Dankę na peron i Tuptuś podjął przerwana nawigację. Malował złotą ścieżkę na grafitowej rzece ludzi. Korygował ruchy

Danki, by nie zderzyła się z nikim, aby znalazła się po właściwej stronie korytarza i płynnie skręciła w kolejną odnogę labiryntu, jakim był katowicki dworzec główny; punkt (0,0) całego podziąłu. To ciągle Danka stawiała kroki, to ona narzucała tempo, ale spoza jej świadomości do nóg płynęły krótkie instrukcje – pół stopnia bardziej w prawo, trzy stopnie w lewo, wyrównaj. Tuptuś dbał, żeby dotarła do celu pomimo potoku komunikatów zalewających ją ze styku, przebijających się przez podstawową kontrolę feedu i filtr spamu reklam mijanych w tunelach zakładów usługowych, alertów kolei i dyspozycji dla Kato. A także wszystkiego co sama wrzuciła sobie do feedu: gier, plotek, obserwowanych tagów, newsów ze świata poza granicą podziąłu. Nowy związek ogłosił się zarządcą ziem środka Ameryki Północnej. Postęp w pełnym transferze świadomości do Okeanu – adjustacja percepcji czasu; jak szybko będziesz myśleć bez ciała. Specjalna dyspensa dla zespołów ratowniczych na podróż do NPS Dresden, ex-1L, po automatycznym sygnale o incydencie w bloku numer 11...

Złota linia wyprowadziła ją na plac po południowej stronie, prosto w drugi labirynt – Targowisko.

Krzywe budy przed dworcem oferowały wszystko, co dało się przygotować na prostej kuchni, w nielegalnie wpiętym w sieć piecyku czy nawet na ruszcie rozłożonym na metalowej beczce, a potem można było zjeść na stojąco, bo w gąszczu ludzi i straganów nie znalazło się miejsce na choćby jedno dodatkowe krzesło. Danka odetchnęła głęboko mieszaniną zapachów prażonych orzechów, kiełbasek z plantacji, przypiekanego chleba z przyprawami i dziesiątek ludzi przepływających wąskimi przejściami. Gęste powietrze wibrowało od rozmów, szelestu ubrań i szurania butów...

Danka na moment zamarła w bezruchu.

Miała wrażenie, że słyszy pieśń niewidzącej – *przyszło, mówi* – słowa zniekształcone jej dziwną wymową, tym uciekaniem sylab to w górę, to w dół.

Rozejrzała się gwałtownie, ale nie zobaczyła szamanki. Oczywiście. Kobieta nie mogła ot tak dostać się do Katowic. Zatrzymałoby ją monitorowane, wysokie na cztery metry ogrodzenie. Strażnik, który dał się przekupić, aby wpuścić ją do środka, musiał wiedzieć, że to jeszcze

może ująć mu płazem – ot, jakąś małą karą, przycięciem puli nieesen-  
cjonalnych produktów do zamówienia w kolejnym okresie dystry-  
bucyjnym. Ale wypuszczenie jej zostałoby ukarane o wiele surowiej.

Tuptuś przemalował wyznaczoną ścieżkę na intensywną czerwień  
i wypłuł przed Dankę alert:

#### BLOKUJESZ PRZEJŚCIE

Napis był równie czerwony co ścieżka i pulsował, ale Danka ledwie  
go zarejestrowała.

Adrianna, po której sześć lat wcześniej przejęła zajmowanie się  
zoną, ostrzegała ją, że ta „ryje mózg”; dokładnie tak powiedziała,  
gdy siedziały w salce konferencyjnej na piętnastym piętrze budynku  
Inspektoratu. Ale Danka się nie przejęła. W wolnym czasie grzebała  
w plotkach, legendach miejskich, historiach o duchach i – owszem,  
Hieronim miał rację – o porwaniach przez Obcych: przede wszyst-  
kim w nich, to był jej cel nadrzędny. Była odporna na dziwne rzeczy,  
a przynajmniej tak myślała do tego dnia. W tłumie i oparach pieczo-  
nego mięsa z próbówki uświadomiła sobie, że nie miała racji – bała się.  
Bała się ludzi, którzy z własnej woli przedostali się do strefy wyklucze-  
nia wokół zalewu Nakło-Chechło i zamieszkali w niej. Przyznała to  
sama przed sobą, odetchnęła głęboko i w końcu ruszyła się z miejsca.  
Podeszła do najbliższego straganu, jakby to jego wybór zatrzymał ją  
na tak długo, i kupiła rożek z kawałkami warzyw i mięsa. Trzymając  
go w dłoni, wróciła w nurt ludzkiej rzeki i przy najbliższej okazji skre-  
ciła w boczną ulicę, choć Tuptuś ostrzegał, że to nie najszybsza droga.

Danka nie szukała najszybszej drogi, a najspokojniejszej.

Myślała o ociemnionych. Gdy do jej obowiązków dołączyły wy-  
cieczki do strefy wykluczenia, oni już tam byli od kilku lat. Zaczęło się  
od niewielkiej grupy, która ubzdurała sobie, że satelita był upadłym  
aniołem wybawicielem. Do strefy dostali się, przekupując strażnika.  
Którego – Danka nie miała dostatecznych uprawnień, aby się tego do-  
wiedzieć. Czemu pozwolono im zostać? Tej informacji też nie miała;  
decyzja zapadła gdzieś wyżej i nie udało się jej odszukać. Kolejni do-  
łączali do nich później tą samą drogą i jedyną zasadą było, że kto raz

tam wszedł, już nie wychodził. Czy nowi też szukali anioła? – pytała o to przewodników, ale żaden jej nie odpowiedział. W zasadzie bardziej pasowałyby do nich nazwa „oniemiali”, jednak ktoś pracujący przed Adrianną nazwał ich ociemnionymi i tak już zostało. Tytuł niewidzącym nadała sama Adrianna. Danką jeszcze żadnej nowej nazwy nie wymyśliła, ale uważnie obserwowała mieszkańców hotelu. Stąd wiedziała, że niewidzące są ważne, stąd miała wyobrażenie o niektórych praktykach, niemniej to nadal były tylko jej domysły, nic więcej.

Zwolniła, gdy tłum wokół niej zrzęcił, a hałas stał się odległym szumem.

Ulica, którą szła, tonęła w błękitno-fioletowym świetle – w Kato nigdy nie zapadała ciemność. Od zmiernych do świtu miasto skąpane było w blasku drobnych kwiatów wspinających się po słupach i ścianach, zwieszających się girlandami z rusztowań i przewodów rozwieszonych pomiędzy budynkami. Xuě rì chū – dar od Zjednoczonych Podziałów Państwa Środka dla Miasta Ogrodów: minimalnie wymagająca w kwestii wody i gleby roślina rozświetlająca mrok. Inżynieria genetyczna tak ciężka, że w większości miejsc na świecie by na nią nie zezwolono, ale po tym, jak mityczne Stany Zjednoczone same sobie skoczyły do gardła, odpaliły lokalną apokalipsę dwa zero i przeobraziły się na ziemię nomadów, Zjednoczonym Podziałom Państwa Środka inni mogli naskoczyć. To oni pierwsi wprowadzili odgórnie sterowaną hodowlę lokalnej populacji, to oni zaczęli eksperymenty z eksmitowaniem świadomości do Okeanu. Przy tym szeruczki były niewinnym podkręceniem czegoś, na co natura wpadła sama.

Spojrzała w górę, ale pomiędzy budynkami widać było tylko wąski skrawek nieba. W Katowicach w pogodnej nocy blask szeruczek nie pozwalał się przebić gwiazdom, w pochmurne nie miał znaczenia. Pomyślała o wielkiej, otwartej przestrzeni nad zalewem. Był tak oddalony od wszystkiego, tak odgradzony i odcięty od sieci elektroenergetycznej, że niebo nad nim musiało być naprawdę ciemne, a gwiazdy tak jasne, jak pamiętała z dzieciństwa. Czy odbijały się w tafli zalewu? Chmury tego nie robiły, a Danką nigdy nie została tam do tak późnej godziny, aby się o tym przekonać, i nigdy nie zapytała o to któregośkolwiek ze strażników.

Nie miała wyrobionego zdania na temat moralności i słuszności takiej inżynierii. Dla niej, inspektora odpowiedzialnego za infrastrukturę, liczyło się, że szeruczki dawały dobre światło i nie zużywały energii z elektrowni. Z czasem miały rosnąć we wszystkich miastach podziału, ale nie była pewna, czy do tego dojdzie. Czasami ludzie protestowali przeciwko nim, upatrywali w nich przejawu tej samej pychy, której skutki zmusiły ludzkość do zamknięcia się w podziałach, i domagali się ich zniszczenia.

Trzydzieści trzy lata temu szeruczki nie pojawiły się w Katowicach bez przyczyny. Państwo Środka miało konkretny powód, żeby podarować je właśnie ich podziałowi, i ten powód leżał na dnie zalewu Nakłó-Chechło – Lán Tiāntáng, satelita telekomunikacyjny, nad którym Chińczycy stracili kontrolę i nim zdołali ją odzyskać, było już za późno. Obniżył orbitę tak bardzo, że nie byli w stanie go podnieść. Runął na Ziemię szóstego lipca dwa tysiące sto trzeciego roku i uderzył w zalew. Sześćdziesiąt dwie osoby zostały ranne. Siedemnaście nie zdążyło uciec z wody i zginęło. Ich ciała wciąż leżały na dnie. Eksperymentalne źródło zasilania satelity skaziło zalew. Black Star Resort, najlepsze, co podział mógł zaferować ludziom, którzy nie mieli dość koneksji i statusu, aby marzyć o wyjechaniu za granicę, zamknięto i wytyczono wokół niego strefę wykluczenia. Potem były przeprosiny, kajanie się, zapewniania o pomocy, kwiaty i cisza. Nic więcej.

Trzydzieści trzy lata później mało kto wspominał tamte wydarzenia. W okolicy nie było żadnych przystanków, w mediach nie przywoływano rocznie katastrofy, aby nie budzić zainteresowania, nie dawać podstaw do pytań i snucia niestworzonych teorii. Na mapach satelitarnych teren wokół zalewu opisany został jako placówka badawcza. Ładna etykieta, która nie wzbudzała podejrzeń. Ale Danką wiedziała, jak to wygląda w środku. Ona, garstka strażników, pracowników Inspektoratu i kilku innych jednostek odpowiedzialnych za funkcjonowanie infrastruktury podziału wiedzieli, że nie prowadzi się tam żadnych badań, a jedynie dokładnie monitoruje skład gleby wokół zbiornika, gdyby wbrew zapewnieniom Chińczyków coś zaczęło się do niej przedostawać, bo w służbach nikt nie wierzył w bajkę o „satelicie telekomunikacyjnym”. To było coś więcej, satelita szpiegowski,



militarny, jakaś broń? Jednak w imię dobrych stosunków, w duchu zaufania i transparentności jeszcze z Zamknięcia, nawet po tylu latach nie próbowano wyłowić jego szczątków. Po prostu pilnowano granicy i...

– Zoo szaleńców – szepnęła i odwróciła wzrok od kwiatów.

Było późno, a ona przed powrotem do domu musiała jeszcze dostarczyć wpinacz pamięci do biura.

\*\*\*

Stała z kubkiem pobudzającego naparu przed terminalem i patrzyła, jak dane powoli przegrywają się do baz Inspektoratu Infrastruktury. Biuro było puste, światła zgaszone, wspinające się po ścianie przeciętego budynku szeruczki zalewały pomieszczenie błękitnofioletowym blaskiem, wentylacja szumiała równomiernie i to uspokajało Dankę. Pierwszy raz, od kiedy opuściła zonę, jej myśli były klarowne i nie wracały raz za razem do niewidzącej, a zamiast tego snuły się po prostych sprawach. Wystawieniu zamówień na esencjałki, bo już dwa razy przegapiła datę i gdyby nie Arek, to nie mieliby co jeść i...

Drgnęła wystraszona.

Napar przelał się przez krawędź kubka.

Sparzona dłoń puściła naczynie.

Danka krzyknęła.

Kubek z brzdękiem uderzył o podłogę i potoczył się po niej.

A przynajmniej taka była logiczna kolejność wydarzeń uwieczniona w logu, bo dla Danki wszystko wydarzyło się jednocześnie. Medical wyrzucił jej dwa ostrzeżenia i jeden alert oraz zasugerował ćwiczenie oddechowe, którego nie wykonała.

– Sorry...?

Danka patrzyła na stojącego nieopodal mężczyznę zaskoczona – nie zauważyła go wcześniej. Eryk opierał się o oksydowaną ścianę. Musiał zadzierać głowę, aby patrzeć Dance w oczy – on karakan metr czterdzieści siedem w butach, ona sto dziewięćdziesiąt trzy nawet na bosaka.

– Myślałem, że usłyszałaś otwierające się drzwi – dodał.

Nie usłyszała. Była przekonana, że jest na piętrze sama, a potem

nagle zobaczyła go w kącie pola widzenia i przypomniała sobie o dziewczynce z Tysiąclecia, o piwnicach, ciemności i na ułamek sekundy ją to sparaliżowało.

– Eryk – szepnęła złowrogo.

– Przepraszam. Jakbym wiedział, że tak odpłynęłaś, to bym wysłał najpierw priwa, ale... – Westchnął ciężko, jakby to miało wszystko wyjaśnić. – W porządku?

– Tak. Tylko prawie wyzionęłam ducha – mruknęła, po czym powoli schyliła się po kubek i z całej siły zacisnęła na nim dłoń, ale ceramika ani myślała się poddać. Świat miał się skończyć, a ten kubek miał to przetrwać w imię zasady „róbmy raz, a dobrze”. – Co ty tu robisz?

– Tajne łamane przez poufne – odpowiedział, wyraźnie starając się zrobić to na luzie, ale Danka nawet bez pomocy suflera wychwyciła ostrą nutę w jego głosie. Nie była tylko pewna, czy to bardziej strach, czy złość. – Oraz czy ty w ogóle zaglądasz do swojego inboksa?

Zajrzała do niego od razu. Czekają na nią siedemnaście wiadomości, z czego jedenaście puścił jej Eryk. Wszystkie utknęły tam w przeciągu ostatnich trzech godzin, gdy wracała znad zalewu.

– Właśnie, byłaś w terenie? – skomentował jej milczenie. Patrzył na nią uważnie, szeruczki malowały jego twarz w barwną maskę, jakby cała była dynamicznym tatuażem. – Pojechałaś na Chechło?

Przytaknęła i Eryk skrzywił się paskudnie, a może skrzywił się normalnie i tylko półmrok oraz szeruczki wyostrzyły jego rysy, dorysowały linie tam, gdzie naprawdę ich nie było, a resztę zrobiła wyobraźnia Danki?

– Jeszcze tego nie rzuciłaś?

– A miałam?

– Nie szkoda ci czasu na robienie za gońca?

Nie, nie było jej szkoda, zwłaszcza że zwykle załatwiała po drodze inne sprawy, ale pytanie Eryka przypomniało jej o tym, co kilka godzin wcześniej mówił Hieronim.

Dlaczego ciągle nie wpięto zony z powrotem do monitoringu podziału?

I o wcześniejszym narzekaniu babci Irenki – że to marnotrawstwo, że mogły się spotkać w wirtualu i dlaczego ktoś w ogóle na to pozwala.

Danka nie tłumaczyła jej, że nie da się inaczej. Że przez lata zamknięcia sprzęt w zonie stał się niekompatybilny i trzeba by go najpierw zmodernizować, a przynajmniej wgrać mu nowy soft, aby można było zdalnie zbierać dane z okolicy Black Star Resort. I że są rzeczy, do których nie weźmie się firm trzecich. Piękny zryw, który doprowadził do Zamknięcia, transparentność, idee, które wpajano babci, od kiedy tylko rozumiała, co się do niej mówi, już nie były takie oczywiste. Niektórzy nie rozumieli tej potrzeby, konieczności, która zmieniała świat. Chcieli czegoś więcej – *carpe diem*, krzyczeli – i dla dobra wszystkich innych lepiej było, aby tacy jak oni nie dowiedzieli się, co przyjedzie następnym składem z MPL, którądy głęboko pod ziemią biegnie magistrala i co jest w zonie. Niektóre informacje musiały pozostać pod ścisłą kontrolą, ale gdy teraz o tym myślała, nie mogła oprzeć się podejrzeniu, że w Inspektoracie znalazłoby się dość techników, aby unowocześnić Black Star Resort bez angażowania kogokolwiek z zewnątrz. A jak nie w nim samym, to w innych jednostkach. Choćby w Sztolniach. Naprawdę można było to zorganizować, ale tego nie zrobiono, bo...

– Danka? Tu Ziemia. Wiem, że wolałabyś starożytnych albo nowożytnych kosmitów, przybywających, aby nas ocalić, ale byłoby fajnie, jakbyś posłuchała. O. Mam cię? Gdzie cię porwało?

– Dlaczego?

– Dlaczego nie kosmici? Bo oni nie istnieją, a jak są, to daleko –

– To, co powiedziałaś...

– O kosmitach?

– Nie!

– Ta rozmowa zaczyna przypominać rozmawianie z moim pięcioletnim kuzynem i –

– Eryk, kurwa, to, co powiedziałaś – przerwała mu ponownie. – Że nie szkoda mi czasu. Nie szkoda mi. To nie jest tak daleko. To nie granica podziału, ale nie ściągamy stamtąd danych przez Okean, bo...? – Zawiesiła głos, łudząc się, że Eryk poda jej na tacy jakąś dobrą odpowiedź, którą przeoczyła, ale on milczał. – Musi być jakiś powód, czemu nie zadbano, aby dane płynęły do nas normalnie...

– Skąd mam wiedzieć? Serio – prychnął. – To jest sprawa Serwisu, nie twoja. Kiedyś napytasz sobie biedy, wściubiając nos w nie swoje

sprawy. Mnie chodziło o twój czas i to, ile go spędzasz na takich wycieczkach zamiast na przykład w domu.

– Arek cię nastął?!

– Nie, ale pewnikiem chciałby to zrobić. – Zanim zdążyła powiedzieć, że może jednak faktycznie zaraz da mu w pysk, odezwał się znowu: – Wracając do tego, dlaczego tu jestem. Tajne przez poufne oraz jak brzmi twoja odpowiedź na moje wiadomości?

Zerknęła inboksa – zaproszenia na piwo.

Do Chodniczka.

\*\*\*

Wejście do Chodniczka zawsze było dla niej przeżyciem. Krótki komunikat na chwilę przesłaniał świat, informując, że jeśli zdecydujesz się zejść do lokalu, to nastąpi całkowite odcięcie od Okeanu. Nie takie, jak w niektórych budynkach, gdzie w ramach bezpieczeństwa blokowano większość komunikacji, ale pozostawiano dostęp dla medycala i alarmów. Tu odcięcie było pełne. Danka nie miała pewności, czy coś takiego jest w ogóle legalne, i czasami kusiło ją, żeby poszukać, kto jest właścicielem kamienicy, dowiedzieć się, jakie ma plecy, ale nigdy tego nie zrobiła. Wbrew czarnowidztwu Eryka wiedziała, kiedy przestać wściubiać nos w nie swoje sprawy. Poza tym szemrane interesy jej nie interesowały, szukała czegoś innego. Odetchnęła głęboko, wciąż stojąc na szczycie schodów, i zrobiła pierwszy krok w dół. Informacyjna cisza spadła na nią nagle – była jak uderzenie pioruna, chwila oślepienia, gdy znikaty pootwierane w wirce czaty, trackery i newsfeedy, a po niej następował wstrząsający do szpiku kości huk rozsadzającego spokojne myśli FOMO. Musiała przystanąć i mocno chwycić się poręczy, aby nie spaść.

Lokal był pełen ludzi w większości ubranych w grafitowe standardy urozmaicone paskami, szarfami, wstążkami i modnymi ostatnio siateczkami holo. To sprawiało, że z wysokości półpiętra schodów sala wyglądała jak kwitnąca islandzka plaża – a przynajmniej tak, jak ją pokazywano na immersyjnych symulacjach. Danka nigdy nie była na Islandii. Nigdy nie opuściła granic podziału Kato i choć znała aż dwie osoby, które to zrobiły, żadna z nich nie odwiedziła tej konkretnej

wyspy, więc jeśli ktoś przekłamywał jej wygląd w Okeanie, to nie miała jak tego zweryfikować.

Wypatrzyła wolne miejsce nieco na uboczu, w kącie niedaleko przejścia do kuchni, i pociągnęła Eryka w jego stronę. Chwilę później przy ich stoliku zjawił się kelner. Prawdziwy człowiek, nie aplikacja barowa, nie wirtowy sym. Podeszedł do nich odebrać zamówienie i wrócił po dłuższej chwili. W tym czasie Eryk wypytywał ją o Arka, o książki, o pierdoły i z każdą mijającą minutą Danką z coraz większym trudem powstrzymywała się od lekkiego przytupywania. Byli w Chodniczku. O książkach i znajomych mogli rozmawiać w dowolnej, położonej znacznie bliżej Inspektoratu knajpie, ale przyszli do informacyjnego bunkra. Na zewnątrz świat mógłby się skończyć, a nikt ze znajdujących się w Chodniczku gości nie miałby o tym pojęcia, dopóki nie wyszedłby na ulicę.

– Cały stół się trzęsie.

Przewróciła oczami. Kelner znalazł się przy nich z dwiema szklankami lokalnego piwa – chmiel lokalny, woda lokalna, wszystko lokalne, z KK101, jak pan Bóg i matka Ziemia przykazywali, żadnych pozapodziałowych fajerwerków, samo dobro – i miską przekąsek. Nim odszedł, Eryk zdążył już pociągnąć solidny łyk, Danką nie. Wzięła szklankę do ręki, ale się nie napiła. Patrzyła na Eryka tak, jakby błękitne paski, które tego dnia dodał do swojego standardowego stroju, były czymś najciekawszym na świecie, jakby sama nie miała bardzo podobnych w szufladzie w domu, jakby jego paski były inne niż te należące do kogośkolwiek innego w Chodniczku. Nie były, Eryk dostosowywał swój standard zupełnie bez polotu – jeden kolor, jeden motyw przewodni. Dziś były nim poczwórne zestawienia, na nadgarstkach, w pasie i nie musiała patrzeć, aby być pewna, że na nogawkach również.

– Więc? – Wzrok Danki koncentrował się na nim i wszystko inne było nieco rozmyte, mniej ważne. – Czemu tu przyszliśmy?

Eryk pracował w miejscu, do którego spływała każda ważna informacja z podziału i spoza niego. W Sztolniach. Niektórzy traktowali je jako jeszcze jeden urząd, inni opowiadali o nich niesamowite historie. Z centrum przetwarzania i magazynowania danych tworzyli jednostkę zajmującą się wszystkim tym, co brzmiało najstraszniej dla

człowieka, który akurat mówił. Danka podejrzewała, że jest w tych wymyślonych historiach nieco prawdy, bo gdyby Eryk jedynie dbał o to, żeby dane były przechowywane bezpiecznie, to nie miałby powodów przychodzić czasami do Inspektoratu i nie musiałby się zaskaniać tajemnicą. Nigdy nie powiedział tego wprost – pewnie nie mógł, tak jak ona o wielu rzeczach nie mówiła nikomu – lecz Sztolnie robiły rzeczy, które utajniano. Danka była ich cholernie ciekawa, ale nie była tak szalona, żeby o nie pytać. Czasami jednak Eryk sam z siebie podrzucił jej informacje, rzeczy, na które może wpadłaby sama, lecz on wiedział o nich szybciej. To dzięki niemu trafiła na trop zniknięć ludzi na Lipinach. To od niego pierwszy raz usłyszała o dziwnych światłach nad górami w okolicy Żywca i o anomalii na trasie do Jaworzna. A teraz wysłał jej jedenaście wiadomości z pytaniem, czy się z nim spotka. W Chodniczku – nie mogło chodzić o książki i Arka.

– Gliwice się odezwały.

Na chwilę jakby cały gwar w Chodniczku zniknął.

Gliwice. Nie chodziło mu o miasto – wiedziała to od razu. Mówił o starej wieży radiowej. A raczej jej rekonstrukcji, bo oryginał spłonął w dwa tysiące dwudziestym siódmym, ale odbudowano ją w sześćdziesiątym dziewiątym, w pierwszą rocznicę likwidacji Internetu i pełnego przejścia na Okean, jako jeden z symboli tego, jak technologia łączy ludzi. Ponad stumetrowy maszt z prawdziwego drewna wznosił się na niewielkim kawałku zachowanej w okolicy zieleni i na początku stanowił atrakcję. Z czasem zaczęły krążyć o nim plotki i to one zwróciły uwagę Danki. Ponoć wieża nadawała, ale nie wewnątrz Okeanu i nie ciągle. Odzywała się raz na kilka, kilkanaście lat, a ci, którzy mieli dostęp do archaicznych odbiorników radiowych i odważyli się wysłuchać jej do końca, znikali – choć na to ostatnie Danka nie znalazła dowodów. Ale audycje istniały. Niełatwo było trafić na ich nagrania, jednak miała dwa w swojej kolekcji. Brakowało jej za to wskazówki, jakim cudem wieża w ogóle nadawała. Budynek z aparaturą nadawczą również spłonęły i nigdy ich nie odbudowano. Jeśli ktoś włamywał się co ileś lat i instalował nadajnik, to już dawno by go znaleziono. Chyba że nadajnik był tam, ale zamaskowany lub tak inny od wszystkich ludzkich technologii, że nie umieli go rozpoznać – pozaziemski. Tylko że Danka nie znalazła

żadnych doniesień o włamaniach na teren wieży, żadnych plotek o UFO i tajemniczych światłach w tamtej okolicy. To oczywiście nie znaczyło, że Obcy tam nie zawitali, ale podchodziła do tego pomysłu z dużą rezerwą. Z drugiej strony Obcy pasowali do tego, jak wieża nadawała. Na Ziemi był Okean. Fale radiowe odesłano do lamusa, nie potrzebowano ich na co dzień, ale Wszechświat był obojętny na zdobycze technologii jednej cywilizacji z małej planety na orbicie niepozornej gwiazdy i w nim fale radiowe ciągle były niegłupim wyborem.

Danka poczuła motyle w brzuchu.

– Kiedy?

– Dziś koło południa.

A Eryk o tym wiedział, bo siedział w Sztolniach, a Sztolnie nasłuchiwały, bo ta technologia była tak stara i zapomniana, że Danki nie zdziwiłoby, gdyby jacyś zwolennicy otwarcia i carpediemowcy postanowili ją wykorzystywać do komunikowania się ze sobą. Odetchnęła głęboko, aby opanować podekscytowanie.

– Co nadają?

– Bełkot, który próbują rozszyfrować chłopaki ze sto siedemdziesiątego metra. Jeśli masz stare radio, to możesz posłuchać. Na pewno będzie u ciebie odbierało.

Dlatego mógł jej o tym powiedzieć; transmisja nie była tajemnicą, a ona nieraz obiecywała, że zacznie sama nasłuchiwać, ale tyle było innych, pilniejszych rzeczy.

– Szlag! Ciągle nie przywiozłam radia z Orzecha, a byłam tam dzisiaj rano, przed wizytą w zonie – wymruczała bardziej do szklanki niż Eryka. – Być tam dzień po dniu to przesada. Musiałabym odczekać przynajmniej trzy, cztery dni albo pojechać do Orzecha prywatnie... Jak myślisz, ile będą nadawały?

Wzruszył ramionami, jego okrągła twarz wykrzywiła się w grymasie mówiącym: a co ja, wróżka? I miał rację – transmisje, które znała, trwały od dwóch do dziesięciu dni.

– Możesz wpaść do mnie – zaproponował.

– Dzisiaj?

– Zanim dojedziemy będzie już po wyciemnieniu, a ja nie mam żadnej baterii do mojego radia. Jutro?

Obudziła się obolała. Powidok jej snu był ciągłym pędem, ale leżąc w łóżku i wpatrując się w ciemność, nie mogła sobie przypomnieć, co takiego goniła. A może uciekała? Zakryła oczy przedramieniem. Goniła czy uciekała? Jakże to miało znaczenie? Kiedyś wnikliwie analizowała sny. Przestała, gdy zbyt wiele razy okazały się jedynie przemienieniem rzeczywistości i niczego wartościowego o niej nie mówiły.

W salonie mrucało łóżko immersyjne Arka, ale to było za mało, aby usnąć ja ponownie. Odetchnęła głęboko i wstała najciszej, jak potrafiła. Automat doręczył jej zostawioną przez Arka wiadomość, ledwie Danka przekroczyła próg kuchni:

#### MASZ ŚNIADANIE W IZOTEKMIKU (♡)

Uśmiechnęła się – w ostatnich miesiącach Arek pracował po drugiej stronie świata, całe noce spędzał w pełni zanurzony w Okeanie i odsypiał w ciągu dnia, a mimo tego lepiej niż ona pamiętał, do kiedy trzeba złożyć do Centrum Zaopatrzenia zapotrzebowanie na esencjałki, a do kiedy na rzeczy mniej potrzebne, ale bardzo miłe. Jej to zupełnie uciekało, choć w przeciwieństwie do większości mieszkańców podziału wiedziała, kiedy przyjeżdżają dostawy z zewnątrz. Może gdyby powiedziała mu kiedyś, że musi przywieźć radio, to ustawiłby jej odpowiednie przypomnienie. Albo zaczęłyby się martwić, wyżalił się Erykowi i teraz nie dowiedziałyby się, że Gliwice nadają.

Z pojemnikiem w ręce usiadła na parapecie i spojrzała w ciemność w dole, a jej myśli uciekły ku gliwickiej wieży.

Wywołała katalog z notatkami i półprzezroczyste okna zawisły przed nią.

Wykolejenie PLS 5445-49-5 w sto osiemnastym – skład wyleciał na nowym, sprawdzonym odcinku torów – to była wina oprogramowania. Błąd siedział bardzo głęboko, ileś wersji systemu wstecz, w innej epoce, i czekał. Danka zaczynała pracę w Inspektoracie Infrastruktury, kiedy to się stało, miała dostęp do danych z pierwszej ręki, początkowo nawet nie traktowała tego zdarzenia jak czegoś pasującego do jej kolekcji



– dopiero gdy pojechała na miejsce i usłyszała ludzi zarzekających się, że to na pewno był zamach. Czyj? Sąsiedniego podziątku, odległej potęgi, carpediemowców – każdy mówił co innego. Inni za to upierali się, że tory zbudowano na dawnym cmentarzu i wypadek był karą za to.

Spojrzała w stronę okna, ale w ciemności zobaczyła tylko swoje niewyraźne odbicie.

Sprawa pociągu była prosta, czysta. Sprawa dziewczynki z Tysiąclecia zapadła Dance w pamięć zupełnie inaczej. Ciemne piwnice, plotki o brutalnym mordzie na dziecku i duchu snującym się między budynkami, straszącym tych, którzy zatopieni myślami w Okeanie szli szlakiem Tuptusia i nie zwracali na nic uwagi. Ludzie kierowali ją do piwnic, w zakamarki pomiędzy budynkami, nieciekawe miejsca, w których czas się zatrzymał. Spędziła wiele wieczorów, przechadzając się w blasku szeruczek i nasłuchując, ale nigdy niczego nie usłyszała ani nie zobaczyła. A prywatnymi kanałami dowiedziała się, że w tamtym okresie nikt nie zgłosił zaginięcia dziecka.

Wzdrygnęła się. W pokoju nie zrobiło się ani ciemniej, ani zimniej, ale Dankę i tak przeszedł dreszcz.

Niczego nie znalazła, za to co nasłuchiwała się wiatru wyjącego na rynnach, szelestów w ciemności, ile cieni zobaczyła tam, gdzie szeruczki nie sięgały – niewiele brakowało, a wycofałaby się, nie przeszukawszy wszystkich piwnic. Bardziej nieprzyjemne były tylko zaginięcia na Lipinach – zależnie kogo się słuchoło, porywali Obcy albo rząd. Do eksperymentów, aby pozyskać organy albo w ramach sterowania społeczeństwem. Po ponad tygodniu podpytywania, szukania w Okeanie i poza nim, po tym, jak na pamięć nauczyła się nierówności niektórych ulic, była pewna, że będzie jak z duchem dziewczynki. Ktoś powiedział, że kogoś znikło i wielka sprawa, a tak naprawdę ten ktoś dostał nowy przydział mieszkania i bez słowa zmył się ze starej okolicy. Myliła się. Wpadła na ślad handlu ludźmi i w tym momencie przekazała informację odpowiednim służbom. Naprawdę wiedziała, kiedy odpuścić.

Przy tym wybuch na Karbie, który sprawił, że runęły ostatnie stojące tam jeszcze budynki, był niegroźny – dla niej. Tak, mogła skrócić kark, chodząc po rumowisku, ale to tyle. Jedni mówili o wygłupach,

inni o tajnym laboratorium; ci drudzy mieli rację, jednak dla Danki było to rozczarowujące – laboratorium nie należało do kosmitów, nieznaney rasy spod ziemi ani nawet do carpediemowców. Było częścią Sztolni: powiedziano jej to wprost i to był ten jeden raz, gdy może odrobinę za bardzo wściubiła nos w sprawy, które nie powinny jej obchodzić. Uśmiechnęła się sennie. Miała w tym katalogu jeszcze wiele innych legend miejskich oraz teorii spiskowych, którymi zajmowała się przez lata.

I była tam również gliwicka wieża radiowa.

Ten folder zawierał jeden plik notatek, kilka zrzutów artykułów i dwa pliki audio. Oba podobne do siebie, kilkuminutowe transmisje chóru głosów śpiewnie recytujących zakodowaną wiadomość. Eryk powiedział, że w Sztolniach próbują złamać ten szyfr, ale co, jeśli to nie był szyfr, nie taki, jak myśleli, nie ludzki, a coś więcej?

Eryk mógł się śmiać, że Danką szuka starożytnych kosmitów, lecz dla niej nie było w tym niczego zabawnego. Jeśli Obcy naprawdę nie istnieli, to znaczyło, że cywilizacja ludzka pozamykana w stworzonych przez nią samą klatkach, mających powstrzymać ją przed dalszym kłusaniem jedynej dostępnej im planety, była najlepszym, co Wszechświat miał do zaoferowania. Ta myśl przerażała Dankę.

Otworzyła kalendarium. Kolejne transmisje miały miejsce sześćdziesiąt pięć, pięćdziesiąt cztery, trzydzieści, osiemnaście i siedem lat temu. Wydawało się, że występowały coraz częściej, ale Danką wiedziała, że to może być tylko złudzenie. Wielu początkowych, z okresu, gdy plotka była najsilniejsza, mógł nikt nie słuchać. A jeśli słuchał, to nie przyznał się do tego nigdzie w Okeanie. Oparła głowę o szybę i puściła pierwsze audio bezpośrednio na styk w swojej głowie. Zadrżała, gdy rozległ się chór głosów.

*użinhłocietadziangciągsu...*

Nie recytowali wspólnie, a raczej grupami, jedni przez drugich. Jeśli to było przesłanie od ludzi dla ludzi, to jak ktoś miał się w tym odnaleźć? Może należało mieć filtr na styku, wyławiający tylko konkretny przedział częstotliwości głosu? Może Adam lub Ela napisali-by jej taki, gdyby zapłaciła. Tylko to zajęłoby sporo czasu i powinna

była zwrócić się do nich wcześniej, tak jak wcześniej powinna była przywieźć radio i...

– Zobaczysz ty... ty... jeszcze tego pożałujesz! – Wrzask dobiegł zza okna.

Wciąż trwało zaciemnienie i ani na ulicy, ani w żadnym z okien przeciwległego budynku nie paliło się światło. Jedyne blask znad Katowic odbijał się od chmur i rozrzedzał nieco ciemność. Tylko dlatego Danka była w stanie dostrzec kobietę miotającą się od krawężnika do krawężnika i wygrażającą komuś. Nie wyglądała jak pijana, ale może dorwała się do czegoś innego. Może nawet przyrzadziła to sama. Mogli pilnować granic między podziałami, jak bardzo chcieli, jednak taki towar zawsze znalazł sposób, aby się przedostać. A może oszalała? W religijne opętania Danka nie wierzyła, a o cyfrowych krążyły jedynie plotki. Historie, że eksperymentalnie zmigrowane do Okeanu świadomości próbowały wrócić do biologicznych ciał, ale żadnych dowodów na to nie było.

– Jestem Bogiem i zobaczysz, do trzydziestego grudnia wykończę cię!

Wiedziała, że kobieta nie będzie w stanie jej zobaczyć w ciemnym oknie budynku, a i tak odsunęła się o pół kroku. Czekwała. Minutę, tyle zajęło patrolowi dotarcie na miejsce. Najpierw pojawił się dron i oświetlił ulicę snopem białego światła, od którego Dance załzawiły oczy, ale kobiety w dole nie powstrzymało to od rzucania kolejnych gróźb. Krzyczała dalej, dopóki dwóch funkcjonariuszy nie zapakowało jej do furgonetki. Jeszcze przez chwilę Danka miała wrażenie, że słyszy jej wrzaski, coraz mniej sensowne, bardziej bełkotliwe, pocięte na sylaby, poszarpane, śpiewne. W kącie pola widzenia rozpało się jej czerwone okienko alertu medicala, bardziej centralnie wykwitł błękitny pąk. Trwał tam, póki nie wzięła głębokiego wdechu – płatki rozwinęły się, przesłaniając większość maleńkiej kuchni, wydech – pąk zamknął się powoli, wdech...

DANKA, WSZYSTKO W PORZĄDKU?!

Zakłębąby, gdyby miała na to powietrze. Ostrzeżenie nadal było czerwone i po rozwinięciu na pewno okazałoby się, że w co najmniej

kilku kategoriach przekroczyła normy. To dlatego medical zaalarmował także Arka. Piekielna przewrażliwiona appka. Danka musiała zrobić jeszcze kilka spokojnych oddechów, zanim zdołała odpisać na priwa.

NIC, JAKIEŚ ZAMIESZANIE NA ULICY.

NA PEWNO?

TAK, NIE WYLOGOWUJ SIĘ. JA WRACAM SPAĆ.

\*\*\*

Tym razem Eryk nie grał na zwłokę, nie pytał o życie, o Arka, o pracę, o nic, tylko od razu zaprowadził ją do niewielkiego salonu. Radio już stało na stole. Małe, zrobione z plastiku, którego wytwarzania zaniechano w latach czterdziestych ubiegłego wieku. Bardziej pasowało do muzeum niż do nowoczesnej jedyńki.

Wskazał jej krzesło, a sam usiadł na drugim. Uruchomił urządzenie i pokój zalał przeplatany trzaskami chór głosów ni to śpiewających, ni recytujących. Dźwięki nakładały się na siebie, zlewały jedno w drugie, chowały za sobą i to, co słyszała Danka, nie miało sensu, ale było też zbyt zorganizowane, aby puścić mimo uszu. Wrzynało się w myśli i wymuszało skupienie. Napędzało paraeidoliczne skłonności mózgu.

– I jak?

– Mam dreszcze – przyznała szeptem. – Z jednej strony brzmi to zupełnie obco, nieludzko. Z drugiej jest w tym coś znajomego... – Kolejne słowa utknęły jej w gardle.

*jhłimóhłaszeng...*

Słyszała to już.

W nagraniach poprzednich transmisji?

Nie. Tamte były podobne, ale nic więcej – wiedziała, jeszcze zanim

zapytała, tylko nie zdawała sobie z tego sprawy. Szukała tych nie-słów i melodii w tym, czego słuchała poprzedniej nocy, a one były znacznie bliżej i uświadomienie sobie tego pozbawiło Dankę tchu.

Wiedziała, co usłyszy zaraz.

*...jinprzybęłomen...*

My, pomyślała.

*...mydaotomyhłiczidaao...*

Dokładnie to wyśpiewywała niewidząca!

*...mówimenprzyszło...*

To była ta sama melodia!

Czy te same nie-słowa? Nie pamiętała dokładnie pieśni niewidzącej. Czy to były ciągle te same zapętlone dźwięki, czy coś się zmieniło? Dlaczego tego nie nagrała?! Była wściekła na siebie i ta wściekłość zacisnęła jej dłonie w pięści, medical podesłał alert i zasugerował ćwiczenie oddechowe. Spróbowała je wykonać.

– Danka?

Podniosła rękę, aby zamilkł. Słuchała uważnie, jeszcze łudzac się, że może się myli, że może pieśń jest tylko podobna, ale nie.

– Danka? Wszystko w porządku? Hej. Jesteś blada. Chcesz się położyć?

– Powinam się zbierać... do domu.

– W tym stanie? Po moim trupie. Dam znać Arkowi, a ty się połóż.

– Nie. Niech śpi, ale to dalekimi skojarzeniami przypomniało mi, że wczoraj obiecałam babci wysłać jedną rzecz i zapomniałam na śmierć. Poza tym... wiesz, słuchałam nagrań, ale może one były nieco oczyszczone z trzasków czy coś. To teraz było inne, mocniejsze. – Roześmiała się i niemal zakrztusiła. – Muszę się przewietrzyć. Dzięki!

Dopiero trzy przecznice dalej szum przestał wypełniać jej uszy, a ona sama była w stanie zwolnić. Cud, że nie potknęła się o własne nogi i że nikt jej nie zaczepił, nie zapytał, co ćpała, bo tylko to mogłoby wyjaśnić jej zachowanie. Zatrzymała się. Rozejrzała. Nie widziała i nie słyszała nikogo, a Tuptuś nie identyfikował żadnej osoby

w promieniu stu metrów. Oparła się o ścianę najbliższego budynku i usztywniła kolana, aby nie osunąć się na ziemię.

Musiała wrócić nad zalew i musiała mieć swoje radio.

\*\*\*

Arek nie spał. Powinien, ale gdy wchodziła do mieszkania, wyszedł jej na powitanie. Jedyne światło w korytarzu pochodziło od łóżka immersyjnego w salonie. Seledynowe panele stanu czuwania zalewały podłogę zimnym blaskiem, który wyostrzał cienie, podkreślał worki pod oczami i opuszczone kąciki ust. Danka nie musiała pytać, co się stało. Wiedziała.

– Eryk przesadza. – Spróbowała się uśmiechnąć uspokajająco. Spacer i trzy stacje przejechane pociągiem pozwoliły jej zapanować nad strachem i podekscytowaniem, których mieszanka wytrąciła ją z równowagi. Poukładała sobie myśli, priorytety, stworzyła nawet krótką to-do listę. – Nic mi nie jest.

Arek nie odpowiedział, ale do inboksa wpadła jej wiadomość od niego. Danka znajdowała się w niej tylko w cc, bo treść była dla Eryka: WRÓCIŁA BEZPIECZNIE.

– Dopisz mu, że przepraszam, że go wystraszyłam.

Przytaknęła. Znów dał Dankę w cc; tym razem nawet nie zajrzała do środka. Zzula buty i przemknęła do kuchni. Był środek dnia i mogła pojechać do biura, ale miała wystarczająco dużo rzeczy, które mogła zrobić zdalnie, po szyfrowanym połączeniu, żeby zostać w domu. Babcia byłaby dumna, pomyślała i roześmiała się. Za jej plecami Arek mruknął pytająco.

– Babcia Irenka mi się przypomniła. Popracuję dzisiaj z domu, powinna być zadowolona. – *Zwłaszcza że jutro, może pojutrze znów ją odwiedzę i wtedy zadowolona na pewno nie będzie*, tego Danka nie powiedziała na głos. – Idź spać. Wyglądasz, jakby cię z trumny wyjęli.

I to nie było przesadą. Od kilku miesięcy Arek pracował zdalnie dla SEPSCO IX. Logował się koło szesnastej, siedemnastej i spędzał w pełnej immersji kolejne osiem, dziesięć, czasami nawet dwanaście godzin, wychodząc tylko, żeby coś zjeść, a i to nie zawsze. Światła dziennego nie widywał, chyba że w postaci specjalnej lampy w sypialni, choć

nie była pewna, czy z niej korzystał. Wyrwany ze snu o dwunastej był szarą zjawą w korytarzu.

– To, co teraz będziesz rozszyfrowywała, to coś bieżącego?

Spojrzała na niego przez ramię.

– Co ci powiedział Eryk?

– Nie pytałem. Powinienem?

– Nie. Tak. Coś bieżącego i trochę mnie poniosło, ale... – Kłasknęła.

– Na pewno nie chcesz wrócić spać?

Nie odpowiedział. W milczeniu wybrał na podajniku dwa kubki pseudokawy, jeden podał jej, a z drugim usiadł przy małym stole pod ścianą. Przez wychodzące na podwórze okno wpadało nieco cieplejszego światła, ale nie sprawiało to, że Arek wyglądał jakoś dużo lepiej. Nadal miała ochotę spróbować go przekonać, aby wrócił spać. Wtedy usiadłaby koło niego na łóżku i pogрузzyła się w pracy. Z drugiej strony wciąż słyszała w myślach echo transmisji z radia i pieśni niewidzącej. Gdy nie skupiała się na niczym dostatecznie mocno, to one atakowały ją i porywały jej myśli. Opowiedzenie komuś o tym mogło pomóc. Nie musiało, ale mogło, a ona potrzebowała skupić się na pracy, aby nie złapać tyłów, skoro zamierzała znów stracić niemal cały dzień na pojechanie na Chechło i do Orzecha. A jeśli komuś miała o tym mówić, to Arkowi. Jemu lub Erykowi.

– Słyszałeś kiedyś o wieży radiowej w Gliwicach?

Wzruszył ramionami, co odczytała jako coś, gdzieś, kiedyś, choć przecież nie mieli do niej daleko. Ot, wycieczka, tylko że Arek był typem przykładowego obywatela, jakich szanowała babcia Irenka: siedział na rzyci, jeśli mógł, a mógł, bo miał pracę w stu procentach zdalną – coś, co dla czterdziestu procent mieszkańców ich podziału wciąż było nieosiągalne. Plany, te mniej publiczne, nie ogłaszane w feedzie, nie podkładane pod nos ludziom, mówiły, że potrzeba jeszcze co najmniej dwunastu lat, zanim wszyscy mieszkańcy będą mogli bez straty ograniczyć się do poruszania się tylko w obrębie swoich submiast i wtedy może uzbiera się dość zapasu komunikacyjnego, aby przywrócić dalsze podróże.

A może nie.

– A o radiostacjach numerycznych?

Pokręcił głową, cienie przesunęły się po jego twarzy i Danka zaważała się na tyle wyraźnie, że Arek zmarszczył brwi i skinął na nią, zachęcając, by mówiła dalej.

– W Gliwicach jest nieczynny nadajnik radiowy. A raczej sama wieża, na której był nadajnik, zanim spłonęła, bo to, co tam jest teraz, to rekonstrukcja... – zaplątała się i pewnie Arek zdążył już wyłowić z Okeanu całą historię gliwickiego nadajnika, ale mówiła dalej: – Jest taka legenda miejska, że ona jednak czasami nadaje i są to zapętłone, niezrozumiałe komunikaty na falach krótkich. Chodzi o fale radiowe. Na takich kiedyś nadawały stacje numeryczne, które przekazywały zakodowane wiadomości szpiegom. I faktycznie Gliwice coś nadają. Wiedziałam o tym. Mam dwa stare nagrania i znalazłam wzmianki o innych, ale teraz, dzisiaj u Eryka, pierwszy raz słyszałam je na żywo. Znowu nadają, a to, co nadają... Albo ktoś się wygłupia i nadaje bełkot, albo to jakiś szyfr... Inna rzecz, że nadal nie wiem, jak ta wiadomość się dostaje do nadajnika.

Pomimo zaspania Arek spojrział na nią uważnie ponad kubkiem. Danka zaklęła w myślach. Chciała go uspokoić, tylko że szyfry absolutnie nie brzmiały jak coś bezpiecznego.

– Nigdzie nie będę włąziła. Może pojedę do Gliwic, pod wieżę, nic więcej. To bardziej siedzenie na dupie i analizowanie. Nie jak Lipiny. Naprawdę.

– Tylko uważaj.

– Będę. Zresztą prawdopodobnie to jednak bełkot, bo wielka teoria spisku trochę tu nie pasuje. Każdy, kto ma stare radio, może znaleźć częstotliwość, na jakiej nadają, i posłuchać. Istnieją o niebo lepsze sposoby przekazania informacji przez głębiny Okeanu. Dlatego mnie to ciekawi. Po co ktoś to robi? Nie martw się. Poznanie prawdy warte jest ryzyka, ale nie będę pchała się tam, gdzie mi nie wolno.

Arek uniósł brew, Danka uśmiechnęła się zadziornie i odchyliła na krześle, a do to-do listy dopisała sobie opierniczenie Eryka za rozsiewanie paniki i przeproszenie go, bo skoro obudził Arka, to sam musiał się nieźle wystraszyć.

\*\*\*



Stojąc na skraju lasu, skąd zбочce opadało łagodnie w stronę czarnej tafli, Danka zastanawiała się, czy rodziny tych siedemnastu osób, które przebywały na wodzie, pamiętały o katastrofie i zastanawiała się nad tym, co tu się stało? Czy zapłacono im za milczenie, czy dano im inne, nierozpoznawalne zwłoki i nigdy nie dowiedzieli się, że ich bliscy zostali na dnie?

– Już pani wróciła? – Strażnik zdziwił się szczerze na jej widok.

– Tak. Tylko na chwilę, ale jak trzeba, to trzeba. – To nie było jeszcze kłamstwo, ale niewiele mu brakowało i Danka nie odważyła się spojrzeć na Hieronima. Patrzyła na starą wieżę energetyczną na wyspie, bliżej północnego brzegu. Prababcia opowiadała jej, że pod linią wysokiego napięcia najczęściej tonęli ludzie i Danka nawet próbowała to zweryfikować, ale nie zdołała. Teraz kabel już zdjęto i pozostały jedynie mroczne skojarzenia – dla tych, którzy zginęli, gdy satelita spadł do zalewu, pokrzywiona wieża stała się symbolicznym krzyżem

– No tak, tak. Ale to się nie godzi – zaczął.

Zwykle rozmawiali dłużej, tym razem jednak wzruszyła ramionami i nie wdała się w dyskusję.

Sadziła długie, ciężkie kroki. Pod jej butami chrzęściły piasek i igły, które nawiał wiatr. Powietrze pachniało wilgocią, ale inną niż ta między drzewami, po deszczu czy na basenie. Ta miała w sobie ostrzejszą nutę, której Danka nie umiała nazwać. Czy zawsze była charakterystyczna dla zalewu, czy pojawiła się później, po katastrofie – wiele rzeczy można było znaleźć w Okeanie, ale na to pytanie pewnie nawet Ela i Adam nie znaleźliby odpowiedzi.

Zwolniła, gdy hotel był już blisko, i wsłuchiwała się w ciszę. Zawsze miała wrażenie, że nad zalewem było ciszej, jakby pożerał on wszystkie dźwięki. Widziała, że jest obserwowana. W którymś z ciemnych, odbijających szaroniebieskie niebo okien stał ktoś i patrzył. Wystarczyło poczekać, aby zjawił się któryś z przewodników i wprowadził ją do środka. Wchodzić samemu nie wypadało – jeszcze jeden mały rytuał, którego nauczyła ją Adrianna. Oczekiwanie nigdy nie trwało długo, ale tym razem wydawało się Dance, że wszystko rozgrywa się wolniej niż zwykle. Odetchnęła. Splotła dłonie za plecami i przeciągnęła się, starając się opanować zniecierpliwienie, które skręcało jej żołądek.

Odgłos kroków sprawił, że odwróciła się na pięcie i spojrzała w stronę schodów. Czarne stopnie pokrywał pył i tylko na ich środku lśniła wytarta ścieżka. Przewodnik zdziwił się na widok Danki, zanim skinął głową na znak powitania. Nie odezwał się. Mieszkańcy resortu ogólnie mówili niewiele i nie do niej. Zaledwie kilkakrotnie słyszała, jak między sobą porozumiewali się szeptem, poza tym odprawiali niezrozumiałą dla Danki pantomimę.

– Czy mogłabym spotkać się z niewidzącą? – sama szepnęła.

Mężczyzna, sporo młodszy od niej, patrzył na nią w milczeniu i przytaknął po tak długiej chwili, że niemal zdążyła odezwać się znowu. Poprowadził ją płataniną korytarzy, do których przez niewielkie okna wpadało zbyt mało światła, aby rozproszyć panujący w nich półmrok. Danka nie była tu nigdy wcześniej. Kiedy pierwszy raz przyjechała nad zalew, sekta zajmowała pomieszczenia na parterze, potem przenieśli się wyżej, gdzie już nie wchodziła – potrzebne jej rzeczy były w piwnicach.

*...engjinprzybęłomenmy...*

Usłyszała niewidzącą, zanim ją zobaczyła. Jej śpiew niósł się ciemnymi korytarzami, jeszcze bardziej potworny niż w piwnicy. Zwolniła, wsłuchiwała się i tak, to była ta sama melodia. Niewidząca wyśpiewywała komunikat nadawany z gliwickiej wieży! Skąd go znała? Oni go nadawali? Nie, to nie miało sensu. Może mieli tu radio i nasłuchiwali? Przewodnik nie zwolnił, szedł cały czas przed nią i patrzył przed siebie, jakby śpiew niewidzącej go przyciągał. Danka starała się nie zostać w tyle, nie potknąć się, nie hałasować, ale jej uwaga skupiona była niemal w całości na śpiewie. W długich korytarzach ta nazwa wydawała się jeszcze mniej pasująca. Echo sprawiało, że nie-słowa brzmiały bardziej niepokojąco, melodia stawała się karykaturą pieśni, stawiała włosy na karku, kleiła się do myśli. Danka nagrywała ją w pamięci podręcznej na styku, ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wystarczy, aby znów znalazła się w podobnym półmroku, a przypomni ją sobie co do sylaby. Im bliżej była, tym bardziej nie potrafiła nie słuchać, nie zwracać uwagi. Śpiew pożerał cały jej świat.

Gdy przewodnik zatrzymał się w progu pomieszczenia na końcu korytarza, niemal na niego wpadła.

*...daołomyhłiczidaomówi...*

Pentagonalne, nieregularne wejście wypełniało światło, a gdy w nie weszła i oczy przyzwyczały się, zobaczyła przed sobą przestronne pomieszczenie. Czym było kiedyś? Częścią apartamentu, restauracją, salą konferencyjną – Danką nie była w stanie stwierdzić. W otwartej przestrzeni nie pozostało wiele mebli. Kilka krzesel, jeden stół w kącie, brzydkie, sklecone z niepasujących do siebie elementów przepięknie, za którym widać było przejście do kolejnego pokoju. A przynajmniej tak to wyglądało na pierwszy rzut oka z miejsca, w którym stała Danką. Nie przyglądała się, bo jej uwagę pochwytiła niewidząca. W pomieszczeniu znajdowało się kilkanaście osób. Wszyscy równie wychudzeni, co ich szamanka, młodzi i starsi, nieruchomi, wpatrzeni w niewidzącą, która wyśpiewując swoją pieśń, wodziła kościstym palcem pomiędzy nimi. Wybierała.

*...menprzyszłoprzylajhłimóhłaszengjin...*

Na przestrzeni lat Danką dwa razy była świadkiem tego rytuału, choć na pewno odbywał się częściej, jeśli miała wnioskować po śladach na ciałach niewidzących. Oto jedna z nich wybierała swój znieczulacz od rzeczywistości dostępny bez recepty z medicala. Przez moment myśli Danki zapętlily się na szalonej wizji: a gdyby to ona została wybrana? Nie należała do wspólnoty, ale czy to miało znaczenie? Nie wiedziała. Była ciekawa i ta ciekawość zaraziła jej wyobraźnię. Niewidząca nie była dla Danki atrakcyjna, jednak chodziło o coś więcej. Wizja zaciśnęła się jej na żołądku, chęć dowiedzenia się, bycia wyróżnioną na moment zawładnęła jej myślami, ale chwila szybko minęła. Szczupły palec zatrzymał się na wysokiej kobiecie stojącej przed przewodnikiem i Danką. Nie widziała jej twarzy, a jedynie nieprzyjemnie ostre łopatki rysujące się pod cienką skórą odkrytych pleców. Nikt nic nie powiedział. Kobieta odstawiła trzymaną w dłoniach skrzynkę, przypadła do niewidzącej i trudno było stwierdzić, czy bardziej wepchnęła ją za przepięknie, czy tamta pociągnęła ją do środka.

Przez chwilę jeszcze wszyscy stali w bezruchu, aż nagle pieśń ucichła.

Ludzie wrócili do swoich zajęć. Przewodnik uśmiechnął się do Danki przepraszająco, a ona zdusiła w sobie uczucie zawodu. Dobrze się stało. Przyjechała tu nagrać pieśń i to zrobiła. Nagrała sobie całkiem spory kawałek, stojąc i przyglądając się procesowi wyboru. Teraz jeszcze musiała zgrać dane w piwnicy, żeby jej wizyta miała formalny sens, i mogła jechać do Orzecha po radio. Potem...

Jeszcze nie była pewna.

\*\*\*

Dom w Orzechu znajdował się na zboczach wzgórz. Danka spędziła w nim większość dzieciństwa i sporą część nastoletnia. To tu godzinami wpatrywała się w gwiazdy widoczne ponad łuną Katowic i zastanawiała się, co jest tam daleko, analizowała mapy, wypatrywała stacji, satelitów i koniunkcji. Potem dostała przydział w Chorzowie, poznała Arka i przez wiele lat w ogóle nie zaglądała do Orzecha, ale od kiedy zaczęła jeździć nad zalew, starała się wpadać tu przy okazji. Raz na miesiąc, półtora, różnie, a i tak według babci Irenki robiła to za często.

– Co ty tu znowu robisz? To już przesada. Przedwczoraj –

– Wpadłam tylko na chwilę i zaraz znikam. Potrzebuję kilku rzeczy z kolekcji pradziadka i już mnie nie ma.

Babcia Irenka zmierzyła ją krzywym spojrzeniem i Danką wiedziała, że zaraz nastąpi atak, tylko nie wiedziała, z jakiego powodu. Zbierania gratów, podróžowania...

– Dana! – oburzyła się babcia.

– Dane są w bazach – prychnęła i spróbowała skupić się na przeglądającym spisie rzeczy.

Kolekcja przydasiów pradziadka była godna miejsca w muzeum, a spis ułatwiał poruszanie się po niej, i tak stare radio, z adnotacją „sprawne”, znajdowało się na regale T, półce C, w pojemniku numer siedemnaście. Danką wyciągnęła je, czując na sobie uważne spojrzenie babci Irenki. Było czarne, większe niż to Eryka, zawierało dodatkowe

kieszenie, których przeznaczenia nie znała, ale włącznik i pokrętko częstotliwości rozpoznała bez trudu. Długi kabel kończył się wtyczką bardzo starego typu. Na szczęście gdzieś w garażu znajdowała się również przejściówka.

– Danka, co ty znowu kombinujesz? Po co ci te śmieci?

– Nieważne.

– Kolejna rzecz, o której nie możesz mówić? Tajemnice, sekrety...!

– Mogę. – Danka bardzo nie chciała wdawać się w tę dyskusję, bo to był ciągle ten sam spór, te same argumenty i wnioski. – Po prostu potrzebowałam tego. – Podniosła radio tak, aby babcia mogła je zobaczyć. – Nic więcej.

– Daj dziewczynie spokój. – Głos prababci dotarł do nich z Okeanu, bo od kiedy kupiła sobie łóżko immersyjne, wylogowywała się tylko na wyraźne polecenie medicala. – To inne pokolenie. Chcesz, aby przestała z tobą gadać jak twoja córka?!

– Mamo!

– Mamo, mamo. Tak, urodziłam cię, ale jak się z ciebie zrobiło takie uparte babsko, to nie wiem. Pewnie wina twojego ojca.

– Tata nie robił niczego, czego ty byś mu nie kazała.

– Bo to mądry człowiek był.

Danka pozwoliła im się klócić, dobrze wiedząc, że wejście pomiędzy dzy nie teraz to samobójstwo. Skupiła się na znalezieniu przejściówki. Póki chodziło o błahe sprawy, bardzo dobrze się dogadywały, ale gdy dyskusja zaczynała dotyczyć poglądów i sposobu życia, to żadna nie była skłonna odpuścić i nie brały jeńców. Wspomnienie ojca i pradziadka wycofujących się rakiem wypłynęło na moment na powierzchnię jej myśli i uśmiechnęła się. Miała zamiar za chwilę zrobić dokładnie to samo. Musiała tylko znaleźć tę przejściówkę i mogła zniknąć. Wzdrygnęła się, czując ciepły dotyk na szyi. To babcia odgarnęła jej włosy i jednym palcem badawczo dotykała dynamicznego holo na skórze.

– Czy ty to w ogóle konserwujesz? Nie, prawda? A tak ci na tym kiedyś zależało. Życ nam nie dawałaś, byle dostać zgodę na wcześniejszą implantację, a teraz... – zacmykała niezadowolona. – Jeszcze trochę, a zupełnie się zdesynchronizuje i będzie wyglądało jak plama rzygowin.

– Konserwuję. Mam po prostu silną reakcję na stres. Umówię się na regulację.

Babcia wcale jej nie słuchała.

– Ale ty wolisz tracić czas, jeżdżąc w tę i nazad. I pewnie jeszcze przyjechałaś prywatką? Tyle wysiłku włożyliśmy, żeby to ograniczyć, zoptymalizować, wszystko teraz można zrobić zdalnie, a ty jeździsz sobie, bo jakieś tajemnicze powody. W dodatku sama! Wstyd!

Szlag! Już nie słuchała babci, a jej myśli pędziły na złamanie karku. Przecież na to zwrócili uwagę i Eryk, i Hieronim. Ona sama przez moment była cholernie ciekawa, dlaczego nad zalew trzeba jeździć, a potem zupełnie o tym zapomniała, bo skupiła się na Gliwicach.

A teraz Gliwice i zalew były ze sobą związane.

Szlag!

\*\*\*

– Bezpieczeństwo – odpowiedziała bez wahania Ela.

Przebywali w wirtualnym pokoju, Danka przez awatara i soft na styku. Jej reakcje były tu wolniejsze, mimika uboższa, za to Ela i Adam w pełni zanurzyli się w Okeanie i ich wygląd zachowywał wszystkie ludzkie niuansy. Skrzywienia, zbędne gesty, zupełnie jakby naprawdę stanowili część tego wirtualnego świata, a nie logowali się do niego. Bardziej prawdziwe mogło być tylko faktyczne stanie się częścią Okeanu i porzucenie ciała jako takiego. Danka wzdrygnęła się, ale awatar nie odtworzył tego ruchu.

– Bezpieczeństwo? – powtórzyła niczym echo.

– Nie ma sieci, do której nie da się włączyć. – Tym razem odezwał się Adam.

Wiedział o tym, bo dokładnie to robili z Elą. Włączyli się, na życzenie klientów znajdowali informacje, grzebali w Okeanie, w jego zatokach i głębinach, a czasami zanurzali się aż pod dno, gdzie w mule tkwiły relikty Internetu – to stamtąd miała artykuły o stacjach numerycznych, legendach miejskich Tarnowskich Gór, Bytomia, Żywca, których nikt nie pofatygował się poprawnie zmigrować do nowego systemu. O tym, co znajdowało się pod dnem, krążyły opowieści równie barwne, co o Sztolniach.

– Po prostu czasami wymaga to wyjścia z domu i znalezienia odpowiedniego terminala, gdy dana sieć nie jest dostępna z Okeanu – ciągnęła Ela. Założyła nogę na nogę, jej reprezentacja założyła nogę na nogę, odgarnęła włosy z ramienia i spojrzała na Adama – jego reprezentacja wzruszyła ramionami. Awatar Danki czekał absolutnie nieruchomy.

– Ale w tym przypadku nie ma żadnej sieci. Jest serwer w miejscu – Ela zaakcentowała ostatnie słowo – do którego trudno się dostać, i kolejny w Inspektoracie, a Inspektorat ma bardzo dobre zabezpieczenia. – W jej ustach był to bardzo duży komplement. – Pomiędzy tymi miejscami nie ma łącza, które można by zhackować. Jest tylko kurier, a dorwać kogoś w realu to... – Skrzywiła się, Adam przewrócił oczami. – No, logistyka i ryzyko idą w górę. Wpinacz na pewno ma jakieś dodatkowe zabezpieczenia, które wymażą treść, jeśli coś pójdzie nie tak, a liczyć, że uda ci się za pierwszym razem, to głupota. No i trzeba dorwać człowieka. Mieć ludzi w rejonie, przygotować się, być w odpowiednim miejscu o odpowiedniej porze.

Tylko „odpowiednia pora” to był bardzo względny termin, bo przecież Danka nie miała żadnego grafiku. Pobierała pusty wpinacz, kiedy jej to pasowało, i jechała. Czasami raz na miesiąc, czasami raz na trzy tygodnie. Istniało jakieś „nie rzadziej niż”, ale to tyle. Nigdy wcześniej tego nie kwestionowała. Dlaczego miałyby, skoro było jej to na rękę? A teraz, siedząc na krześle w kawiarni nieopodal biura, a zarazem na krześle w wirtualnym pokoju, dostała odpowiedź, o którą nie prosiła. Nie istniał grafik, bo bez niego było bezpieczniej. I nikt w Inspektoracie nie krytykował jej zahaczania o Orzech, bo to dawało dodatkową dupokrytkę – czy była w zonie, czy tylko u rodziny, atakować czy nie? Nieświadomie za każdym razem przyczyniała się do zapewnienia danym na wpinaczu dodatkowego bezpieczeństwa. Może nawet dostała tę robotę nie dlatego, że była dobra, ale ponieważ miała po drodze rodzinę.

Złość podeszła jej do gardła.

*Dlaczego jej o tym nie powiedziano?*

I szybko przygasała.

Nie wszystko musiała wiedzieć. Tak jak jej babcia nie o wszystkim musiała wiedzieć, bo tak było bezpieczniej. Wszystko sprowadzało się do bezpieczeństwa.

– Cały witz polega na tym, aby kurier nie wiedział.

– Witz... Gdybym wiedziała, to mogłabym zacząć zachowywać się inaczej. Zdradzić się czymś i zwrócić na siebie uwagę... Szlag! Teraz już wiem. Mogliście mnie okłamać... Jesteście w zмовie z Erykiem albo moją babcią, obojgiem. I Arkiem. Teraz wiem, a kiepska ze mnie aktorka, więc pewnie zabiorą mi tę fuchę i będę siedziała na tyłku, jak podziały przykazały.

– W żadnej zмовie nie jesteśmy. – Ela roześmiała się przyjaźnie. – Ale jakbyś mnie pytała o zdanie, to jeżdżenie tam jest stratą czasu. Po to rozwijamy środowiska wirtualne i pełną immersję, żeby nie tracić czasu na podróże, tylko przesyłać sobie informacje, a w porywie wykorzystywać lokalne fizyczne awatary.

Błąd. Dlatego rozwijali te technologie, że podróże były zakazane, nieekonomiczne. Bo żeby przeżyć, ludzkość musiała pozamykać się w klatkach podziaków i w wirtualu znalazła lek na to, by od tego zamknięcia nie oszaleć. Argument o traceniu czasu był drugorzędny, gdy chodziło o wirtual. Ale tego Danka nie powiedziała. Wystarczyło, że ją samą to gryzło, gdy niekiedy spoglądała w nocne niebo.

– Dzięki. Powinna być na to sama wpaść – powiedziała zamiast tego. – Już nie zajmuję wam czasu i wracam do pracy. Przeciągnęłam przerwę do granic możliwości.

\*\*\*

Gdy wróciła z Inspektoratu, Arek już nie spał i jeszcze nie wszedł w immersję. Zdziwił się, gdy ją zobaczył, a chwilę później jego twarz wykrzywił grymas, któremu najbliższym było do zmartwienia, a to oznaczało, że zmęczenie siedziało nie tylko w jej głowie, ale było widoczne w ruchach i odbijało się w logach medicala.

– Jestem zmęczona – przyznała, zanim otworzył usta, i wyjaśniła, nim zdążył cokolwiek powiedzieć: – To, co badałam ostatnio... Wydawało mi się, że mam trop większy niż wszystko... Przesadzam, ale strasznie się na to nakręciłam. Miałam wrażenie, że jestem o krok



od odkrycia jakiejś większej całości, ale nie. Nie ma większej całości. To po prostu ja dałam się zwieść własnej nadziei.

– Ale ta większa całość to...? Chodzi o tamten komunikat?

– Tak, nie... – Nie mogła się zdecydować. Czy bezpieczeństwo danych zbieranych nad zalewem naprawdę miało związek z komunikatem, czy nie? I jaki związek mógłby istnieć pomiędzy zaszyfrowaną wiadomością a pomiarami składu gleby, powietrza, rozkładów Seele?  
– Nagrałam go, chcesz posłuchać?

Arek stał w progu kuchni i patrzył na nią uważnie. Światło w przedpokoju było zgaszone i tylko seledynowy blask paneli łóżka immersyjnego podświetlał go od tyłu.

*przylajhtimóhłasengjin...*

Zapętlony komunikat wypełnił ich małą kuchnię. Brzmiał inaczej, niż gdy odsłuchiwała go sobie z nagrania. Dźwięk idący ze styku prosto na nerw był mniej przejmujący, niż gdy rozbrzmiewał dookoła. Mimo gorzej dostrojonego odbiornika i hałasów z ulicy brzmiał teraz potężniej, pełniej. Głosy przeplatały się, zwodziły podobieństwem.

*...przybęłomenmydaotomyhticzi...*

Danka i Arek słuchali w milczeniu.

*...daomówimenprzyszło...*

Jedna, druga, trzecia pętla, każda nieco inna. Nie bardzo, ale jednak na tyle, aby utrzymać człowieka w ciągłym skupieniu.

*przylajhtimóhła...*

– Jakby mówili po chińsku.

– Wiem – roześmiała się. – Bełkot, ale to może być szyfr. Jakieś zmiany sylab, odpowiednia częstotliwość, coś, co rozkoduje ci specjalnie stworzony do tego program, którego ja nie mam.

– Nie o to mi chodziło. Po prostu chwilami brzmiało to jak wtedy, gdy deaktywuję translator, bo łatwiej mi się skupić, kiedy nie rozumiem, co mi mówią nad głową. Zwłaszcza że mamy dwudziesty drugi wiek,

a to nadal jeden z tych języków, które nie dają się łatwo tłumaczyć ze słuchu. – Przewrócił oczami.

Danka nawet nie drgnęła. Utknęła we własnej głowie, starając się powstrzymać od wyciągania pochopnych wniosków.

*Chiński – Lán Tiāntáng.*

*To mogła być kolejna apofenia.*

*Ale nie musiała.*

Odetchnęła.

– Mówisz?

Wzruszył ramionami. Cokolwiek myślał, rzadko wypływało na jego twarz. Albo było tak od początku i po prostu dopiero od niedawna zwracała na to uwagę, albo raczej mieli ci, co wieszczyli, że siedzenie w pełnym wirtualu sprawia, że ludzie zapominają jak to jest mieć ciało.

– Ale uważaj na siebie. Nie ryzykuj... to śmierdzi.

– Dobrze tajemnice warte są odrobiny ryzyka. A dobre odpowiedzi może nawet nieco więcej. – Roześmiała się. – Nie martw się, przecież obiecałam, że nie powtórzę błędów z Lipin. Będę grzecznie analizowała to stąd.

– Przez ostatnie dni –

– Wiem – przerwała mu. – Wiem. Zapędziłam się.

\*\*\*

Przeniosła się z radiem do sypialni, ułożyła na łóżku głowę z poduszek i rozsiadła się tam jak na tronie. Puściła Erykowi wiadomość:

JUTRO, 16:00, CHODNICZEK

To dało jej deadlajn. Śmiała się i zbyła Arka, jednak miał on nieco racji i, co ważniejsze, podstaw, aby wątpić w jej zapewnienia. Tak, w przypadku zniknięcia na Lipinach dała znać policji, ale wcześniej weszła tam, gdzie może nie powinna była się pchać. Wystarczyło, aby zrobiła to o innej godzinie, a mogłaby teraz nie siedzieć na łóżku w swoim mieszkaniu. Ten deadlajn nie miał jej zmotywować, a stanowić mur. Będzie analizowała wszystkie zebrane informacje o Gliwicach ze swojej bezpiecznej sypialni, rano pojedzie z radiem pod wieżę, posłucha,

jak tam brzmi transmisja, przyjrzy się okolicy i jeśli cokolwiek znajdzie, to będzie miała jeszcze pół dnia w pracy, aby wszystko przemyśleć, a potem koniec. Powie, co wie Erykowi i nie będzie dalej mieszała się w tę sprawę. Skupi się na nadzorowaniu stanu przyporządkowanych do niej nitek mediów i nie ruszy się dalej niż do Kato. Zresztą Gliwice nadawały już czwarty dzień – lada moment powinny zamilknąć do następnego razu.

Wywołała wszystkie foldery związane z gliwicką wieżą, jakie miała. Widoczne tylko dla niej okna przesłoniły białe ściany pokoju. Od razu dodała nowy katalog – Wiadomość 2136/08/22-xx. Wrzuciła do niego nagranie niewidzącej, które zrobiła rano, oraz wersję nagraną u Eryka poprzedniego dnia. Zaledwie wczoraj, naprawdę nie mogła w to uwierzyć. Puściła je sobie jedno po drugim.

*...przylajhłimóhła...*

To niewidzącej było mniej wyraźne. W oryginalnym łatwiej przechodziło Dance wyłuskać pojedyncze sylaby, jeśli tylko dostatecznie się na tym skupiła. W śpiewie niewidzącej było to trudniejsze i kawałki różniły się od siebie. Nie zupełnie inne, ale z dwugłosu nadawanego przez Gliwice niewidząca niekiedy wybierała tę mniej dla Danki słyszalną wersję, kiedy indziej jej wymowa odbiegała nieco od nagrania – może był to jakiś ślad wady wymowy Karoliny Sarowskiej, coś z jej poprzedniego życia.

*...szengjinprzybęłomen...*

Danka zamknęła oczy i dezaktywowała okna, aby lepiej skupić się na dźwiękach.

*...mydaotomyhłiczidaomówimenprzyszło...*

*...przylajhłimóhłaszengjinprzybęłomen...*

My.

Da.

Mówi.

Przyszło.

Przy.

W obu wersjach wyłapywała słowa, ale niezmiennie nie miały one większego sensu. Jakakolwiek prawda była w nich zawarta, nie objawiła się nagle, klucz do zrozumienia nie pojawił się w jej myślach nawet po piątym odsłuchaniu, bo czemu by miał? Jeśli to był szyfr, to wymagał pewnością matematyki, klucza, podstawień, i jeśli załoga sto siedemdziesiątego metra Sztolni nie znalazła rozwiązania w ciągu tych kilkunastu godzin, od kiedy Gliwice zaczęły nadawać, Danka nie miała szans po prostu go wymyślić. Mogła sobie marzyć, że jest inaczej, ale wiedziała, że to głupie. Otworzyła oczy i przywróciła okna – katalog z bieżącym nagraniem, spis poprzednich, pełną listę swoich odkryć, z których większość sprowadzała się do „poszłam, posłuchałam ludzi, porozglądałam się, nie dałam się ponieść emocjom, pozostałam logiczna i znalazłam niekoniecznie satysfakcjonujące rozwiązanie”.

Odpaliła plik z nagraniem ze sto dwudziestego dziewiątego.

*...kajdziangsta się renrozitandisziebingzout...*

Ale też podchodziła do tego na świeżo, bez podświadomego wracania na raz przetarty szlak. Może rozwiązanie było równie proste, co kwestia jeżdżenia do zony? Tam bezpieczeństwo, tu...

*...aoziefenciuluucielajpożredzipimia...*

Po prostu trzeba było stanąć obok siebie i spojrzeć na wszystko pod innym kątem. Odetchnęła, zasłuchana.

*...użinhłocietadźiangciągsuzapapalu...*

– Po chińsku – mruknęła i puściła trzecie nagranie.

*maparatususuratućtedzioułurypięćhłodziędziangsza...*

To nie pomagało jej w zrozumieniu wiadomości. Nie znała chińskiego, ale wiedziała, że jeden dźwięk może mieć tam dziesiątki znaczeń i bez kontekstu nawet jeśli w bełkocie kryją się jakieś pełne słowa, to autotranslator może ich po prostu nie zidentyfikować poprawnie. Mimo to przepuściła wszystkie trzy nagrania przez pierwszy lepszy program niewymagający wykupowania licencji z góry na cały rok. W wynikach dostała jeszcze więcej słów, które nie miały sensu. Nie

mając żadnego punktu zaczepienia, translator dopasowywał po prostu najpopularniejsze możliwe znaczenia do tego, co słyszał.

Osunęła się na poduszkach i spojrzała w sufit; zakotwiczone do jej oczu tabele podążyły za nią.

*u nowy ładunek cie on będzie ciąg  
prywatny jak boję się droga mama  
się boi ra pięć cztery cztery ra pięć  
czte dziewięć*

Tak brzmiało drugie.

Bezsens.

– Tylko logika może mnie uratować – zaśmiała się i usiadła. – Ktoś nadaje pseudochińskim bełkot. Po co? To mogą być instrukcje. Tak. Ale czemu nadajnik miałby znajdować się u nas w podziale? – Fale krótkie potrafiły pokonać tysiące kilometrów, odbijając się od jonosfery, czytała o tym. – A znajduje się, jeśli wierzyć – znalazła szybko plik z artykułem z siedemdziesiątego – Arturowi Kopyto. Czy nadajnikiem jest wieża? Przy dokładności do trzydziści kilometrów nawet zalew by się załapał. I jestem pewna, że istnieją lepsze sposoby zainstalowania nadajnika niż spuszczenie go z orbity pod postacią kuli ognia.

Wieża radiowa po prostu się kojarzyła i może była aż nazbyt oczywista, ale Danką nie zamierzała porzucać tropu i nadal trwała w postanowieniu, aby pojechać pod nią kolejnego dnia.

– Ociemnieni? Co by nadawali? Zamknięci w zonie nie wiedzą, co się dzieje poza nią. Nie bardziej niż ktokolwiek śledzący newsfeedy w Okeanie. Bez sensu, jak to wszystko i...

Wyprostowała się gwałtownie. Automatyczne tłumaczenia i reszta okien powędrowały za jej wzrokiem.

– Pięć cztery cztery ra pięć czte dziewięć – przeczytała niemal bezgłośnie, jakby najmniejszy hałas mógł przepłoszyć to, co zobaczyła.

Przesadnie szerokim gestem zamknęła wszystkie okna poza tym z tłumaczeniem najstarszego komunikatu i folderem zbiorczym dla Gliwic. Pierwszy komunikat według plotek trwał co najmniej od dwudziestego czwartego do dwudziestego siódmego maja dwa tysiące sto osiemnastego. Przeskoczyła katalog wyżej.

– PLS pięć cztery cztery pięć dziewięć pięć wykoleił się dwudziestego siódmego maja dwa tysiące sto osiemnastego. – Ostatnie słowa były jedynie szelestem w cichym mieszkaniu.

Nie potrafiła sobie wmówić, że to przypadek. Nie, po prostu nie. Nawet jeśli wiedziała na pewno, że to zdarzenie nie było aktem terroru, częścią większego spisku. Na dwa miesiące stanęło czterdzieści procent dostaw z i do podziału, wewnętrzna ekonomia wisiała na włosku, nastroje były najgorsze od lat. Ale przetrwali to, znaleźli jeszcze kilkanaście miejsc, które tykały niczym bomby zegarowe, i od prawie dwudziestu lat nie zdarzył się równie poważny wypadek.

Sprawdziła nowsze nagranie.

Co wydarzyło się wówczas?

Patrzyła na daty, jakby mijające sekundy mogły coś w nich zmienić, cyfry mogły przeformować się jedne w drugie i wzbudzająca wściekłość myśl *Miałaś to cały czas przed oczami!* by znikła. Ale nic się nie działo. Cisza trwała niezmacona, cienie na ścianach pozostały nieruchome, okna z tabelami się nie zmieniły.

Tylko Danka drżała.

Dwa tysiące sto dwudziesty dziewiąty, luty – wtedy doszło do wybuchu w Sztolniach i zawałała się reszta domów na Karbie.

W tłumaczeniu drugiego komunikatu nie znalazła niczego, co wiązałoby go z wybuchem, ale te daty nie mogły być przypadkiem.

Miała jeszcze plotki o tym, że wieża nadawała w sto szóstym – to nie pasowało do żadnego z jej katalogów, ale jedno zapytanie zarzucone do Okeanu zwróciło jej zdjęcia i artykuły o osunięciu się zbocza w okolicy Żywca. Wyrzuciło też zestawienie, które spinało wszystkie te wydarzenia, choć Danka nie musiała nawet patrzeć, by wiedzieć, co w nim będzie – trzy największe katastrofy ostatnich dekad. Jedna sparaliżowała podział, dwie pozostałe zabiły bardzo wiele osób.

Przed każdą Gliwice nadawały.

Miała to cały czas na wyciągnięcie dłoni, tylko latała jak głupia zamiast siedzieć na dupie, jak kazała babcia!

– A teraz robią to znowu.

\*\*\*

– Coś się wydarzy.

Eryk patrzył na nią uważnie, ale nie odezwał się i poczuła ukłucie rozczarowania. Chciała, aby zapytał co albo dlaczego tak uważa. Tymczasem on ani drgnął. Siedział na krześle lekko pochylony nad blatem stołu, czerwone pagony na standardzie połyskiwały w ciepłym świetle lamp, włosy wydawały się jaśniejsze, cały jego wygląd w Chodniczku stawał się jeszcze bardziej łagodny niż zwykle, co sprawiło, że rodząca się w Dance chęć bycia wredną przygaśła.

– To, co nadają Gliwice, to zapowiedź tragedii – odezwała się ponownie. Mówiła cicho, spokojnie, choć wiedziała, że jej teoria nie zabrzmi dzięki temu bardziej prawdopodobnie. – Nawet nie zamachu, prawie na pewno nie zamachu, ale tragedii.

Odetchnęła. Wprostowała się. Dłonie położyła płasko na szorstkiej powierzchni stołu i spojrzała na Eryka, przekrzywiając głowę, jakby to w jakiś sposób mogło jej pomóc lepiej ocenić jego reakcje.

Może należało się spotkać gdzieś, gdzie mogłaby spod Okeanu uru-chomić asystenta oceny behawioru? Teraz było już za późno na takie refleksje.

– Gliwice zawsze nadają przed jakąś tragedią. Nie wiem, jak mogłam tego wcześniej nie zauważyć, bo mam większość z nich spisanych. Po prostu nigdy nie pomyślałam, żeby to sprawdzić. Traktowałam każde zdarzenie jako zupełnie osobne, niezależne. Mój błąd. – Podrapała się po tatuażu, pod palcami czuła, że jest cieplejszy niż powinien być, ale to akurat mogły sprawić jej nerwy. – Gdyby chodziło tylko o jedno, uwierzyłabym w przypadek. Ale znalazłam trzy, które pasują do tej teorii. To nie wszystko. Bawiłam się translatorem i w jednym z nagrań pojawiają się cyfry pięć i cztery, a ono zostało nadane tuż przed wykojeniem PLS-5445-95.

Chciała pokazać mu tabelę, ale nie miała jak i to ją frustrowało. W Chodniczku nie istniała żadna sieć, po której mogłaby to zrobić. Musiał uwierzyć jej na słowo. Zobaczyć w wyobraźni to, co ona zobaczyła w swoich notatkach. Dlatego mówiła bardzo powoli, choć jej myśli pędziły na złamanie karku.

– Inne nagranie pasowało datami do wybuchu pod Bytomiem. Wcześniejszych nie mam, ale znam lata. Jedno pasuje do osunięcia

się zbocza koło Żywca w sto szóstym, a w sto trzecim Lán Tiāntáng runął do zalewu.

Nie dodała kolejnych przykładów. W osiemdziesiątym drugim i siedemdziesiątym pierwszym nie wydarzyło się nic szczególnego, ale też nie miała żadnego dowodu, że wieża faktycznie wtedy nadawała. Plotki mogły być jedynie plotkami i niczym więcej.

– W tym jest prawidłowość.

Musi być, pomyślała, a jednak świadomość, że jeśli cofnąć się w czasie dostatecznie daleko, ta prawidłowość znika, nie dawała jej spokoju. Po wybudowaniu wieży krążyło wiele plotek, wiele dat, ale z niczym nie mogła ich powiązać. Dopiero w sto szóstym zaczynało pasować. Przy pierwszym rzekomym sygnale po katastrofie Lán Tiāntáng. Znowu wszystko wróciło do Chechła.

– Coś się wydarzy. Jestem tego prawie pewna. Nie wiem co, ale nie będzie to dobre. Rozszyfrowaliście ten komunikat?!

Nie odpowiedział.

– Eryk, macie to?

Milczał. Nawet nie udawał, że nie rozumie, ani nie próbował wypełnić czymkolwiek przeciągającej się ciszy. Patrzył gdzieś za Dankę, a ona z coraz większym trudem powstrzymywała się od spojrzenia za siebie i nawet nie wiedziała, czemu tak zależy jej na nieodwracaniu wzroku od Eryka. Nie mógł zniknąć, ledwie przestałaby na niego patrzeć, a mimo tego siedziała nieruchomo; tatuaż na szyi piekł ją coraz bardziej, a ona ani drgnęła. Zaciśnięte w pięści dłonie położyła na blacie, stopy trzymała płasko na podłodze, żeby kolano nie podskakiwało nerwowo, i czekała, aż w końcu Eryk odezwie się, odpowie jej, choć z każdą mijającą sekundą coraz bardziej była pewna tego, co usłyszy.

– Eryk – szepnęła natarczywie. – Macie to?

Odetchnął tak głęboko, że przez moment cały wydawał się jakby większy, a potem skurczył się bardziej niż zwykle.

– Nie znamy sensu komunikatu. Na bazie samej fonetyki trudno przypisać odpowiednie znaczenia, nawet jeśli nie są one dodatkowo zaszyfrowane w żaden sposób.

Za barem zawarczała któraś z maszyn, ktoś wszedł do Chodniczka i Danka poczuła na plecach podmuch chłodnego powietrza. Na moment



ją to zdekoncentrowało, podrapała się po szyi, zerknęła w bok. W tej samej chwili kelner podszedł do ich stolika. Eryk składał zamówienie, jakby przed chwilą nie przyznał, że wie, że być może lada dzień zdarzy się jakaś katastrofa i nikt nie ma pojęcia jaka. A kelner przyjmował je ze spokojem, jeszcze mniej świadomy niż oni. Jego twarz zastygła w wyrazie przyjaznej obojętności, co chwilę kiwał głową i skrupulatnie notował na padzie, jakby nic poza ich jedzeniem się nie liczyło.

Danka gwałtownie wciągnęła powietrze. A co, jeśli coś już się stało, tylko nikt w Chodniczku jeszcze o tym nie wiedział? Co jeśli na górze Batory stał w ogniu albo...

– Poczekaj. – Eryk odezwał się nieco głośniejszym głosem, ale to jego dłoń na jej nadgarstku powstrzymała Dankę od wstania i wbiegnięcia na schody.

– Wiedziałaś – szepnęła tak cicho, że kelner nie zwrócił na to uwagi. Eryk tylko zacisnął mocniej palce.

Wiedziała i nie powiedział jej o tym, bo...

...nie mógł...

...nie chciał...

...bo tak?

Kelner w końcu odszedł.

– Eryk! Wiedziałaś o chińskim, o tym, że to odnosi się do –

– Masz rację – przerwał jej. – Istnieje zbieżność transmisji i wypadków, a przynajmniej my też ją zaobserwowaliśmy. Faktom nie zaprzeczę. Co do rozszyfrowania, to, jak powiedziałem, nie, a nawet jeśli, i tak nie mógłbym ci dać żadnej wskazówki. Ale przyznaję, zależność znalazłaś chyba szybciej niż my, jeśli faktycznie wcześniej się temu nie przyglądałaś. Gratulacje. Myślałem, że zajmie ci to więcej czasu. – Roześmiał się.

– To nie jest zabawne – syknęła.

– Cztery dni to naprawdę świetny wynik, może powinienem szepnąć, że marnujesz się w infrastrukturze. Jak ci się spodobała ta zagadka?

– Zagadka?! – Podniosła głos; kilka osób zerknęło w ich stronę, ale równie szybko stracili zainteresowanie. Chodniczek powoli zapełniał się ludźmi, gwar rozmów narastał i pozwalał ich słowom tonąć w szumie. – To coś zupełnie innego. Nie coś, co się stało i mogę teraz poklepać się po plecach, że to rozkminiłam, po czym zając się czymś

innym. To... Coś się stanie. Ktoś może zginąć.

– Wiem, i... – W milczeniu przeczekał, gdy kelner stawiał na ich stole kufle i półmiskę z przekąskami. – Naprawdę robimy, co możemy, więc nie musisz wiedzieć. Ale jeśli chcesz, to serio mogą zasugerować przeniesienie. Mniej dalekich wycieczek i parasol bezpieczeństwa Sztolni.

– Czyli co, to był test?

– Nie. Nie oficjalnie w każdym razie, ale przemyśl to. Przynajmniej grzebałaś w rzeczach tego warty.

Przez moment chciała powiedzieć, że mogła spędzić czas na czymś bardziej tego wartym, na poszukiwaniu czegoś ważniejszego, ale spuściła te słowa piwem. Eryk nie uwierzyłby jej i miałby rację. Nie miała żadnego ważniejszego tropu, a wszystko trwało cztery dni.

– Prawda zawsze jest warta dogrzebania się do niej. Nawet jeśli chodzi o rzeczy, które już się wydarzyły, albo takie, których rozwiązanie nikogo innego nie interesuje. Mnie interesuje. To wystarczy. Ale, Eryk – starała się mówić cicho – to przewidywanie zaczęło się po katastrofie nad zalewem. Wcześniejsze plotki do niczego mi nie pasują, ale po Lán Tiāntáng to się zmienia. Po katastrofie to faktycznie są przepowiednie. Co Chińczycy tam spuścili? Czym był Lán Tiāntáng? Nigdy nie wierzyłam, że to był zwykły satelita komunikacyjny, ale... – Na moment słowa ją zawiodły. – To jakaś machina do przewidywania przyszłości? Niedalekiej. Tragicznej? I po cholere zrzucili to na Chechło?

– To był wypadek.

A to była odpowiedź tylko na jedno z jej pytań. Pierwsze pominął, bo... Danka patrzyła uważnie, milczeniem domagając się, aby kontynuował; Eryk nie zrobił tego. Pozostał niewzruszony, jego twarz zastygła w przyjazną maskę, z której niczego nie dało się wyczytać. Tylko że brak odpowiedzi też był jakąś informacją, bo do tej pory Eryk ani razu jej nie okłamał. Nie mówił wszystkiego, co wiedział, ale nie wywiódł jej w pole, a przynajmniej go na tym nie przyłapała. Jej myśli znowu popędziły do przodu jedna przez drugą, bo jeśli nie powiedział, że nie wiadomo, co to było, to znaczyło, że wiedział i nie mógł powiedzieć.

– To coś przewiduje przyszłość. Nie całą, znaczy może całą... – Wzdrygnęła się na myśl, że każdy jej krok może być zapisany w jakimś planie, który ktoś, coś, może odczytać z wyprzedzeniem – ale

to podaje nam tylko fragmenty... I nie Gliwice je nadają. To gdzieś nad Chechłem, co nie? Mówi się, że Gliwice przez starą plotkę, jeszcze sprzed Lán Tiāntáng. Wtedy plotkowano o Gliwicach, teraz ja wiązałam jedno z drugim, bo się prosiło, ale to przypadek. Oba miejsca są na tyle blisko siebie, że nawet wyliczając wszystko, można się pomylić i... To coś przewiduje duże katastrofy, znaczące wypadki. Naprawdę nie wiecie, co będzie tym razem?

– Nie.

Danka odetchnęła głęboko. Chciała coś zrobić. Cokolwiek, ale skończyły się jej tropy. Powiedziała mu wszystko, a on wiedział o tym już wcześniej. Koniec. Mur.

– To o przeniesieniu nie było żartem, tylko sugestią. Przemysł to, a teraz wróć do swojej pracy i po prostu wykonuj ją najlepiej, jak potrafisz. I... – zawahał się – lepiej dalej nie pałętaj się przesadnie. Przynajmniej póki nadal nadają. Tak prywatnie, wolałbym wiedzieć, gdzie możesz być. Będę spał spokojniej. Arek też. Chyba ostatnie dni siedzenia na tyłku nie były takie straszne? A to nagroda.

Eryk wzruszył ramionami i przesunął w jej stronę kufel. Sięgnęła po niego kierowana odruchem, bo jej świadomość skupiała się na rzeczach zupełnie niezwiązanych z Chodniczkim, piwem i Erykiem. Bo w ostatnich dniach wcale nie siedziała na dupie, choć powinna. Czy Eryk wiedział o niewidzącej, czy to miało jakiś związek, że ociemnie ni nasłuchiwali?

Tak, pomyślała. To są te dane, których bezpieczeństwo jest na tyle ważne, żeby wysłać człowieka do zony, i o tym miała się nie dowiedzieć, żeby być dobrym kurierem.

\*\*\*

Szła powoli, pierwszy raz od kilku dni naprawdę patrząc, dokąd idzie, a nie jedynie podążając po ścieżce malowanej przez aplikację. Była tak świadoma wszystkiego, co działo się wokoło, że nie mogła zebrać myśli i musiała uruchomić blokadę zewnętrznego feedu w wersji premium, choć zwykle chomikowała swoje abonamentowe pięć godzin na koniec miesiąca. Ale bez tego po prostu nie dałaby rady wrócić do domu. Zalew reklam i komunikatów sprawiłby, że w pewnym momencie po prostu

zatrzymałaby się, niezdolna podjąć żadnej decyzji – była zmęczona. Cholernie zmęczona i, co uświadomiła sobie przy wysiadaniu z pociągu, rozczarowana. Wmówiła sobie, że odcięcie zony od Okeanu musi być ważne, i spodziewała się, że okaże się ono brakującym ogniwem, które sprawi, że wszystkie elementy układanki wskoczą na właściwe miejsca, a ona zrozumie to, co umknęło zamkniętym pod ziemią speccom ze Sztolni. Zamiast tego zleciała z adrenaliny szczytu na łeb, na szyję i nie mogła się pozbierać. Trzy dni temu rozmawiała z Erykiem w Chodniczku, a miała wrażenie, że minął co najmniej miesiąc, i to nie zwykłego trybu dom – praca – dom – praca, a jakiejś życiowej eskapady, która wyssała z niej wszelką energię. Tuptuś skarżył się, że idzie trzy razy wolniej niż zwykle, a ona nawet nie spróbowała przyspieszyć. Noga za nogą wlokła się chodnikiem i błędziła myślami. *Wróć do pracy* – tak łatwo było to powiedzieć. *Wróć*, zakop się w planach inspekcji, raportach z automatycznych stacji pomiarowych, weryfikacji niepokojących zachowań sieci.

Odetchnęła i spojrzała w górę.

Było jeszcze wcześniej. Przed zaciemnieniem, a granica szeruczek nie znajdowała się przesadnie daleko i niebo nad jej głową było zamglone światłem, ale gdy zmrużyła oczy, widziała na nim dwa jasne punkty. Wyłowiła z Okeanu mapę i nałożyła na niebo – Wega. Jedna z najjaśniejszych gwiazd na ziemskim niebie, więc w sumie nie powinno Danki dziwić, że to ją właśnie było widać. Odległą o dwadzieścia pięć lat świetlnych od Ziemi, co podpowiedziała aplikacja, jasną gwiazdę w Lutni. Pobliski Deneb krył się za budynkami. Danką przeszła kawałek, skręciła, ale jak by nie lawirowała, i tak ciągle przesłaniały go ściany. Może dlatego szalona myśl uczepliła się jej świadomości i chwilę później już za nic nie chciała dać się przepędzić. Pojechać nad zalew, zobaczyć gwiazdy – teraz, w nocy, żeby to było domknięcie. Liczyła, że znajdzie kosmitów – nie znalazła, to chociaż popatrzy w ich stronę, zamknie tak całą sprawę i jutro wszystko będzie za nią. To nie byłaby najbardziej szalona rzecz, jaką w życiu zrobiła. Gdyby zamówiła prywatkę z najbliższej stacji, kosztowałoby ją to większą część kredytu transportowego, ale przecież go nie potrzebowała. W sytuacji awaryjnej zawsze mogła skorzystać z kredytu Arka, on go i tak prawie

w ogóle nie zużywał. Sprawdzając dostępność, szukała jakiegokolwiek argumentu, żeby nie jechać. Ale nie znalazła. Nic nie zakazywało jej pojechać nad zalew, bo tak, o ile nie nadużywała przywilejów – a i tym razem by ich nie nadużyła. Poza tym to mogła być ostatnia okazja, żeby tam pojechać. Nawet jeśli się nie przeniosła do Sztolni, to wiedziała już tyle, że mogli jej zabrać tę pracę. Splotła dłonie za plecami i znowu spojrzała na Węgę, ale tam też nie było dobrego powodu, aby zostać tutaj, aby wrócić prosto do domu. Prywatka, szumiąc wentylatorem, zatrzymała się koło niej.

\*\*\*

Tym razem to nie Hieronim pilnował wjazdu do strefy wykluczenia. Nie wiedziała, czy to zły, czy dobry omen, ale mężczyzna przyjął jej przepustkę bez komentarza, sprawdził ją i otworzył furtkę, a to wszystko bez zadawania pytań. Bez dociekania. Może tak było lepiej. Nie dla niej, ale dla wielu. Zapaliła latarkę i ruszyła ciemną ścieżką przez las. W ciszy jej własne kroki wydawały się bardzo głośne, a gdy zwolniła i zaczęła je stawiać ostrożniej, usłyszała śpiew.

Dreszcz spłynął jej po plecach.

Wyszła na skraj niecki. Sierp księżycy wisi nisko nad drzewami i zdawał się jaśniejszy niż w czasie pełni. Rozpraszał mrok, wycinał cienie na cieniach – ciemny zarys starej wieży, ciemne linie resortu, ludzi na brzegu zalewu, kobietę stojącą po kostki w wodzie. Danka zamarła w bezruchu. Nie miała odwagi nawet oddychać, bo niewidząca zadzierała głowę i choć Danką była jeszcze daleko, to wiedziała, że kobieta patrzy właśnie na nią. Nie umiała powiedzieć dlaczego.

Zeszła nad wodę – tak jak chmury, gwiazdy nie odbijały się w niej, ale ponad zalewem widziała je dobrze. Wega i Deneb. Pomiędzy nimi przebiegała Droga Mleczna i Danką miała wrażenie, że dostrzega jej nieco jaśniejszą smugę. Widziała Cefeusza, Kasjoepa niemal kryła się w łunie nad drzewami, a... Szelest sprawił, że odwróciła wzrok. Kilko ociemnionych podeszło bliżej. Niewidząca została w tyle, ale powoli stawiając kroki w wodzie, również szła w jej kierunku.

– Nie będą przeszkadzała – szepnęła Danką. – Przyjechałam tylko popatrzeć na gwiazdy. Zaraz sobie pójde.

Mrużyli oczy, patrząc w jej stronę, i dopiero wtedy przypomniała sobie o latarce. Zgasiła ją i bez ostrych linii, rysowanych w mroku przez białe światło, ciemność stała się bardziej przyjazna.

*Jeśli nie mają prądu, to jak działa ich radio...*

To był moment. Ciężki chłopot wody, bolesny uścisk na ręce, niebo nad głową i ciemność.

*pryláihuimóhuaxīndeshengyinprzybęwomen*

Ciemność przesłaniająca gwiazdy i księżyc. Ktoś krzyknął raz i drugi, a potem i jego pożarła ciemność.

*mydaowomyhuizhidaomówimenprzihuishuo*

Ciemność napierająca na świadomość Danki, wypierająca z niej jej własne myśli i zastępująca je pieśnią, coraz głośniejszą i wyraźniejszą.

*przyszłośćhuimówdeishengyinprzybędziemen*

Sylaby wrzynały się w jej myśli. Jedne i drugie rozrywały ciągi logiczne, obezwładniały podświadomość i Danką już rozumiała, kto śpiewa – siedemnaście głosów tych, którzy zginęli nad zalewem, próbowało wyspiewać jej coś, co mogła zrozumieć – o czasie, jego braku, o zburzonej granicy między przyszłością i teraźniejszością, o świadomościach wyrwanych z ciał, zlanych w jedno ciemne oko zdolne do przemawiania tylko chórem.

*mydaodziemyhuizhiprzemówimenhuishuo*

Ponad drugie tyle głosów chińskich, ludzi, którzy byli w Lán Tiāntáng, zanim satelita spadł do zalewu, śpiewało sobie znaną przyszłość i choć nie znała słów, to z każda chwilą coraz bardziej rozumiała ich sens. Wnikał w nią. Stawał się częścią jej myśli. Zastępował je tak, jak wyparł już instynkt nakazujący wypłynąć na powierzchnię, jak starł na proch próbę powstrzymania się przed zachłyśnięciem się wodą, jak rozmył wyrzuty sumienia, wstyd, wściekłość na własną głupotę.

*weiláihuishuohuaxīndeshengyinprzybęwomenzhidao*

W końcu wiedziała, co się stało, czym był satelita, kto śpiewał. Widziała twarze, znała imiona, słyszała echo deklaracji poświęcenia, marzeń i wiedziała, że to nie są jej wspomnienia, ale czuła je jak własne. Dla dobra wszystkich wyrzec się ciała, zjednoczyć z innymi – rozpadała się na pojedyncze myśli, obcy strach zastępował jej własny, cudze dzieciństwo splatało się z widokiem z domu w Orzechu.

*dziemyhuizhidaodewimenuishuo*

Prawda napierała na nią i spalała myśli, aż ostała się tylko jedna: poznanie prawdy nie było tego warte. Kolejnej nie było – Danka zaśpiewała.

**przyszłość przemówi**

*wèilái huì shuōhuà*

**nowy głos przybędzie**

*xīn de shēngyīn huì lái*

**wiemy**

*w men zhīdào*

**będziemy wiedzieć**

*w men huì zhīdào*

**przemówimy**

*w men huì shuōhuà*

Gliwice zamilkły.

*sierpień 2019 – marzec 2020*

**Marta Magdalena Lasik** – Opowiadaczka science fiction, teoretycznie operatorka elektrowni jądrowych, faktycznie korposzczur. Ponadto fotoamatorka, wrocławianka i trochę żeglarka. Działa w Sekcji Literackiej „Logrus” Śląskiego Klubu Fantastyki. Pisze głównie fantastykę naukową, zastanawiając się, dokąd zaprowadzi nas technologia na Ziemi i co kryje się w głębi kosmosu. Publikowała między innymi w „Okolicy Strachu”, „Feniksie” i antologiach SKF-u. Opowiadaniem *Kwestia czasu* zgarnęła Grand Prix ósmej edycji konkursu „Fantazje Zielonogórskie”.





Co kryje w sobie Śląsk?

Śląska ziemia, śląska historia, śląskie *bojki*?

*Inkszy welt* to antologia, która otwiera drzwi do śląskich tajemnic: sześcioro autorów przedstawia sześć różnych tekstów sięgających ku przeszłości, teraźniejszości i przyszłości krainy wień wyciągowych i walczących o przestrzeń miast.

Czytelnik, który zdecyduje się na przekroczenie progu tych drzwi, pozna alternatywne dzieje powstań śląskich, stanie twarzą w twarz z utopcem i innymi śląskimi demonami, będzie miał okazję wysłuchać śląskich legend oraz przejść się ulicami Śląska przeszłości, jakimi widzą je dzisiejsi pisarze.

Pozycja ta ma jeszcze jedną zaletę – między wierszami zachęca do chwili zadumy nad niełatwymi losami ludzi złączonych korzeniami, tkwiącymi głęboko w śląskiej ziemi szarpanej wichrami historii, przechodzącej z rąk do rąk w kolejnych konfliktach, które nader często czyniły wrogów z najbliższych sąsiadów.

Mnie zachęciła. Polecam.

wydawca:

Anna Hryczyszyn



patron medialny serii:

 **Fantasmarium**

patronaty:

MAGAZYN  
**BIAŁY KRUK**

*efantastyka.pl*

**F**AHRENHEIT

**Pokój  
Geeka**

*Silmaris*  
MAGAZYN GIER I FANTASY

POLECAMY  
**ESENSJA**  
20 LAT WWW.ESENSJA.PL

**Ś K**

Śląscy Blogerzy Książkowi

ISBN 978-83-931240-6-0



9 788393 124060 >